POLSKA
KSIĄŻKA DO CZYTANIA

dla

szkół wydziałowych i wyższych klas szkół ludowych

UŁOŻYLI

Franciszek Próchnicki i Romuald Starkel.

TOM II.

DLA KLASY SZÓSTÉJ.

WE LWOWIE.
NAKŁADEM TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO.

Z DRUKARNI PILLERA I SPÓŁKI.
1890.

POLSKA
KSIĄŻKA DO CZYTANIA

dla

szkół wydziałowych i wyższych klas szkół ludowych

UŁOŻYLI

Franciszek Próchnicki i Romuald Starkel.

TOM II.

DLA KLASY SZÓSTÉJ.

WE LWOWIE.
NAKŁADEM TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO.

Z DRUKARNI PILLERA I SPÓŁKI.
1890.

Przedmowa.

Książka niniejsza, obejmująca cztery tomy, a przeznaczona dla szkół wydziałowych i wyższych klas szkół ludowych, zastosowana jest do *Planu naukowego z r. 1886.*

W doborze ustępów do czytania miano tu na oku ważniejsze względy pedagogiczne i dydaktyczne, przedewszystkiém wiek i zakres wiedzy, podawanéj młodzieży w każdym roku nauki.

Celem tedy ustępów, zamieszczonych w tomie I., jest nastręczenie młodzieży pouczającego a przystępnego i na tym stopniu nauki „Planem“ wskazanego materyału, przeważnie *opisów i opowiadań*, tak prozą jak wierszem, na którychby uczniowie, zaciekawieni ich treścią, mogli z pożytkiem *śledzić tok i związek myśli*, oraz zaprawiać się *w poprawności i zwięzłości wyrażenia.* Systematyczny zaś pod względem formy układ zamieszczonych tu ustępów naprowadza uczniów równocześnie a prawie mimowiednie do elementarnego poznawania głównych rodzajów prozy i poezyi i najwybitniejszych ich gatunków.

W ten sposób tom I. toruje drogę dwom następnym, które, podając coraz obfitszy, treścią i formą coraz doskonalszy materyał, służą do głębszego wytłómaczenia *szczególniejszych zwrotów języka*, wybitniejszych form stylistycznych i poetycznych, warunków piękna w poezyi, podziału prozy i poezyi na rodzaje i gatunki — a przytém nastręczają coraz częstszą sposobność do *krótkich uwag historycznych i biograficznych, odnoszących się do pisarzów, których utwory się czyta.*

Pierwsze więc trzy tomy, utwierdzając ustawicznie i rozszerzając zwolna wszystko to, czego się młodzież uczyła w każdym poprzedzającym roku nauki, przygotowują zarazem materyał do tomu czwartego.

Tego zaś tomu zadaniem jest ułatwić uczniom *krótki pogląd na historyczny rozwój literatury polskiéj*, przyczém nie chodzi wcale o dokładność w szczegółach, lecz tylko o jak najprostszy zarys całości. Z tego powodu tom czwarty zawiera ile możności niedługie wyjątki z dzieł najwybitniejszych w literaturze polskiéj poetów i prozaików w porządku chronologicznym, począwszy od Długosza aż do dni naszych. Dokoła zaś tych wybitniejszych postaci i ważniejszych dzieł, w tym tomie uwzględnionych, ugrupują uczniowie wszystko to, czego się z literatury w klasach poprzednich przy sposobności uczyli, *utwierdzając w ten sposób i uzupełniając nabyte już wiadomości.*

Oprócz tego tom czwarty, mając ułatwić uczniom powtórzenie tego, czego się dotąd z zakresu stylistyki i poetyki nauczyli, zawiera przykłady nie tylko z każdego rodzaju poezyi i prozy w ogólności, lecz także prawie ze wszystkich ważniejszych gatunków w obrębie każdego z tych rodzajów. Powtórzenie tych wiadomości u kresu nauki szkolnéj zarówno pożądane jest w celu zebrania i ujęcia w pewną całość tego, czego się w szkole w tym kierunku uczono, jakotéż w celu przygotowania młodzieży na przyszłość do rozumnego czytania arcydzieł literatury narodowéj w całości.

Wypada nakoniec wyjaśnić jeszcze powód opóźnienia się niniejszego tomu.

Natychmiast po wyjściu pierwszego wydania tomu pierwszego (r. 1886.) zabrał się ś. p. Romuald Starkel do przygotowania materyału do tomu następującego. Atoli przerwała tę pracę długa i ciężka jego choroba, a następnie i śmierć przedwczesna (r. 1888.). Mając rozpoczęte dzieło doprowadzić do końca, uzupełniłem materyał, w części już zebrany, a zastosowawszy go do wymagań wspomnianego *planu naukowego*, oddaję niniejszém książkę tę do użytku szkolnego.

We Lwowie 15. grudnia 1889.

Franciszek Próchnicki.

SPIS RZECZY,

zawartych w tomie drugim.

CZĘŚĆ PIERWSZA:

PROZA.

A. Proza powieściowa.

Mity, legendy, powiastki, opowiadania i obrazki powieściowe:

B. Proza historyczna.

Obrazki i opowiadania historyczne.

C. Proza opisowa.

I. Opisy geograficzne.

II. Obrazy z życia.

III. Przyroda, jéj zjawiska i płody.

D. Proza naukowa.

Rozprawki.

E. Listy.

CZĘŚĆ DRUGA:

POEZYA.

A. Poezya epiczna.

I. Bajki i powiastki.

Stronica

II. Legendy.

III. Ballady.

IV. Opowiadania i gawędy.

V. Opisy i obrazki.

B. Poezya liryczna.

I. Pieśni opisowe.

II. Pieśni, Dumki, Sonety.

III. Pieśni nabożne.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I. Demetera i Persefona.

Demetera (czyli, jak ją Rzymianie zwali, Cerera) była boginią urodzajnéj ziemi, jako wszystko żywiącéj matki; a że najważniejszym dla człowieka owocem ziemi jest zboże, złotym okrywające się kłosem, więc uważano je za dar Demetery, któréj téż przypisywano wynalazek rolnictwa. Za pomocą téj umiejętności, którą bogini sama posiadała, jakotéż tych dobrodziejstw, którymi tak hojnie obsypywała całą ziemię, zapewniła ona ludziom postęp i oświatę. Tych, którzy, w dzikim dotąd żyjąc stanie, koczownicze na ziemi prowadzili życie, a żywili się lichą żołędzią i korzeniami, ona do rodzinnéj przywiązała ziemi i do łagodniejszych skłoniła obyczajów; ona w nich wpoiła zamiłowanie własności i ziemi, a témsamém stworzyła im największy duchowy skarb człowieka — ojczyznę, w niéj zaś zapewniła im opiekę prawa. W ten sposób, czcząc Demeterę, wyznawali starożytni Grecy tę prawdę, że początek wszelkiéj oświaty odnieść należy do początków rolnictwa i do tego, co z niém zawsze ściśle jest połączone, do obrania sobie stałych na mieszkanie siedzib.

Mężem Demetery był, jak sobie pogańscy Grecy i Rzymianie wyobrażali, sam bóg niebios Zeus czyli Jowisz; a przez ten związek chcieli sobie starożytni uzmysłowić dobroczynny wpływ nieba na ziemię. Córką ich była Persefona (u Rzymian Prozerpina), bogini bujnéj i pięknéj roślinności, tryskającéj z łona urodzajnéj ziemi. Roślinność ta tylko w lecie odziewała i stroiła ziemię starożytnych Greków i Rzymian, w jesieni obumierała, a w zimie jako ziarno nasienne przebywała w ciemném wnętrzu ziemi, ażeby na wiosnę znowu obudzić się do życia. Tę tak zwykłą w naturze koléj rzeczy osłonili starożytni szatą prześlicznego mitu.

Razu pewnego (a byłoto na wyspie Sycylii, niedaleko Etny) Persefona, jaśniejąca wielu wdziękami, przechadzała się po rozkosznéj, kwieciem okrytéj dolinie, zrywając białe narcyzy, gdy nagle z głębi ciemnéj jaskini wypadł bóg podziemia Hades czyli Pluton i porwał piękną dziewicę. Uczynił on to za zezwoleniem Jowisza, który mu córkę swą przyrzekł za żonę. Na wozie, zaprzężonym czterema czarnymi końmi, którymi sam Hermes (Merkury) kierował, uwiózł Hades Persefonę, pomimo jéj oporu i płaczu, do swego królestwa, w głąb ponurego podziemia.

Wtedyto strapiona matka, zapaliwszy pochodnię u ognia Etny, siadła na wóz, ciągniony przez skrzydlate smoki, i zwiedzała wszystkie kraje, szukając straconéj córki. W téj wędrówce po ziemi, gdzie ją tylko gościnnie przyjęto, wszędzie zostawiała ślady swéj wdzięczności, nauczając ludzi rolnictwa.

Kiedy jednak wszelkie poszukiwania były daremne, rozgniewana Demetera odmówiła ziemi swego błogosławieństwa, odebrała jéj urodzajność, a sama, stroniąc od Olimpu, w postaci wiejskiéj niewiasty udała się do Attyki, gdzie u władcy eleuzyńskiego Keleosa gościnne znalazła przyjęcie. Wtedy dopiero Jowisz, lękając się o losy Olimpu i ziemi, wysłuchał próśb Demetery i pozwolił Persofonie powrócić do matki, ale tylko pod tym warunkiem, że pół roku przy matce na ziemi, a drugie półrocze z mężem w podziemiu przepędzać będzie. Uradowana Demetera zgodziła się na to. Kiedy więc opuścić już miała gościnny dom eleuzyńskiego władcy, nauczyła syna jego Tryptolema uprawy i użycia pługa, a nawet odjeżdżając darowała mu swój wóz, smokami zaprzężony, ażeby na nim świat zwiedzał i ludzi nauczał, jak zboże siać i jak go używać mają. Tryptolemos istotnie spełnił wolę bogini; objeżdżając ziemię całą, rozpowszechniał naukę rolnictwa w najodleglejszych krajach.

Wielką była cześć obu tych bogiń u starożytnych Greków i Rzymian. Zwykle téż pod ich imieniem dwa na rok obchodzono święta, na wiosnę i w jesieni. Na cześć Demetery święcono tak zwane wielkie i małe Eleuzynie, małe na wiosnę, podczas kwitnienia pierwszych kwiatów, wielkie (9 dni trwające) w jesieni, w porze zbierania owoców. Na cześć zaś Persefony obchodzono w jesieni żałobną uroczystość na pamiątkę jéj porwania, na wiosnę przeciwnie wesołą, przypominającą jéj powrót na ziemię.

Obumieranie przyrody w jesieni, a jéj odpoczywanie w zimie zawierało nadto jeszcze przestrogę, często przez ludzi uczuwaną i przez poetów powtarzaną, o znikomości wszelkiego ludzkiego szczęścia; dlatego porwanie Persefony przez Hadesa uważane było za obraz śmierci. A że Persefona powracała na ziemię, jak po zimie następuje wiosna, zdobna nową zielenią i bogactwem kwiecia, więc mit o niéj zawierał także wiarę w nowe życie po śmierci, budził nadzieję, że człowiek, przez śmierć porwany, nie będzie się wiecznie błąkał w ponuréj krainie cieniów.

Według *A. H. Petiscusa Olimpu*,
w tłóm. *Anastazyi Dzieduszyckiéj.*

---

2. Orfeusz.

Na północ od Grecyi, w ziemi trackiéj, w pobliżu góry Helikonu urosło niegdyś podanie o Orfeuszu. Miał on być najdawniejszym śpiewakiem greckim, synem Apollina i muzy Kalliopy. Gdzie się kształcił, gdzie bywał przedtém, nim przybył na ziemię grecką, różnie o tém mówiono. Jedno podanie głosiło, że wraz z Heraklesem był uczniem sławnego w starożytności muzyka Linosa, inne zaś, że młodość swą spędził w Egipcie i tam się w muzyce wydoskonalił.

Wielką i po wszéj ziemi greckiéj głośną była jego sława. Grał on cudnie na lirze, a śpiewał tak czarująco, że całą poruszał przyrodę, ptaki w powietrzu, ryby w wodzie; zwierzęta dzikie na ziemi opuszczały kryjówki swe leśne i szły za nim, w śpiew jego wsłuchane; czarowny głos jego nawet drzewa, góry i skały poruszał. W takito sposób wyrażali Grecy przekonanie, że potędze pieśni nic się oprzéć nie może, że poezya wzrusza nawet twarde i jak głaz zimne serca nieczułych ludzi, że poskramia i koi najdziksze ich namiętności.

Opiewał on szczególnie żonę swoję, piękną nimfę Eurydykę (obraz pięknéj pory roku), która, od węża ukąszona, bardzo młodo umarła. Po jéj stracie płakał Orfeusz, chodząc z lutnią swą po drogach i ścieżkach, po łąkach i polach; skargi i żale poety tak były wymowne, że nawet nimfy gór i dolin pieśniom jego wtórowały. Wreszcie odważył się Orfeusz zejść nawet w ciemną głąb podziemnego świata, gdzie rzewną swą pieśnią tak silnie wzruszył serce Plutona i Pro-

zerpiny, iż pozwolili mu zabrać Eurydykę, ale pod warunkiem, że, powracając na powierzchnię ziemi, sam pójdzie naprzód i ani razu za nią się nie obejrzy. Długo szedł Orfeusz naprzód, posłuszny rozkazowi bogów; już widział zdala slaby promyk światła dziennego, gdy w tém opanowała go niepewność i obawa, azali téż Eurydyka podąża jego śladem. Niespokojny, raz i drugi zawołał ją po imieniu; lecz gdy nie otrzymał żadnéj odpowiedzi ani nie usłyszał za sobą najlżejszego szelestu jéj kroków, nie zdołał już dłużéj zapanować nad sobą i — oglądnął się. W téjże chwili Eurydyka zniknęła z przed oczu jego na zawsze.

Strapiony poeta powrócił na ziemię, a żal i zgryzota napełniły jego serce. Odtąd ręka jego nigdy już nie dotknęła się strun czarodziejskiéj lutni ani z ust jego pieśń się już nie ozwała. W smutku pogrążony, siedm całych miesięcy przesiedział nad brzegiem Strymonu, bez jadła i napoju, a nawet bez świadomości siebie; potém długo błąkał się po bezludnych pustyniach, cały boleści oddany; wreszcie udał się w wysokie, śniegiem pokryte góry Hemu i Rodopy, gdzie go rozszarpały szalone Menady (obraz srogiéj zimy i spustoszenia). Poszarpane członki jego pogrzebały Muzy u stóp Olimpu, głowa zaś jego i lutnia popłynęły na falach Hebru aż do morza, a stąd z miłym dźwiękiem i z cichym szeptem pieśni dostały się aż do wyspy Lesbos, która zasłynęła pieśniami i wielką liczbą mistrzowskich poetów. Tutajto, u grobu Orfeusza, dzięki jego błogosławieństwu, cała natura szczególnie nastrajała do pieśni; tutaj nawet słowiki piękniéj, niż gdzie indziéj śpiewały.

Według *A. H. Petiscusa*,
(tłóm. *A. Dzieduszyckiéj*).

3. Amfion.

Do najdawniejszych miast w starożytnéj Grecyi należały Teby, stolica Beocyi. Świetność tego grodu opiewali najznakomitsi poeci, a pierwotne jego dzieje stroiły mnogie podania ludowe. Jedném z nich jest prześliczne podanie o Amfionie i jego bracie, które tutaj opowiemy.

Amfion i Zetos byli bliźniętami, ale bardzo do siebie niepodobnymi. Już w młodości odmienne było ich życie. Amfion po całych dniach zajmował się poezyą i muzyką, do czego sam Merkury darował mu lutnię o siedmiu strunach;

Zetos zaś, rosły i dzielny młodzian, szukał rozrywki w walkach i łowach. Według jednych podań byli oni rodowitymi Tebańczykami, według innych pochodzili z okolic Cyteronu; dość, że z czasem objęli rządy w mieście Tebach. Obaj kochali swą ojczyznę, obaj chcieli jéj służyć, ale odmienną do tego obrali drogę, każdy stosownie do swego usposobienia.

Dokoła wielkiego i obronnego zamku Kadmusa, tak zwanéj Kadmei, szerokiém kołem po wzgórzach i dolinach rozłożyło się było miasto Teby; lecz właśnie z powodu téj rozległości więcéj narażone było na najazdy ludów sąsiednich. Postanowili tedy bracia wspólnymi siłami je obwarować.

Zetos pierwszy zabrał się do dzieła. Olbrzymią obdarzony siłą, dźwigał ogromne kamienie i skały i układał je w mury. Lecz ponieważ miasto bardzo było rozległe, więc praca postępowała powoli. Ubolewał nad tém Zetos i z żalem wyrzucał bratu, że przyrzeczonéj nie niósł mu pomocy, że zamiast pracą około obrony miasta zajmował się pieśniami i muzyką. Wówczas Amfion natchniony z zapałem uderzył w dźwięczne struny swojéj lutni, od boga otrzymanéj — i oto kamienie same poczęły się zbierać, skały, którychby ludzka siła nie podźwignęła, same układały się jedne na drugie i w krótkim czasie miasto opasane było warownym murem, z siedmiu owymi, tyle w starożytności sławnymi bramami, na pamiątkę siedmiu strun lutni Amfionowéj.

Któż nie poznaje głębokiego znaczenia tego podania? Czyż nie przebija się w niém tylekroć w inny sposób wyrażana myśl starożytnego Greczyna o boskiéj potędze pieśni? Podanie to, uzupełniając niejako poprzednio opowiedziane podanie o Orfeuszu, którego uczniem miał być Amfion, zdaje się wyrażać to przekonanie, iż poezya nie tylko wzrusza kamienne serca ludzi, nie tylko uszlachetnia dzikie ich umysły, lecz nadto zachęca ich i zapala do zakładania i obrony miast, że więc wielki wywiera wpływ cywilizacyjny, zarówno na życie prywatne, jak i publiczne.

(Według *Prellera).*

4. Herkules na rozdrożu.

Starożytni Grecy, obdarzeni bujną fantazyą i poetyckiém usposobieniem, cały świat, który ich otaczał, zaludnili mnóstwem bogów i bogiń, a początkowe swe dzieje przyozdobili peł-

nymi wdzięku powieściami i podaniami o półbogach i bohaterach. Pomiędzy tymi bohaterami jaśnieje przedewszystkiém wspaniała postać Herkulesa, przedstawiciela męstwa i rycerskiéj cnoty. Wedle podania miał on być synem samego Jowisza i już w niemowlęctwie dał dowód nadzwyczajnéj siły, kiedy jako ośmiomiesięczne dziecię zdusił dwa węże, które wśliznęły się były do jego kolebki. Jowisz za to tak polubił swojego syna, iż postanowił go zrobić nieśmiertelnym.

Razu jednego Herkules, kiedy już z pacholęcia w dorodnego wyrósł młodziana, szedł sam drogą, pogrążony w głębokiéj zadumie. Naraz ujrzał się w miejscu, gdzie droga rozstajna na dwie przeciwne rozchodziła się strony. Zatrzymał się tedy Herkules i rozmyślał, którą z nich ma obrać. Wtém zjawiły się przed nim dwie boginie, z dwóch przeciwnych stron przybywające. Jedna z nich, piękna i powabnéj postaci, zaufana w swe wdzięki, śmiałym doń przystąpiła krokiem, a widząc, iż się waha, którą obrać drogę, zaczęła mu obiecywać tysiące uciech i przyjemności ziemskich, jeżeli zechce iść za nią.

— Któż ty jesteś? — zapytał Herkules, mierząc ją wzrokiem badawczym.

— Ci, którzy głosu mojego słuchają — odrzekła z ponętnym uśmiechem — nazywają mnie rozkoszą, moi przeciwnicy zwą mię występkiem.

Na te słowa zwrócił bohater oczy na owę drugą boginią, która z przeciwnéj nadeszła strony; była ona wprawdzie nie tak powabna i piękna, jak tamta, ale za to jaśniał na jéj twarzy niebiański spokój i wdzięk prawdziwie boski. Skromna i pełna godności stała ona, patrząc na Herkulesa wzrokiem wesołym i pogodnym.

— A ty dokąd mię powiedziesz? — zapytał bohater.

— Ja — odrzekła — poprowadzę cię drogą pracy i obowiązków, drogą trudów i niebezpieczeństw, lecz w nagrodę za to dam ci nieśmiertelność i sławę.

Wyrazy te trafiły do serca młodziana, który uczuł w sobie powołanie do wyższych celów, do pracy dla dobra ludzkości. Nie namyślając się już dłużéj, wzgardził Herkules rozkoszami ziemskimi, podał rękę skromnéj bogini cnoty i poszedł za nią ochoczo. Ona poprowadziła go wprawdzie

drogą ciernistą i uciążliwą, w końcu jednak sprawiła, że stał się dobroczyńcą ludzkości i najsłynniejszym bohaterem greckim.

---

5. Dedal i Ikar.

Mnóstwo dzieł sztuki, rozsypanych po różnych stronach i ziemiach starożytnego świata, uważano za prace Dedala. Jego pamięć uwieńczono chwałą przeróżnych wynalazków które zapewne wielu ludziom przypisać należy. Dedal wedle podań miał wymyślić piłę, siekierę, pion, świder, klej, węgielnicę i t. d. Był on artystą-budownikiem, rzeźbiarzem, snycerzem; wszystko umiał, wszędzie bywał, wszystko stawiał, wszystkiego dokazał. Jego następcy mawiali, że posągi Dedala były wcale niezwykłymi rzeźbami, bo te „posągi chodziły, patrzały, mówiły i t. d.“

Już była się szeroko i daleko sława jego rozległa, a wszystkie ziemie wielbiły Dedala imię, gdy — tak głosiło podanie — jego siostrzeniec Talos, młodziuchny chłopczyna, wzbudził zazdrość w sercu mistrza. Bo też ten Talos, choć młodziuchny, już myślą sięgał w głębokie tajemnice natury i sztuki. Jakoż n. p. pewnego razu widział zabitego węża, który leżał z otwartą paszczą i wyszczerzonymi zębami. Talos zabrał szczęki, wysuszył je i sprawił sobie z nich piłkę doskonałą. Mistrz niemało się w duszy zasępił tym dowodem genialności swojego ucznia. Na tém jednak nie koniec! Niezadługo Talos w szczęśliwéj chwili obaczył przed sobą w duchu nową machinę, a jak się zabrał do roboty, toć i zrobił narzędzie, do naszéj tokarni podobne. Przecież radujący się a tryumfujący biedny Talos ani przypuszczał, że te wynalazki wymyślił jedynie na własną zgubę swoję. Odtąd mistrz zazdrościł młodzieńcowi sławy. Nietrudno było o chwilę złowrogą, w któréj Dedal, chwycony obłędem namiętności, zabił synowca, strącając go ze skalnego grodu Akropolis. Zbójca uciekł.

Chroniąc się przed wyrokiem Areopagu, dostał się Dedal na wyspę Kretę, gdzie wtenczas panował król Minos, znakomity miłośnik sztuki i wielbiciel Dedala. Odpłacił się téż za gościnność królowi zbiegły artysta. Pomijając bowiem inne dzieła jego, wykonane na dworze kreteńskiego króla, dość, gdy wspomnę, że wybudował na Krecie labirynt. Ol-

brzymi ten budynek miał właściwy sobie, a wielce zbawienny cel.

Albowiem na wyspie Krecie żył w one czasy Minotaurus, istny potwór, który miał łeb wołu, a resztę ciała kształtu ludzkiego. Co gorsza, ten Minotaurus pożerał od czasu do czasu siedm młodzieńców i co najpiękniejszych siedm panien. Otóż właśnie na mieszkanie dla tego potworu Dedal na rozkaz Minosa zbudował labirynt, a była to budowa tak pełna krętych, pogmatwanych, zawikłanych korytarzy i ganków, że sam budownik pewnego razu o mało co w niéj nie zabłądził.

Choć atoli Dedalowi nie brakło na obcym dworze i na cudzéj ziemi ani honorów ani sutego chleba, przecież zawsze a zawsze tęsknił do ojczyzny swojéj. Trudna jednak była sprawa z królem Minosem, który ani myślał wypuszczać go od siebie.

Pewnego dnia, gdy Dedal ze synkiem swoim Ikarem, stojąc nad brzegiem morza, patrzał w stronę, kędy za wodami rozlegała się ukochana Grecya, taka go rzewność rozebrała, taka miłość do ojczyzny obudziła się w jego sercu, iż powiedział sobie, że bądź co bądź powróci do ukochanéj Hellady. Kreta jest wyspą, więc lądem nie mógł wracać, a wodą był powrót także niepodobny, bo brzegów pilnowała stuoka straż królewska. Nie tracił przecież serca nasz mistrz, bo on był i wielkim mechanikiem, a spuszczał się na moc i potęgę téj sztuki swojéj. Jakoż pewnego razu powróciwszy z nad morskich brzegów do domu, jął się z piórek i piór ptasich lepić skrzydła, wielce zgrabnie i dowcipnie je woskiem spajając. Choć robota była arcytrudna i żmudna, przecież szczęśliwie wykończył dwie pary skrzydeł doskonałych: jedna para była większa, a druga mniejsza. Wtedy już nie wiele myśląc, przypiął sobie większe skrzydła, a synkowi Ikarowi mniejsze. Lecz w chwili stanowczéj, nie mogąc ognać ojcowskiego serca od trwogi, która go wskróś przejmowała, rzekł do Ikara: „Kochany synu! gdy się puścimy przez morze, co tak zdradne i niepewne, pamiętaj téż nie latać zbyt nisko, bobyś sobie piórka zamoczył i utonął we falach wodnych; jednak nie latajże téż zbyt wysoko, bo słońce mogłoby stopić wosk u skrzydełek twoich, a w takim razie spadłbyś również z wysokości w morze“. Kiedy starzec przypinając synowi skrzydła, wymawiał te słowa drżały mu

ręce i łza płynęła po licach jego. Potém ucałował chłopczynę i obaj wzlecieli w powietrze.

Zrazu syn był pamiętny słów ojcowskich. A weselił się w duszy starzec, gdy często obzierając się za siebie, widział, jak syn, słuchając rad ojca, trzymał się drogi średniéj i umiarkowanéj. Zatém Dedal już z otuchą, a lekkiém sercem puszczał się daléj a daléj. Tymczasem Ikar, zwyczajnie jak młody, rozzuchwalony tém, że mu się tak pięknie udawało, wzbił się w górę wysoko pod obłoki, ba, pod samo słońce. Przecież niedługo było téj uciechy jego. Piórka się odlepiły skutkiem upału słonecznego, a Ikar wpadł w otchłanie morskie i utonął.

Po niejakim czasie znowu spojrzał poza siebie ojciec, a tu, jak niebo szerokie i wysokie, nigdzie nie widać syna. W rozpaczy serca wytężył wzrok i wbił go w morze, które w głębi pod nim, pieniąc się i grzmiąc, przelewało swoje fale. I niestety! obaczył, jak bałwany igrały piórkami ze skrzydeł Ikara. W strasznéj boleści serca swojego spuścił się na jednę z wysp, wystających z morza, a wody wrychle przyniosły mu zwłoki ukochanego dziecięcia. Pogrzebał je ojciec na obcéj ziemi, a z nimi zagrzebał radość całego żywota swojego. Wyspa, na któréj Ikar był pochowany, od tego czasu nazywa się Ikaryą, a morze, w którém utonął, przybrało imię Ikaryjskiego.

Ponieważ wielki mistrz, a bardziéj jeszcze wielki mechanik wszędzie i zawsze znajdzie chętne przyjęcie, więc i Dedal znalazł przytułek u ówczesnego króla sycylijskiego, który go otwartymi przyjął rękami. Wielu téż dzieł podziwienia godnych dokonał Dedal z polecenia królewskiego, a zawsze tak się po mistrzowsku sprawił, że król obsypywał go darami i zaszczytami.

Przecież — jak mówią — nigdy już dawna wesołość nie rozchmurzyła mu czoła, bo mu zawsze przed oczyma stała postać ukochanego syna Ikara.

Józef Kremer, (Grecya).

---

6. Wieki.

Czytamy w księgach Starego zakonu, że pierwsi ludzie żyli w raju, t. j. że na najrozkoszniejszém miejscu ziemi pędzili życie swobodne i szczęśliwe, bez trosk i dolegliwości ciała i duszy. Ale ludzie ci zgrzeszyli, nie zachowawszy przy-

kazania Bożego. Za to wypędził ich Bóg z raju, a odtąd w pocie czoła na utrzymanie życia pracować musieli.

Najstarożytniejsze narody świata, mianowicie Indowie, Persowie, Grecy i inni, zachowali także w pamięci tradycyą o szczęśliwém i błogiém życiu, jakie wiedli ludzie najpierwsi. Grecy opowiadali, że nie odrazu, lecz stopniowo ludzie postradali owo szczęście i w miarę postępu w złém w coraz większą popadali niedolę. Pogorszenie się to ludzie podzielili na pewne okresy, a każdy okres przezwali wiekiem. Wieki te opisał nam Hezyod, najstarożytniejszy po Homerze pisarz grecki; po nim opiewał je Owidyus, słynny z biegłości w wierszowaniu poeta rzymski.

I. Wiek złoty.

Kronos, syn pierwszych rodziców, Uranosa i Gai (ziemi), jeden z olbrzymiego rodu Tytanów, targnął się na ojca, strącił go z tronu i sam po nim objął rządy. Za jego panowania żyli ludzie jak najszczęśliwiéj. W pożyciu rodzinném dzieci nie sprawiały rodzicom żadnego zmartwienia, kochały się wzajemnie, szanowały starszych, a czciły rodziców. Między ludźmi panowała święta zgoda i sprawiedliwość. Nikt nikomu krzywdy nie wyrządził, nie było więc ani swarów ani krwawych wojen; ludzie ówcześni nie znali téż, co to choroba, nie doznawali więc żadnych dolegliwości. Cała ziemia jednym była pałacem, w miejsce posadzki rozesłany był kobierzec wzorzysty niezwiędłych kwiatów, a dachem pałacu było niebo rozkoszne, na którém we dnie wdzięczne uśmiechało się słońce, a w nocy spokojnéj iskrzyły się gwiazdy tysiączne.

Wiosna wieczna panowała na ziemi. O żywność nikt się nie troszczył, wszystkiego rosło podostatkiem. Pola rodziły bez uprawy, zboże uginało się pod ciężarem kłosów, a drzewa różne dostarczały nieustannie najcudniejszych owoców. Rzeki płynęły mlekiem i boskim napojem, nektarem zwanym.

Lecz któż zdoła opisać błogosławioną dolę człowieka? Była ona tém szczęśliwsza, że człowiek wcale się nie starzał, zawsze był zdrów i wesół, a żyjąc sprawiedliwie, doznawał największego szczęścia, bo spokojności sumienia.

Nareszcie ci ludzie posnęli snem błogim, szczęśliwym, a dusze ich sprawiedliwe bogowie uczynili duchami opiekuńczymi dla ludzi późniejszych.

Wiek ten cały od kruszcu, w rozumieniu ludzkiém najszlachetniejszego, przezwano wiekiem złotym albo wiekiem Kronosa. Rzymianie rozumieli, że grecki Kronos jest to ich Saturnus, więc nazwali wiek ów wiekiem Saturna.

II. Wiek srebrny.

Kronos zestarzał się, a jednemu z jego synów, Zeusowi, zachciało się w miejscu ojca światem zawładnąć. Czyni więc nań zasadzkę i zamyka w ciemnéj otchłani podziemnéj, która się Tartaros zwała. Otchłań ta tak głęboko leżała pod ziemią, jak wysoko jest niebo nad ziemią.

Za pierwszych lat panowania Zeusa nastał wiek srebrny, gorszy od złotego. Nasamprzód wieczna wiosna znikła, a nastały cztery pory roku, z których upał lata i ciężka zima nadzwyczaj dokuczały ludziom. Trzeba więc było pomyśleć o odzieży cieplejszéj i o schronieniu przed deszczem ulewnym, przed mroźnym wichrem lub nieznośnym upałem. Chronili się tedy ludzie po jaskiniach, a gdzie tych nie było, stawiali sobie chaty z drzewa i chróstu. Ziemia także bez uprawy rodzić przestała, więc człowiek dla utrzymania życia uprawiać musiał rolę i ciężko pracować razem z bydlętami.

Sam człowiek uległ rozmaitym słabościom; najnieznośniejszém było, że dziecię sto lat chować się musiało przy rodzicach; ale nawet doszedłszy lat stu, człowiek nie użył lat młodzieńczych, bo szybko się zestarzał i znów dziecinniał. Tym sposobem skazany był na wieczne niemowlęctwo; wszystko, co czynił, bezmyślnie czynił, bo brakło mu wieku męskiego, w którym rozum ludzki samodzielnie i czynnie występuje.

Zeus, widząc tę nieudolność rodu ludzkiego, zgładzić go postanowił. Lecz cóż począć miał z duszami? Ludzie tego wieku znów tyle nie zawinili, aby zasłużyli na strącenie do piekieł, bo umysł ich był niezdolny do dobrych uczynków; do niebios ich także przyjąć nie mógł, bo na to potrzeba sobie zasłużyć: więc zostawił ich dusze na ziemi, a ludzie późniejsi przezwali je demonami i niekiedy im nawet cześć boską oddawali.

III. Wiek śpiżowy.

Po zgładzeniu ludzi wieku srebrnego Zeus postanowił innych stworzyć ludzi. Byli to wielkoludy, bezbożnicy, którzy w nic innego nie dufali, jedno w ogromne swe siły, w śpi-

żową zbroję i broń, śmierć zadającą. Nie było téż krzywdy, któréjby się nie dopuszczali, staczając krwawe boje i popełniając mordy okrutne. O sprawiedliwości ani nie pomyśleli, bogów nawet swoich za nic nie mieli; umysł ich dziki zapomniał się do tego stopnia, że bogów do walki wyzywali. Zeus, rozgniewany nieustanném bezprawiem tych wielkoludów, wygubić ich postanowił i taki dał wyrok: „Z własnéj ręki niech zginie ród cały!“ I tak się téż stało. Ludzie ci wzajemnie się pozabijali, a dusze ich niesprawiedliwe Zeus zamknął do ciemnego Hadesu (tak starożytni piekło nazywali).

IV. Wiek bohaterski.

I znów Zeus stworzył inny ród ludzki, który był daleko lepszy od ludzi wieku śpiżowego. Byli to bohaterowie w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu, którzy wiedli owe słynne i wielkie boje pod murami Teb i Troi i którzy czynami bohaterskimi zjednali sobie wiekopomną sławę. Przytém byli to ludzie bogobojni i pobożni, albowiem pobożność i prawdziwa rycerska waleczność idą zawsze ze sobą w parze. Wielka część tych bohaterów zginęła w bojach i walkach zaciętych; inna część wymarła ze starości, dokonawszy dzieł pamięci godnych, bo użytecznych dla potomności. Niepoślednią zasługą ich było, że wytracili szkodliwe, jadowite potwory, że wygubili nędzników, nastawających na życie i mienie ludzi spokojnych. Zeus bardzo był zadowolony z bohaterow; gdy więc ród ich wymarł, przeniósł ich dusze na wyspy Szczęśliwe. Tu pod panowaniem Kronosa, którego Zeus wypuścił z Tartaru i królem uczynił, zażywają dusze bohaterów owéj błogości, która panowała w wieku złotym.

Wiek ten nazwali Grecy wiekiem bohaterskim.

V. Wiek żelazny.

Odtąd rozpoczyna się wiek żelazny, przezwany od kruszcu, który uważano za najgorszy. Ludzie tego wieku są po największéj części źli, bezbożni i mało cenią prawa boskie i ludzkie. Niepoczciwe dzieci, czego dotąd nie było, sprawiają rodzicom i nauczycielom zmartwienie, bliźni nie kocha bliźniego, cieszy się skoro drugiemu źle się wiedzie, a nawet największą sprawia mu to radość, jeżeli się przyczynić może do ujęcia komu dobréj sławy lub wtrącenia go w niedolę. W tym wieku nikt nie jest swego pewien: jeden drugiemu

wydziera majątek i życie. Ludzie wiodą wojny bez przyczyny, dobywają miast, poczém następują mordy i rzeź okrutna. Wogóle jest to wiek, który żyje w nieszczęśliwym obłędzie, że zbrodnia uchodzi bezkarnie i że sprawiedliwość bogów zasypia. Więc człowiek brnie w grzechach i zbrodniach, nie dbając o to, co będzie później, po śmierci. Rozum niby górę bierze, ale cóż po rozumie bez zacności, cóż po nauce bez uczciwości? Bo jedno i drugie razem stanowi dopiero prawdziwą wartość człowieka. To też człowieka dręczą choroby, mór, głód i klęski przeróżne. Lecz na tém nie dosyć; kiedyś po śmierci spadnie na ludzi nieuczciwych jeszcze sroższa kara!

A. Mierzyński.

7. Pogrzeb króla u starożytnych Egipcyan.

Pewien pisarz grecki ciekawą opowiada rzecz o zwyczaju grzebania królów w starożytnym Egipcie. Ciało zmarłego króla nie prędzéj grzebano, aż nad całém jego życiem odbył się sąd; i jeżeli zmarły pobożnie żył i sprawiedliwie, sprawiano mu wspaniały pogrzeb; jeżeli zaś bezbożnym się okazał i niesprawiedliwym, ciało jego przez jakiś czas bez pogrzebu pozostawiano na progu grobowca królewskiego albo grzebano je w miejscu nieznaczném. Uważano bowiem za rzecz słuszną, ażeby ten, który za życia wolny był od oskarżenia i kary, po śmierci zdawał sprawę z całego swojego życia.

Razu pewnego umarł król i miano orzéc, czy mu się pogrzeb należy królewski czy téż pozostać ma niepogrzebany. Zeszło się tedy czterech sędziów, a dokoła stanęło grono mężów najzacniejszych, którzy mieli dać świadectwo, czy życie jego na pochwałę czy na naganę zasługuje.

Pierwszy z owych mężów rzekł: „On czynami wojennymi wielce rozszerzył granice ojczyzny.“ — Ale sędziowie odpowiedzieli: „Sławę tę okupił krwią obywateli.“

Wtedy drugi mąż złożył świadectwo, że zmarły opiekował się naukami i sztukami. Ale sędziowie odpowiedzieli: „Prawda, lecz pogardzał pługiem!“

Potém rzekł trzeci: „On zyskał sobie sławę pobożności i szlachetności.“ Ale najstarszy wiekiem sędzia zapytał: „A czy był sprawiedliwy? bo to jest cnota, która szczególnie przystoi królom.“

Na to zamilkli świadkowie.

Wówczas sędziowie z miejsc swych powstali i ogłosili wyrok, ażeby król zmarły leżał niepogrzebany przez rok jeden, albowiem główną cnotą królów powinna być — sprawiedliwość.

---

8. Daryus i Demokryt.

Daryus, król perski, niepocieszony był po stracie ukochanéj swéj małżonki; ani zabawy ani zajęcia strapionego umysłu jego rozweselić nie mogły. Wezwano wreszcie sławnego filozofa Demokryta, aby rozpędził smutek nieszczęśliwego króla i uspokoił serce jego wzburzone. Kiedy wszystkie sposoby okazały się bezskutecznymi, stanął mędrzec grecki przed tronem Daryusza i rzekł:

— „Najjaśniejszy panie, używałem różnych środków, na jakie ludzie zdobyć się mogą, ażeby ulgę przynieść strapionemu sercu twojemu; niestety, usiłowania moje były daremne. Jeden jeszcze pozostał mi sposób: królu, mogę żonę twą zmarłą na nowo obudzić do życia.“

— „Co mówisz! zawołał król uradowany. Uczyń to, błagam cię, a oddam ci skarbów moich połowę.“

— „Jednéj mi tylko do tego potrzeba rzeczy — rzekł Demokryt. Ty sam jeden, miłościwy królu, jako potężny władca całéj Azyi, możesz mi jéj dostarczyć.“

— „Mów, czego potrzebujesz, zawołał król, a gotów jestem uczynić wszystko, czego zażądasz.“

— „Panie — rzekł na to Demokryt — napisz na grobie swéj żony imiona trojga ludzi, którzy, żyjąc tutaj na ziemi, żadnéj nigdy nie doznali przykrości. Jeżeli to uczynisz, żona twa natychmiast powróci do życia.“

Usłyszawszy takie żądanie, zdumiał się Daryus, gdyż przekonany był o tém, iż nie zdoła znaleść nikogo takiego, któryby w życiu swém nie zaznał jakiegoś nieszczęścia. Wówczas Demokryt ze zwykłym na ustach uśmiechem rzekł:

— „Królu! dlaczegóż więc nie przestajesz płakać i narzekać po stracie drogiéj ci osoby, jakgdyby się tobie jednemu tak wielkie wydarzyło nieszczęście? Wszak ze wszystkich wieków ani jednego nie zdołasz wymienić człowieka, któryby nie musiał był znosić jakiegoś nieszczęścia!“

Ta myśl, tak trafna i głęboka, wielkie na królu uczyniła wrażenie. Odtąd ilekroć żal i smutek przygniatały jego serce, myśl ta wracała, niosąc mu ulgę i pociechę.

9. Język.

Xantus chciał dać ucztę dla swych uczniów. „Idź — rzekł do Ezopa — kup co tylko może być najlepszego.“ Ezop pomyślał sobie po drodze: „Nauczę ja mego pana wyraźniejsze dawać rozkazy.“ Kupił więc kilka ozorów, zgotował je dla gości i postawił przed każdym na talerzu ozór pieczony z sosem. Uczniowie byli zadowoleni z tego pierwszego dania, które zdawało się wskazywać na język, jako najgłówniejsze narzędzie do wyrażenia naszych myśli. Na drugie danie zastawił Ezop ozory gotowane. Żądano innych potraw, on znowu dawał ozory.

— „Jakto! — zawołał nareszcie znudzony Xantus, widząc niezadowolenie swych gości — nicże ty nie masz prócz ozorów?“

— „Nic“ — odpowiedział spokojnie Ezop.

— „Jakże, niegodziwcze, nie dałem ci rozkazu, abyś najlepszych rzeczy nakupił?“

— „Bardzo ci, panie, dziękuję, że mi dajesz sposobność usprawiedliwienia się w przytomności tylu filozofów. Czyż może być na świecie co lepszego nad język? Za pomocą języka uczymy się filozofii i wszystkich nauk. Za pomocą języka dajemy i odbieramy, prosimy, dziękujemy, bronimy niewinności, karcimy zbrodnie. On kojarzy małżeństwa, buduje miasta, czuwa nad bezpieczeństwem człowieka i zachowuje mu życie. Możeż więc być co lepszego nad język?“

Wszyscy uczniowie uznali słuszność mowy Ezopa i przypisali winę panu jego, nie bardzo zadowoleni z tak filozoficznego obiadu.

Xantus wymawiał się złośliwością sługi i przyrzekł nazajutrz lepiej ich uraczyć. Zawoławszy w ich obecności Ezopa, rzekł do niego: „Jutro nagotujesz drugi obiad, ale kiedyś taki przewrotny, że najlepsze moje zamiary przekręcasz, kupże nam na ten obiad, co tylko znajdziesz najgorszego.“ Ezop nakupił znów ozorów i dał na stół. Goście na pierwsze danie szemrać zaczęli: „Jakto — mówili do siebie — zawszeż te przebrzydłe ozory?“ Rozgniewany Xantus wpadł na Ezopa

z wielką furyą: „Cóż ty robisz, szkaradna poczwaro? Gdy ci kazałem kupić co najlepszego, kupiłeś ozorów; gdym ci znowu kazał kupić co najgorszego, ty nas znowu ozorami traktujesz?“

— „Mój panie — odpowie Ezop — a cóż może być gorszego, niż język? Co zburzyło tyle miast, zgładziło tyle ludzi, popełniło tyle kłamstw, złorzeczeń, niegodziwości? Język niszczy kraje, napełnia życie goryczą i trwogą i do rozpaczy przywodzi.“ Z wzorów prozy *Rymarkiewicza.*

---

10. Demostenes i Ateńczykowie.

Demostenes, sławny w starożytności mowca ateński, miał razu pewnego mowę do zgromadzonego na rynku ludu. Chodziło o jednę z najważniejszych spraw kraju, a przecież spostrzegł, że lud na słowa jego nie uważa. Zatrzymał się więc i zaczął opowiadać następującą powiastkę.

Podczas letnich upałów młodzieniec pewien, chcąc udać się z Aten do Megary, najął sobie osła. W południe, gdy skwar słoneczny zaczął mu straszliwie dokuczać, nasz podróżny, aby się ukryć przed prostopadłymi promieniami słońca, zawołał na swego przewodnika, aby się chwilę zatrzymał; gdy ten uczynił to, młodzieniec zsiadł z osła i położył się pod nim. Lecz właściciel nie chciał na to zezwolić, mówiąc, że wynajął osła, lecz nie cień jego; w takim bowiem razie byłby żądał większéj zapłaty. Przeciwnie młodzieniec utrzymywał, że zapłacił i za osła i za cień, jaki tenże rzuca.“

Powiedziawszy to Demostenes, zaczął schodzić z mownicy; lecz lud go otoczył i zmusił do powrotu, dopytując się niecierpliwie, w jaki sposób i przez kogo spór został rozstrzygnięty. Wówczas nieporównany mowca wykrzyknął piorunującym głosem: „O, bogowie litościwi i sprawiedliwi! Opiekunowie Aten! Spojrzyjcie na upadek i małość tego ludu, który z chciwością przysłuchuje się bajeczkom i powiastkom, a z karygodną obojętnością przyjmuje rady i nauki, tyczące się najważniejszych spraw drogiéj ojczyzny.

Z Wypisów polsk. dla szkół średn.

---

11. Dyonizyus i Filoxenus.

Dyonizyus, rządca Syrakuz, ukończywszy wojnę z Kartagińczykami, oddał się całą duszą układaniu wierszy, w czém miał nadzwyczajne upodobanie.

Będąc rzeczywiście dzielnym wojownikiem i wybornym wodzem, pochlebiał sobie, że jest lepszym jeszcze poetą. Ktoby go był chciał przekonywać, że nie ma w tym względzie słuszności, traciłby czas daremnie, a co gorsza, naraziłby się na niełaskę. Dlatego też wszyscy uczeni i poeci, którzy często i w niemałéj liczbie zasiadali do jego stołu, silili się na wykrzykniki podziwienia, pochwały i uwielbienia, ile razy Dyonizyus czytał im swoje utwory.

— Nic jeszcze nie słyszano podobnego! — wołał jeden, wychylając ogromny puhar wina.

— W tym poemacie wszystko wielkie! — krzyczał drugi, połykając kawał zwierzyny.

— Wszystko królewskie! — dodawał inny.

— To mało! mało! — krzyczała wreszcie cała gromada — nie wielkie, nie królewskie, ale boskie!

A wspaniały gospodarz nie posiadał się z radości i coraz więcéj nabierał zarozumienia.

Znalazł się jednak w tym tłumie człowiek, którego ogólny prąd pochwał, nadskakiwań i pochlebstw nie zdołał porwać. Był nim sławny onego czasu poeta, nazwiskiem Filoxenus, przewyższający talentem wszystkich innych.

Pewnego razu Dyonizyus, przeczytawszy mu jeden ze swych utworów, nalegał, aby otwarcie wypowiedział myśl swoję. Filoxenus, niezdolny do pochlebstwa, nie obwijał prawdy w bawełnę i szczerze wyjawił swoje zdanie, zwłaszcza, że był do tego upoważniony; lecz autor, nienawykły do podobnéj otwartości, uczuł się obrażonym, a przypisując zuchwalstwu i zazdrości surowy sąd Filoxena, kazał go wtrącić do więzienia. Zdziwieni i zasmuceni dworzanie i przyjaciele wstawili się za ulubionym poetą, jakoż po kilku chwilach wyjednali mu wolność.

Nazajutrz Dyonizyus wydał im i Filoxenusowi wspaniałą ucztę, niby na dowód przebaczenia i zgody. Stoły uginały się pod ciężarem najwyszukańszych potraw, wino lało się strumieniami, wesołość ożywiała wszystkich współbiesiadników, żarty i dowcipy sypały się zewsząd, jakby na zawołanie. Korzystając z tak przyjaznego usposobienia gości, gospodarz nie zaniechał zwrócić rozmowy na swoje wiersze, o których najczęściéj i najwięcéj lubił rozprawiać. Naostatek wybrał poemat, który uważał za najlepszy dlatego, że naj-

więcéj nad nim pracował, i niby od niechcenia pokazał rękopis biesiadnikom.

— Aj! to niezawodnie nowe arcydzieło naszego dostojnego pana! — zawołało kilka głosów, wzmocnionych winem.

— Jakżebyśmy byli szczęśliwi, gdyby autor uwieńczył biesiadę odczytaniem téj ślicznéj rzeczy!

— Prosimy, prosimy! — zawołali inni; aż niby wzdrygający się autor rozwinął zwój pergaminowy i tym sposobem naturalnie dał hasło grobowego milczenia.

Dyonizyus odczytał swoje dzieło z widocznémupodobaniem, a zaledwie skończył, pochlebcy nie mogli się dość nachwalić tego, jak mówili, niezrównanego utworu. Ale tym razem autorowi nie na ich zdaniu zależało; to téż, zwróciwszy się do Filoxena, zapytał:

— No, mój poeto, cóż powiesz o téj pracy?

Zdarzenie, zaszłe dnia poprzedniego, było niezgorszą dla Filoxena nauczką; jednakże, nie chcąc minąć się z prawdą, zamiast odpowiedzi na zapytanie, zwrócił się ku straży, przy drzwiach stojącéj, i z miną zarówno poważną, jak komiczną rzekł bolejącym głosem:

— Odprowadźcie mię do więzienia!

Goście zaledwie stłumili mimowolny śmiech, po którym słuszna pomiędzy nimi nastąpiła trwoga... Ale Dyonizyus, lubo dotknięty tym żartem, nie okazał najmniejszego gniewu; przeciwnie wzniósł toast za pomyślność poety i tym razem uczta zakończyła się dla Filoxena szczęśliwie.

Wedł. *J. Chęcińskiego.*

---

12. Alexander Wielki i lekarz Filip.

W r. 334. przed Chr. zbliżył się Alexander Macedoński z wielkiém wojskiém do miasta Tarsu.

Środkiem tego miasta płynie rzeka Cydnus, sławna przezroczystością i chłodem swoich wód, których świeżość utrzymuje cień gęstych krzewów i drzew, otaczających jéj wybrzeża.

Alexander w samo południe jednego z najskwarniejszych dni wszedł ze swojém rycerstwem do Tarsu, cały okryty potem i kurzawą. Ujrzawszy więc tę śliczną, jakgdyby kryształową rzeczułkę, uczuł niepokonaną chęć użycia kąpieli; i bez namysłu, zrzuciwszy odzież, wskoczył w wodę wobec otaczających go przyjaciół. Lecz zaledwie się zanurzył, wszystkie

jego członki nagle zlodowaciały, twarz pokryła się śmiertelną bladością, wreszcie stracił zupełnie przytomność. Przywiązani rycerze natychmiast przenieśli go do namiotu, gdzie, widząc wszystkie swoje starania bezskutecznymi, płakali gorzko, wyrzekając na los, że tak nieszczęśliwie wydzierał im bohaterskiego króla w kwiecie jego młodości.

Tymczasem Alexander zaczął powoli wracać do przytomności i poznawać otaczających go przyjaciół, lecz umysł króla był nad wszelki wyraz wzburzony odebraną poprzednio wiadomością, że Daryus najdaléj za pięć dni może przybyć do Cylicyi. Nie przestawał więc żalić się na srogość przeznaczenia, które oddawało go bez obrony w ręce nieprzyjaciela, wydzierając tak piękne zwycięstwo i skazując na marną śmierć pod namiotem.

Po chwili, uspokojony nieco prośbami obecnych, kazał przywołać swoich lekarzy i rzekł:

— Widzicie, nad jaką przepaść przywiódł mię los zawzięty. Zdaje mi się, że już słyszę tentent koni, szczęk oręża, że widzę Daryusa, wkraczającego do Tarsu z okrzykiem zwycięstwa. Lecz możnaby jeszcze tego uniknąć, gdybyście tylko chcieli mię wyleczyć w sposób, jaki sam podam. Obecne moje położenie nie może cierpieć ani lekarstw powolnych ani lekarzy trwożnych. Szybka śmierć droższąby mi była nad spóźnione wyzdrowienie, bo nie pragnę żyć, ale walczyć!

Ta niecierpliwość króla mocno zasmuciła lekarzy, którzy, wiedząc, iż muszą zdać najściślejszy rachunek z wypadku swoich czynności, nie śmieli użyć lekarstw niedoświadczonych i gwałtownych, tém bardziéj, że Daryus kazał ogłosić wszędzie, iż da tysiąc talentów nagrody temu, kto zabije Alexandra.

Między królewskimi lekarzami był niejaki Filip z Akarnanii, który z całém poświęceniem służył Alexandrowi od jego najmłodszych lat i kochał go jak własnego syna. Temu to zacnemu i biegłemu w swéj sztuce uczonemu, wydało się rzeczą niegodną opuścić swojego króla w największéj potrzebie przez bojaźń wystawienia się na możliwe niebezpieczeństwo. Odtrąciwszy zatém wszelkie względy niewczesnéj przezorności, oznajmił, że jest gotów podać lekarstwo, które nie chybi pożądanego skutku, jeżeli król udzieli mu trzech dni na przyrządzenie onego. Alexander chętnie zezwolił.

— Nazajutrz przyszedł do niego list z obozu od Parmeniona, zaklinający na wszystko, aby się wystrzegał Filipa, który, przekupiony wielkimi podarunkami przez Daryusa, zobowiązał się otruć swojego pana. Alexander uważnie list przeczytał, poczém włożył go pod poduszkę, nie pokazawszy żadnemu z przyjaciół.

Skoro nadszedł dzień oznaczony, Filip z kilku rycerzami i kolegami wszedł do namiotu króla, niosąc w złotym puharze przysposobiony napój. Wtedy Alexander podał mu list i jednocześnie bez najmniejszego podejrzenia przyjął z rąk jego lekarstwo.

Uroczystym i razem strasznym był widok jednego z nich czytającego, drugiego, spełniającego do ostatniéj kropli podany puhar, potém spoglądających wzajem na siebie, lecz w sposób wcale niejednakowy. Alexander patrzył na Filipa wzrokiem łagodnym, pełnym szczerości i zaufania; Filip zaś spoglądał na swego króla oczyma prawie błędnymi, przepełnionymi łzami oburzenia na tak haniebną potwarz, a z jego ust wydzierała się przerywana łkaniem prośba o spokój i zaufanie.

Tymczasem lekarstwo zaczęło działać w sposób, pozwalający wierzyć oskarżeniu Parmeniona. Król stracił mowę, wpadał często w otrętwienie, prawie nie pozostawiając śladu życia. Filip otaczał go najtroskliwszymi staraniami, nie zaniedbywał żadnego środka pomocy, a gdy go ujrzał cokolwiek przychodzącym do siebie, starał się rozrywać wesołą rozmową; przywodził na pamięć matkę i siostry, mówił o bliskiém zwycięstwie, o tryumfach, które niezadługo miały uwieńczyć jego młodą głowę. Naostatek gdy lekarstwo przebiegło wszystkie arterye zbawiennym i ożywiającym wpływem, ciało i umysł odzyskały utraconą siłę.

W trzy dni potém Alexander ukazał się swoim żołnierzom, którzy nie mogli nacieszyć się jego widokiem i zaledwie własnym oczom wierzyli, gdyż niebezpieczeństwo, jakiego uniknął, było wielkie i zatrważające. Wszyscy cisnęli się do odważnego i zacnego lekarza; z najżywszém uniesieniem okrywali go uściskami, nie przestając mu składać serdecznych dziękczynień za to, iż zachował przy życiu tak ukochanego i drogiego im króla. Wedł. *J. Chęcińskiego.*

13. Podanie o założeniu Rzymu.

Po zdobyciu Troi przez Greków uszedł z płonącego miasta Eneas, jeden z najdzielniejszych jego obrońców, a zgromadziwszy z rozbitków wojska trojańskiego cały zastęp dzielnéj młodzieży, zbudował kilka statków i puścił się na morze, ażeby sobie nowéj szukać ojczyzny. Kilka lat tułał się po różnych krajach, nad morzem Śródziemném leżących, aż wreszcie osiadł w Italii, gdzie mu wyroki bogów nowe państwo założyć kazały.

Czternasty potomek Eneasa, Prokas, król w Albie Długiéj, zostawił państwo dwom synom, którzy naprzemian mieli panować, t. j. Numitorowi i Amuliusowi. Ostatni, chciwy panowania, przywłaszczył je sobie wyłącznie, synów zaś Numitora i córkę pozabijał. Pozostałe po synowicy bliźnięta, Romulusa i Remusa, kazał Amulius w koszu zanieść do Tybru i tamże utopić.

Atoli szczęściem wezbrała była rzeka i słudzy, nie mogąc dotrzéć do samego jéj koryta, zostawili kosz na mieliźnie. Gdy woda opadła, stanął kosz na suchém miejscu, gdzie na kwilenie niemowlątek nadbiegła wilczyca, która zamiast je pożréć, własném je mlekiem karmiła. Tu znalazł je przypadkiem pasterz, nazwiskiem Faustulus, i zlitowawszy się, przyniósł do chaty i oddał swéj żonie, która je jako własne dzieci wychowała. W chacie pasterskiéj wyrośli cudownie ocaleni bracia na pasterzy, a czując w sobie wrodzoną chęć do boju, zaczęli ścigać dzikie zwierzęta, jakotéż łotrów, zasadzających się na ich trzody, i dzielili odbite łupy między swych towarzyszy. W takich wycieczkach schwytali raz Remusa pasterze Numitora i zaprowadzili go do swego pana, do Alby. Numitor poznał w nim swego wnuka, a odkryciem Faustula w swym domyśle utwierdzony, chcąc go do zemsty przeciwko Amuliusowi zapalić, wyjawił mu okrucieństwo stryja i przywłaszczenie tronu. Ucieszony Remus łączy się ze swym bratem Romulusem, zbierają zewsząd najodważniejszych pasterzy, wpadają znienacka do miasta, zabijają przywłaszczyciela Amuliusa, a ukrzywdzonego Numitora na tronie osadzają. Ten przez wdzięczność pozwolił swym wnukom na tém miejscu, gdzie byli pasterzami, nową założyć osadę. Tu więc, nad rzeką Tybrem, na wzgórzu Palatyńskiém w r. 754. przed Chr. założyli bracia pierwsze posady tak potężnego późniéj Rzymu.

Romulus zaprzągł parę białych wołów do pługa i naokół palatyńskiego wzgórza wyoraną w czworobok bruzdą oznaczył rozległość miasta i tym śladem kazał wał usypać. Środek tego placu zajmował zbiór lichych chałup czyli raczéj szałasów, bardziéj wojennego obozu, niż miasta pozór mających.

Zaraz z początku powstał między braćmi spór, od kogo nowa ta osada miała być nazwana i rządzona. Za radą Numitora postanowili zdać się w téj ważnéj rzeczy na wieszczbę bogów. W tym celu obaj bracia na osobne udali się wzgórza, uważając na lot ptaków, komu się naprzód pokażą. Jakoż pierwszy Remus ujrzał 6 sępów, gdy po niejakim czasie Romulus 12 sępów lecących zobaczył. Każdy więc z nich przypisywał sobie wygraną: Remus, że pierwszy, Romulus, że ich podwójną liczbę ujrzał. Wszczęła się stąd naprzód sprzeczka, a potém walka, w któréj Remus zginął. Inni podają, że przeskakiwał on z szyderstwem wały nowo założonego miasta, a wtedy brat, oburzony tą obelgą, zabił go, wołając: „Tak niech każdy zginie, kto się poważy ten wał przekroczyć!“ Romulus nadał miastu swoje nazwisko (*Roma*) i został pierwszym królem Rzymu.

Wedł. *A. Poplińskiego.*

---

14. Ocalenie Rzymu przez niewiasty.

Głośném jest w dziejach starożytnego Rzymu imię Koryolana, który z pogromcy Wolsków, najzaciętszych wrogów swéj ojczyzny, stał się ich sojusznikiem. Dumny ten patrycyusz, urażony, iż lud rzymski, upatrując w nim niebezpiecznego przeciwnika, skazał go na wygnanie, połączywszy się z Wolskami, wyruszył na ich czele przeciwko rodzinnemu miastu. Na wieść, iż znany z swéj waleczności Koryolan ciągnie zbrojno przeciwko Rzymowi, wszyscy potracili głowy tak dalece, że niepodobna było zebrać wojsko do obrony, a gmin gotów był już uchylić zapadły wyrok i odwołać wygnańca. Senat uchwalił więc poselstwo, któreby Koryolanowi zawiozło tę uchwałę ludu i ułożyło się o warunki pokoju. Daremną atoli okazała się ta powolność Rzymu; nawet poselstwo sędziwych kapłanów, przybranych w uroczyste szaty nie zdołało swymi zaklęciami rozbroić jego zawziętości.

Wobec tak groźnego położenia użyto więc ostatecznego środka. Jedna ze znakomitych niewiast rzymskich pośpieszyła

do Weturyi, matki, i Wolumnii, żony Koryolana, aby je nakłonić do poselstwa, mogącego wyjednać ojczyźnie pokój. Za zezwoleniem senatu zebrały się tedy najznakomitsze matrony rzymskie, zagrzane miłością ojczyzny, i wyszły otoczone dziećmi, mając na czele Weturyą i Wolumnią, do nieprzyjacielskiego obozu.

Wódz zdziwiony wahał się zrazu, co miał czynić, ale widok sędziwéj matki i kochanéj żony, prowadzącéj za ręce dwoje dziatek, rzewny płacz wszystkich niewiast, zmiękczył twarde serce wojownika; porwał się więc z miejsca i wyszedł na powitanie matki. Lecz ta rzekła: „Stój, zapamiętały! niech się wprzód dowiem, czym do syna czy do nieprzyjaciela przyszła? Matką czy niewolnicą w obozie twoim jestem? Do tegoż mię długie życie i nieszczęśliwa starość przywiodła, ażebym cię wygnańcem, a co gorsza, nieprzyjacielem ojczyzny oglądała? Mógłżeś pustoszyć tę ziemię, która cię zrodziła i wychowała? Jakżebyś się śmiał targnąć na te mury, w których twa żona, twe dzieci i nieśmiertelne bogi mieszkają? O ja nieszczęśliwa! gdybym nie miała syna, umarłabym wolna w wolnéj ojczyźnie; ale tak wydałam zdrajcę i zabójcę własnéj matki i ojczyzny! Niechże za to poniosę srogą zemstę! Okrutniku! po martwych zwłokach twéj matki, żony i dzieci będziesz wchodził do Rzymu! Lecz jeżeli Rzymianinem, jeżeli człowiekiem być jeszcze nie przestałeś, zlituj się dla bogów nad opłakanym stanem niewinnych ofiar, które na klęczkach wraz z matką twego błagają miłosierdzia!“

Wtém żona i dzieci, jako też wszystkie niewiasty ze łkaniem rzuciły się do nóg Koryolana. Głos natury przezwyciężył żądzę srogiéj zemsty; rozczulony, podniósł klęczącą sędziwą matkę i rzekł do niéj prawie ze łzami: „O matko, matko, ocaliłaś Rzym, aleś syna zgubiła!“

Wdzięczni Rzymianie, na uwiecznienie pamięci tego czynu, wystawili świątynię bogini Fortunie na témsamém miejscu, gdzie niewiasty Rzym ocaliły.

Wedł. *A. Poplińskiego.*

---

15. Cyncynat.

Starożytny lud rzymski celował bitnością i rządnością. Podbił on wiele krajów i utrzymał przez długie wieki potęgę

swego państwa. Jeszcze dzisiaj spotykamy wiele pomników téj potęgi i wiele pouczających wspomnień znachodzimy o cnotach tego ludu

A mieli Rzymianie wpośród siebie nie tylko walecznych wojowników, lecz także cnotliwych obywateli, którzy umieli pracować i poświęcać się dla ojczyzny. Jednym z tych zacnych mężów, którzy dobro ojczyzny stawiali wyżéj od dobra własnego, był Cyncynat.

Było to na 460 lat przed narodzeniem Chrystusa Pana. Lucyus Cyncynat należał do zamożnych Rzymian i cieszył się powszechnym szacunkiem. Zdarzyło się jednak, że syn jego Cezyus, uwiedziony porywczością młodego wieku, dopuścił się był gwałtów i miał być przez lud rzymski sądzonym. Daremnie błagał ojciec o darowanie winy młodzieńcowi. Przeciw Cezyusowi podniesiono jeszcze inne fałszywe oskarżenia i lud takim gniewem się zapalił, że życie Cezyusa było w niebezpieczeństwie. Naówczas Cyncynat zaręczył za syna całym swym majątkiem, a gdy ten, nie stanąwszy przed sądem, opuścił gród ojczysty, zabrano mienie ojca.

Strata majątku nie ugięła jednakże mężnéj duszy Cyncynata. Wybrał się z żoną za rzekę Tybr, na wieś, gdzie mu pozostał jeszcze kawał roli, i tam, uprawiając ziemię własnymi rękoma, pracował na wyżywienie siebie i żony.

Tymczasem zginął był w bitwie najwyższy zwierzchnik Rzymian, konsul Waleryus. Lud oglądał się za godnym następcą i przypomniał sobie cnotliwego Cyncynata, ukrytego w wiejskiém zaciszu. Wysłali więc Rzymianie posłów do niego z prośbą, ażeby stanął na ich czele. Ujrzawszy posłów Cyncynat, rzekł do żony: „Lękam się, droga Attylio, żeby nasz kawałek roli odłogiem w tym roku nie leżał!“ Że jednak sprawę ojczyzny wyżéj cenił, niż sprawy własne, niepomny nawet doznanéj boleści ojcowskiéj, poddał się woli ludu i przyjął godność konsula.

A potrzebowała ramienia jego ojczyzna, gdyż zagrażali jéj nieprzyjaciele. Zebrał więc Cyncynat zbrojne zastępy, a odparłszy nieprzyjaciół i uspokoiwszy wewnętrzne zawichrzenia, wrócił napowrót do swéj chaty.

Ta wielkość duszy cnotliwego męża, który umiał poprzestać na małém i od najwyższych dostojeństw nie wstydził się wracać do ukochanéj roli, wzbudziła podziw ludu rzymskiego. Gdy więc powtórnie groźni nieprzyjaciele naszli państwo rzym-

skie, a niedołężny konsul ówczesny dał się wraz z wojskiem na pewnéj górze osaczyć, znowu lud rzymski wysłał posłów do Cyncynata.

Wielki ten mąż orał właśnie swój kawałek roli, gdy przybyli doń najznakomitsi senatorowie rzymscy, mówiąc: — Cyncynacie, weź dowództwo nad nami i ratuj ojczyznę!

I tym razem okazał się Cyncynat powolnym żądaniom współobywateli. Ci zaś tak mu zaufali, że zdali nań wszelką władzę. Wtedy Cyncynat dobrał sobie ówczesnym zwyczajem dowódcę jazdy; a nie szukał go między najmożniejszymi, lecz z pośród najcnotliwszych wybrał obywatela Tarkwicyusa, człowieka tak ubogiego, że nie miał sobie konia za co kupić. Cnoty i męstwo wystarczyły mu jednak w obliczu ludu.

Na głos Cyncynata zebrały się liczne zastępy. Korzystając z nocy, podprowadził je wódz niespostrzeżenie pod obóz nieprzyjacielski, a gdy już byli blisko, rozkazał wszystkim podnieść wielki krzyk. Rzuciło to popłoch między nieprzyjaciół; gdy zaś i osaczone wojsko rzymskie, powziąwszy z okrzyków wiadomość o odsieczy, z drugiéj strony na nich uderzyło, musieli się poddać. Cnotliwy Cyncynat nie pozwolił zwyciężonym życia odbierać; puścił ich wolno i kazał im tylko na znak sromoty przechodzić popod jarzmo, a obóz ich i wszelkie zapasy oddał na łup swym żołnierzom, nie żądając sam dla siebie żadnego udziału.

Przez dwa tygodnie sprawował Cyncynat władzę najwyższą. A gdy się wszystko uspokoiło i ojczyzna wyszła z niebezpieczeństwa, powrócił nazad pod swą strzechę i do swego ukochanego pługa.

Dziś, gdy widzimy człowieka cnotliwego, pilnującego z miłością roli swych ojców, a kochającego ojczyznę wyżéj, niż swe dobro, mówimy o nim chętnie, że jest podobny do Cyncynata.

Z książki do nauki dopełniającéj.

---

16. Czarownik.

Nie ma czarowników ani czarnoksiężników, dziś wszyscy o tém jesteśmy przekonani; lecz w czasach ciemnoty i niewiadomości wierzono w gusła i czary.

Wypadek, który wam opowiem, przytrafił się w okolicach Rzymu, na lat trzysta przed narodzeniem Chrystusa, zatém ju blisko 2200 lat temu.

Trzéj ludzie szli polem, wracając do wioski; stanęli wreszcie u kopców, rozgraniczających ich osady. Ci trzéj ludzie byli to próżniacy, jak się zaraz o tém przekonacie.

Idąc drogą, z niechęcią i niezadowoleniem patrzyli na swe zagony, najsmutniejszy przedstawiające widok. Grunt pokryty był zielskiem, kamienie tu i ówdzie sterczały wpośród błotnistych kałuż, gałęzie i chrust zapełniały miedze i utrudniały przejście. Krótko mówiąc, pola, łąki, winnice, wszystko było w największém zaniedbaniu.

Pole to było własnością tych trzech przechodniów.

— Zły rok — odezwał się jeden; — mało siana, mniéj jeszcze zboża, wypalony owies, nie ma winogron ani owoców. Czy warto uprawiać ziemię, siać, pracować, ażeby w końcu nic nie zebrać? Dosyć mi tego, wolę ja założyć ręce, niż orać tę niewdzięczną ziemię.

Rzeczywiście człowiek ten, podobnie jak i dwaj jego towarzysze, większą część czasu przepędzał z założonymi rękami.

— Nie wszyscy jednak są tak nieszczęśliwi — odezwał się drugi; — mamy tu w sąsiedztwie rolników, których winnice zawsze przynoszą plon obfity, których pola zawsze okryte złocistém zbożem, których bydło jest silne, tłuste i zdrowe. Tak, tak, są tacy. Chciałbym bardzo dowiedzieć się ich tajemnicy.

— Wiem ja, o kim chcesz mówić—odpowiedział pierwszy; — wszyscy znamy tego szczęśliwego rolnika. Myślisz o Fundaniusie, nieprawdaż? Ja sam nieraz zadaję sobie pytanie, jakim sposobem miewa on takie piękne zbiory, gdy nam ziemia wszystkiego odmawia. Wszak grunta nasze leżą obok siebie, nie są bynajmniéj gorsze. Musi w tém coś być, nie ma wątpliwości. Spojrzyj na rolę Fundaniusa, patrz na to bogactwo, na tę obfitość zboża i winogradu: co za różnica od naszéj nędzoty!

Próżniacy stanęli na krańcu pól Fundaniusa. Wszędzie błyszczała najwspanialsza roślinność. Nic w tém nie było dziwnego; Fundanius był nadzwyczaj pracowity, czynny i zapobiegliwy. Zżęte zboże leżało w równych snopkach na gruncie, w pobliżu rozciągał się kobierzec zielonéj jak szmaragd łąki, poprzerzynanéj wąskimi rowami, które odprowadzały nadmiar wody. Daléj na pagórku leżała starannie utrzymana winnica,

a z drugiéj strony rzędy drzew szlachetnych gięły się pod ciężarem najpiękniejszych owoców. Na pastwisku pasły się spokojnie wielkie, czarne woły o rozłożystych rogach.

— Ach! — wykrzyknął na ten widok jeden z trzech próżniaków z zadrością i gniewem — u niego obfitość, dostatek: u nas nędza. Nie, w têm się kryją jakieś czary; tak, on niezawodnie jest czarownikiem i swymi zaklęciami wysysa całą żywotność pól naszych i na swą sprowadza rolę.

— Nie ma wątpliwości — dodali jego towarzysze. — Bogaci się naszym kosztem, z naszą krzywdą. Ale są przecież sądy, jest sprawiedliwość, trzeba go zaskarżyć. Nikczemnik musi wyznać swe zbrodnie, a wtedy nasze pola odzyskają utraconą żyzność, wtedy my będziemy bogaci!

— O tak, moi przyjaciele, ja mam na to dowód. Słuchajcie! Pewnego dnia siedziałem sobie pod drzewem, które tu widzicie. Odpoczywałem. Straszliwiem się zmordował, ponieważ kilka dni przepędziłem na łowach w sąsiednich lasach. Fundanius przechodził z synami. Nie widzieli mię. Gdy stanęli na moim gruncie, Fundanius rzekł, wskazując im moję chudobę: Patrzcie, dzieci, ta rola z natury bez porównania żyźniejszą jest od naszéj, łatwiejsza na niéj uprawa, lepsze ma położenie; tu i woda nie zaleje i słońce tak nie wypali: a jednak, dopóki będzie w posiadaniu naszego sąsiada, tego zapalonego myśliwca, trzy razy mniéj przynosić będzie, niż nasze zagony.

— Toć to jasne, jak słońce — dodał drugi. — Rzucił urok na ciebie i na twoję ziemię; sam się zdradził, mówiąc w ten sposób do synów. Ale i ja jestem w têmsamêm położeniu. Zaraz wam opowiem. Było to na wiosnę. Powracałem z całą moją rodziną od dalekich krewnych, gdzieśmy spędzili kilkanaście dni na weselu córki. Byliśmy uradowani, śpiewaliśmy sobie wesoło, jak uczciwi ludzie. Zaledwieśmy jednak wjechali na tę drożynę, napotykamy Fundaniusa. Spojrzał na nas ponuro i rzekł szyderczo: „Sąsiedzi, będziecie mieli tego roku więcéj zielska, niż zboża!“ — I tak się stało; spojrzyjcie na moje pole...

— Niegodziwiec, zbrodzień, zaczarował twoje zasiewy! — wołali tamci.

— A ja — rzekł na to trzeci, zdrowy, tęgi młodzieniec — ja nie mamże przeciw niemu dowodów? Na początku lata śpieszyłem do winnicy i spotkałem Fundaniusa, gdy już po-

wracał ze swojéj. Szanując siwe włosy starca, pozdrowiłem go uprzejmie i chciałem z nim pogadać. Przerwał mi z gniewem i rzekł: „Jużeś to wstał, mój paniczu! Porządny z ciebie człowiek; ja trzy razy starszy od ciebie, od czterech już godzin obierałem moje winogrona. Ty wyprzedzisz mię na spoczynek dwiema godzinami, znam ja twoje zwyczaje. Lubisz sypiać, mój chłopcze; tyjesz — to prawda — ale twoja winnica chudnie.“ Odszedł, śmiejąc się złośliwie. A odtąd winnica zaczęła schnąć, niszczeć, upadać.

— Czarownik, czarownik! — wykrzyknęli wszyscy.

Daléjże więc do wsi, zaczęli podmawiać, burzyć, zbierać głosy; potém pobiegli do Rzymu i zanieśli skargę.

W kilka dni Fundanius dostaje wezwanie stawienia się przed sędziego. Uwiadamiają go, że oskarżony jest przez sąsiadów, jakoby czarami i zaklęciami pozbawiał ich pola i łąki żyzności i ściągał ją na swoje grunta. Oskarżenie to było nierozsądne, lecz był to czas zabobonów i ciemnoty; gdyby się nie wytłómaczył, mógł być na śmierć skazanym.

W dniu naznaczonym plac publiczny w Rzymie, na którym sądzono sprawy i wydawano wyroki, przepełniony był tłumem ciekawych. Sędzia zasiadł na krześle i wezwał głównego oskarżyciela, który mówił w tych słowach:

— Przychodzę tu imieniem mieszkańców wioski oskarżyć o podstępne i świętokradzkie postępowanie jednego z naszych sąsiadów, który swoimi czarami i zaklęciami odbiera naszym polom żyzność i urodzajność. Wina w tém Fundaniusa. Czuje on swe zbrodnie, unika nas, nie dzieli nigdy naszych zabaw i rozrywek; zawsze samotny, żyje tylko ze swą rodziną. Nie mógłby nam zapewne tak szkodzić, gdyby nie pomoc złych duchów, które ma zawsze na swe rozkazy.

— Jakież masz na to dowody? — zapytał sędzia.

— Przedewszystkiém mam dwóch świadków.

Tu obaj bracia jako świadkowie opowiedzieli sędziemu okoliczności, z jakich padli na domysł czarów.

Sędzia zwrócił się tedy do Fundaniusa.

— Czy prawda, że używasz czarów dla zubożenia pól sąsiedzkich, a wzbogacenia swoich?

Fundanius odpowiedział z godnością i spokojem:

— Dla zubożenia pól sąsiadów? — Nie! Lecz dla wzbogacenia moich. Tak, używam czarów, ale są one całkiem niewinne. Zaraz je ujrzycie. Oto są naprzód moi synowie.

W téj właśnie chwili ukazali się trzéj synowie Fundaniusa, młodzieńcy dorodni, czerstwi. Prowadzili oni ogromny wóz, napełniony narzędziami rolniczymi, błyszczącymi jak srebro na słońcu. Pługi, brony, kosy, sierpy, motyki, łopaty, widły, radła piętrzyły się na wozie; na samym wierzchołku téj piramidy drgały snopy złotego zboża. Para przepysznych wołów ciągnęła ten przybór rolniczy. Fundanius, który to wszystko umyślnie przygotował, rzekł do sędziego, wskazując na synów, woły i narzędzia:

— Oto są moje czary; bezustanku się do nich uciekam. Oto są złe duchy, z którymi przestaję. Mam także inne jeszcze środki i zaklęcia. Wyliczę wam niektóre: oszczędność, czujność, trzeźwość, roztropność, krótki spoczynek, długie czuwanie, ciągła praca. Tym sposobem czaruję moje łąki i pola. Poświęcam méj roli siły, czas, starania, zdrowie i życie; ona, wdzięczna i błogosławiona, oddaje mi wszystko w stokroć, zapewnia dostatek na dziś, spokój i chleb na przyszłość. Wy, co nic dla niéj nie czynicie, co ją zaniedbujecie, jakimże prawem domagacie się od niéj wzajemności? Nie, rola nie jest niewdzięczną, ale odmawia wszystkiego tym, co o niéj zapominają i nie wkładają w nią pracy. Zamiast oskarżać, naśladujcie mię!

Na te słowa zewsząd wybuchły okrzyki uwielbienia i tysiączne odezwały się oklaski. Fundanius obrócił się do swoich oskarżycieli. Zawstydzeni stali na uboczu ze spuszczonymi w dół oczyma.

— Za całą zemstę dam wam przyjacielską radę. Nie przepędzajcie całych dni: ty na łowach, ty na weselach, śpiewach i zabawach, ty na spaniu. Pierwszy mniéj będzie zjadał zwierzyny, lecz trzy razy tyle zbierać będzie zboża i owoców. Drugi mniéj będzie śpiewał na wiosnę i w lecie, lecz weselszy będzie w zimie. Ty zaś, najmłodszy, może nie będziesz tak pulchny i rumiany, lecz za to winnica twoja chudnąć i mizernieć przestanie!

Wszyscy, nawet sam poważny sędzia, wybuchnęli głośnym śmiechem. Tłum otoczył Fundaniusa, sędzia ogłosił jego niewinność. Każdy oglądał z bliska jego narzędzia rolnicze, głaskał woły, ściskał ręce zacnego starca i dzielnych synów. A gdy się już oddalali, tysiące ludu odprawadzały ich do bramy miasta w tryumfie, wydając okrzyki: „Niech żyją pracowici ludzie — hańba leniwcom i próżniakom!“

17. Jasiek

Każdą razą, gdym przyjeżdżał do Wólki do rodziców, pierwszém mojém zapytaniem było: „Co porabia Jasiek?“ on dowiadywał się również o mnie podczas mojéj nieobecności, gdyż przyjaźń nasza była wzajemną.

Ulubieniec mój był sierotą. Ojciec jego, gajowy w jednéj z puszcz Litwy głębokiéj, był uczciwym i dzielnym człowiekiem; skąpy na słowa, dawał czynne dowody miłości bliźniego, przychodząc zawsze z pomocą potrzebującym. Pewnego razu poszedł do lasu, jak zwykle, i nigdy już stamtąd nie wrócił. Matka Jaśka uratowała życie ze stu osobom, wówczas, gdy cholera szerzyła się w okolicy. Można ją było spotkać w dzień i w nocy, jak przebiegała od chaty do chaty, niosąc pomoc chorym; padła wkońcu ofiarą swego poświęcenia. Stara sąsiadka przytuliła Jaśka po stracie rodziców i otoczyła go taką miłością serdeczną, jakgdyby to było własne jéj dziecko.

Nigdy nie zapomnę tego chłopaka o różowéj twarzyczce, nacechowanéj powagą i figlarnością zarazem. Widzę jeszcze dotąd przed sobą wielkie jego oczy, zamyślone i marzące i śliczne jasne włosy.

W szkole nikt się nie uczył lepiéj od niego, a ksiądz proboszcz, kiedy widział go w zakrystyi ubranego w białą jak śnieg komeszkę, uśmiechał się doń dobrotliwie, gładząc po jasnéj główce. Podczas mszy Jasio modlił się z niezmierném skupieniem. Poważne dźwięki organu zdawały się rozbrzmiewać weseléj, gdy kołysał kadzielnicę lub potrząsał dzwonkiem, a niebieskawe obłoki kadzidła i srebrzysty głos dzwonka leciały ze stopni ołtarza wprost do Boga, jak niegdyś dym całopalnéj ofiary Abla.

Jasiek stał na czele całéj wiejskiéj młodzieży, chociaż nie ubiegał się wcale o ten zaszczyt. Pod jego to przewodnictwem wesoła gromadka biegała do lasu na poziomki, maliny i grzyby; on ją prowadził wiązać snopy zboża w polu lub otrząsać drzewa z owoców. W pogodnéj porze letniéj zasiadał poważnie przed rozłożonym ogniem na łące, na któréj się pasły konie, i opowiadał zasłuchanym towarzyszom podania o wilkołaku, o staréj czarownicy z kościaną nogą, o sławnych bitwach i zwycięstwach. Stawał się na chwilę poetą, a słowa płynęły mu wówczas z ust gładko i potoczyście.

Gdym wychodził do lasu ze strzelbą, towarzyszył mi zawsze, zasypując mię rozmaitymi pytaniami. Wskazywałem mu

muszelki i skamieniałe rośliny, tłómacząc, jak powstała ziemia; przecinałem kwiaty, zwracając jego uwagę na zdumiewającą ich budowę; wymieniałem mu nazwy gwiazd, zaznajamiając z innymi światami, na których żyją może również istoty przeznaczone jak my do walki', rozkoszy i cierpienia. Słuchał mnie uważnie, zamyślał się głęboko i pytał dalej.

Pewnego razu spotkałem go na cmentarzu wiejskim; wziął mię za rękę i, podprowadziwszy do cichego i miłego zakątka, wskazał mogiłę, porośniętą wysoką trawą. „Czy tu spoczywa matka twoja?“ — spytałem. Skinął twierdząco głową. Skierowaliśmy się razem ku wyjściu, lecz przy wrotach towarzysz mój przystanął nagle.

— Nikt nie wie, gdzie jest mogiła mego ojca, pewny jednak jestem, że Bóg go odszuka w dzień sądu ostatecznego.

*
* *

Przyjechałem znowu do Wólki na święta Bożego Narodzenia. Zima surowszą była tego roku, niż zwykle i dzikie zwierzęta, pędzone głodem, posuwały się aż do mieszkań ludzkich. Jeden z wieśniaków zabił na dziedzińcu widłami ogromnego rysia, a oczy wilków świeciły w sąsiednich zaroślach jak błędne ogniki.

Pewnego południa dziatwa wiejska wybiegła z saneczkami do lasu po chrust; od kilku tygodni taka masa śniegu leżała na drzewach, że mnóstwo gałęzi złamanych jego ciężarem pokrywało ziemię. Jasiek był, jak zawsze, na czele gromadki.

Gdy wszystkie saneczki były już pełne, Jasiek zawołał:

— Dzieci, skończyliśmy naszę pracę i mamy prawo pobawić się trochę; urządzę natychmiast ślizgawkę.

Głośne okrzyki radości zabrzmiały mu w odpowiedzi, i podczas gdy część dzieci wracała pośpiesznie do wsi z drzewem, Jasiek przy pomocy innych zaczął oczyszczać miejsce do ślizgawki na spadzistości lasu. Wkrótce potém cała dziatwa gotową już była do wesołej zabawy. Dziewczynki w różnokolorowych chusteczkach, z pod których twarzyczki ich wyglądały jak rajskie jabłuszka, i chłopaki w dużych baranich czapkach ślizgali się na wyścigi, śmiejąc się i dokazując; nikt z nich ani myślał o powrocie do domu. Krótki dzień zimowy ustępował miejsca nocy, gwiazdy zapalały się jedna po drugiej na niebie, wkrótce potém sierp księżyca ukazał

się na bladém niebie nad kościołem, a dzieci wciąż jeszcze się bawiły na skraju lasu. Siedząc przed płonącym kominkiem, przeglądałem zajmującą jakąś powieść, gdy nagle słuch mój uderzył rozpaczliwy okrzyk:

— Niedźwiedź, niedźwiedź napadł na dzieci!

Zerwałem się pośpiesznie z miejsca, uchwyciłem strzelbę i wypadłem z domu bez czapki. Dziwna rzecz, biegnąc w stronę lasu, myślałem tylko wyłącznie o Jaśku, którego dobra, łagodnie uśmiechnięta twarzyczka unosiła się przede mną. Dogoniłem wkrótce kilku wieśniaków, uzbrojonych w cepy i noże, i pobiegliśmy razem; inni szli za nami, kobiety płakały i zawodziły: słowem, cała wieś się poruszyła.

*
* *

Podczas gdy dzieci bawiły się w śniegu pod roziskrzoném gwiazdami niebem, olbrzymi niedźwiedź wysunął się nagle z lasu. Wśród ogólnéj wesołości nikt nie zwrócił nań uwagi, a gdy dało się słyszeć ponure jego mruczenie, było już za późno do ucieczki.

Przestraszona dziatwa wydała jeden okrzyk trwogi i przerażenia, cisnąc się do Jaśka; szukała ona instynktownie jego pomocy, od niego jednego wyglądała ratunku. Niedźwiedź zatrzymał się nieruchomo przed nimi, jakgdyby pragnął zrobić godny siebie wybór ofiary; wystraszone dzieci zaczęły się głośno modlić.

— Stójcie spokojnie, rzekł Jasiek, wpatrując się odważnie w oczy potwora, i bądźcie pewni, że uratuję was, choćbym miał sam życiem przepłacić.

Mówiąc to, wyciągnął powoli szeroki nóż z za pasa. Może błysk żelaza pobudził niedźwiedzia do ostatecznéj walki, bo w téjże chwili rzucił się na dzieci.

Jasiek przeżegnał się i poskoczył ku niemu. Niedźwiedź podniósł się na tylne łapy, a odważny chłopak wbił mu nóż w piersi aż po trzonek, jednocześnie jednak straszliwe pazury wpiły się mu w ramiona.

Jasiek puścił nóż i uchwycił go za gardło i obaj potoczyli się na ziemię.

Wszystko było już skończone, gdyśmy nadbiegli: dziecko i dzikie zwierzę leżeli na śniegu — nieżywi!

Ręce Jaśka ściskały jeszcze kurczowo szyję niedźwiedzia, a zęby błyszczały mu z pobladłych ust, zacięte straszliwém

naprężeniem wszystkich sił. Gdyśmy go uwolnili z okropnego uścisku, dziki wyraz, jakim bohaterska walka napiętnowała łagodną zwykle twarzyczkę chłopca, ustąpił natychmiast i dziecko spoczywało teraz cicho na białym całunie śniegu, spokojne i uśmiechnięte, jak przystoi tym, co spełnili czyn wielki i bohaterski. Mali towarzysze otaczali go w milczeniu, przejęci czcią i obawą.

* * *

Wracałem do domu inną drogą, nie tą, którą odwożono do wsi na saneczkach ciało biednego Jaśka; chciałem ukryć przed wzrokiem ludzkim łzy, płynące po twarzy.

W miejscu, gdzie poległ Jasiek, wznosi się dzisiaj krzyż z białego drzewa, a nad nim widnieje napis:

Tu się poświęcił dla uratowania naszych dzieci Jasiek z Wólki, liczący 13 lat wieku. Przechodniu, módl się za jego duszę.

---

18. Czerwona latarnia.

W małéj budce kolejowéj, w bezludnéj okolicy, wśród lasu, mieszkał ubogi budnik, imieniem Jakób. Nie miał on ani żony ani dzieci; ale gdy jeden z jego przyjaciół, wdowiec, równie jak on ubogi, umarł, pozostawiwszy sześcioletnią córeczkę bez żadnéj opieki, poczciwy Jakób, nie namyślając się wcale, zabrał sierotkę do siebie i postanowił zastąpić jéj ojca. Nadaremnie wszyscy znajomi wykazywali mu, że niepotrzebnie taki ciężar bierze na siebie i że lepiéjby było oddać dziecko do jakiego dobroczynnego zakładu; on trwał w szlachetném swém postanowieniu.

— Sam jesteś ubogi — mówił mu najbliższy jego sąsiad; to, co zarabiasz, ledwo ci na własne utrzymanie wystarcza, a teraz będziesz musiał jeszcze dzieciaka karmić i odziewać.

— Jakoś to Pan Bóg da — odpowiedział Jakób; — dziewczyna nie potrzebuje wiele, a ja chętnie sobie od ust odejmę i z nią się podzielę. Za to nie będę tu już sam jeden w téj pustelni i przynajmiéj będę miał do kogo zagadać. A zresztą kto wie, może Kasia, gdy podrośnie, odwdzięczy mi moje dla niéj starania.

— Odwdzięczy? A gdzież to jest wdzięczność na tym świecie? — odpowiedział sąsiad, wzruszając ramionami.

Kasia pozostała tedy u swojego opiekuna. Minęło lat kilka. Biedna sierota pokochała szlachetnego człowieka, który się tak szczerze zajął jéj losem i nazywała go ojcem, a on także przywiązał się do sieroty jakby do rodzonego dziecka i wcale nie żałował swéj ofiary, chociaż nieraz dla zaspokojenia potrzeb małego i chorowitego dziecka rzeczywiście od ust sobie musiał odejmować.

Pewnego dnia naczelnik pobliskiéj stacyi, który znał nieposzlakowaną rzetelność Jakóba, wręczył mu znaczną sumę pieniężną z poleceniem, ażeby ją oddał właścicielowi sąsiedniéj wioski, który sam miał nazajutrz zgłosić się po nią do chatki budnika.

— Tylko proszę cię, Jakóbie — mówił naczelnik — nie wygadaj się z tém przed kim, bo gdyby się złodzieje dowiedzieli, że tyle pieniędzy masz u siebie w tym pustym domku, wśród lasu...

— Niech pan będzie spokojny — rzekł, śmiejąc się budnik; — ktoby tam biednego Jakóba posądzał o pieniądze?

Ale stało się inaczéj. Jakimś sposobem wyszpiegowali złodzieje to zlecenie naczelnika i o północy dwóch silnych drabów zasiadło koło chatki budnika, czatując na stosowną do napadu porę. Właśnie miał przechodzić pociąg kuryerski i Jakób wystawił latarnię błękitną na znak, że nie zaszło nic nadzwyczajnego. (Latarnia czerwona ostrzega przeciwnie, że jest jakieś niebezpieczeństwo na drodze; w takim razie pociąg zatrzymuje się, a konduktor wywiaduje się u budnika, co zaszło). Kiedy więc Jakób, zapaliwszy błękitną latarnię bezpieczeństwa, spokojnie powrócił do swojéj izdeki, złoczyńcy, pewni już, że pociąg kuryerski daléj popędzi, nie zatrzymując się wcale, pochwycili biedaka, a jeden z nich wyjął ostry nóż z zanadrza, grożąc mu śmiercią, jeżeli natychmiast nie odda mu pieniędzy, które ma u siebie. Ale poczciwy Jakób wolał umrzéć, niż zdradzić zaufanie naczelnika; nie chciał więc wydać powierzonéj mu sumy. Niegodziwcy związali mu tedy ręce i nogi, a usta zatkali, ażeby wołać nie mógł ratunku i zaczęli przetrząsać ubogą izdebkę.

Biedny budnik patrzał na to, co się dokoła niego działo, słyszał ciągłe pogróżki złoczyńców, a nic na to poradzić nie mógł. Wtém usłyszał daleki huk zbliżającego się pociągu; żywiéj zabiło mu serce, myśl o możliwym ratunku przebiegła mu przez głowę: ale niestety! radość krótko trwała, bo przy-

pomniał sobie, iż wystawił latarnię błękitną, a więc pociąg przeleci dalej, nie zatrzymując się koło jego budki.

Nagle wśród nocnej ciszy odezwał się przeraźliwy gwizd lokomotywy; serce Jakóba uderzyło dziwną jakąś nadzieją, a złoczyńcy, przerażeni, tem gwałtowniej zaczęli przerzucać rupiecie biednego budnika, klnąc najokropniej. Ale gwizd powtórzył się znowu i wyraźnie było słychać, że pociąg zwalniał biegu, jakby się miał zatrzymać... Stanął wreszcie. Rabusie przestraszeni zaprzestali dalszych poszukiwań i rzucili się ku drzwiom chatki; ale w tejsamej chwili wszedł konduktor pociągu i pomocnik maszynisty, a ujrzawszy Jakóba związanego na ziemi, odrazu zrozumieli, co się stało, porwali uciekających i nie uszło dwóch minut, a już obaj złoczyńcy leżeli skrępowani na ziemi.

Jakób, tak niespodzianie od śmierci ocalony, odchodząc prawie od siebie z wielkiej radości, ze łzami w oczach dziękował swoim wybawcom.

— Ale jakim ty sposobem — rzekł konduktor — miałeś czas zapalić latarnię czerwoną?

— Jakto? — zawołał Jakób, mocno zdziwiony; — alboż się paliła latarnia czerwona?

— Nie byłbym przecież zatrzymał pociągu, gdyby nie to — rzekł konduktor.

— Ale pamiętam doskonale, że właśnie błękitną latarnię wystawiłem, kiedy mię pochwycili ci hultaje.

— Któż ją więc zapalił?

Wtem ozwała się Kasia, która blada i jeszcze drżąca ze strachu tuliła się w kącie sieni:

— Ojcze mój, nie gniewaj się na mnie: to ja zapaliłam tę latarnię. Tyś mi tak surowo nakazał, abym jej nigdy nie ruszała; ale dzisiaj, kiedy ci straszni ludzie związali cię i zabić chcieli, naraz — nie wiem skąd — przypomniałam sobie, coś mi mówił o tej latarni, że ona nawet najszybszy pociąg zatrzyma; wybiegłam więc drugimi drzwiami i zapaliłam ją. Nie gniewajże się na mnie, kochany ojcze; nie mogłam uczynić inaczej. Ty mię tak kochasz, ty dla mnie taki dobry, czyż mogłam nie ratować ciebie? Ale odtąd już zawsze — zawsze będę ci posłuszną!

Rozczulony do łez budnik uściskał dobrą dziecinę, a konduktor, zostawiwszy jednego ze sług kolejowych dla dopilnowania więźniów, powrócił do pociągu, ażeby w dalszą puścić

się drogę. Podróżni, którzy, zaniepokojeni wystawieniem latarni czerwonéj, niecierpliwie oczekiwali powrotu konduktora, dowiedziawszy się o szczęśliwém ocaleniu budnika, nie żałowali kilku tych minut, które stracili, przerywając swą podróż.

Wedł. *M. J. Zaleskiéj* (Snopek).

19. Kwiat paproci.

Od wieków wiecznych wszystkim wiadomo, że nocą św. Jana, która najkrótszą jest w całym roku, kwitnie paproć, a kto jéj kwiatuszek znajdzie, urwie i schowa, ten wszelkie na ziemi szczęście mieć będzie.

Bieda zaś cała z tego, że noc ta jest tylko jedna w roku, a taka niezmiernie krótka; nadto paproć w każdym lesie tylko jedna zakwita, a to w takim zakątku, tak ukryta, że nadzwyczajnego trzeba szczęścia, aby na nią trafić. Ci, co się na tych cudowiskach znają, mówią jeszcze i to, że droga do kwiatu bardzo jest trudna i niebezpieczna, że tam różne strachy przeszkadzają, bronią, nie dopuszczają i nadzwyczajnéj odwagi potrzeba, aby zdobyć ten kwiat.

Pewnego czasu był sobie chłopak, któremu na imię było Jacuś, a we wsi przezywali go ciekawym, dla tego, że zawsze szperał, szukał, słuchał, a co było najtrudniéj dostać, do tego on się najgorręcéj garnął... taką miał już naturę. Co pod nogami znalazł, po co tylko ręką było sięgnąć, to sobie lekceważył, a o co się musiał dobijać, karku nadstawić, najwięcéj mu smakowało.

Trafiło się tedy raz, że gdy wieczorem przy ogniu siedzieli, a on sobie kij kozikiem wyrzynał, stara babusia, okrutnie rozumna, która po świecie bywała i znała wszystko, poczęła opowiadać o tym kwiecie paproci.

Ciekawy Jacuś słuchał i tak się zasłuchał, że mu aż kij z rąk wypadł, a kozikiem sobie omal palców nie poprzerzynał.

Skoro babusia skończyła, Jacuś powiedział sobie: „Niech się dzieje, co chce, a ja kwiatu tego muszę dostać. Dostanę go, bo człowiek, kiedy chce mocno, a powie sobie: musi to być — zawsze w końcu na swojém postawi.“

Tuż pod wioską, w któréj stała chatka rodzicieli Jacusia, był niedaleko las i pod nim właśnie palono Sobótki w noc świętojańską.

Przez kilka miesięcy czekał Jacuś i czekał na tę noc i o niczém nie myślał, tylko o tém. Czas mu się strasznie długim wydawał.

Naostatek nadszedł dzień, zbliżyła się noc, któréj on tak wyglądał; ze wsi wszystka młodzież się wysypała ognie palić, skakać, śpiewać i zabawiać się.

Jacuś umył się czysto, wdział koszulinę białą, pasik czerwony nowy, łapcie lipowe, nienoszone, czapeczkę z pawiém piórkiem i, jak tylko pora nadeszła, a zmrok zapadł, udał się do lasu.

Las stał czarny, głuchy nad nim, noc ciemna z mrugającymi gwiazdkami.

Znał Jacuś dobrze drogę w głąb lasu po dniu i jaką ona bywała w powszedni czas. Teraz, gdy się zapuścił w głąb — osobliwa rzecz, nie mógł ani wiadoméj drożyny znaleść ani drzew rozpoznać. Wszystko było jakieś inne... Potém stanęły na drodze gąszcze takie, że ani palca przez nie przecisnąć; ale Jacuś jak się rzucił, pchnął, zamachnął — zdusił je, zmiętosił, połamał i przebił się szczęśliwie.

Zdawało mu się już, że szedł rok cały, tak długą wydała mu się ta droga... Kwiatu nigdzie!... Nie zawrócił się jednak i nie stracił serca, a szedł daléj... Ale wkońcu już miał Jacuś z rozpaczy porzucić daremne szukanie, gdy — tuż pod nogami zobaczył kwiatek. Pięć listków miał złotych, a w środku oko świecące. Wyciągnął rękę i pochwycił go. Zapiekło go jak ogniem, ale nie rzucił... trzymał mocno.

Kwiat w oczach rosnąć mu poczynał, a taką jasność miał, że powieki musiał Jacuś przymknąć, bo go oślepiała. Wcisnął go zaraz za pazuchę pod lewą rękę... na serce... Wtém głos się odezwał do niego:

— Wziąłeś mnie, szczęście to twoje; ale pamiętaj o tém, że kto mnie ma, ten wszystko może, co chce, tylko z nikim i nigdy swojém szczęściem nie wolno mu się dzielić...

Jacusiowi się tak w głowie z wielkiéj radości zaćmiło, że niewiele na ten głos zważał. — A co mi tam, rzekł w duchu, byle mnie na świecie dobrze było...

Z czapeczką na bakier, podśpiewując, wracał do domu. Droga przed nim świeciła, jak pas srebrny, drzewa się ustępowały, krzaki odchylały, kwiaty, które mijał, kłaniały mu się do ziemi. Z głową podniesioną stąpał daléj i tylko roił, czego mu żądać. Zachciało mu się naprzód pałacu, wioski

ogromnéj, służby licznéj i strasznego państwa; no i ledwie o tém pomyślał, gdy znalazł się u kraju lasu, ale w okolicy zupełnie mu nieznanéj.

Spojrzawszy sam na siebie, poznać się nie mógł. Ubrany był w suknię z najprzedniejszéj sajety, buty miał na nogach ze złotymi podkówkami, pas sadzony kamieniami drogimi, koszulę z najcieńszego płótna.

Tuż stał powóz, koni białych sześć w chomontach pozłocistych, służba w galonach, kamerdyner rękę mu podał, kłaniając się, wsadził do karety i — wio!

Jacuś nie wątpił, że go do pałacu wiozą; jakoż tak się stało. W mgnieniu oka powóz już był w ganku, na którym służba liczna czekała.

Tylko ani znajomego nikogo ani przyjaciela, twarze wszystkie nieznane, osobliwe, jakby poprzestraszane i pełne trwogi. Do stołu przynosili mu przysmaki z za morza; ale wkońcu sprzykrzyło się wszystko i przejadło, bo głodu nigdy nie znał...

Upłynął tak rok i drugi; wszystko miał, czego dusza zapragnęła, ale szczęście to wydawało mu się czasem takie głupie, że mu życie obrzydło.

Najwięcéj go zaś gnębiła tęsknica do wioski swojéj, do chaty i rodziców, żeby ich choć zobaczyć, choć dowiedzieć się, co się tam z nimi dzieje... Matkę kochał bardzo, a ilekroć ją wspomniał, serce mu się ściskało.

Jednego dnia zebrało mu się na odwagę wielką i, siadłszy do powozu, pomyślał, aby się znalazł we wsi przed chatą rodziców. Natychmiast konie ruszyły, leciały jak wiatr; i nie opatrzył się, gdy się zatrzymały przed znaném mu dobrze podwórkiem. Jacusowi łzy się z oczów puściły.

Wszystko tu było tak, jak porzucił przed kilku latami, ale postarzałe, a po tych wspaniałościach, do których nawykł, jeszcze mu się nędzniejszém wydawało.

Żłób stary przy studni, pieniek, na którym drewka rąbał, wrotka od dziedzińca, dach porosły mchami, drabina przy nim... stały jak wczoraj. A ludzie?

Jacuś wysiadł. Pierwszy spotykający go w podwórku był stary Burek, jeszcze chudszy, niż był niegdyś, z szerścią najeżoną. Szczekał na niego zajadle i ani myślał go poznać.

W progu pokazał się w koszulinie najmłodszy brat jego, Maciek.

— A matuś gdzie? — zapytał przybyły.

— Chorzy leżą — rzekł malec, wzdychając.

— A tatuś?

— Na mogiłkach...

Choć Burek mało go za pięty nie chwytał, wszedł Jacuś do chaty. Stara matka stękając leżała w kątku na biedném łóżeczku. Poszedł do niéj Jacuś.. popatrzyła nań, nie poznała... Mówić jéj było trudno, a on o nic pytać nie śmiał.

Serce mu się krajało. Już sięgał do kieszeni, aby złotem sypnąć na ławę — aż dłoń mu się ścisnęła, bo strach brzydki go ogarnął, że własne szczęście utraci.

I wyrwał się z chaty do powozu, a z nim do pałacu; ale przybywszy tu, zamknął się i płakał. Zbudziło się w nim sumienie i gryzło mu wewnątrz serce. Nie dawał się. Durzył się ciągle czémś, latał, jeździł, strzelał, jadł, pił, hulał... Nic nie pomagało.

W uszach ponad wszystkie wrzaski brzmiało: „Nie ma szczęścia dla człowieka, jeśli się niém z drugim podzielić nie może!“

Rok nie upłynął, aż Jacuś wysechł jak szczepa, wyżółkł jak wosk i w tym swoim dostatku i szczęściu męczył się nad wszelki wyraz.

W końcu po jednéj nocy bezsennéj, nakładłszy złota w kieszenie, kazał się wieść do chaty. Miał postanowienie, choćby wszystko stracić, a matkę i rodzeństwo poratować.

— Niech się już dzieje, co chce! — mówił — niech ginę, dłużéj z tym robakiem w piersi żyć nie mogę.

Stanęły konie przed chatą.

Wszystko tu było, jak przedtém: żłób stary u studni, pieniek, dach, drabina — ale w progu chaty żywéj duszy nie było...

Jacuś pobiegł do drzwi: stały kołkiem podparte; zajrzał przez okno: chata była pusta.

Wtém żebrak, stojący u płota, wołać nań zaczął.

— A czego tam szukacie, jasny panie? Chata to pusta: wszystko w niéj wymarło z biedy, z głodu i choroby.

Jak skamieniały stał ów szczęśliwiec u progu — stał, stał...

— Z mojéj winy zginęli oni — rzekł w duchu — niechże i ja ginę!

Ledwie to rzekł, gdy ziemia się otworzyła i zniknął, a z nim ów nieszczęsny kwiat paproci, którego już dziś próżno szukać na świecie. *Józef Ignacy Kraszewski*, (Bajeczki).

---

20. Legenda o Ławrskiéj*) dzwonicy.

Wysmukłą, białą, złotogłową, jak słońce Boże na kilka mil wokoło świecącą, dzwonicę Ławrską murowało dwunastu braci, oddawszy się całkiem świętemu dziełu. Wymurowali ogromną cerkiew peczerską i mury klasztorne, naostatku chciało się im uwieńczyć dzieło swoje wzniesieniem wysokiéj, wysokiéj dzwonicy.

Podobała się Bogu ta święta myśl dwunastu braci i stał się cud, cud taki, że co wymurują za dzień robotnicy święci, to przez noc wszystko wchodzi w ziemię i nie potrzeba było rusztowania, jakie przyrządzają sobie zwyczajni mularze. Błogosławieni bracia, stojąc na ziemi, wyrabiali wszystkie te dziwne kolumny, jakie widzicie na świętéj dzwonicy ławrskiéj. Powiedziałbyś, że wysokie sosny objęły się z sobą jak siostry rodzone, wystrzeliły pod obłoki, skamieniały, a Bóg otoczył ich wierzchołki wieńcem z szczerozłotych promieni.

Murują więc święci bracia długo, murują nie rok, nie dwa i nie dziesięć, aż jednéj nocy najstarszemu z nich objawiła się we śnie Najświętsza Panna i mówi mu: „Dość już wznoszenia murów; jak kraj wasz szeroki, nie ma wyższéj budowy od waszéj; zasklepiajcie już wierzchołek i okujcie go czystém złotem, a w pośrodku postawicie krzyż, także ze szczerego złota. Powiedziała to Najśw. Panna i znikła w widzeniu. Powstał ze snu brat starszy, pomodlił się Bogu, obudził braci i wzięli się do dzieła.

Prędko zasklepiono kopułę, okuto ją czystém złotem, a w pośrodku postawiono krzyż, także ze szczerego złota. Kiedy wszystko ukończono, wieża w jednem mgnieniu oka wyszła z ziemi wysmukła, biała jak śnieg i stanęła nieruchoma, taka, jak ją dziś widzicie.

Wedł. *A. Nowosielskiego.*

---

*) Ławra peczerska, katedra w Kijowie.

21. Słowo Boże.

Północ na farnym wybiła kościele, a młody kapłan zadumany przechadzał się jeszcze nieustannie po izbie i myślał nad jutrzejszém kazaniem, którém rozpocząć miał zawód kaznodziejski. Wiele jeszcze nasuwało mu się myśli, wiele zadań do spełnienia; pracował duszą i sercem, bo gorącą miłością ukochał Boga i ludzi, którym nieść pragnął naukę i pociechę.

Na stoliku leżało otwarte Pismo święte. Światło lampy oblało wizerunek Chrystusa, który przeciwległą zdobił ścianę. Młody kapłan padł na kolana przed świętym wizerunkiem i westchnął z głębi duszy: „Natchnij mię Panie, bym Twoje błogosławione ogłosił słowo!“

Długo klęczał z pochyloną w pokorze głową, ze złożonymi rękoma, gdy wtém zdało mu się, że czuje, jak duch matki kochanéj ponad jego głową się unosi, błogosławiąc synowi, którego tyle miłowała za życia, a bogobojnym przykładem na drogę cnoty i miłości powiodła. Tonąc w tém zachwyceniu, młody kapłan przymknął powieki i niepojęta, niebiańska błogość przeniknęła mu serce. Nie umiał sobie zdać sprawy, jak długo trwała ta chwila zachwytu, a gdy powstał i do stolika przystąpił, wzrok jego padł na słowa, jakby wyraźniéj od drugich odznaczone: „A nie wstydź się aż do śmierci usprawiedliwiać!“

„Otóż na tych słowach osnuję naukę!“ — zawołał z natchnieniem kapłan i zajął się wykonaniem zadania, które odczuł całą duszą.

Północ na farnym wybiła kościele, a biedna wdowa na poddaszu, przy cienkiéj łojówce, wytężała nad mozolném szyciem bielizny wzrok, strudzony niewczasem i łzami. Na lichém posłaniu spały jéj sierotki: dziewczynka i chłopię malutkie. Smutne myśli o przyszłéj ich doli snuły się po stroskanéj głowie matki. Tęskna pamięć przypominała biednéj kobiecie przeszłe, szczęśliwe chwile. Znikły one niepowrotnie od śmierci ukochanego męża; a lubo i wówczas nie opływała w dostatki, wszelako męska jego zapobiegliwość wszystkiemu zaradzić umiała; i było wesprzéć się na kim, było z kim podzielić uśmiech wesela i łzę i boleść, a to wielkiém na ziemi jest błogosławieństwem. Teraz została wdową z dwiema

sierotkami małymi, którym rodzony brat nieboszczyka jéj męża, wróg wdowy i dziatek, całą, dość znaczną, zabrał spuściznę. Znać, nieuczciwy krzywdziciel za nic sobie miał on prastary obyczaj, który poeta nowożytny, a piewca przeszłości, tak pięknie określił w słowach:

Jeżeli cześć się w życiu oddawało cnocie,
To nieszczęście poczczone w wdowie i sierocie.
„Wdowa!“ to słowo było pobudką czułości;
I jak we łzach się zlewa żal wszystkich żałości,
Tak w tém słowie leżała serdeczna wymowa;
I było to zaklęciem, gdy kto wyrzekł: wdowa!
Wdowie w pomoc pośpieszyć nie było zasługą,
Bo z jéj błogosławieństwem biegło szczęście strugą.
Ale wdowę ucisnąć — to więcéj, niż zbrodnia
I już za życia w sercu piekielna pochodnia. *(W. Pol).*

Wdowa bronić się nie umiała, zostawiając Ojcu w niebiesiech wymiar sprawiedliwości i opiekę nad pokrzywdzonymi. A gdy tak samotna przy pracy myślała o ciężkiéj doli swojéj i sierotek; gdy trwoga o przyszłość drogich dziatek przejęła jéj serce: porwała się ze łzami z miejsca, a padłszy przed krzyżem Zbawiciela, gorącą modlitwą koiła swą boleść i trwogę.

Nazajutrz tłum pobożnych zapełnił przybytek pański; chciano słyszeć młodego kapłana, którego cnoty już tyle nabrały rozgłosu. Kaznodzieja wstąpił na kazalnicę i zaczął od słów: „A nie wstydź się aż do śmierci usprawiedliwiać!“ Duch Boży weń wstąpił, zawrzało mu serce miłością gorącą; mówił o życiu niesprawiedliwém, o krzywdach wyrządzanych, a niewynagradzanych. Kołatał do serc zatwardziałych w grzechu samolubstwa i pychy. Święte słowa płynęły potokiem z ust natchnionego sługi Bożego; topniały i zmrożone serca słuchaczy; niejedno serce mocniéj uderzyło, niejedno oko łzą zabiegło.

Naprzeciw kazalnicy stał męszczyzna ponurego spojrzenia. Święte słowa znać ciężarem na jego głowę padały, bo coraz niżéj pochylał czoło, pięść zwartą do piersi przyciskał, a lica coraz większa pokrywała mu bladość.

W parę godzin po nabożeństwie otwarły się zwolna drzwi mieszkania wdowy; wszedł przez nie młody kazno-

dzieja, a za nim ów męszczyzna ponurego wejrzenia. Wdowa ze zdziwieniem spojrzała na przybyłych. Kapłanem tym był Jan z Kęt, późniéj jako Jan Kanty w poczet świętych zaliczony; towarzyszem jego był brat jéj nieboszczyka męża' niesprawiedliwy zaborca mienia jéj sierót: poruszony do głębi nauką sługi Bożego, przybył zwrócić grabież i wynagrodzić krzywdę wyrządzoną. *Paulina Wilkońska.*

---

22. Klemens Janicki.

W Wiśniczu, na zamku, gości huk! Znać, jakąś ucztę wyprawia jaśnie wielmożny wojewoda, bo huczno i dworno zjechali się panowie senatorowie, kasztelanowie, starostowie i innych magnatów wiele. Aż się trzęsą wiśnickiego zamku mury, a i w czeladnych izbach ludno i rojno jak w mrowisku.

Wojewoda z Wiśnicza, Piotr Kmita, był to pan wielki i możny; w podziw wprawiały jego dostatki i bogactwa wszelakie.

I dla kogoż on wyprawia ten bal suty i wspaniały?

Nad tém od godziny już łamią sobie głowy i Grześ kuchcik i Sołowij kozak i pajuk Walenty.

— Wiem już, na co to wszystko — rzecze Grześ; — to pewno arcybiskup przyjędzie ze Lwowa.

— Prędzéj pan kasztelan krakowski — mruknie Sołowij.

A stary pajuk pokiwał głową i machnął ręką.

— Nic nie wiecie obadwaj — szepnie;—nie dla arcybiskupa ani dla kasztelana ten bal w naszym dworze. Mnie się zdaje, że pan wojewoda spodziewa się dziś samego króla jegomości.

Aż na to wysunął się z dworu pan Szczeczuga, dworzanin pana wojewody.

— Nad czém tak radzicie? — zapytał.

— Ot, panie — odpowie kozak — zgadujemy, dla kogoto pan wojewoda taką huczną wyprawia biesiadę.

Pan Szczeczuga uśmiechnął się i poważnie ruszył głową.

— Nie zgadnie z was ani jeden — rzekł. — Pan wojewoda i wszyscy tu zebrani panowie spodziewają się dziś sławnego gościa. Klemens Janicki ma dziś wrócić z włoskich krajów.

— Klemens Janicki? Klemens Janicki?—mruknął pod nosem kozak Sołowij. — Jeździłem ja z panem dwa razy na sejm do

Krakowa i poznałem wszystkich panów, ale żadnego Klemensa Janickiego nie widziałem.

— Bo Klemens Janicki nie pan żaden — powie Sczeczuga — lecz syn prostego chłopa ze wsi Januszkowa, co leży koło miasta Żnina.

— Syn prostego chłopa! — krzyknął Grześ zdziwiony.

— Ale człowiek uczony wielce — dodał pan Szczeczuga — układa takie cudne śpiewki po łacinie, że człeka chwyta za serce, jakby śpiew słowika albo skowronka na wiosnę.

— A skądże on się nauczył po łacinie? — zapytał Sołowij.

Podparł się pan Szczeczuga i ozwie się na to:

— Trzeba wam wiedzieć, że ten Klemens czyli Klimek Janicki pasł bydło za młodu i raz siedział sobie przy drodze, gdy w sutéj kolasie nadjechał ksiądz arcybiskup z Gniezna. Podobał mu się na oko chłopczyna, bo był ładny jak aniołek z jasnymi włosami i niebieskimi oczyma. Ksiądz arcybiskup kazał stanąć kolasie i pytał chłopczyny, co za jeden i jak się nazywa? Dowiedziawszy się zaś, że ma ojca kmiecia we wsi, śle zaraz pajuka do starego Janickiego i rzecze do niego: „Oddajcie mi w opiekę swego syna, a ja mu przyszłość zapewnię“.

Ucieszył się wielce Janicki, jak każdy ojciec, co pragnie szczęścia dla swego dziecka; rad przystaje na wszystko, a ksiądz arcybiskup bierze z sobą chłopczynę i oddaje go zaraz do szkół w Krakowie.

Zaczął się uczyć Klimek i wnet prześcignął w rozumie najpierwszych towarzyszów. Wkrótce potém począł już układać owe cudowne śpiewki łacińskie, co to aż sam król je czyta i raduje się nimi niezmiernie. Już wtedy stał się głośnym młody Klemens; ale wnet dotknęło go nieszczęście. Jego opiekun i dobrodziéj, ksiądz arcybiskup, rozstał się z tym światem, a Klemens miał zostać bez pomocy i zabierał się już wracać napowrót do wieśniaczéj zagrody. Ale któżto w Polsce nie znajdzie pomocy i opieki, kto jeno na nią zasługuje? Zaledwie ksiądz arcybiskup oczy zamknął, a już kilku panów wadzi się z sobą, bo każdy na swój koszt chce brać Janickiego. Otrzymał nareszcie pan wojewoda pierwszeństwo i on nadal opiekował się Klemensem.

Tymczasem Klemens tak chciwie brał się do nauki, że już niebawem nie było mu się czego uczyć w kraju. Więc pan wojewoda, nie żałując pieniędzy, wyprawił go do obcych

krajów, szczególniéj do Włoch, gdzie było wtedy najwięcéj ludzi uczonych. Pojechał Janicki, ale po kilku latach i tam już uczeni ustępować musieli przed nim pierwszeństwa; a już co do tych śpiewek, to mu nikt nie mógł sprostać. Dowiedział się o nim sam Ojciec święty w Rzymie; więc téż kazał ze złota zrobić koronę i w mieście Padwie ukoronować Klemensa Janickiego, jako najpierwszego na wszystkie kraje poetę.

— Więc syna prostego chłopa polskiego kazał sam papież koronować! — zawołał Grześ kuchcik.

— Tak, tak, chłopcze! — rzecze pan Szczeczuga. — Ukoronowany w Padwie wraca do swéj ziemi miłéj i dziś jeszcze ma przybyć do dworu. Dlatego to dziś zebrali się panowie u naszego wojewody, aby tak sławnego człowieka powitać na swojéj ziemi.

Zaledwie skończył pan Szczeczuga swoje opowiadanie, aż tu zadudniła kolasa i z hukiem i stukiem zajeżdża przed zamek.

— Otóż i on! — zawołał pan Szczeczuga.

Patrzą wszyscy, a toć to młode paniątko, takie ładne i układne, jakby nie widziało nigdy nic na oczy, jeno same pańskie pałace. I któżby to poznał, że to tensam Klimek, co przed kilkunastu laty pasł bydło w Januszkowie koło Żnina.

Staje kolasa przed gankiem, Klemens wysiada, aż tu otwierają się drzwi pałacowe i naprzód postępuje z otwartymi ramionami jaśnie wielmożny wojewoda, a za nim panów i pań co niemiara. A wszyscy poważni i wspaniali, wszyscy w złocie i aksamitach, pierwsi po królu senatorowie, wojewodowie, kasztelanowie.

Kłania się pokornie Janicki, a oni wszyscy wołają:

— Witaj nam, ukoronowany, witaj, Klemensie Janicki!

I witają go, ściskają, całują i prowadzą naprzód do komnat i na pierwszém sadzają miejscu. I rozpoczęła się zaraz wesoła zabawa, zagrała muzyka od ucha i wino płynęło— a wszystko to na cześć Klemensa. Jemu aż łzy się leją po ładnéj twarzy z rozczulenia, wszystkim tedy serdecznie dziękuje. Długo w noc przeciągnęła się zabawa, a na całym zamku i w pańskich komnatach i w czeladnych izbach o nikim nie było mowy, jak tylko o wielkim poecie z ludu.

Walery Łoziński,

(Ludzie z pod słomianéj strzechy).

23. Król i wieśniak.

Henryk IV., król francuski, który objął rządy po Henryku III. Walezyuszu, niegdyś pierwszym elekcyjnym królu polskim, słynął z dobroci serca i szczególnéj uprzejmości wobec swoich poddanych. Ubierał się zwykle bardzo skromnie, nosił prostą, szarą suknię, ozdób kosztownych nie lubił; mawiał bowiem, że „nierozsądni są ci ludzie, którzy lasy swe i młyny dźwigają na grzbiecie". Nieraz téż w skromnem odzieniu chodził za miasto i najczęściéj niepoznany rozmawiał ze swymi poddanymi.

Pewnego razu spotkał za miastem wieśniaka, a wdawszy się z nim w rozmowę, dowiedział się, że tenże jedzie do Paryża, aby zobaczyć króla, którego jeszcze nigdy nie widział.

— Nie wiem tylko — dodał wieśniak — po czém poznam króla?

— Uważaj dobrze — rzekł Henryk; — kto zatrzyma kapelusz na głowie, gdy wszyscy inni głowy odkryją, ten będzie królem.

Niebawem wszedł król z wieśniakiem do miasta. Tutaj wszyscy przechodnie, poznawszy króla, z uszanowaniem ustępowali mu z drogi i kłaniali się nisko, oddając cześć ukochanemu monarsze; tylko król i jego towarzysz zatrzymali kapelusze na głowie. Spostrzegł to wieśniak.

— Słuchajcie no, panie — rzekł — albo wyście królem albo ja, bo tylko my obaj nie zdjęliśmy kapeluszy.

Uśmiał się król z téj uwagi wieśniaka i zaprosił go do siebie na zamek.

Nic więc dziwnego, że tak łaskawy i uprzejmy król czczony był i miłowany przez wszystkich poddanych, którzy go „ukochanym" królem nazywali.

Wedł. *Zygm. Sawczyńskiego.*

---

24. Posąg Świętéj Barbary.

W okolicy miasta Kielc, na szczycie góry, zwanéj Karczówką, wznosi się skromny klasztor OO. Bernardynów. Mały i ubogi kościółek nie odznacza się ani pięknością budowy ani niezwykłością ozdób, ale błogi pokój ogarnia każdego, kto wstąpi w jego progi. Liczne wota świadczą téż wymownie, jak wiele ludzi szukało tutaj pomocy i pociechy. Szczególnie

mnogie są wota górników, bo dawniéj około Kielc kwitło życie górnicze, a nawet sama Karczówka podminowana jest przez tych, którzy tu ołów i srebro wydobywali. Z tych to skarbów składano i kościołowi dziesięcinę, nie z przymusu, nie z prawa, ale dobrowolnie, z wdzięcznego serca. Pomiędzy wszystkimi wotami szczególnie odznacza się posąg św. Barbary, patronki górników, w bocznym mieszczący się ołtarzu. Cały ten posąg, który wraz z podstawą wynosi przeszło metr, wykuty jest z jednéj sztuki rudy ołowiu w r. 1646. jak świadczy zachowany na nim napis.

Ciekawą legendę opowiada lud okoliczny o powstaniu tego posągu.

Nieopodal od Karczówki leży wioska Niewachlów, rozrzucona wśród gór i wąwozów. Uboga dzisiaj i rolnicza, przed dwustu kilkudziesięciu laty przedstawiała wcale inny obraz zamożności. Zamieszkiwali ją bowiem prawie wyłącznie górnicy, którzy z dziada pradziada kopali w tych górach ołów. Wśród tylu pięknych i zamożnych domów wpadała w oko jedna uboga chata, już waląca się w gruzy. Nagie izby świadczyły o ubóstwie mieszkańców, a wiatr, wiejący swobodnie przez szpary w ścianach i popsute okna, zdawał się urągać z ich nędzy. Liche tapczany, garstką słomy pokryte, stół stary i proste dwie ławy, były prawie jedynymi téj chaty sprzętami.

W chacie téj mieszkał ubogi górnik, Hilary Mala, z liczną rodziną. Małe dzieci tuliły się do staréj matki gospodarza, która, schorzała i znękana niedostatkiem, zdawała się być już bliską śmierci. Wielki a chudy, biały kundel pilnował wrót domostwa, którego najlepszym stróżem była już teraz nędza.

Niezawsze jednak tak było. Rodzina Malów słynęła niegdyś w Niewachlowie z bogactwa i zamożności, któréj źródłem były bogate działy kopalniane w Karczówce. Nawet stara, waląca się chata obszernością swoją świadczyła o zamożności i dostatkach dawniejszych swych mieszkańców. Co było powodem zubożenia téj rodziny, nikt na pewne nie wiedział. Górnicy zabobonni twierdzili, że to była kara Boża, na rodzinę Malów zesłana, bo dawniejsze ich dostatki miały pochodzić od złego ducha, z którym się Malowie znali w podziemnych pieczarach kopalni. Hilary wiedział o tych powieściach, ale mało na nie zważał, sam bowiem był pobożny i pracowity. Jakkolwiek bieda ciężko mu dokuczała, dotąd nie

stracił ufności w Bogu, a w złego owego ducha, rzekomo rodzinie jego życzliwego, nie wierzył.

Ale wreszcie nędza jego wszelką już przebrała miarę. W domu nie było ani grosza ani kawałka chleba, a mróz grudniowy ściskał mu zbolałe piersi i tamował oddech. Idąc do kopalni, tak rozmyślał:

— Co ja teraz nieszczęśliwy pocznę? Matka mi dogorywa, żona nie ma co do garnka włożyć dla pokarmienia biednych dzieci, nie mam nawet za co chleba kupić! Już siódmy dzień kopię i kopię, a nie mogę wydobyć ani jednéj niecki kruszcu. Boże! zlituj się nade mną, bo mi już czarna rozpacz serce ogarnia.

Tak myśląc, przybył Hilary nad brzeg górniczego szybu, zapalił lampkę i spuszczać się zaczął do kopalni. W miarę, jak ogarniały go coraz czarniejsze ciemności podziemia, posępniały i myśli Hilarego.

— Mówią ludzie, że niegdyś zły duch pomagał naszéj rodzinie... Znam drogę do tego miejsca, które ma być jego siedzibą... Gdybym go wezwał?... Strach mię przejmuje na samę myśl o tém; ale cóż będę jadł nieszczęśliwy? czém pożywię dzieci moje?

Z tymi myślami stanął Mala na dnie szybu. Postanowienie jego już było powzięte. Zamiast udać się w stronę kopalni, gdzie zwykle pracował, szybko postąpił chodnikiem, od wieków już nie uczęszczanym. Przeprawa była niełatwa. Stosy drewnianych belek, które wspierały strop chodnika, podgniłe leżały w nieładzie; miejscami gruz zostawiał tylko tak małe przejście, iż trzeba było pełzać po ziemi lub torować sobie drogę hakiem górniczym. Mala jednak z coraz większym zapałem posuwał się dalej. Nareszcie, po długich usiłowaniach, udało mu się przybyć do niewielkiego szybu, nawpół już zwalonego. Obmokłe ściany wydawały wyziew wilgotny.

Hilary postawił latarkę na ziemi, a potém gwizdnął mocno, jakoby wzywał przybycia złego ducha; duch się nie zjawił. Hilary wziął tedy młot i uderzył nim silnie w ścianę raz i drugi i trzeci; głos przebrzmiał i znów głuche milczenie zaległo pieczarę. Naraz lekki ozwał się trzask. Hilary stanął, czoło mu pobladło. Trzask powtórzył się jeszcze silniéj: i nagle światło zgasło, a Hilary uczuł, że jest powalonym na ziemię. Stracił przytomność. Jak długo w tym

stanie zostawał, nie wiedział; ale gdy mu wróciła przytomność, powstał z pomiędzy gruzów, skrzesał ognia, zapalił lampkę — i ujrzał, z wielkiém swojém przerażeniem, że wejście do tego miejsca zatarasowała olbrzymia masa skał, świeżo zwalonych. Patrzy i oczom swoim nie wierzy: poza ich zrębem błyszczą olbrzymie kawały kruszcu, odkryte upadkiem skały. Radością zabłysnęły mu oczy: skończy się jego niedola, wróci dawna zamożność!... Ale chwilę tylko cieszył się tym widokiem; straszna rzeczywistość stanęła mu przed oczyma: jak się wydobyć z zasypanéj pieczary? Żadnego zniskąd ratunku! Śmierć z głodu!

Teraz zrozumiał, jak ciężko zawinił, zwątpiwszy na chwilę w miłosierdzie Boże! Upadł więc na kolana i w gorącéj modlitwie błagał Pana o przebaczenie za bluźniercze swe słowa, odkrytą zaś bryłę kruszcu ślubował poświęcić na cześć świętéj Barbary, patronki górników.

Przez trzy dni okropne męczarnie cierpiał Mala w podziemiu. Bóg się jednak nad nim ulitował i zesłał mu pomoc w towarzyszach, którzy po największych wysiłkach zdołali go nareszcie odkopać. Z odkrytéj bryły wykuto posąg świętéj patronki i umieszczono go w kościółku na górze, a Mala, którego dalsze kopanie wzbogaciło i do dawnéj zamożności powróciło, nie zapomniał już nigdy danéj mu przestrogi i całe życie był pobożnym, wierzącym chrześcijaninem.

Wedł. *Adama Wiślickiego.*

---

25. Żelazna buława.

W piękny dzień wiosenny, którego widok rozpraszał smutek, uciskający serca z powodu krwawéj wojny z Tatarami i kozactwem, oraz klęski, doznanéj niedawno pod Batohem, tuż obok szerokiego gościńca, wiodącego do Lwowa, młode chłopię poganiało żwawo woły, ciągnące pług po roli.

— A nuże, śpieszcież się! Miły Boże, słońce chyli się już ku zachodowi, a tu jeszcze tyle do roboty.

Gdy tak zawodziło pacholę, woły jeszcze leniwiéj ciągnąć poczęły, jakgdyby znalazły jakiś opór w ziemi; wreszcie jak zaczęły szarpać, wyrwały z roli pług wraz z zawadą, która go przytrzymywała.

Była to hetmańska buława, cała ulana z żelaza.

Wtém zatętniło coś na drodze i wśród tumanów kurzawy mignął w dali hufiec zbrojny; przewodniczył mu na siwym, tureckim koniu mąż wspaniałéj, wojennéj postawy.

Chłopiec spojrzał na niego ciekawie, a w miarę, jak się zbliżał, zdumienie i nieokreślone jakieś wrażenie odbiło się na jego obliczu. Stał jak skamieniały, nie spuszczając oczu z rycerza. Rycerz tymczasem był już coraz bliżéj, aż wreszcie, jakby pociągnięty magnetyczną siłą przykutego do siebie wzroku, zatrzymał konia.

— Czy masz mi co powiedzieć, dziecię moje? — rzekł po chwili z łagodnym uśmiechem.

Chłopiec, jakby nagle zbudzony ze snu na te słowa, spojrzał błędnymi oczyma, lecz wnet oprzytomniał i twarz mu rozpromieniła się dziwną jakąś jasnością. Przykląkł, a podnosząc zwolna żelazną buławę, ruchem, pełnym uroczystéj powagi, podał ją wojownikowi, mówiąc:

— Weźcie to, miłościwy panie, co sam Bóg snać dla was przeznacza.

A mąż zdziwiony i rozweselony zarazem, odparł mu z lekkim odcieniem żartu w głosie:

— *Re vera* *) mój miły! niezasłużenie dajesz mi hetmańską buławę; są godniejsi odemnie w Rzeczypozpolitéj piastować ją po sławnym zgonie pana Kalinowskiego. Któż ci podał myśl podobną?

— Bóg i święci aniołowie, bo gdy was ujrzałem, wnet głos jakiś szepnął mi do ucha: To dla niego! A potém, w miarę, jak zbliżaliście się, tenże sam głos powtarzał: Idź, oddaj mu to, oddaj! Nie wiedziałem, co począć, aż oto zastanowiliście się i przemówili do mnie łaskawie.

— A skądże to wziąłeś? — mówił rycerz, przypatrując się buławie.

— Wyorałem z ziemi, właśnie, gdyście nadjeżdżali.

— No, kiedy tak, to dar twój przyjmujemy mile, ale weźże nawzajem gościńca — rzekł mąż, wciskając w ręce chłopca woreczek pełen złota; spiął potém konia i oddalił się śpiesznie, nie czekając podzięki.

---

*) Prawdziwie, zaprawdę.

— O, to dopiero matka się ucieszy — rzekł chłopiec, ochłonąwszy ze wzruszenia, przyglądając się błyszczącym przez jedwabną siatkę pieniądzom.

* * *

W najwspanialszéj lwowskiéj gospodzie żyd arendarz, wystrojony w odświętną, jedwabną szatę, uwijał się po wszystkich zakątkach, patrząc, jak służba pańska wyprzątała gościnne izby. Zawieszono po ścianach tureckie makaty, podłogi wysypano wonném zielem tatarskiém, a w miejsce drewnianych zydlów, rozstawiono dębowe krzesła, skórą obite. Widocznie lada chwila miał nadjechać gość jakiś znakomity z resztą orszaku, którego część wysłał naprzód, jak to bywało w owych czasach, dla urządzenia mieszkania, które miał zajmować.

— Panie arendarzu — ozwał się marszałek dworu, Przygodzki — izby twoje wyglądają jak królewskie komnaty i możesz się poszczycić, że w nich przyjmiesz jednego z największych dygnitarzy w Rzeczypospolitéj.

— Ach, panie Przygodzki — odparł arendarz — wielki to zapewne honor dla mnie, ale nie po raz pierwszy już w tych ubogich ścianach witać będę dostojnika korony; a toż panowie okoliczni nigdy nie nawykli mnie omijać, a i pan wojewoda krakowski nie po raz pierwszy pono moim gościem. Ale otóż i on — dodał, wskazując kilku jeźdźców, ukazujących się w wąskiéj ulicy. Śpieszmy co prędzéj do bramy.

Na te słowa wielki ruch powstał w gospodzie, a dworscy uszykowali się z obu stron rozwartych podwoi.

— Ej, to przecież nie barwa Pilawitów Potockich, jeno ludzi pana regimentarza koronnego, Stanisława Lanckorońskiego — rzekł niechętnie pan Przygodzki; — byłoż się czego śpieszyć! Ale zdaje się, że i sam pan regimentarz jest z nimi.

Jakoż pan Lanckoroński zsiadł z konia, a spostrzegłszy dworzan wojewody, wnet zapytał, czy pan krakowski jest już we Lwowie.

— Nie, lecz spodziewany jest co chwila — odrzekł pan Przygodzki.

— Cieszę się, żem go uprzedził — mówił pan Lanckoroński do marszałka — rad mię obaczy, bo mu dobrą przynoszę nowinę.

— Trudno dziś coś podobnego posłyszeć, w uszach brzmią tylko opowiadania o klęsce batohskiéj i fatalnéj śmierci pana Kalinowskiego.

— Pan Kalinowski zginął chwalebnie, skoro za ojczyznę gardło dał, a gdy król jegomość wyznaczył godnego mu następcę, to idzie zatém nadzieja lepszéj przyszłości.

— A komuż to oddana buława? — jeżeli zapytać wolno.

Pan Lanckoroński chciał odpowiedzieć, lecz mu przerwał arendarz, wpadając zadyszany z okrzykiem:

— Pan wojewoda nadjeżdża!

Nie omylił się tym razem, bo wkrótce stanął przed gospodą orszak zbrojny, który miał na czele męża wspaniałéj, wojennéj postawy, na siwym, tureckim koniu.

— Pozwólcie sobie złożyć moje powolne służby — rzekł pan Lanckoroński, gdy po pierwszém powitaniu weszli pospołu do gościnnéj izby — a zarazem spełnić poselstwo króla jegomości.

— Rad was witam i słucham pilnie, czegoby żądał odemnie Pan nasz miłościwy?

— Wiadome wam sieroctwo wojska po stracie dzielnego wodza; otóż najjaśniejszy Jan Kazimierz, pragnąc powetować tak ciężką stratę, w ręce wasze składa hetmańską buławę.

Pan Potocki cofnął się zdumiony, milczał, a dziwne jakieś wrażenia malowały się na jego obliczu.

— Czyżbyście się wahać mieli w przyjęciu daru tego? — rzekł po chwili pan regimentarz koronny.

— Jakkolwiek mniemam, że wielu znalazłoby się godniejszych odemnie, aby dar ten otrzymać, sądzę jednak, że przy Boskiéj pomocy zdołam odpowiedzieć zaufaniu narodu i króla. Wieść ta wszakże przyszła w takiéj chwili, że snem mi się raczéj, aniżeli prawdą wydaje. Na dojezdném do Lwowa wieśniacze pacholę przepowiedziało ją niejako, ofiarując mi znalezioną w ziemi żelazną buławę; stąd więc podziw mój, gdyż nie mogę wnioskować inaczéj, jak, że proroczym duchem było natchnione.

— Tém ci lepiéj, gdy głos Boga łączy się z głosem narodu; nie powątpiewam teraz i chwili, że klęski i rany obecne ojczyzny wkrótce potraficie zabliźnić — odparł radośnie Lanckoroński.

I nie omyliło go przeczucie. Stanisław Potocki, zwany *Rewera* od przysłowia, którego często używał, był mężem doświadczonéj dzielności w boju; wojna była jego żywiołem.

Zgromadził wojska rozbite pod Batohem i wkrótce pod Zbarażem i pod Zborowem powetował doznaną klęskę. A i później niejednokrotnie odnosił zwycięstwa nad nieprzyjacielem, jako to: pod Chocimem, pod Cudnowem, pod Lublinem i poskramiając Rakoczego. W ciągu żywota, pełnego cnót i zasługi, uczestniczył w 48 bitwach; to też gdy w Podhajcach legł, złożony ostatnią chorobą, wyrzekł do otaczających: „Śmierci się nie lękam, bo dla Boga i ojczyzny nieraz jéj szukałem.“

Niedługo przedtém buławę szczerozłotą, drogimi nasadzaną kamieniami, zawiesił w Częstochowie, aby świadczyła tamże o wdzięczności jego za niejednokrotnie doznaną opiekę Najświętszéj Panny, jakotéż, aby była pamiątką żelaznéj buławy, która mu się stała przepowiednią piastowanego późniéj dostojeństwa. *A. Borkowska.*

---

26. Ocalenie i ślub Jana Kazimierza.

Przed Janem Kazimierzem, zdążającym od Szląska do ziemi polskiéj, zabielały wreszcie Karpaty. Śniegi leżały na ich skłonach, chmury rozkładały swe ociężałe cielska na szczytach, a gdy wieczór zdarzył się pogodny, wówczas przy zachodzie przywdziewały owe góry szaty płomienne i blaski biły od nich okrutne, póki nie zagasły w mrokach, cały świat obejmujących.

Z każdym dniem olbrzymy owe stawały się większe, potężniejsze. Aż wreszcie dojechał do nich orszak królewski i zapuścił się w wąwozy, które nagle jakoby bramy otworzyły się przed nim.

— Granica musi być już niedaleko — rzekł ze wzruszeniem król.

Wtém dostrzeżono wózek, zaprzężony w jednego konia, a w wózku człeka. Królewscy ludzie zatrzymali go zaraz i zapytali:

— Człeku, a czy my to już w Polsce?

— Tam, za tą skałą i za rzeczką cesarska granica, a wy już na królewskiéj ziemi stoicie.

I góral zaciął szkapinę.

— Miłościwy panie! — zakrzyknął z uniesieniem jeden z rycerzy — stanąłeś już na własnéj ziemi, bo oto twoje od onéj rzeczułki królestwo!

Na to król nie odrzekł nic, skinął tylko, aby mu konia potrzymano, sam zaś zsiadł i, rzuciwszy się na kolana, podniósł oczy i ręce w górę.

Na ten widok zsiedli wszyscy i poszli za jego przykładem; a król tułacz padł po chwili krzyżem w śnieg i począł całować ziemię swą ukochaną.

Nastała cisza i tylko westchnienia ją mąciły.

Wieczór był mroźny, pogodny; góry i szczyty pobliskich jodeł płonęły purpurą, a dalsze w ciemne już poczęły się ubierać fiolety. Lecz droga, na którój leżał król, mieniła się niby czerwona i złota wstęga, a blaski te padały na króla i towarzyszących mu biskupów i dygnitarzy.

Wtém ze szczytów wstał wiatr i, niosąc na skrzydłach skry śnieżne, zleciał na doliny. Więc jodły pobliskie poczęły pochylać pokryte okiścią czuby i kłaniać się panu i szumieć gwarno a radośnie, jakby śpiewały onę dawną pieśń:

— Witajże nam, witaj, miły hospodynie!...

Mrok już nasycał powietrze, gdy orszak królewski ruszył daléj. Za wąwozem roztoczyła się szersza dolina, którój drugi koniec gubił się w oddaleniu. Blaski gasły naokoło, tylko w jedném miejscu niebo świeciło się jeszcze czerwono.

Król począł odmawiać *Ave Maria*, a za nim inni w skupieniu ducha powtarzali pobożne słowa. Ziemia rodzinna, dawno niewidziana, góry, pokrywające się nocą, gasnące zorze, modlitwy, wszystko to nastroiło uroczyście serca i umysły; więc po ukończonych modlitwach jechali daléj w milczeniu: król, dygnitarze i rycerze.

* *
*

W drodze znajdowano wszędzie pewnych przewodników z pomiędzy górali, którzy szli chętnie, skoro powiedziano, że o służbę królewską idzie. Był to bowiem lud, duszą i sercem odddany królowi, chociaż ubogi. Oni to pierwsi, gdy rozeszła się wieść o wzięciu Krakowa, a zwłaszcza o oblężeniu Częstochowy, do którój pobożne pielgrzymki odbywać zwykli, porwali za toporzyska swych siekier i ruszyli z gór. Szwedzi z największymi tylko ostrożnościami zapuszczali się we właściwe ich siedziby, w których dosięgnąć ich było niepodobna, a klęskę ponieść łatwo. Zginęło téż kilka pomniejszych oddziałów, które się niepotrzebnie w labirynt gór zapędziły.

I teraz więc chętnie szli, gdy im powiedziano, że prowadzą biskupów i panów, pragnących się szwedzkiéj ręki uchronić. Prowadzili ich téż wśród śniegów, skał, wirchów i przełęczy sobie tylko znanymi pyrciami, czyli ścieżkami, przez miejsca tak niedostępne, iż rzekłbyś — i ptak nie mógłby przelecieć.

Nieraz król i dostojnicy mieli chmury pod nogami, a jeżeli chmur nie było, to wzrok ich leciał w bezbrzeżną, białymi śniegami okrytą przestrzeń, która tak wydawała się szeroką, jak kraj cały szeroki; nieraz zapuszczali się w gardziele górskie, ciemne prawie, śniegami przysłonięte, w których chyba tylko zwierz dziki mógł mieć legowiska. Lecz omijano dostępne dla nieprzyjaciela miejsca, skracano drogę i bywało, że osada jaka, do któréj ledwie za pół dnia spodziewano się dostać, pojawiała się nagle pod nogami, a w niéj spoczynek czekał i gościnność, choć w kurnéj chacie, w zadymionéj świetlicy.

Wjechano nakoniec w jakąś szczelinę skalną, długą i prostą, a tak wąską, że zaledwie trzech ludzi mogło jechać wedle siebie. Wąwóz to był jakoby korytarz niezmierny. Dwie wysokie skały zamykały go z prawéj i lewéj strony. Gdzieniegdzie jednak krawędzie ich rozchylały się, tworząc mniéj strome pochyłości, pokryte zaspami śniegu, na zrębach obramowane czarnym borem. Wichry wywiały natomiast śnieg z dna wąwozu i kopyta końskie szczękały wszędy po kamienistym podkładzie. Lecz w téj chwili wiatr nie wiał i cisza panowała tak głucha, że aż w uszach dzwoniła. Tylko w górze, kędy między lesistymi krawędziami widniał błękitny pas nieba, przelatywało od czasu do czasu czarne ptastwo, łopocąc skrzydłami i kracząc.

Orszak królewski stanął dla wypoczynku. Z koni podnosiły się kłęby pary, a i ludzie byli pomęczeni.

— Cichajcie! — zawołał nagle góral.

I przyskoczywszy do skały, przyłożył do niéj ucho, Wszyscy utkwili w niego oczy, a jemu twarz zmieniła się w jednéj chwili i rzekł:

— Za zakrętem wojsko idzie od potoku!... Dla Boga! czy nie Szwedy!

— Gdzie? jak? co?... — poczęto pytać ze wszystkich stron.— Nic nie słychać!...

— Bo tam śnieg leży. Na rany Boskie! Już są blisko!... Zaraz się ukażą!

— Może to marszałka Lubomirskiego ludzie? — rzekł król.

Kmicic, najdzielniejszy rycerz w orszaku królewskim, w téj chwili ruszył koniem.

— Pojadę zobaczyć — rzekł.

Kiemlicze, jak zwykle, ruszyli za nim, jak psy myśliwe za łowcem; lecz ledwie posunęli się z miejsca, gdy zakręt gardzieli, o sto kroków przed nimi leżący, zaciemnił się od ludzi i koni.

Kmicic spojrzał... i dusza zatrzęsła się w nim z przerażenia.

Byli to Szwedzi.

Ukazali się tak blisko, że cofać się było niepodobna, zwłaszcza, iż orszak królewski miał konie pomęczone. Pozostawało tylko przebić się lub zginąć albo pójść w niewolę. Zrozumiał to w jednéj chwili nieustraszony król, więc chwycił za rękojeść szpady.

— Osłonić króla i nazad! — krzyknął Kmicic.

Dwudziestu ludzi w mgnieniu oka wysunęło się na czoło, lecz Kmicic zamiast złączyć się z nimi, ruszył drobnym kłusem przeciw Szwedom. Ci, widząc dążącego przeciw sobie jeźdźca, prawdopodobnie poczytali cały orszak królewski za jakiś własny podjazd, bo nie przyśpieszyli kroku; tylko kapitan dowodzący wysunął się przed pierwszą trójkę.

— A co za ludzie? — spytał po szwedzku, patrząc na groźną i bladą twarz zbliżającego się junaka.

Kmicic najechał nań tak blisko, że prawie trącili się kolanami, i nie odrzekłszy ni słowa, wypalił mu w samo ucho z pistoletu.

Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi rajtarów, ale potężniéj jeszcze zabrzmiał głos Kmicica:

— Bij!

I jako skała, oderwana od opoki, tocząc się w przepaść, druzgoce wszystko w biegu, tak i on runął na pierwszy szereg, niosąc śmierć i zniszczenie. Dwaj młodzi Kiemlicze, podobni do dwóch niedźwiedzi, skoczyli za nim w zamęt. Stukot szabel o pancerze i hełmy rozległ się, jak huk młotów a wnet zawtórowały mu wrzask i jęki.

Przerażonym Szwedom zdawało się w pierwszéj chwili, że to trzech wielkoludów napadło ich w dzikim parowie gór-

skim. Pierwsze trójki cofnęły się zmieszane przed strasznym mężem, a gdy ostatnie wydobywały się dopiero z poza zakrętu, środek stłoczył się i zwichrzył. Konie poczęły gryść się i wierzgać. Żołnierze z dalszych trójek nie mogli strzelać, nie mogli iść na ratunek przodowym, którzy ginęli bez ratunku pod ciosami trzech olbrzymów. Próżno się bronią, próżno zasłaniają; tamci łamią szable, przewracają ludzi i konie. Kmicic zdarł konia, że aż kopyta jego zwisły nad głowami rajtarskich rumaków, sam zaś szalał, siekł, bódł. Krew zbroczyła mu twarz, z oczu szedł ogień, wszystkie myśli w nim zgasły, została tylko jedna, że zginie, lecz Szwedów musi zatrzymać. Ta myśl przerodziła się w dzikie jakieś uniesienie, więc siły jego potroiły się, ruchy stały się podobne do ruchów rysia: wściekłe, jak błyskawice szybkie. I nadludzkimi ciosami szabli kruszył ludzi, jak piorun kruszy młode drzewa. Dwaj Kiemlicze młodzi szli tuż, a stary, stojąc nieco z tyłu, co chwila wsuwał rapier między synów tak szybko, jak wąż żądło wysuwa, i wyciągał krwawy.

Tymczasem koło króla powstał rozruch. Nuncyusz trzymał za cugle jego konia, z drugiéj strony chwycił je biskup krakowski i ze wszystkich sił cofali w tył rumaka, król zaś parł go ostrogami, aż dzianet dęba stawał.

— Puszczajcie!... — wołał król. — Na Boga! Przejedziem przez nieprzyjaciół!

— Panie, myśl o ojczyźnie! — wołał biskup krakowski.

— Na mękę Pana naszego! — wołali inni z rozpaczą. — Tamci zaraz polegną! Miłościwy panie, ratuj się, póki czas!

Lecz upór króla, gdy go raz rozdrażniono, nie liczył się z niczém i z nikim. Jan Kazimierz wsparł jeszcze silniéj rumaka ostrogami i, zamiast cofać się, posuwał się naprzód. A czas płynął i każda chwila dłużéj mogła zgubę za sobą pociągnąć.

— Zginę na mojéj ziemi!... Puszczajcie!... — wołał król.

Szczęściem przeciw Kmicicowi i Kiemliczom dla ciasnoty miejsca mała tylko liczba ludzi mogła odrazu działać, skutkiem czego mogli się trzymać dłużéj. Lecz zwolna i ich siły poczęły się wyczerpywać. Kilkakroć rapiery szwedzkie dotknęły się ciała Kmicica i krew jęła z niego uchodzić. Oczy przesłaniały mu się jakby mgłą. Dech ustawał w piersiach. Uczuł zbliżanie się śmierci, więc pragnął tylko życie sprzedać drogo. „Jeszcze jednego!“ — powtarzał sobie i puszczał

płytkie żelazo na głowę lub ramię najbliższego rajtara i znów zwracał się ku innemu. Szwedom wszelako po pierwszéj chwili zamieszania i strachu wstyd widocznie uczyniło się, że czterech mężów zdołało ich zatrzymać tak długo i natarli z furyą; wnet samym ciężarem ludzi i koni zepchnęli ich w tył i spychali coraz silniéj i szybciéj.

W tém koń Kmicica padł i fala zakryła jeźdźca.

Kiemlicze rzucali się jeszcze czas jakiś, podobni do pływaków, którzy, widząc, że toną, usiłują jak najdłużéj głowy nad powierzchnią roztoczy morskiéj utrzymać; lecz wkrótce zapadli i oni...

Wówczas Szwedzi jak wicher ruszyli ku orszakowi królewskiemu. Nie było wątpliwości, że dla króla i jego orszaku musi nieubłaganie wybić fatalna godzina zguby lub niewoli. Jan Kazimierz, który widocznie wolał pierwszą od drugiéj, wyswobodził nakoniec lejce z rąk trzymających je biskupów i posunął się naprzód.

* *
*

Nagle stanął król jak wryty.

Stało się coś nadzwyczajnego. Patrzącym wydało się, że same góry przychodzą w pomoc prawemu królowi i panu.

Oto nagle krawędzie wąwozu zadrgały, jakgdyby ziemia wzruszyła się z posad, jakgdyby bór, rosnący w górze, chciał wziąć udział w walce, i pnie drzewne, bryły śniegu i lodu, kamienie i okruchy skał jęły toczyć się ze straszliwym trzaskiem i łoskotem na zaciśnięte na dnie szeregi; jednocześnie nieludzkie wycie rozległo się po obu stronach parowu.

Na dole zaś, w szeregach, wszczął się zamęt, ludzką wyobraźnię przechodzący. Szwedom zdało się, że góry runęły i zsypują się na nich. Powstały krzyki, lament druzgotanych mężów, rozpaczliwe wołania o pomoc, kwik koński, zgrzyt i straszliwy dźwięk skalnych obłamów, uderzających o pancerze. Nakoniec ludzie i konie utworzyli jednę kupę, kłębiącą się konwulsyjnie, gniotącą, pełną jęków, rozpaczliwą, straszną. A kamienie i złamy skał miażdżyły ją ciągle, tocząc się nieubłaganie na bezkształtne już masy ciał końskich i ludzkich.

— Górale! górale! — zaczęto krzyczeć w orszaku królewskim.

— Ciupagami ich! ciupagami! — ozwały się głosy na górze.

I w téj chwili po obu krawędziach skalistych ukazały się długowłose głowy, przybrane w okrągłe, skórzane kapelusze; za nimi wychyliły się ciała i kilkaset dziwnych postaci poczęło się spuszczać w dół po pochyłościach śnieżnych. Ciemne i białe gunie, unoszące się nad ramionami, nadawały im pozór jakichś strasznych ptaków drapieżnych. Zsunęli się w mgnieniu oka; świst siekierek zawtórował złowrogo ich dzikim okrzykom i jękom dobijanych Szwedów. Sam król chciał rzeź powstrzymać; niektórzy rajtarowie, żywi jeszcze, rzucali się na kolana i, wznosząc bezbronne ręce, błagali o ratunek. Nic nie pomogło, nic nie wstrzymało mściwych siekier i w kwadrans późniéj nie było już ani jednego żywego Szweda w parowie.

Potém krwawi Górale poczęli się sypać ku orszakowi królewskiemu.

Nuncyusz ze zdumieniem patrzał na tych nieznanych sobie ludzi, rosłych, silnych, odzianych częścią w skóry owcze, ubroczonych krwią i potrząsających dymiącymi jeszcze siekierkami. Lecz oni na widok biskupów poodkrywali głowy. Wielu poklękało w śniegu.

Biskup krakowski podniósł załzawioną twarz ku niebu.

— Oto pomoc Boska! oto Opatrzność, która czuwa nad majestatem!

Następnie zwrócił się do górali i rzekł:

— Ludzie, coście za jedni?

— Tutejsi! — odpowiedziano z tłumu.

— Czy wiecie, komuście przyszli w pomoc?... Oto król i pan wasz, któregoście uratowali!

Na te słowa krzyk uczynił się w tłumie: „Król! król! Jezusie! Maryo! król!“ Wierni górale poczęli się cisnąć do pana i tłoczyć. Z płaczem opadli go zewsząd, z płaczem całowali jego nogi, strzemiona, nawet kopyta jego konia. Zapanowało takie uniesienie, taki krzyk i szlochanie, że aż biskupi z obawy o osobę królewską musieli zbytni zapał hamować.

Król zaś stał wśród wiernego ludu jak pasterz wśród owiec i łzy wielkie, jasne jak perły spływały mu po twarzy. Poczém oblicze jego rozjaśniło się, jakby jakaś przemiana spełniła się nagle w jego duszy, jakby nowa wielka myśl, z nieba rodem, zaświeciła mu w głowie; i skinął ręką, że

chce mówić; a gdy się uciszyło, rzekł podniesionym głosem tak, iż słyszał go tłum cały:

— Boże! któryś mnie przez ręce prostego ludu wybawił, przysięgam Ci na mękę i śmierć Syna Twego, że jemu zawsze ojcem będę!

— Amen! — powtórzyli biskupi.

I czas jakiś trwało uroczyste milczenie, potém zaś nowa radość wybuchła. Poczęto wypytywać górali, skąd się wzięli w wąwozach i jakim sposobem tak w porę dla ratunku królowi się znaleźli?

Okazało się, że znaczne podjazdy szwedzkie kręciły się koło Czorsztyna i, nie dobywając samego zamku, zdawały się szukać kogoś i czekać. Górale słyszeli także o bitwie, którą podjazdy te stoczyły z jakiémś wojskiém; postanowili tedy wciągnąć Szwedów w zasadzki i, nasławszy im fałszywych przewodników, umyślnie zwabili ich do tego parowu.

— Widzieliśmy — mówili górale — jako onych czterech rycerzy uderzyło na wrogów; chcieliśmy im iść w pomoc, ale baliśmy się spłoszyć ich zawcześnie.

Tu król porwał się za głowę.

— Matko jedynego Syna! — krzyknął — szukać mi Kmicica! Niechaj mu choć pogrzeb wyprawię!... Szukać go, szukać! — Nie odjadę stąd, póki mu w twarz nie spojrzę i nie pożegnam!

Skoczyli więc żołnierze wraz z góralami na miejsce pierwszéj walki i wkrótce z pod stosu trupów końskich i ludzkich wydobyli Andrzeja. Twarz jego była blada, cała zabryzgana krwią, któréj grube sople zakrzepły mu na wąsach; oczy miał przymknięte, pancerz powyginany od razów mieczów i kopyt końskich. Ale ten pancerz właśnie uchronił go od zmiażdżenia i żołnierzowi, który go podniósł, wydawało się, że usłyszał cichy jęk.

— Dla Boga! Żyje! — zakrzyknął.

— Zdjąć mu pancerz! — wołali inni.

Wnet przecięto rzemienie. Kmicic odetchnął głębiéj.

— Dycha! dycha! Żyje! — powtórzyło kilka głosów.

On zaś leżał czas jakiś nieruchomie, poczém otworzył oczy. Wówczas jeden z żołnierzy wlał mu do ust nieco gorzałki, inni zaś podnieśli go pod ramiona.

W téj chwili nadjechał pędem sam król, do którego uszu doszedł okrzyk, powtarzany przez wszystkie usta. Żołnierze

przywlekli przed niego pana Andrzeja, który ciężył im ku ziemi i leciał przez ręce. Jednakże na widok króla przytomność wróciła mu na chwilę, uśmiech prawie dziecinny przebłysnął mu na twarzy, a blade jego wargi wyszeptały wyraźnie:

— Mój pan, mój król żyje... wolny...

I łzy błysły mu w źrenicach.

Henryk Sienkiewicz, (Potop).

---

27. Sąsiedzi.

Gawęda szlachecka z wieku XVII.

W młodości odziedziczyłem na Ukrainie, koło Taraszczy, posiadłość znaczną. Miałem i dwie wioski po matce wedle Jasła, alem w ojcowiźnie rezydować wolał, że to ordy bliżéj i o przygodę łatwiéj. Fantazyą żołnierską gnany, na Dzikie Pola w kompanii niespokojnych duchów chodziłem i rozkoszy zaznałem. Dobrze mi było na majętności; to tylko dolegało mi srodze, iż miałem lichego sąsiada. Był to prosty niegdyś chłop z pod Białocerkwi, który za jakieś tam usługi otrzymał od króla szlachectwo. Zwał on się Dydiuk. A trzeba waćpaństwu wiedzieć, że my się od pewnego wodza Samnitów wyprowadzamy, zwanego M u s c a, co po naszemu: mucha znaczy. Ów Musca po nieszczęśliwych przeciw Rzymianom wyprawach na dwór Ziemowita, syna Piastowego, przybył, który przezwał go dla większéj wygody Muscalskim, co potém potomność na Muszalskiego przerobiła. Poczuwając ja się tedy do krwi tak zacnéj, z wielkim wstrętem patrzyłem na owego Dydiuka. Bo żeby był umiał ten honor, jaki go spotkał, szanować i większą doskonałość stanu szlacheckiego nad wszelkie inne uznał, możebym nic nie mówił. Ale on, ziemię jak szlachcic trzymając, z saméj godności jeszcze się naigrawał. Więc pasya trawiła mnie dzika i począłem go gnębić. Nie zląkł się, człek był śmiały, z nawiązką płacił. Na szable byłby wyszedł, alem ja tego nie chciał, mając niskość krwi jego na uwadze. Znienawidziłem go jak zarazę i on mnie nienawiścią ścigał. Raz w Taraszczy, na rynku, strzelił do mnie, o włos mnie nie zabił; ja zasię rozszczepiłem mu głowę obuszkiem. Dwakroć zajeżdżałem go z dworskimi ludźmi, dwakroć on mnie z hultajstwem. Nie zmógł mnie, ale i ja przecie nie mogłem mu dać rady. Nienawiść rosła we mnie z każdym dniem, ażem pożółkł. Ciągle o tém jeno myślałem, jakoby go schwytać.

Ale Pan Bóg zrządził inaczéj.

Miałem za wsią pasiekę znaczną i raz poszedłem ją oglądać. Było to pod wieczór. Zabawiłem tam ledwie z dziesięć pacierzy, aż tu krzyk jakowyś o moje uszy uderza. Obejrzę się: dym jako obłok nade wsią. Po chwili lecą ludzie. Orda! orda! A tuż za ludźmi — ćma, powiem acaństwu! Strzały lecą, jakoby deszcz zacinał i, gdzie nie spojrzę, baranie kożuchy i dyabelskie mordy ordyńskie. Ja do konia! Nimem nogą strzemienia dotknął, już mnie z pięć albo sześć arkanów chwyciło. Rwałem je przecie, bo silny byłem... Lecz wszystko napróżno!... W trzy miesiące potém znalazłem się z innym jassyrem za Bachczysarajem, we wsi tatarskiéj, Suhajdzig zwanéj.

Panu memu było na przezwisko Sałmą-bej. Bogaty był Tatarzyn, ale nieludzki i dla niewolników ciężki. Musieliśmy pod batogami studnie kopać i w polu pracować. Chciałem się wykupić i miałem za co. Przez pewnego Ormianina pisałem listy do moich majętności pod Jasłem. Nie wiem, czyli listy nie doszły czy okup w drodze przejęto; dość, że nic nie przyszło. Powieźli mnie do Carogrodu i na galery sprzedali.

Siłaby o tém mieście opowiadać, od którego nie wiem, jeżeli jest większe i ozdobniejsze na świecie. Ludzi tam, jako traw w stepie albo kamieni w Dniestrze... Mury na Jedykule srogie. Wieża przy wieży... W grodzie razem z ludźmi psy się błąkają, którym Turcy krzywdy nie czynią, dla tego, widać, że się do pokrewieństwa poczuwają, sami psubratami będąc... Nie masz między nimi innych stanów, jeno panowie a niewolnicy, a nad pogańską nie masz cięższéj niewoli. Bóg wie, czy to prawda, ale tak na galerach słyszałem, że wody tamtejsze, jako jest Bosfor i Złoty Róg, który w głąb miasta zachodzi, z łez niewolników powstały; niemało tam i moich się polało...

Straszna jest potencya turecka i żadnemu z potentatów tak wielu królów jako sułtanowi nie podlega. Sami zaś Turcy powiadają, że gdyby nie Lechistan (tak oni rzeczpospolitą naszę nazywają), tedyby już świata dawno panami byli. „Za plecami Lacha (powiadają) reszta świata w nieprawdzie żyje, bo ów (prawią) jako pies przed krzyżem leży, a nas po rękach kąsa...“ I mają słuszność, bo przecie tak było i tak jest... Siła jest złego w naszéj rzeczypospolitéj, ale przecie tak myślę, że nam owę funkcyą i Bóg kiedyś policzy i ludzie może policzą.

Ale owo wracam do tego, co mi się przygodziło. Ci niewolnicy, którzy na lądzie, w miastach i po wsiach żyją, w mniejszym jęczą ucisku od tych, którzy na galerach wiosłować muszą. Bo onych galerników raz na brzegu nawy wedle wiosła przykuwszy, nie odkuwają już nigdy, ani na noc ani na dzień ani na święta — i do śmierci w łańcuchach żyć tam trzeba; a tonie-li okręt w bitwie morskiéj, to owi z nim razem tonąć muszą. Nadzy są wszyscy, zimno ich mrozi, deszcz moczy, głód gniecie, a na to nie masz rady, jeno łzy i praca okrutna, bo wiosła są tak wielkie i ciężkie, że dwóch ludzi do jednego trzeba...

A mnie przywieźli w nocy i zakuli, posadziwszy naprzeciw jakiegoś towarzysza niedoli, którego w ciemności poznać mogłem... Kiedym to usłyszał ów stukot młota i dzwonienie kajdan — miły Boże! zdawało mi się, że ćwieki moję trumnę zabijają, chociaż i tobym był wolał. Modliłem się, ale nadzieja w sercu, jakoby ją wiatr zwiał... Jęki moje dozorca batogami potłumił, więc przesiedziałem cicho całą noc, póki nie zaczęło świtać... Spojrzę ja wtedy na tego, kto ma ze mną wiosłem robić — Jezu Chryste miły! — zgadnijcie państwo, kto był naprzeciw mnie? — Dydiuk!

Poznałem go zaraz, chociaż był nieodziany; wychudł i broda urosła mu w pas, bo już dawniéj był na galery zaprzedan... Począłem się na niego patrzeć, on na mnie; poznał mnie także... Nie mówiliśmy do siebie nic... Ot, na co nam obom przyszło! Ale przecie taka była jeszcze w nas zawziętość, że nie tylko nie powitaliśmy się po Bożemu, ale uraza buchnęła w nas jak płomień i aż radość chwyciła za serce każdego, że i jego wróg taksamo cierpieć musi.

Tegożsamego dnia nawa ruszyła w drogę. Dziwne było z największym nieprzyjacielem za jedno wiosło imać, z jednéj misy ochłapy jeść, którychby psy u nas jeść nie chciały, jedno tyraństwo znosić, jedném powietrzem dychać, razem cierpieć, razem płakać. Płynęliśmy po Helesponcie, a potém po Archipelagu. Wyspa tam przy wyspie, a wszystko w mocy tureckiéj... Oba brzegi takoż... świat cały!... Ciężko było. W dzień znój niewypowiedziany. Słońce tak pali, że aż woda zda się od niego płonąć; a kiedy owe blaski poczną drgać i skakać na falach, rzekłbyś: deszcz ognisty pada. Pot się z nas lał, a język przysychał do podniebienia. — W nocy zimno kąsało jak pies... Pociechy zniskąd — nic, jeno

strapienie, żal za straconém szczęściem, strapienie i mordęga. Słowa tego nie wypowiedzą.

Potém pożeglowaliśmy naokół Peloponezu. Dzień szedł za dniem, tydzień za tygodniem; myśmy z Dydiukiem słowa do siebie nie rzekli, bo jeszcze hardość i zawziętość mieszkała w naszych sercach... Ale poczęliśmy zwolna kruszeć pod ręką Bożą. Z trudu i zmienności aury grzeszne cielsko jęło nam prawie odpadać od kości; rany, surowcem zadane, gnoiły się na słońcu. W nocy modliliśmy się o śmierć. Co się zdrzemnę, to słyszę, jako Dydiuk mówi: „Chryste, pomyłuj! Świataja Preczystaja, pomyłuj! daj umerty!" On téż słyszał i widział, jakom ja do Bogarodzicielki i Jéj Dzieciątka ręce wyciągał... A tu jakoby wiatr morski urazę z serca zwiewał... Coraz mniéj, coraz mniéj..,. W końcu, jakem nad sobą płakał', tom i nad nim płakał. Jużeśmy téż oba spoglądali na siebie inaczéj... Ba! poczęliśmy sobie świadczyć. Jak na mnie przyszły poty i śmiertelne znużenie, to on sam wiosłował; jak na niego, to ja... Przyniosą misę, każdy uważa, ażeby i drugi miał. Ale patrzcie, acaństwo, co to natura ludzka! Poprostu mówiąc, miłowaliśmy się już, ale żaden nie chciał tego pierwszy powiedzieć. Pewnego dnia, kiedy już okrutnie nam było źle i ciężko, powiedziano nam w dzień, że nazajutrz spotkamy się z wenecyańską flotą. Żywności téż było skąpo i wszystkiego nam żałowali prócz bicza. Przyszła noc: jęczymy zcicha i — on po swojemu, ja po swojemu — modlimy się jeszcze żarliwiéj. Patrzę ja przy świetle miesiąca, aż jemu ciurkiem łzy na brodę lecą. Wezbrało mi serce, więc mówię: „Dydiuk, toć my z jednych stron, odpuśćmy sobie winy." Jak to usłyszał — miły Boże! — kiedy chłopisko nie ryknie, kiedy się nie zerwie, aż łańcuchy zabrzękły. Przez wiosło padliśmy sobie w ramiona, całując się i płacząc... Nie umiem rzéc, jakeśmy się długo trzymali, bo tam już i pamięć nas odeszła, jenośmy się trzęśli ode łkania.

Pan Bóg pobłogosławił nas i łaskę swoję okazał; ale na razie gorzko przypłacilismy ów braterski sentyment. Oto trzymając się w objęciach, poplątaliśmy tak łańcuchy, żeśmy ich odczepić nie mogli. Przyszli dozorcy i dopiero nas rozczepili, ale kańczug więcéj, niż godzinę świstał nad nami. Bito nas, nie patrząc gdzie. Popłynęła krew ze mnie, popłynęła i z Dydiuka, pomieszała się i poszła jednym strumieniem w morze. No! nic to! stare dzieje... na chwałę Bożą!

Od téj pory nie przyszło mi do głowy, że ja od Samnitów pochodzę, a on chłop białocerkiewski, niedawno uszlachcon. I brata rodzonego nie mógłbym więcéj miłować, jakom jego miłował. Choćby téż i nie był uszlachcon, jednoby mi było. A on po staremu, jako niegdyś nienawiść, tak teraz miłość oddawał z nawiązką. Taką już miał naturę.

Nazajutrz była bitwa. Wenecyanie rozegnali naszę flotę na cztery wiatry. Nasza galera, potrzaskana srodze, zataiła się przy jakowéjś pustéj wysepce, poprostu skale, z morza sterczącéj. Trzeba ją było naprawiać, a że żołnierze poginęli i rąk brakło, musieli nas rozkuć i siekiery nam dać. Jakeśmy tylko na ląd wysiedli, spojrzę na Dydiuka, a u niego już tosamo w głowie, co u mnie. „Zaraz?“ — pyta mnie. „Zaraz! — mówię i, nie myśląc dłużéj, w łeb dozorcę; wtém on samego kapitana. Za nami inni, jako płomień! W godzinę skończyliśmy z Turkami, potém zładziliśmy jakotako galerę i siedli na nią bez łańcuchów, a Bóg miłosierny kazał wiatrom przywiać nas do Wenecyi.

O żebranym chlebie dostaliśmy się do rzeczypospolitéj. Podzieliłem się z Dydiukiem podjasielską posiadłością i oba zaciągnęliśmy się znowu, ażeby za nasze łzy i za naszę krew zapłacić. Podczas potrzeby podhajeckiéj Dydiuk poszedł aż do Krymu. Lecz gdy powracał, syt zemsty, od strzały poległ. Ja zostałem i teraz oto, ilekroć łuk naciągam, czynię to na jego intencyą, a żem tym sposobem nieraz duszę jego uradował, na to mi świadków nie braknie.

Henryk Sienkiewicz, (Pan Wołodyjowski).

28. Cesarz Józef II. za pługiem.

Cesarz Józef II. obejmował ojcowską pieczołowitością wszystkich poddanych swego państwa. Uznawał człowieka zarówno w ubogim, jak i w bogatym i dbał o dobro wszystkich bez różnicy. Był téż szczególniejszym opiekunem rolników, uważając rolnictwo za podstawę dobrobytu państwa.

Pewnego razu w Sławkowicach na Morawii zdarzyło się, co następuje:

Jeden z włościan tamtejszych zajęty był oraniem swéj roli. Szedł za pługiem i całą swą uwagę zwracał tylko na to, by skiby szły równo i były odpowiednio głębokie. Wtém nad-

jechał wspaniały powóz i wysiadł zeń jakiś dostojny pan z dwoma towarzyszami, a zbliżywszy się do wieśniaka, rzekł:

— Czy nie mógłbyś mi, przyjacielu, pozwolić na chwilę pługa?

Wieśniak wypatrzył się ze zdziwieniem na nieznajomego, lecz ustąpił mu miejsca za pługiem. Nieznajomy wziął czepigi w ręce i kończył orać rozpoczętą bruzdę. Wieśniak szedł przy nim, przypatrywał się, a po chwili rzekł z uśmiechem:

— Łaskawy panie! Jak widzę, toście dotychczas pługiem na chleb nie zarabiali.

— To pewna — odrzekł jeden z towarzyszów nieznajomego, bo oranie nie należy do codziennych zajęć cesarza!

Usłyszawszy to wieśniak, przeraził się bardzo, że ma cesarza przed sobą, padł na kolana i prosił o przebaczenie, którego mu cesarz z uśmiechem udzielił, wynagradzając doznaną przerwę w pracy.

Od tego czasu nikt nie śmiał dotknąć się pługa, za którym szedł sam cesarz. Jako relikwią jaką przechowywała go przez długie lata rodzina wieśniaka, od którój dostał się późnićj do Berna.

29. Szlachetność wodza.

Jednym z największych wodzów austryackich w wieku XIX. był Jan Józef hr. Radetzki. Z jegoto życia opowiemy tutaj drobne jedno zdarzenie.

Odniósłszy raz świetne nad nieprzyjacielem zwycięstwo, wstąpił feldmarszałek Radetzki do pobliskiej gospody, ażeby po trudach dnia tego nieco odpocząć. W licznem kole dzielnych swych towarzyszy zasiadł do stołu i przy puharze dobrego wina wesoła ozwała się rozmowa.

Naraz głośna wrzawa powstała u drzwi gospody. Jakiś człowiek nieznajomy chciał wejść do środka, a straż, u drzwi stojąca, w żaden sposób wpuścić go nie chciała. — „Niech go tylko zobaczę! niech nań raz jeszcze popatrzę!“ — wołał natrętny ów przybysz i prawie przemocą dostał się do izby.

Był to człowiek niemłody i ubogo odziany, ale z wyniosłej postawy i ze szczudła, które mu nogę prawą zastępowało, łatwo można było poznać, że to stary żołnierz, który

się w krwawym boju widocznie nie oszczędzał. Stukając szczudłem o podłogę, postąpił naprzód, zwrócony ku Radetzkiemu. Straż rzuciła się za nim, aby go zawrócić, ale hr. Radetzki, który widocznie poznał owego żołnierza, powstał prędko, zbliżył się ku niemu, nazwał go po imieniu i serdecznie uścisnął mu prawicę; a kiedy biedny żołnierz, rozczulony uprzejmością ukochanego wodza, ani słowa nie zdołał wymówić, Radetzki wziął go za rękę, przedstawił swoim towarzyszom i posadził koło siebie, mówiąc: „To mój niegdyś towarzysz broni, który przy boku moim w niejednéj był potyczce, nieraz dzielnie spełniał rycerski swój obowiązek. Niestety! nierówne było nasze szczęście: jam krzyż zdobył zasługi, jemu dostało się — szczudło.“

Po tych słowach nalał mu puhar wina i rzekł: „Pij, kolego, i dobréj bądź myśli; jesteś tu między swoimi!“ Potém wziął jego czapkę, wsypał w nią pełną garść dukatów i podał ją innym towarzyszom, siedzącym za stołem. Za chwilę powróciła czapka, napełniona złotem.

Głęboko wzruszony szlachetnością wodza, nadto tak hojnie obdarzony przez zgromadzonych, powstał stary żołnierz i ze łzami w oczach wychylił puhar na zwycięstwo najmiłościwszego monarchy, jakotéż na pomyślność ukochanego swego wodza! Wedł. książki *Teuffenbacha*,

(Vaterländisches Ehrenbuch).

---

30. Ubogi grajek.

Był dzień pogodny, jakie bywają na rozgraniczu między mijającą wiosną a poczynającém się latem. Przytém był to dzień świąteczny. Mieszkańcy Wiednia wyroili się z domów i wybrali się za miasto. Każdy chciał się orzeźwić świeżém powietrzem, a ci, co w dzień powszedni pracować muszą ciężko na kawałek chleba, radziby przypatrzeć się choć w święto, jak to wygląda poza dusznymi ulicami i wysokimi kamienicami pełen cudów piękny świat Boży. Bardzo łatwo nastręcza się do tego sposobność, bo tuż pod samém miastem ciągnie się wielka przestrzeń, pełna łąk zielonych i trawników, drzew rozłożystych i cienistych zarośli. Oblewa ją z jednéj strony majestatyczny Dunaj, z drugiéj kanał dunajowy, przerzynający znaczną część miasta. Obadwa, łącząc się znowu, zamykają park ten rozległy i piękny, tak zwany „Prater,“ ulubiony punkt zborny wesołych Wiedeńczyków. Totéż w nie-

dziele i święta, a prócz tego co roku pierwszego maja, tłumy ludzi zdążają ku Praterowi.

W Praterze mnóstwo rozlicznych gospod, kawiarń, karuzelów, różnego rodzaju osobliwości, widowisk, muzyk i rozrywek najrozmaitszych. Korzystają z nich piesi goście praterowi, ci przed innymi, co po pracy w dni powszednie szukają w święto odpoczynku i zabawy; lud bowiem wiedeński pracuje pilnie i rad zarabia przez tydzień, ale nie żałuje sobie w niedzielę i święto, bawiąc się wesoło. Bogaci przejeżdżają się po cienistych alejach i przypatrują ożywionemu ruchowi ludu.

Gdzie tyle zbiera się ludzi, rozrywki i przyjemności szukających, tam wlecze się i biedak niejeden w nadziei, że u tych, którzy, o trudach codziennego życia zapomniawszy, dzień swobodnie i wesoło przepędzają, znajdzie serca tkliwsze na niedolę bliźnich. Zatém w Praterze obok przepychu, zamożności i dostatku, obok grup, rozrywkom oddanych, spotkasz i biedactwo różnego rodzaju. Stanie gdzieś na boku kaleka: ten o szczudle kręci korbą tak zwanéj katarynki, dziećmi ciekawymi otoczony; tamten gra na harmonice ręcznéj; ów, wzroku pozbawiony, przygrywa na arfie; a czasem kilku takich nieszczęśliwych, razem zebranych, popisuje się na różnych instrumentach Przed nimi talerzyki, na które przechodnie litościwi rzucają biedakom jałmużnę zasłużoną, bo każdy, jak umie, na nią zarabia, a wprost ręki nie wyciąga i kalectwem się przed widzami nie popisuje.

Na jeden z dni takich przypada zdarzenie, które tu opowiedzieć zamierzam. Rzecz dzieje się w naszym wieku za panowania cesarza Franciszka I.; roku już nie pomnę.

Żył podówczas we Wiedniu żołnierz, który dla kalectwa, z wojen wyniesionego, nie mógł pozostać w służbie czynnéj. Szczupła płaca inwalida nie wystarczała na życie w wielkiém mieście; pracować nie pozwalało kalectwo, a żebrać nie chciał żołnierz poczciwy. Kiedy był wyrostkiem, ojciec uczył go grać na skrzypcach; pochodził bowiem z Czech, gdzie muzyka bardzo jest rozpowszechniona, nawet między ludem wiejskim. To téż za młodu żołnierz nasz rzępolił jakotako. Teraz, kiedy bieda dokuczała, wziął się znów do skrzypiec; grywał na podwórzach domów przechodnich, którędy zwykle mnóstwo ludzi się snuje, i zawsze grosz jakitaki uzbierał. Grywał téż i w Praterze; więc i dziś przy święcie tam go nie brakło. Stanął sobie biedak pod drzewem rozłożystém. Towarzyszył mu

w takich wyprawach wierny przyjaciel, pudel stary. Wyuczone, poczciwe psisko siadało zwykłe przed swym panem, trzymając w zębach starą jego czapkę, w którą litościwi przechodnie rzucali jałmużnę. Dziś grajkowi jakoś nie służyło szczęście, bo grał już dość długo, a czapka zawsze jeszcze była próżniuteńka. Widocznie nie zwracano uwagi na biednego grajka, bo już sam widok jego byłby poruszył serca. Był to człowiek zbiedzony, już prawie starzec; włos siwy i rzadki zaledwie okrywał mu głowę pokiereszowaną; twarz troskami zorana; płaszcz żołnierski, stary i wyszarzany, pamiątka z czasów służby, to było jego odzienie na słotę i pogodę, na codzień i od święta, a wreszcie i na wszystkie pory roku. A niejedyna to pamiątka z owéj dawniejszéj służby; miał on ich więcéj i daleko trwalszych, które nie wycierają się tak prędko, jak płaszcz, ba co więcéj, tak go się trzymały, że do grobowéj deski niepodobna mu było rozstać się z nimi. Wyniósł je z bitew, o które w czasach jego młodości nie było trudno. Jedna z tych wiecznych pamiątek odrazu wpadała w oczy: — starzec chodził o szczudle, bo w jednéj bitwie kula zgruchotała mu nogę. Dość znaczne téż były i kresy na głowie, a ktoby się grającemu bliżéj był przypatrzył, byłby spostrzegł tylko trzy palce u ręki, smyczek prowadzącéj, bo resztę, kiedy jeszcze pałaszem wywijał, urwał odłamek granata w krwawéj bitwie pod Aspern, i to prawie równocześnie, kiedy kula w nogę go ugodziła.

A przecież mimo tak wybitnych odznak nikt jakoś nie zważał tym razem na grajka, chociaż na uroczystość dzisiejszą kupił biedak za ostatni grosz świeże struny i z całym zapałem wygrywał ulubione podówczas marsze i tańce. Tożtém smutniéj spoglądał na tłumy przesuwających się przechodniów, na ich wesołe, wypogodzone twarze, na gwar ludzi szczęśliwych. Wesołość ich i śmiechy głośne przenikały dziś do głębi serce biedaka. Im tak dobrze na świecie, tak wesoło i swobodnie! — a on, biedny, opuszczony, o głodzie będzie musiał przepędzić noc na barłogu, w pustém poddaszu! Boleść ścisnęła mu serce; nawet psu swemu lepszéj pozazdrościł doli, bo ten gdzieś w rynsztoku znajdzie przynajmniéj ochłap lub kość i jakotako głód zaspokoi!

Było już dość późno z południa. Słońce miało się ku zachodowi, a z niém i nadzieja grajka biednego. Do czapki nic jeszcze nie przybyło.

Ustawała wreszcie ręka znużona, a i noga, długiém staniem natężona, służbę wypowiadała. Zmęczony i przejęty boleścią, otarł pot z czoła, usiadł na pobliskim kamieniu, oparł o rękę głowę pochyloną, a kilka łez gorzkich potoczyło się po licach, troskami zoranych, i padło na ziemię. Ale ziemia nikomu o tém nie powie!

Czy łzy te spłynęły marnie, zupełnie niespostrzeżone?

O! nie. — Widział je i policzył Ten, bez którego wiedzy nawet włos z głowy nikomu nie spadnie; ale dostrzegło ich także oko ludzkie. Stał bowiem opodal męszczyzna młody, porządnie ubrany, i od jakiegoś czasu z widoczném współczuciem przypatrywał się biednemu grajkowi; widział więc także, jak biedak znużony ręką okaleczałą ocierał oczy załzawione. Łzy te nieszczęśliwego nieznajomy widocznie uczuł w głębi serca, bo nagle przystąpił do niego, a wcisnąwszy mu pieniądz do ręki, prosił o pozwolenie skrzypiec na chwil kilka. Grajek spojrzał wdzięczném okiem na dobrodzieja, a wyrozumiawszy z łamanéj jego niemczyzny, o co chodzi, podał instrument. Nieznajomy nastroił go, stanął tuż obok grajka i zawołał: „Kolego! teraz ja gram, a ty zbieraj pieniądze!“ Po kilku pociągach smyczka grajek patrzył ciekawie na skrzypce, prawie nie dowierzając, że to jego własne; tak dźwięczne i miłe płynęły z nich tony. Zrazu zabrzmiała cicha przygrywka; po niéj jakby modlitwa, jak prośba o natchnienie i pomoc do spełnienia dzieła zamierzonego. Niedługo potém mistrz począł przyśpieszać tempo; charakter modlitwy poważnéj coraz więcéj ginął, aż wreszcie zabrzmiał silnymi tony marsz, jakby wezwanie do szyku bojowego, a oraz niezawodnie jako przypomnienie, że ten, który obok grającego stał na szczudle, niegdyś w szyku takim śpieszył tam, gdzie go wołała najświętsza powinność; dziś niestety! nawet uwagi na się zwrócić nie zdoła. Więc i marsz się skończył, a mistrz przeszedł z wesołego w ton smutny. Struny jękły żałośnie, jakby chciały wyśpiewać głęboki żal zbolałego serca, żal tak rzewny i przenikający, że słuchaczom cisnęły się łzy do oczu. O bo już nie brakło słuchaczów! Gromady przechodniów już otoczyły grajków, a co chwila zatrzymywali się słuchacze nowi. Uderzała każdego już sama grupa i scena niezwykła: grajek, wytwornie ubrany, obok żołnierza kaleki, przed nimi pudel z czapką w zębach. Przytém porywająca gra do miejsca przykuwała. Łatwo też zrozumiał każdy, że to mistrz ja-

kiś, znakomity a szlachetny, niesie pomoc zapomnianemu od tychsamych słuchaczy biedakowi.

Coraz bardziéj rosło koło ciekawych; zatrzymywały się i powozy bogaczów, a do czapki sypały się rzęsiście pieniądze: miedź, srebro i złoto.

Pudel warczeć począł; widocznie zbyt mu zaciężyła napełniająca się czapka. Zawołał więc ktoś: „Starcze! wypróżnij czapkę; napełni się powtórnie!“ Żołnierz usłuchał i w saméj rzeczy niezadługo znowu wsypał garść pieniędzy do worka, który mu służył za futerał na skrzypce.

Tymczasem nieznajomy grał bez przerwy. Oczy, do góry wzniesione, jaśniały radością; toż coraz więcéj zadziwiał i porywał słuchaczów; świadczyły o tém coraz rzęsistsze i głośniejsze ze wszech stron oklaski. Nareszcie tony spotężniały i z uroczystą powagą zabrzmiała podniosła melodya Haydenowego hymnu ludu. W okamgnieniu słuchacze odkryli z uszanowaniem głowy; uniesienie wzrosło w istny szał i naraz zawtórzył skrzypcom chór kilkuset słuchaczów. Mistrz sam zachwycony wydobywał coraz większą siłę, aż nareszcie, skończywszy ostatnią zwrotkę hymnu, szybko wręczył skrzypce właścicielowi i znikł prędzéj, nim uszczęśliwiony grajek zdobyć się mógł na słowo podziękowania, a zachwyceni słuchacze wyjść z uniesienia.

„Kto to taki?“ — po chwili z różnych stron zawołano. „Znam go dobrze“, odezwał się ktoś z pomiędzy słuchaczy. „To sławny skrzypek, Francuz, Alexander Boucher. Mistrz zacny talentem swym przyszedł w pomoc biednemu grajkowi!“ — a potém zawołał: „Niech żyje Boucher!“ — „Niech żyje! niech żyje!“ powtórzyli z pełnéj piersi wszyscy obecni. „Niech żyje! potężnie rozległo się po szerokich błoniach Prateru i odbiło się kilkakrotnie o grupy drzew odwiecznych, nim zginęło w głębiach zarośli lub upłynęło z falami Dunaju.

Tymczasem uszczęśliwiony grajek stał na swém miejscu z rękami do modlitwy złożonymi i wzrokiem w niebo wzniesionym. Serce rozrzewnione zwarło mu usta. Wołać z drugimi nie mógł na cześć swego dobroczyńcy; zato strumień łez oblewał mu lica — łez, różnych od tych, które tak niedawno piekły mu stroskane oblicze!

A ludnéj naddunajskiéj stolicy przybyło wieczora onego dwóch prawdziwie szczęśliwych: grajek, hojnie obdarzony,

i szlachetny mistrz, przeświadczony niezawodnie, że najpiękniejszy i najznakomitszy w swém życiu odegrał koncert.

Zygmunt Sawczyński.

31. Dostojna Samarytanka.

Późną jesienią roku 1888. mknął szybko w kierunku południowym niewielki parowiec, prując modre fale Adryatyku. Z powodu lekkiéj, a mimo to silnéj, z drobiazgową troskliwością wykonanéj budowy, nie wyglądał ów statek ani na okręt kupiecki ani na wojenną fregatę: był to rzeczywiście spacerowy jacht cesarski „Gryf“, na którym właśnie Najjaśniejsza Pani, cesarzowa Elżbieta, odbywała wycieczkę na wyspę Korfu. Otoczenie cesarzowéj stanowiła tylko jedna dama dworu i nieliczna służba.

Kiedy statek zbliżał się już do celu podróży, zapanował na nim ożywiony ruch, jak zwykle przy lądowaniu. Pokład roił się od ciekawych. Kapitan, zbliżając się ostrożnie do przystani, zająwszy miejsce powyżéj sternika, wydawał co chwila przez tubę krótkie, urywane rozkazy, które służba okrętowa w lot spełniała. Między innymi rozkazał jednemu z marynarzy, człowiekowi młodemu i silnemu, wspiąć się na główny maszt i ściągnąć mały poprzeczny żagiel. Wszyscy z zajęciem przypatrywali się, jak marynarz ze zwinnością kota w jednéj chwili znalazł się u szczytu, gdy wtém, straciwszy równowagę przy ściąganiu żagla, runął na pokład ze znacznéj wysokości wśród ogólnego okrzyku zgrozy i przerażenia. Wypadek ten nie obszedł się bez smutnych następstw. Biedny marynarz złamał prawą rękę i odniósł jeszcze inne liczne, bardzo bolesne stłuczenia.

Tymczasem statek przybił do brzegu. Najjaśniejsza Pani, wysiadłszy na ląd, udała się do przygotowanego dla siebie pomieszkania, przedtém jednakże zamieniła jeszcze kilka słów z kapitanem okrętu, który omdlałego z bolu majtka kazał ostrożnie odnieść do miejscowego szpitala.

Tegosamego dnia wieczorem dwie panie, skromnie ubrane, zatrzymawszy na jednéj z ulic Korfu małego chłopczynę, prosiły go uprzejmie o wskazanie drogi do szpitala. Chłopczyna chętnie pobiegł przodem, za nim postępowały obie panie w milczeniu.

— Oto szpital — rzekł malec po chwili, wskazując gmach dość duży, ale ponury, i uśmiechając się dobrodusznie w oczekiwaniu drobnéj nagrody.

— Dziękujemy ci, dobry chłopcze — odrzekła na to jedna z pań, wsuwając w dłoń uradowanego chłopca kilka sztuk monety, poczém obiedwie zniknęły w ciemnym korytarzu szpitalnym. Chłopiec jednakże stał jeszcze długo przed bramą, w prawdziwe osłupienie bowiem wprawiły go dwa napoleondory, tkwiące w jego dłoni, suma, jakiéj zapewne jeszcze nigdy w życiu nie posiadał.

Czytelnik zapewne się już domyśla, że owe dwie damy była to Najjaśniejsza Pani ze swą towarzyszką. Wzruszona smutnym wypadkiem marynarza, zaledwie wytchnęła z trudów podróży, pośpieszyła osobiście zasięgnąć wiadomości w szpitalu o jego stanie i stosunkach rodzinnych. Tu dowiedziawszy się, że jest ojcem rodziny, a nadto utrzymuje starych rodziców, obdarzyła go hojnie, pocieszała w cierpieniach i przyrzekła zająć się losem jego i jego rodziny. Poleciwszy w końcu chorego jak najtroskliwszéj opiece lekarza, oddaliła się Dostojna Samarytanka wśród błogosławieństw biednego marynarza, któremu Opatrzność tak niespodziewanie zesłała w nieszczęściu szczodrą i wspaniałomyślną opiekunkę.

B.

32. Czasy Peryklesa.

W dziejach każdego prawie narodu bywają czasy, kiedy naród ów mocą powołania, od Boga otrzymanego, urasta w olbrzyma i dokonywa dzieł wielkich, które pamięć jego w świecie utrwalą i staną się niejako jego testamentem dla wszystkich następnych epok i pokoleń. Tych chwil uroczystych doczekała się i starożytna Grecya; a chwile te były u niéj tém uroczystsze, iż Grecy byli ludem, który sam z siebie urósł do téj wielkości.

Tą w dziejach greckich epoką są czasy Peryklesa.

Jak Ateny były naówczas sercem całéj Grecyi, tak tętnem tego serca był Perykles. W tychto czasach duch Grecyi zaświecił pełną jasnością, a uosobienieniem téj chwili są ówcześni wielcy ludzie. Każdy z nich jest wyobrazicielem innéj strony duchowego życia Grecyi, jednak każdy z nich wyobraża ojczyznę swoję całkowicie, choć każdy w innym, sobie właściwym kierunku. Wielki poeta Sofokles, historyk Tukidydes, wódz i pisarz Xenofon, mędrzec Sokrates, mistrz-rzeźbiarz Fidyas, filozof Plato, przedewszystkiém zaś sam Perykles — oto przedstawiciele ówczesnéj Hellady.

Owe szczęsne, pełne tryumfów, a ogromnego znaczenia dla całéj ludzkości wojny z Persami podniosły ducha Grecyi do tego nastroju, jakiego już nie zaznała nigdy historya. Lud ateński, jako najszlachetniejszy i najwięcéj uzdolniony w całéj Grecyi, obfitsze też, niż którykolwiek inny lud helleński zebrał sobie wieńce zwycięskie w tych bojach z Persami. I cała Grecya chętnie przyznała Atenom rej i prze-

wództwo nad sobą. Ufność i cześć wszech helleńskich ziem dla Aten była bez granic. W opiekę a zarząd Aten złożone były składkowe skarby całéj Grecyi. Lud ateński stał się polubownym rozjemcą sporów miast i pobratymczych szczepów.

Ta miłość i wiara powszechna, spowodowana duchową przewagą Aten, była jeszcze cudniejszym tryumfem, niż owe zwycięstwa, odniesione nad niezliczoną azyatycką czernią. To miasto szczęsne dosłużyło się i materyalnego, pełnego świetności panowania. Owa Attyka, licząca wówczas w całości zaledwie 20.000 wolnych obywateli, panowała szerokim osadom i dalekim, rozległym zamorskim miastom i portom. A zewsząd zasób zamożny, bogaty płynął złotym potokiem do ateńskiego skarbu. Wobec ogromu tego skarbu rozchody państwa stały się drobniuchną, nic nie znaczącą cyfrą. Tak tedy nie brakło i warunków materyalnych, zewnętrznych do rozkwitu dzieł sztuki, nie brakło ateńskiemu ludowi środków do przeistoczenia całego miasta swojego w świątnicę najwyższéj piękności.

Jak atoli ta epoka historyczna jest najczystszym, najszlachetniejszym wyrazem całych dziejów greckich; jak cała ówczesna Grecya widziała w Atenach najzacniejszy wyraz swojéj własnéj duszy: tak znowu Ateny same patrzyły na Peryklesa jako na najwyższe wcielenie duchowego żywota swojego.

Ateny były rzecząpospolitą. Ateńczycy celowali jako lud najznakomitszych zdolności, lud najruchliwszy, lotny w uczuciach, drażliwy i tkliwy, próżny a szlachetny. Na czele tego ludu, na czele tych Aten stanął Perykles. Perykles był tylko jednym z tysiąców sobie równych prawem obywateli, a przecież on władał wolą, chęcią, uczuciem i poświęceniem tych obywateli wszystkich, a władał nie daną sobie mocą, nie intrygami, nie podstępem, lecz samą wzniosłością duszy, przeczystą miłością ojczystego kraju i potęgą geniuszu. A ta wzniosłość jego duszy i ta miłość jego i ten geniusz był powszechnie i od wszystkich znany, od nikogo nie zaprzeczony. Stąd płynęło całe jego panowanie, przewaga i władza.

Gdy duch Grecyi tylu jaśniał zdolnościami; gdy — jak się dopiero rzekło — epoka ta była południem tego ducha; gdy Ateny stały się ogniskiem téj epoki, a Perykles duszą Aten: cóż tedy dziwnego, że teraz urosła sztuka do nie-

znanych nigdy wysokości i że jéj piękność najświetniejsza miała w Peryklesie swojego piastuna, który jakby z nad ziemi ród swój wywodził i jeszcze za życia swojego olimpijskim był zwany. *Józef Kremer*, (Grecya starożytna).

---

33. Sokrates.

Sokrates, syn rzeźbiarza Sofroniskusa, urodził się w Atenach 470. roku przed narodzeniem Chrystusa. Początkowo oddał się zawodowi swojego ojca i wykonał kilka pięknych posągów, ale pewien bogaty Ateńczyk, poznawszy go przypadkiem w pracowni, ujęty bystrością i szlachetnością jego umysłu, zabrał młodzieńca do siebie i kazał uczyć filozofii.

Sokrates, równie jak inni Ateńczykowie, umiał władać bronią i w kilku bitwach odznaczył się niepospolitą odwagą. W jednéj n. p. potyczce ocalił od śmierci Xenofonta, innym razem wydarł z mocy nieprzyjaciół Alcybiadesa. Ku schyłkowi swego życia, zasiadając w senacie, którego był członkiem, dawał piękne dowody zamiłowania sprawiedliwości, któréj największe niebezpieczeństwa osłabić w nim nie zdołały.

Filozofia jego zasadzała się nie tylko na mądrości wyszukanych słów. Zalecając przedewszystkiém umiarkowanie, był i sam najumiarkowańszym, więc nie tylko słowem, ale i przykładem zachęcał do dobrego. Aby łatwiéj znaleść zadowolenie w każdym losie, przyzwyczaił się do życia twardego, skromnego i pracowitego.

Filozofia Sokratesa była najczystszą moralnością; badanie tajemnic natury zostawiał drugim, sam zaś uważał za rzecz najważniejszą poznać samego siebie i umieć dobrze sobą kierować. Szukał w sercu ludzkiém pierwiastka, prowadzącego do szczęścia, i nabył przekonania, że człowiek nie może być szczęśliwym, jak tylko przez sprawiedliwość, dobroczynność i czystość obyczajów. Przemawiał z taką jasnością i prostotą, że go uczniowie zawsze zrozumieć mogli i że każdy z nich znajdował w samym sobie odpowiedź na jego zapytania. Zanadto był oświeconym, aby przyjmować za prawdę dziecinne baśnie, które tworzyły całą prawie religią jego kraju, a za wielkim był przyjacielem prawdy, aby ukrywać swój sposób myślenia, cechujący rzeczywistego mędrca. Przypuszczał on bytność Istoty najwyższéj, posiadającéj przy-

mioty, godne prawdziwego bóstwa. Tento sposób myślenia posłużył później za pozór do skazania go na śmierć. W sprawach państwa był również otwartym, a nie umiejąc taić swoich przekonań politycznych, zgotował sobie nowych nieprzyjaciół. Wszakże najbardziéj nienawidzili go sofiści, rodzaj szarlatanów filozofii i krasomówstwa, wielce naówczas uwielbianych. Z prawdziwém zadowoleniem lubił zbijać ich błędy, poniżać pychę i okazywać w całéj nagości ich nieświadomość, do czego używał sobie tylko właściwéj ironii.

Błędy i przesądy, które Sokrates chciał pokonać i zniweczyć, sprowadziły mu wkońcu tylu nieprzyjaciół, że nareszcie zdołali go zgubić. Anitus, człowiek zamożny i wpływowy (podobno garbarz z powołania), Melitus, nędzny poeta tragiczny, i Sykon, lichy mowca, połączyli zawzięte przeciw niemu usiłowania, oskarżając, że psuje młodzież i wprowadza nowe bóstwa. Sokrates bronił się z prostotą, ale szlachetnie, bez poniżenia; w jego słowach jaśniał blask niewinności.

Z początku większość głosów oświadczyła się za nim, a oskarżyciel Melitus, miał być podług zwyczaju skazanym na zapłacenie tysiąca drachm kary. Ale wziętość Anitusa i Lykona przeciągnęła na swoję stronę mnóstwo zdań, przez co okazało się później dwieście ośmdziesiąt jeden głosów przeciw Sokratesowi, a za nim tylko dwieście dwadzieścia, gdyż sędziów, nie licząc przewodniczącego, było pięciuset.

Pierwszy wyrok uznał filozofa winnym, ale nie wyrzekł rodzaju kary, zostawiając wybór jemu samemu. Sokrates odpowiedział, że za swoje zasługi chyba się może skazać „na utrzymanie dośmiertne kosztem rzeczypospolitéj w Prytaneum“ (domu starców), co było największym u Greków zaszczytem. Ta odpowiedź tak dalece oburzyła sędziów, że postanowiono jego zgubę pomimo niewinności.

Skazano go na wypicie trucizny. Po ogłoszeniu wyroku udał się z godną podziwu spokojnością do więzienia. Przyjaciele chcieli mu ułatwić ucieczkę, przekupili dozorcę więzienia, ale Sokrates nie chciał korzystać z ich ofiary. Wypił truciznę z takąsamą obojętnością, z jaką spotykał mnóstwo przeciwności w życiu; było to w roku 400 przed naszą erą. Miał wówczas lat siedmdziesiąt. Uczniowie nie odstępowali go do ostatniéj chwili; nieśmiertelność duszy była przedmiotem ostatniéj jego z nimi rozmowy.

— Moi przyjaciele — mówił do nich Sokrates — kiedy życie znika, najwłaściwiéj rozmyślać o nieśmiertelności duszy, którą trzeba sposobić nie tylko na czas przelotny, nazwany życiem, ale i na istnienie daleko trwalsze, bo na wieczność. Najmniejsze w tym względzie zaniedbanie może pociągnąć nieskończone straty. Gdyby śmierć kończyła wszystko, byłoby wielką uciechą dla złych uwalniać się w chwili skonu od ciała, duszy i występków. Ale ponieważ dusza jest nieśmiertelną, nie ma dla niéj innego sposobu uniknięcia złego, jak tylko w ciągłém kształceniu na drodze cnoty i mądrości. Po zakończeniu tego życia dwie drogi otwierają się przed nami: jedna prowadzi dusze, skalane na ziemi występkami, na miejsce wiecznych mąk, druga wiedzie do szczęśliwego przybytku bogów te dusze, które, przebywając w naszéj powłoce ziemskiéj, jaśniały niebiańskimi cnotami.

Skoro umarł, dopiero wszyscy spostrzegli, że wielką zbrodnię popełniono. Ateńczykowie, dość nikczemni, aby dopuścić do skazania go, zażądali odpowiedzialności od oskarżycieli za krew, niewinnie przelaną. Melitus został skazany na śmierć, a dwóch innych wygnano. Wtedy to uwielbienie Ateńczyków posunęło się tak daleko, że sam Sokrates, który był przedmiotem tego zapału, byłby go był niezawodnie zganił. Wystawili mu posąg bronzowy i świątynię, jak dla półboga, a wyrocznia delficka ogłosiła go najmędrszym z ludzi, na co Sokrates rzeczywiście zasłużył.

Sama śmierć tego filozofa była dostateczną, aby unieśmiertelnić jego imię. Nic nam nie pozostało po nim, ale uczniowie, których kształcił, dowiedli, jakim był mistrzem. Twarz jego nie była piękną, ale kiedy mówił o cnocie, o przeznaczeniu człowieka lub o wielkości Boga, wzniosłość myśli, szlachetny zapał, nadawały jego twarzy wyraz tak ujmujący, jakgdyby natura obdarzyła go najpiękniejszą urodą.

Często mawiał do swoich uczniów: „Który z was, patrząc w zwierciadło, dostrzeże, że jest pięknym, niechaj pamięta, aby brzydotą obyczajów nie oszpecił swéj piękności; który zaś ujrzy się brzydkim, niechaj pracuje nad tém, aby blaskiem cnót swoich zatrzeć brzydotę twarzy“.

Jan Chęciński.

34. Igrzyska olimpijskie.

Pomimo rozdrobnienia politycznego, pomimo licznych zatargów i krwawych wojen, jakie Grecy częstokroć staczali ze sobą, uważali się wszyscy za jeden wielki naród, a w chwili groźnego niebezpieczeństwa zapominali nawet sąsiedzkich waśni i rozterek i stawali w jednych szeregach, aby bronić wspólnéj ojczyzny.

Cóż było tym potężnym węzłem, który to poczucie jedności narodowéj utrzymywał? Co godziło wszelkie sprzeczności i jednym wszystkich ożywiało duchem?

Obok wspólności języka i religii jednym z najważniejszych środków, służących do tego zjednoczenia narodowego, były igrzyska olimpijskie, zwane tak od miejcowości w prowincyi Elidzie, poświęconéj Jowiszowi olimpijskiemu.

Grecy nie mniéj dbali o zahartowanie i uszlachetnienie ciała, jak o rozwój umysłu. Zdrowie ciała i piękność postawy, wytrzymałość w bieganiu i zręczność w zapasach, jasne i śmiałe oko, tudzież przytomność umysłu, jakiéj się tylko przez codzienne przyzwyczajenie do niebezpieczeństw nabywa — oto przymioty, które w Grecyi ceniono na równi z trafnością sądu, wykształceniem umysłu i biegłością w sztukach pięknych. Dlatego obok muzyki niepoślednie miejsce zajmowała gimnastyka; dlatego wszystkie państwa greckie popierały ćwiczenia, mające na celu wyrobienie siły fizycznéj.

Gimnazya, t. j. wielkie, otwarte place, otoczone portykami i szeregami drzew, zwykle poza murami wpośród pól zakładane, znajdowały się w każdém niemal mieście helleńskiém. Kto chciał dójść do znaczenia i wpływu pomiędzy współobywatelami, ten większą część swojéj młodości musiał spędzać w gimnazyach, a niektóre państwa nawet wyraźnie zastrzegały, że ten tylko może w nich uzyskać prawo obywatelstwa, kto przejdzie cały szereg ćwiczeń gimnastycznych.

Ochotę do tych ćwiczeń zwiększała jeszcze chęć odznaczenia się, gimnazya bowiem nastręczały młodzieży codzienną sposobność mierzenia rosnących sił swoich w zapasach wzajemnych. Lecz co to było za współubieganie się, ilekroć z powodu jakiéj uroczystości lud zgromadzony patrzał na popisy dzielności męskiéj i młodzieńczéj siły!

Zresztą nie lubili Grecy bezczynnego spokoju; w swobodnych ćwiczeniach pod otwartém niebem, wśród ciepła

słonecznego, widzieli oni jeden z najskuteczniejszych środków do podtrzymania nie tylko zdrowia ciała, lecz i pogody umysłu. Stądtéż igrzyska były najwyższą uciechą Hellenów. Żadna uroczystość obejść się bez nich nie mogła; lecz wszystkie inne przewyższały igrzyska olimpijskie, które do takiego doszły były znaczenia, iż podług nich (od r. 776. przed Chr.) Grecy czas liczyli, nazywając czteroletni okres czasu, od jednych igrzysk do drugich, olimpiadą.

Początek ich sięga bardzo odległéj przeszłości; pewną wszakże jest rzeczą, że im Ifitus, władca Elidy, i spartański prawodawca Likurg nowe nadali znaczenie. Zrazu więc tylko Spartanie wyprawiali uroczyste poselstwo na igrzyska, a każdy Lacedemończyk, jeżeli tylko chciał, mógł się do niego przyłączyć. Wkrótce inne państwa peloponeskie zyskały dla siebie tesame warunki i w sto lat spotykamy już w Olimpii przedstawicieli wszystkich plemion i miast greckich. Uroczystość olimpijska była odtąd uroczystością ogólno-helleńską i pozostała nią aż do r. 394. po Chr.

Prawo uczestnictwa w igrzyskach miał każdy Grek czystego helleńskiego pochodzenia i niczém nie splamionego życia. Cudzoziemcy i niewolnicy mogli być tylko widzami. Sędziami bywali tylko mężowie z Elidy; zrazu bywał jeden tylko sędzia, z czasem liczba ich rosła, aż wreszcie wybierano ich 12.

Przepisy, obowiązujące przy gonitwach i zapasach, wyraźnie były określone, a za ich przekroczenie wymierzano kary surowe. Przedewszystkiém nikomu nie wolno było wstępować w szranki, na czyjém życiu ciężyła hańba lub zbrodnia, albo kto pochodził z miasta, dla jakichbądź przyczyn wykluczonego od udziału w uroczystości narodowéj. Kto oświadczył, że chce uczestniczyć w igrzyskach i nazwisko swoje wniósł na listę, ten musiał się stawić w oznaczonym czasie. Los rozstrzygał, kto z kim miał występować do zapasów. Przekupywanie przeciwnika równie surowo karano, jak złośliwe i umyślne uszkodzenie. Zwycięstwo miało być odnoszone w sposób prawy, rycerski.

Igrzyska odbywały się podczas święta najwyższego boga helleńskiego i wobec ludu całego; dlatego chwała zwycięstwa była tak wielka. Nagrodą zwycięzcy był od czasów Ifitusa prosty wieniec oliwny, upleciony z gałązek drzewa, które, jak podanie głosiło, sam Herakles zasadził. Drzewo to stało w gaju

świętym; umyślnie w tym celu wybierany chłopiec nożem złotym ścinał z niego tyle gałęzi, ile miało być nagród. Wieńce leżały na stole, sporządzonym ze złota i kości słoniowéj. Wieniec wkładali sędziowie na głowę zwycięzcy, którą poprzednio obwiązywano wełnianą przepaską; jednocześnie herold głosił ludowi imię zwycięzcy, jego ojca i miasta rodzinnego.

Wieniec olimpijski był najwyższém szczęściem dla Greczyna; więcéj on nawet znaczył, niż pochód tryumfalny dla Rzymianina. Zwycięzca pomnażał chwałę swojéj ojczyzny. W Atenach otrzymywał on w darze znaczną sumę pieniężną, a nadto na cześć jego kosztem państwa wydawano ucztę; w rocznicę zwycięstwa mógł odbywać uroczystą procesyą po mieście. W Sparcie zwycięzcy olimpijscy otrzymywali na polu bitwy zaszczytne miejsce obok królów; posągi ich umieszczano w palestrach, gimnazyach, u wejścia do świątyń.

Uroczystość olimpijska odbywała się każdego piątego roku w jesieni i trwała przez siedm dni. Heroldowie głosili wtedy zawieszenie broni najpierw w Elidzie, potém w innych krajach Peloponezu; zapraszano także na uroczystość narodową państwa greckie, poza Peloponezem leżące. Kto złamał zawieszenie broni, tego wyłączano od uroczystości.

Można sobie wyobrazić, jakito ruch panował wówczas w Peloponezie, kiedy pielgrzymi ze wszech stron, lądem i morzem, dążyli do Olimpii! Każde państwo starało się wyprawić jak najwspanialsze poselstwo; każde poselstwo przywoziło ze sobą swój namiot okazały, swoje zwierzęta ofiarne, swoje kadzielnice; każde pragnęło blaskiem szat i wielkością świty inne państwa prześcignąć. Osobni urzędnicy przyjmowali posłów, którzy następnie, ustawiwszy namioty dla siebie i swojéj świty, w uroczystéj procesyi udawali się do świętego gaju, aby tam najpierw złożyć ofiarę na ołtarzu Jowisza, a potém innym bogom i półbogom.

W dniu oznaczonym przybywali sędziowie w szatach purpurowych i z wieńcami wawrzynowymi na głowie, za nimi szli bojownicy. Każdy z nich musiał poprzednio przysiąc, że przez czas najmniéj dziesięciu miesięcy należycie przygotowywał się do igrzysk; potém składał ofiarę i przy ołtarzu Jowisza przyrzekał, że nie okaże się winnym żadnéj nieuczciwości, żadnego podstępu w walce.

Widzowie dawniéj zajmowali wszystkie wyżyny naokół placu igrzysk; późniéj urządzono dla nich siedzenia amfiteatralnie.

Najpierw odbywały się wyścigi w bieganiu, a imieniem zwycięzcy oznaczano bieżącą olimpiadę. Postępowano w sposób następujący: Heroldowie wyprowadzali bojowników na arenę, wywoływali ich nazwiska i nazwiska miast, z których pochodzili, poczém pytali się obecnych, czy kto nie może zarzucić zapaśnikom albo niewolniczego pochodzenia albo złéj sławy albo kradzieży lub innego jakiego przestępstwa. Usłyszawszy jakiś zarzut, sędziowie natychmiast rozstrzygali o dopuszczeniu lub niedopuszczeniu zapaśnika do igrzysk. Stawiano srebrną urnę z losami, a każdy zapaśnik modlił się przed wyciągnięciem losu. Zaraz potém sędzia wołał: „Zaczyna się walka! Stańcie do zapasów! Nagrody zwycięstwa Jowisz udzieli!“ Natychmiast dawano znak trąbą. Przy dźwiękach fletów zapaśnicy biegli grupami po czterech. Zwycięzcy każdéj grupy musieli jeszcze walczyć ze sobą, dopóki jeden z nich nie pokonał wszystkich; tego obwoływano jako ostatecznego zwycięzcę.

Bywała i podwójna gonitwa (diaulos), polegająca na tém, że zapaśnik nie tylko mety dobiegał, lecz napowrót wrócić musiał do szranek; w długim wyścigu (dolichos) trzeba było siedm razy przebiéc stadyum.

Do wyścigów z bronią stawano z tarczą, w hełmie i nagolenicach, późniéj z samą tylko tarczą na ramieniu. „Pięcioraka walka“ (pentatlon) składała się ze skoków, rzucania dyskiem*), biegu, pasowania się i kułakowania.

Wyścigi konne odbywały się w hippodromie, który był dwa razy dłuższy od stadyum i miał 400 stóp szerokości. Drogę około mety trzeba było dwanaście razy objechać w najszybszym pędzie; nieraz téż drogę tę pokrywały szczątki rozbitych wozów, nieraz można było widzieć samopas biegnące rumaki. Nie woźnicę jednak, lecz właściciela czwórki obwoływano zwycięzcą.

Po ukończonych wyścigach zwycięzca udawał się na pagórek Kronion, gdzie Jowiszowi składał ofiarę, a towarzysze śpiewali hymn uroczysty. Potém obchodzono ołtarze innych bogów i półbogów, wkońcu odbywała się uczta, przy

---

*) Dysk był to płaski krąg metalowy z dziurą w środku i rzemieniem do ujęcia.

której śpiewano pienia zwycięskie. Niekiedy bogaci zwycięzcy z własnych funduszów ugaszczali wszystkich obecnych. Ostatniego dnia składano wielką ofiarę dziękczynną, poczém miasto Elis wyprawiało wspaniałą ucztę.

Na uroczystość olimpijską śpieszyli pobożni, aby uczcić najwyższe bóstwo Hellady; udawali się ludzie żądni sławy, aby ozdobić skronie swoje wieńcem zwycięskim; napływały tłumy ciekawych, aby na wspaniałe widowisko popatrzeć; do Olimpii podążali malarze, aby obrazy swoje wystawić; poeci, aby nabrać natchnienia; politycy, aby nawiązywać tam stosunki; kupcy, aby korzystnie sprzedać swoje towary. Państwa kazały w Olimpii ogłaszać swoje przymierza albo je na miedzianych tablicach spisane wystawiały na widok publiczny, gdyż tym sposobem łatwiéj wszelkie umowy i akta dyplomatyczne dochodziły do wiadomości powszechnéj. Uczeni, przybywający do Olimpii, zyskiwali sobie rozgłos i zwolenników; tak n. p. Herodot miał w Olimpii odczytywać ustępy ze swego dzieła historycznego, a sławni sofiści miewali tutaj wykłady.

Była tedy Olimpia środkowym punktem publicznego życia starożytnych Greków, także ogniskiem wymiany ich myśli.

Wedł. *F. J. Holzwartha*,
(Historya powszechna).

---

35. Zburzenie Kartaginy.

Konsulowie odpłynęli, wziąwszy z sobą ośmdziesiąt tysięcy piechoty, cztery tysiące koni, pięćdziesiąt galer o pięciu rzędach wioseł i wielką liczbę statków przewozowych. Mieli rozkaz nie wstrzymywać działań nieprzyjacielskich, dopóki Kartagina nie będzie zburzona.

Kartagińczycy, przekonani o niemożności oporu, wyprawili nowych posłów z pełnomocnictwem do przyjęcia jakichkolwiek warunków, a nawet do zdania się na łaskę Rzymian, „byleby miasto zostało oszczędzone“. Ale ci, widząc tak wielką uległość wroga, zażądali dumnie, aby w ciągu trzydziestu dni wydano im trzechset zakładników z pierwszych domów, jako rękojmię, iż powolnymi będą rozkazom konsulów.

Warunek nałożony wydał się nadzwyczajnie bolesnym, a jednak przyjęli go Kartagińczycy. Trzystu zakładników wyszło wśród jęków najbliższych krewnych i oburzenia wszystkich

serc szlachetnych. Ale konsulowie postanowili objawić wolę senatu dopiero za przybyciem do Utyki. Kiedy już stanęli w murach tego miasta, lękając się, żeby zbytek nieszczęścia nie popchnął Kartagińczyków do rozpaczy, ogłaszali po jednemu warunki przepisane. Naprzód Kartagińczycy mieli dostarczyć zboża na wyżywienie wojska — potém wydać wszystkie statki o trzech rzędach wioseł — potém wszystkie machiny wojenne — nareszcie wszystkę broń. Wydali dwa tysiące machin i dwakroć sto tysięcy całkowitych zbroi.

Konsulowie, widząc Kartagińczyków ogołoconych ze wszystkiego, czémby wzniecać mogli obawę, iż gotowi opór stawić najezdcom, oświadczyli, że miasto będzie zburzone, a mieszkańcy oddalić się muszą o trzy mile od morza.

Osłupieli Kartagińczycy na wyrok tak srogi. Przez czas niejaki oddawali się wszyscy żalom i smutkowi, jedni opłakując synów, wziętych na zakładników, drudzy przeklinając przodków, że nie woleli śmierci chwalebnéj nad haniebne układy. Potém rumieniąc się za samych siebie i wpadając w rozpacz wściekłą, postanowili nie opuszczać ojczyzny. Cokolwiek w mieście pozostało kruszcu, to zamieniono na oręż; każdy warsztat stał się fabryką broni; codzień wyrabiano sto puklerzy, trzysta mieczów, pięćset włóczni, tysiąc grotów; kobiety ucinały sobie włosy na cięciwy do łuków; niewolnikom dano wolność. Hazdrubal, wódz stronnictwa narodowego, który, pokrzywdzony od swoich i wygnany, szedł na czele dwudziestu tysięcy oblęgać Kartaginę, pojednał się ze współziomkami, zniewolił do posłuszeństwa ziemie okoliczne i pomógł do odparcia konsulów i spalenia ich floty. Ożywiona Kartagina powzięła wówczas nadzieję, że polegnie przynajmniéj ze sławą. Chociaż Rzymianie używali przeciw wałom miasta wszystkiego, co tylko sztuka oblężnicza najskuteczniejszego posiadała, zręczność Hazdrubala i odwaga Kartagińczyków niweczyły wszelkie usiłowania oblęgających.

Zdaje się, że wyrokiem było niebios, by zwycięstwo w rozmaitych wojnach punickich przywiązane było do imienia Scypionów. Naczelne dowództwo nad wojskiem rzymskiém oddano Emilianowi, synowi Emiliusa Paula, który adoptowany był przez Scypiona Afrykańskiego i został konsulem, nie mając jeszcze lat przepisanych. On to, przybywszy do Afryki, ocalił wojsko rzymskie, upadłe na duchu i bliskie już zguby, a przywołując w pomoc obrzędy święte, wyrzekł na oblężone

miasto przekleństwo dla sprowadzenia nań gniewu bogów i oddania go Furyom, mścicielkom tych, którzy odważają się opór stawić jego ojczyźnie.

Kartagińczycy, przyprowadzeni do rozpaczy, wytężali ostatnie siły; męszczyźni i kobiety, starzy i młodzi pracowali bez odpoczynku; wykopali przez skałę nową drogę do portu i wyprawili przeciw Rzymianom flotę, zbudowaną z drzewa rozwalonych swoich domów. Inni wpław się dostawali aż do maszyn Rzymian i, wynurzając się nagle z wody, zapalali pochodnie, aby niszczyć ogniem machiny oblęgających.

Atoli daremne były rozpaczliwe wysiłki oblężonych: Scypio został zwycięzcą i szturmem wszedł do Kartaginy. Mieszkańcy bronili się jeszcze po ulicach miasta przez sześć dni i sześć nocy, zaścielając własnymi i nieprzyjaciół trupami ulice i domostwa. Pięćdziesiąt tysięcy zamkniętych w twierdzy Birsa Kartagińczyków poddało się pod warunkiem bezpieczeństwa życia. Zbiegowie, którzy się schronili w świątyni Eskulapa, przewidując los, jaki ich czekał, podpalili swój przytułek i zginęli w zwaliskach. Hazdrubal dzielnie kierował wysileniem ziomków, ale w ostatniéj chwili zabrakło mu odwagi: upadł do nóg zwycięzcy. Żona jego, zostawszy z ostatnimi obrońcami Kartaginy, nie chcąc przeżyć upadku ojczyzny i tchórzostwa małżonka, ubrana w najwspanialsze szaty, weszła na szczyt świątyni i, przekląwszy zdradę męża, rzuciła się w płomienie razem z dziećmi.

Z siedmiukroć stu tysięcy mieszkańców Kartaginy większa część zginęła; resztę przesiedlono do Italii lub rozprószono po rozmaitych prowincyach. Cztery miliony czterysta siedmdziesiąt tysięcy funtów złota ozdobiło tryumf Emiliana, który wtedy otrzymał nazwisko Afrykańskiego. We wszystkich miastach przyjaznych Kartaginie rozwalono mury warowne, te zaś, które się przeciw niéj oświadczyły, otrzymały powiększenie granic. Wszyscy Afrykanie podbici płacić musieli daninę roczną, a państwo Kartaginy zamieniono w „prowincyą Afrykę“.

Spełniając rozkaz senatu, kazał Scypio miasto zburzyć. Rozniecono pożar i w ciągu siedmnastu dni płomienie zniszczyły dawną współzawodniczkę Rzymu.

Tak więc po siedmiu i pół wiekach bytu, a dwóch wiekach walki przeciw Rzymowi, upadł ten gród potężny, zniszczony bez celu i wbrew wszelkiéj sprawiedliwości. Ale

Rzym w pysze swojéj nigdy nie pojmował innych interesów nad własne; wszystko, co nie było rzymskiém, nie miało w oczach jego wartości. Wszelako Scypio na widok klęski grodu tak potężnego pogrążył się przez chwil kilka w ponure milczenie; potém zawołał z Hektorem Homera: „Przyjdzie dzień, kiedy upadną święte mury Ilionu i Pryamos i wszystek ród jego!“ Zapytany, co rozumiał przez Ilion i ród Pryama, odpowiedział, nie wymieniając Rzymian, że dumał nad tém, jak to mocarstwa najpotężniejsze upadają i giną według woli przeznaczenia. Tłóm. *L. Rogalski.*

36. Dom w starożytnym Rzymie.

Kształt starożytnego domu rzymskiego z całém jego urządzeniem, ze wszystkimi nawet sprzętami i ozdobami, dokładnie dziś poznać możemy z bogatych wykopalisk starożytnego miasta Pompei, które, w r. 79. po Chrystusie z dwoma innymi jeszcze miastami, Herkulanum i Stabie, zasypane przez Wezuwiusz, nieprzebraną jest dziś skarbnicą zabytków i pamiątek zamierzchłego świata. Kiedy dwa owe miasta zginęły, zalane strumieniami lawy, Pompei popiołem tylko zostały zasypane; a jakkolwiek masa owego popiołu aż nadto była wielka, żeby całe miasto grubą pokryć warstwą i wszelkie w niém życie zniszczyć na zawsze: jednakże to właśnie stało się powodem, iż dzisiaj z głębi ziemi, z pod rozległych pastwisk i pól uprawnych wykopują archeologowie nie tylko szczątki domów lub świątyń, jak w tylu innych miastach, ale całe budynki, świątynie i pałace, całe nawet dzielnice wielkiego niegdyś prowincyonalnego miasta.

Wprawdzie miasta te były pochodzenia samnickiego, a następnie długo zostawały pod wpływem oświaty i obyczajów greckich, pomimo to przez tyle wieków należały do państwa rzymskiego, tyle korzystały z nowych zwyczajów i urządzeń, iż śmiało uchodzić mogą za miasta rzymskie, a bogate wykopaliska miasta Pompei dają nam dokładne wyobrażenie o obyczajach i życiu, naukach i sztukach starożytnych Rzymian.

Domy rzymskie, budowane zwyczajnie przy ulicach, bywały niekiedy tak obszerne, iż je ulice ze wszystkich czterech stron otaczały; taki dom nazywał się *insula* (wyspa).

Skromnie, a nawet niepokaźnie przedstawiał się zwykle dom rzymski na zewnątrz. Po obu stronach głównego wejścia bywały przy ulicy sklepy lub niekiedy małe mieszkania, które biedniejszéj ludności odnajmowano; jednak te części z resztą domu żadnéj nie miały styczności.

Natomiast wnętrze domu rzymskiego odznaczało się wytwornością, a niekiedy nawet przepychem. Już samo wejście jaśniało wspaniałością. Drzwi pięknie bywały rzeźbione i bogato przyozdabiane, a na progu mozaikową robotą wykonany widniał napis: Salve (witaj), gościnnie zapraszający przychodnia do wnętrza wspaniałego domu.

Na ścianach niewielkiéj sieni, do któréj się najpierw wchodziło, malowane bywały piękne i kosztowne niekiedy obrazy, przedstawiające bądźto jakieś postaci i zdarzenia mitologiczne, bądźtéż jakieś zwierzęta i ptaki. Bywało tam także mieszkanie odźwiernego i siedziba psa, strzegącego domu.

W czasach historycznych składał się dom rzymski z trzech głównych części, które pomimo niejakich odmian w każdym prawie domu odróżnić można, mianowicie z części przedniéj, zwanéj atrium, średniéj, zwanéj tablinum, i tylnéj czyli peristylium. Z tych część pierwsza częściowo tylko, druga zawsze zupełnie była pokryta, ostatnia zaś zawsze otwartym była dziedzińcem.

Najpierwotniejszą i najistotniejszą częścią domu rzymskiego było atrium. Była to wielka, czworoboczna sala, w samym środku dość wielki w górze mająca otwór. Tuż pod tym otworem bywało w posadzce odpowiednio wielkie zagłębienie, niejako sadzawka, przeznaczona na zbiornik wody deszczowéj.

Wspaniały był widok téj sali, bogato przyozdobionéj i z nadzwyczajną wytwornością urządzonéj. Posadzka bywała mozaikowa, a ściany pokryte były pięknymi malowidłami, przedstawiającymi zwyczajnie jakieś ważniejsze zdarzenia historyczne, zwłaszcza takie, w których przodkowie gospodarza czynny brali udział. Dokoła wznosiły się posągi i piękne, zwykle w korynckim stylu filary, a górą, szczególnie w dwóch bocznych wgłębieniach widniały portrety familijne, właściwie maski woskowe w drewnianych szkatułkach.

Znaczenie téj części domu rzymskiego było takiesamo, jak w domu greckim ogromnego dziedzińca, filarami okolo-

nego. Tutaj to gospodarz przyjmował gości, tutaj zasiadał zwyczajnie w kole swéj rodziny.

Po obu stronach sali głównéj bywały mniejsze komnaty, do których drzwi, bogatymi przystrojone oponami, zawsze stały otworem, ażeby z atrium światło padać mogło do owych zresztą ciemnych pokojów. Były to pokoje sypialne.

Wprost naprzeciw głównego wejścia była druga główna część domu rzymskiego, tablinum. Był to właściwy pokój gospodarza, który stąd swobodnie obejmować mógł okiem cały swój dom. Pokój ten z równym przepychem bywał urządzany, jak sala główna. Posadzki i tutaj bywały mozaikowe, ściany bogato malowane, sprzęty wytworne. Tutaj pan domu pracował w zaciszy i odosobnieniu, tutaj miał bibliotekę, niekiedy nawet w osobnym obok pokoju umieszczoną; tutaj jakby w domowém archiwum przechowywał pieniądze i ważniejsze przedmioty.

Ale jakkolwiek pokój ten położony był we środku pomiędzy atrium a leżącym po drugiéj stronie dziedzińcem i nawet ku jednéj i drugiéj stronie zwyczajnie bywał otwarty, przecież przechodzić przezeń niewolno było domownikom; służyły do tego osobne korytarze, wiodące z pierwszéj do trzeciéj części domu rzymskiego, do dziedzińca.

W uboższych domach dziedziniec mniejsze miewał znaczenie i niewiele na jego pozór uważano; atoli w domach majętniejszych obywateli część tę na sposób grecki z wielkim urządzano przepychem. Dokoła, a niekiedy tylko z dwóch lub trzech stron, wznosiły się filary, jońskie lub korynckie, ze wspaniałymi kapitelami, a w pośrodku biły w górę sztuczne wodotryski albo też mniejsza lub większa bywała sadzawka, w któréj dla przyjemności hodowano ryby. Dokoła zaś sadzawki, na kształtnych klombach, rosły kwiaty, które i miłą woń rozsiewały i oko przyjemnie bawiły. Po obu stronach dziedzińca bywały niekiedy jeszcze inne komnaty, mianowicie po prawéj stronie wiodły zwyczajnie drzwi do sali jadalnéj (triclinium), poza którą jeszcze mieściła się kuchnia.

Jeżeli dziedziniec dokoła był zabudowany, w takim razie po drugiéj jego stronie, naprzeciw pracowni gospodarza, znajdowała się jeszcze jedna, wspaniale, niekiedy z największym w całym domu przepychem urządzona komnata.

Poza tą częścią domu bywał zwyczajnie jeszcze ogród, równymi poprzecinany grządkami jarzynowymi lub gustownymi klombami kwiatów ustrojony.

Nieco inaczéj wyglądały domy po większych miastach i w Rzymie, gdzie przeważna część ludności ubogiéj w najętych mieszkała domach. Z tego powodu właściciele starali się jak najkorzystniéj wyzyskać grunt, jaki mieli; budowali więc piątrowe, niekiedy bardzo wysokie domy, tak, iż cesarz August wydał nawet zakaz, ażeby front kamienic nie był wyższy nad 70 stóp (22 m). Kiedy zaś za Nerona pożar zniszczył wielką część miasta, zakazano budować domy wyższe, jak na 60 stóp (19 m).

Wedł. *E. Guhla i W. Konera.*
(Leben der Griechen und Römer).

---

37. Z życia starożytnych Rzymian.

Rzymianie byli z razu ludem wcale niezasobnym i grubych obyczajów. Przestawanie na małém i prostota, któréj nie wstydzili się ich najznakomitsi mężowie, cechowały ich na każdym kroku. Cyncynatus, Dentatus, Fabrycyus — uprawiali własnymi rękami swe skromne dziedzictwo i nie zaniedbywali twardéj pracy około roli, wyjąwszy, kiedy zagrożona ojczyzna wzywała ich pomocy. Charakter tego narodu był poważny i surowy, a główném zajęciem rolnictwo i ucieranie się z nieprzyjaciółmi. Dzielność w boju i biegłość w kierowaniu sprawami publicznymi uważano za najcelniejsze cnoty; na równi z nimi stawiano miłość ojczyzny, sumienne spełnianie obowiązków wobec bogów i ludzi, dochowanie wierności, rzetelność, stałość i wytrwałość we wszystkich przedsięwzięciach. Do tychto cnót i bezwarunkowego posłuszeństwa naginano młodzież od dzieciństwa. Ojciec rodziny był nieograniczonym w swym domu panem, wyrokującym dowolnie o życiu lub śmierci wszystkich członków rodziny. Mógł więc rozporządzać swymi dziećmi wedle upodobania, mógł je sprzedać, usunąć z pod swéj opieki, unieważnić małżeństwo swéj córki, nie będąc za to pociągany do odpowiedzialności. Dzieci pozostawały w pierwszych latach swego życia pod dozorem niewolnicy; późniéj zajmował się ich wykształceniem sam ojciec lub prywatny nauczyciel, który ćwiczył młodzież w czytaniu, pisaniu, rachunkach i deklamacyi. Chło-

pcy uczyli się na pamięć rozmaitych zdań moralnych, utworów poetycznych, a niemniéj praw, spisanych na dwunastu tablicach. Zajmujące opowiadania o cnotach i czynach znakomitszych mężów miały ich zachęcać do naśladownictwa. Prócz tego zaprawiano ich w skromności, umiarkowaniu i rozumném używaniu czasu.

To proste a surowe wychowanie u starożytnych Rzymian odpowiadało w zupełności całemu trybowi ich życia. Stolica ich była początkowo mała i niepoczesna, domy były kryte słomą lub drzewem, uliczki ciasne i kręte; dlatego téż Rzymianin chętniéj zamieszkiwał na wsi, gdzie oddawał się z zamiłowaniem zajęciom gospodarskim. Męszczyźni wychodzili skoro świt w pole, niewiasty zaś przędły w domu i gospodarowały. Obiad spożywano dopiero wieczorem; składał on się z owoców, jarzyn, mleka, sera i lemieszki. Wina używano tylko zmieszanego z wodą, a mięsa tylko w tych dniach, kiedy bogom ofiarowano. Również proste było ich ubranie. Po wierzchu spodniéj sukni, zwanéj tuniką, która u męszczyzn była krótszą i węższą, niż u kobiet, zarzucano togę, t. j. białe wełniane okrycie zwierzchnie, sporządzone z kawałka tkaniny na 6 łokci długiego, a 4 łokcie szerokiego. Togę zarzucano w ten sposób, że lewe ramię i plecy były nią okryte, prawe zaś ramię i rękę pozostawiano wolne, przeciągając koniec togi popod prawą pachę, przyczém dbano wielce, aby swobodnie spływające okrycie w piękne fałdy się układało, Konsulowie i inni urzędnicy, jakotéż chłopcy do 16, a dziewczęta do 14 roku życia, nosili togi czerwono lamowane. Po ukończeniu 16 lat, w uroczysty dzień Liberaliów, przyprowadzano młodzieńców na forum, gdzie pretor, doręczając im togę męską i uroczyście upominając, aby się zawsze godnymi jéj okazywali, ogłaszał ich wolnymi obywatelami. Następnie udawali się z krewnymi i przyjaciołmi na Kapitol, gdzie ich w świątyni łasce Jowisza zlecano i zapisywano do metryk państwowych.

---

38. Zburzenie Jerozolimy.

Od śmierci Zbawiciela upłynęło lat dwadzieścia. Wiara chrześcijańska, opowiadana żarliwie przez Apostołów i ich uczniów, rozszerzyła się w większéj części Europy i Azyi,

pomimo tysiącznych niebezpieczeństw, grożących jéj wyznawcom. Najznakomitsi opowiadacze ewangelii krwią swoją przypłacili przywiązanie do nauki Chrystusa.

Większą daleko nienawiścią do téj nauki pałali Żydzi, aniżeli poganie, z powodu powtarzanych ciągle przez Chrześcijan przepowiedni o zburzeniu świątyni Jerozolimskiéj. Sądzili więc Żydzi, że, tępiąc Chrześcijan, zdołają odwrócić grożące im niebezpieczeństwo. Wybiła jednak godzina spełnienia się wyrazów Zbawiciela.

Od śmierci Heroda Agryppy Jerozolimą i Judeą nie rządzili już, jak dawniéj, królowie, ale gubernatorowie rzymscy, z tytułem prokonsulów. Uciskani straszliwie Żydzi, napróżno zanosili prośby do tronu cezarów; żadnéj nie zwracano na nie uwagi. Zdjęci wreszcie rozpaczą, zbuntowali się przeciw Rzymianom.

Wkrótce potężna armia rzymska pod dowództwem Wespazyana wkroczyła w granice Judei. Galileę i Samaryą spustoszono ogniem i mieczem; nieprzyjaciel stanął pod murami świętego miasta. W chwili jednak rozpoczynającego się oblężenia, wyniesiony na godność monarszą, wyjechał Wespazyan, pozostawiwszy dowództwo synowi swemu Tytusowi. Działo się to w samo święto Paschy, 70-tego roku po Chrystusie.

Żydzi, przywiązani gorąco do wiary ojców, zgromadzili się licznie, pomimo grożących ojczyźnie ich niebezpieczeństw, w Jerozolimie dla obchodzenia uroczystości świątecznych, a zarazem w celu szukania ratunku w murach miejskich przed naciskającym zewsząd nieprzyjacielem.

Namiot Tytusa rozbity był na górze Oliwnéj, w témsamém prawie miejscu, gdzie Chrystus, siedząc raz z Apostołami, zapowiedział, że zanim wymrą wszyscy żyjący wówczas ludzie, Jerozolima do szczętu zburzoną będzie, że nie pozostanie z niéj kamień na kamieniu.

Dano znak do szturmu. W kilka dni po natarciu zachwiały się pierwsze mury, nieprzyjaciel wdarł się do środka i położył trupem ogromną ilość ofiar. Podsunięte bliżéj machiny wojenne zaczęły bez ustanku miotać na miasto kamienie i zapalone pociski, przed którymi mieszkańcy we wnętrzach grobów musieli szukać schronienia.

Do tych wszystkich nieszczęść przyczyniła się jeszcze okropność głodu. Zaczęto jeść konie, psy, a gdy tych zabra-

kło — myszy i szczury, następnie skórę z obuwia, korę z drzew, mech rosnący na ścianach; wreszcie, trapieni dolegliwościami głodu, ludzie rzucali się jedni na drugich i odbierali sobie życie. Ktokolwiek zaś zdołał się wymknąć z miasta, wpadał w ręce nieprzyjaciela, gdzie męczono go w najstraszliwszy sposób. Historya mówi, że około 1,100.000 ludzi zginęło w tém straszliwém oblężeniu, które trwało miesięcy pięć z górą.

Wszystkie gmachy i budynki miejskie przedstawiały kupy gruzów, tylko świątynia Salomona wznosiła wspaniale szczyt swój nietknięty. Razu jednak pewnego jakiś żołnierz rzymski, wsparłszy się na barkach towarzyszów, rzucił do świątyni zapaloną głownię. Niebawem wybuchł straszliwy pożar. Świątynia paliła się przez dni kilka i kilka nocy; góra, na któréj zbudowaną była, wyglądała jak wulkan, buchający rzekami ognia.

Groźne proroctwo spełniło się więc co do słowa.

39. Tryumf.

Jako najwyższą nagrodę za odniesione zwycięstwa nad nieprzyjacielem, dozwalano wodzom za czasów starożytnych odbywać tryumfalny wjazd do stolicy państwa.

W Grecyi uroczystości téj nie obchodzono tak świetnie, jak w Rzymie. Zwycięski wódz wjeżdżał na wozie zaprzężonym czterma końmi, uwieńczony wieńcem laurowym. Niesiono przed nim obrazy, na których wymalowane były odniesione zwycięstwa; niesiono przed nim broń, zdobytą na nieprzyjacielu, a za nim postępowali żołnierze, także laurami uwieńczeni. W Atenach, jeżeli zwycięstwo było mniéj ważne, wódz nawet nie wjeżdżał do miasta, ale noszono tylko przed nim malowidło z wyobrażeniem zwycięskiéj bitwy, poczém przez kilka dni obraz ten wystawiony był na widok publiczny, a nakoniec w świątyni zwycięstwa zawieszano go na wieczną pamiątkę chwały dzielnego wodza.

W Rzymie za to obchód tryumfu był bardzo wspaniałą uroczystością, a stosownie do wielkości odniesionego zwycięstwa, senat udzielał wodzowi pozwolenia do odbycia albo tryumfu wielkiego albo téż małego, który zwano owacyą.

Z początku, kiedy Rzym był siedzibą ludu walecznego, lecz zarazem miłującego cnotę i prostotę obyczajów, tryumfy były bardzo skromne; lecz gdy panowanie jego rozszerzyło się niezmiernie, a zdobycie bogatych prowincyj azyatyckich ogromne skarby przyniosło Rzymowi, wtedy wzrósł zbytek i tryumfy zamieniły się we wspaniałe obchody, których ludność rzymska, chciwa zabaw i uroczystości, niezmiernie łaknęła.

Zwycięzca pozostawał z wojskiem poza bramami miasta, a tymczasem wielkie, gorączkowe robiono przygotowania, ażeby się ta uroczystość odbyć mogła jak najświetniéj.

Kiedy wreszcie nadszedł dzień naznaczony, przywdziewał wódz zwycięski szatę tryumfalną, t. j. suknię krótką, w palmy wyszywaną, i togę purpurową, bramowaną złotem, poczém ruszał z pola Marsowego ku bramom Rzymu, gdzie go oczekiwali najwyżsi urzędnicy i senat cały, wszyscy w wieńcach i szatach świątecznych.

Naprzód szli liktorowie*) z pękami swymi, ustrojonymi w laury, daléj trębacze i muzycy, wygrywający marsze; następnie wiedziono okryte drogimi zasłonami woły białe, których rogi były złocone i przybrane w wstęgi i kwiaty; bydlęta te były przeznaczone na ofiarę bogom za odniesione zwycięstwo. Prowadzili je ofiarnicy, trzymający w rękach topory; za ofiarnikami postępowali kapłani. Daléj wieziono obrazy rozpostarte, wystawiajace bitwy i odniesione zwycięstwa. Za nimi nieśli młodzieńcy łupy zdobyte na nieprzyjacielu; cięższe i większe wieziono na wozach, pięknie przybranych. Poza tymi niesiono lub wieziono wyobrażenia miast i twierdz, na wojnie zdobytych, wyrabiane z drzewa lub wosku z wypisanymi ich nazwiskami. Prowadzono także zwierzęta dzikie i płody krajów, które tryumfujący do państwa rzymskiego przyłączył.

Po za tym orszakiem postępowali królowie zdobytych krajów, wzięci w niewolę wraz z żonami i dziećmi, książęta i wodzowie zwyciężeni, mający pogolone głowy na znak nie-

*) Liktorowie byli to w Rzymie słudzy publiczni, chodzący przed najwyższymi urzędnikami; nosili w ręku pęki kijów leszczynowych, związanych rzemieniem, w środku których sterczał topór na znak, że urzędnik, przed którym je noszono, miał prawo chwytać, wiązać, chłostać i śmiercią karać złoczyńców.

woli i dźwigający pęta żelazne, srebrne lub złote, a to stosownie do woli i dumy tryumfatora.

Nakoniec jechał sam wódz na wozie tryumfalnym, wyrzynanym w piękne rzeźby i przystrojonym złotymi i srebrnymi ozdobami. Wóz ten ciągnęły cztery konie, zwykle białe, bogato okryte i w jeden rząd zaprzągnięte. Sam wódz, odziany, jak mówiliśmy, pyszną szatą, uwieńczony wawrzynem i trzymający w ręku wawrzynową gałązkę, stał na wozie, postawę przybrawszy wspaniałą, śród okrzyków i klaskań niezliczonego ludu. Za nim zwykle siedział niewolnik, wołający od czasu do czasu: „Pamiętaj, żeś jest człowiekiem!“

Poza wozem tryumfalnym szła naprzód jazda, potém piechota, wydajac okrzyki na cześć zwycięzcy.

Orszak ten, postępując bardzo wolno, ciągnął od bramy miejskiéj przez najwspanialsze ulice Rzymu aż do Kapitolu. Przybywszy tam, wódz modlił się do bogów i kazał zabijać bydlęta na ofiarę; potém dawał wspaniałą ucztę dla senatorów i przedniejszych urzędników państwa, po któréj odprowadzano tryumfatora do domu, wśród odgłosów muzyki i okrzyków ludu.

Admirałowie, którym przyznano tryumf, odprawiali go nie na wozie, ale na statku wojennym, przystrojonym w laury, purpurę i złoto, płynąc w nim po Tybrze, aż do podnóża Kapitolu.

40. Pogrzeb w starożytnym Rzymie.

Zmarłego pogrzebać było u starożytnych Greków i Rzymian obowiązkiem, zarówno religią jak obyczajami uświęconym; co więcéj, wierzono nawet, że dusza zmarłego dopóty nie zazna błogiego spokoju, dopóty nad brzegami Styxu tułać się będzie, dopóki kości jego pozostaną bez pogrzebu i bez mogiły. Mniemanie to dało początek tylu chwalebnym zwyczajom, tylu pięknym obrzędom, przestrzeganym przy oddawaniu zmarłemu ostatniéj na ziemi posługi.

Przegląd obrzędów pogrzebowych i zwyczajów żałobnych u starożytnych Rzymian rozpocząć należy już w chwili śmierci obywatela rzymskiego. Kiedy umierający ostatnie wydawał tchnienie, ktośkolwiek z najbliższéj rodziny całował go w usta, jakgdyby chciał pochwycić i zachować ostatni jego oddech na ziemi; potém zamykał mu oczy, przyciskając

zlekka powieki. W téj chwili wszyscy obecni kilkakrotnie po imieniu wołali umierającego, jakgdyby mu całą swą życzliwość objawić, jakgdyby go na zawsze pożegnać chcieli.

Zaraz potém zgłaszano się do świątyni Wenery Libityny, ażeby o śmierci zaszłéj donieść, imię zmarłego w księgi odnośne wpisać i służbę potrzebną zamówić. Zawezwani słudzy umywali ciało i wonnymi namaszczali je olejkami, jużto ażeby przyjemniejszy nadać mu pozór, jużteż ażeby zapobiéc zbyt wczesnemu jego zepsuciu, co tém potrzebniejszą było rzeczą, iż zwłoki niekiedy do siódmego dnia pozostawały w domu.

Następnie ciało, w najpiękniejsze szaty przyodziane, z odznakami piastowanego w rzeczypospolitéj urzędu, składano na marach, purpurą lub drogim kobiercem nakrytych, i stawiano w sali głównéj (a t r i u m) wśród wonnych kadzideł, wśród kwiatów i zieleni, wśród festonów i wieńców, ażeby je przyjaciele i znajomi odwiedzać mogli. Na znak żałoby stawiano przed wejściem do domu cyprysy lub naczynie z wodą, mającą służyć do umycia rąk.

Sam pogrzeb stosownie do zamożności rodziny zmarłego rozmaicie się odbywał. Bogatych Rzymian z wielkim grzebano przepychem. Już bardzo wcześnie dnia tego obchodził herold ulice miasta, wzywając lud, ażeby śpieszył zmarłemu oddać ostatnią posługę. Jakoż śpieszyły tłumy w miejsce wskazane i zalegały niekiedy całe ulice i place.

O oznaczonéj godzinie (zwyczajnie przed południem) wyruszał pochód, już wcześnie przez mistrzów ceremonii przygotowany. Naprzód szli muzykanci, których zwyczajnie bywało około dziesięciu; za nimi postępowały płaczki, najęte niewiasty, które zawodziły żałobne pienia, chwaląc i wynosząc cnoty i zasługi zmarłego. Za nimi szli niekiedy aktorowie, tragicy i komicy, którzy wygłaszali stosowne ustępy ze znanych dzieł dramatycznych. Zaraz potém, dłuższym lub krótszym szeregiem, z wielką powagą kroczyły maski, przedstawiające przodków zmarłego; zdawało się, jakoby ci dostojni przodkowie sami wiedli zmarłego uroczyście na miejsce wiecznego spoczynku. Byli to umyślnie do tego wybrani ludzie (najczęściéj ze służby domowéj), którzy z woskową maską na twarzy, jakoteż w wiernie zachowanym stroju przedstawiali przodków zmarłego, mężów dostojnych i około ojczyzny zasłużonych.

Teraz dopiero niesiono mary z ciałem zmarłego. Nieśli je albo krewni sami, dla oddania większéj czci zmarłemu, albo jego wyzwoleńcy. Za marami szli krewni, przyjaciele i znajomi w grubéj żałobie.

Powolnie i uroczyście postępował taki pochód pogrzebowy przez ważniejsze ulice, zdążając ku rynkowi, gdzie zatrzymywał się u mownicy. Tu mary z ciałem stawiano na podwyższeniu, rzekomi przodkowie zasiadali na wspaniałych krzesłach kurulnych, a na mownicę wstępował zwykle ktoś z rodziny albo przynajmniéj z grona przyjaciół zmarłego i wygłaszał mowę pochwalną, w któréj uwydatniał cnoty jego i zasługi. Po téj ceremonii, która w pogrzebie wielkich dostojników szczególne zawsze miewała znaczenie, zabierano ciało i pochód w tymsamym porządku, tylko już bez przerwy, w dalszą udawał się drogę.

Ostateczny pogrzeb w dwojaki odbywał się sposób: albo składano ciało w trumnie i umieszczano je w grobowcu, w miejscu do tego przygotowaném, albo je palono na stosie. Pierwszy zwyczaj był u Rzymian dawniéj powszechny; póżniéj, t. j. dopiero od czasów Sulli, poczęto ciała palić. W tym celu na miejscu obszerniejszém, n. p. na polu Marsowém, ustawiano stos, którego wielkość i wspaniałość zależała od bogactwa rodziny zmarłego; na szczycie stosu kładziono ciało na marach, a dokoła niego, zbroję, sprzęty, ozdoby, wonne kadzidła i inne podobne rzeczy, szczególnie takie, które zmarłemu za życia przed innymi były przyjemne. Następnie najbliższy krewny brał do ręki zapaloną pochodnię i, odwróciwszy twarz, podpalał nią stos suchy.

Kiedy płomień objął już drzewo, wszyscy obecni trzykrotnie wołali zmarłego po imieniu, śląc mu ostatnie jeszcze pozdrowienie. A kiedy już stos cały zgorzał, pokrapiano gorący popiół winem i mlekiem, zgartywano go i zbierano w popielnicy, którą potém stawiano w grobowcu.

Popielnice te albo miewały kształt waz etruskich albo najczęściéj podobne bywały do szkatułek, a były robione albo z marmuru albo z alabastru albo téż z bronzu, rzadko kiedy ze szkła lub ze szlachetnego kruszcu. Grobowce i pomniki, stawiane zwyczajnie przy drogach za miastem, nadzwyczajnie niekiedy bywały wspaniałe. Zachowało się ich wiele aż

do naszych czasów, szczególnie przy tak zwanéj drodze Appiusa *(via Appia)*.

Nie potrzebujemy prawie dodawać, że pogrzeby ubogich obywateli nie bywały ani tak wspaniałe ani tak ciekawe. Słusznie bowiem powiada pewien mowca, że śmierć wielkiego pana głośném bywa i ważném zdarzeniem, jak upadek burzą złamanego dębu, zgon zaś ubogiego biedaka podobny jest do losu słabego listka, który cichuchno z dębu spada w jesieni. W porze nocnéj, przy skromném świetle kilku pochodni, bez hałaśliwéj muzyki, bez najętych płaczów i pochwał, bez długiego orszaku krewnych i znajomych — odnoszono ciało biedaka na miejsce wiecznego spoczynku; a jako za życia ledwie kącik miał mały, gdzie mógł głowę strudzoną do snu skłonić, taksamo i po śmierci zadowalać się musiał drobnym kawałkiem ziemi na wspólnym z innymi cmentarzu, po drugiéj stronie miasta, poza bramą eskwilińską.

Wedł. *E. Guhla i W. Konera*,
(Das Leben der Griechen u. Römer.)

---

41. Klasztory w wiekach średnich.

Od pierwszych wieków chrześcijaństwa ludzie, przejęci żarliwością religijną, opuszczali rodzinę, bogactwa, zaszczyty, a szli do pustyń egipskich, jak św. Antoni w wieku trzecim, lub ukrywali się wśród lasów, w szałasach i większych budynkach, które zwano m o n a s t e r y a (samotnie) lub c l a u s t r a czyli klasztory.

Napady barbarzyńców, upadek cywilizowanéj społeczności rzymskiéj, miasta w płomieniach, pola spustoszone, ludność mordowana bez litości, zamęt ogólny i nieszczęścia bezprzykładne — wszystko to napełniało ludzi przerażeniem. Upowszechniła się była wiara, że przychodzi koniec świata, że bliski jest dzień, zapowiedziany w ewangelii, w którym „Syn Boży przyjdzie, otoczony chwałą wielką i majestatem" Nie dziwna więc, że się znajdowało mnóstwo ludzi, którzy dobrowolnie skazywali siebie na życie surowe i składali śluby ubóstwa, posłuszeństwa, czystości. Tacy nazywali się m n i c h a m i (monachi).

Pierwszą dla mnichów regułę nakreślił w VI. wieku po Chr. B e n e d y k t z Nursyi (480—543), który podał przepisy, jak mają żyć, jakie ćwiczenia religijne odbywaći t. p. On

też zbudował klasztor na górze Monte-Cassino koło Neapolu. Ten pierwszy zakon nosi nazwę: zakonu Benedyktynów.

Nie przyjmowali oni beneficyów, nie bywali zatém proboszczami ani biskupami, a cały czas swój obowiązani byli dzielić na trzy części, z których jednę poświęcali modlitwie, drugą ręcznéj robocie, trzecią umysłowéj pracy. Rychło pozyskali wielki wpływ na społeczność barbarzyńską i oddali jéj wielkie usługi; nie tylko bowiem trzebili lasy, uprawiali grunta, leżące odłogiem, ale — co większa — starannie przechowywali szczątki oświaty.

Kiedy najmożniejsi panowie germańscy, nawet królowie Franków, nie umieli czytać i pisać, lecz na dokumentach kładli krzyżyki i zawieszali pieczęci: zakonnicy po klasztorach przepisywali księgi, układali kroniki i rozprawy teologiczne, malowali obrazy święte, uczyli się medycyny, architektury i t. p. Niemniéj dobroczynnie oddziaływali oni na barbarzyńców pod względem moralnym; i furta klasztorna stała otworem dla ubogich i nieszczęśliwych, większa część dochodów szła na wykupywanie niewolników. *Tadeusz Korzon.*

---

42. Koronacya Władysława Łokietka w Krakowie.

Dokonawszy szczęśliwie walki z książętami szląskimi i biskupami krakowskimi, z rycerskiém możnowładztwem na Pomorzu i miejskiém możnowładztwem w Krakowie, zabrał się Łokietek jako dobry gospodarz do oczyszczenia Polski z drzazg dawnego bezrządu, z mnogich drużyn zbójeckich, z siedlisk opryszków, których teraz za staraniem królewskiém zaczęto tępić powszechnie bronią uchwał publicznych, jakotéż bronią miecza i ognia. A kiedy wreszcie i tego już dokonał, wtedy w schludnie umiecionym domu postanowił Łokietek dostatecznie już utwierdzoną władzę królewską ustroić przynależną jéj ozdobą korony, postanowił uwieńczyć swe dzieło uroczystym obrzędem koronacyi.

Zwyczajnie bywały korony dotąd poszukiwane w Stolicy papieskiéj, a przywdziewane w Gnieźnie. Teraz co do miejsca obrzędu okazała się potrzeba zmiany. Gniezno było koronacyjną stolicą dawnego wojennego królestwa Bolesławów. Gdy to przez podział Bolesława Krzywoustego upadło, przeszła stołeczność Gniezna w posiadanie władzy duchownéj, arcybiskupa gnieźnieńskiego, właściwego naczelnika Polski w podziałach,

a władza polityczna obrała sobie za stolicę Kraków. Obecne odrodzenie się téj władzy, wydając ze siebie zaród formy rządu wcale odmiennéj od dawnego królestwa Bolesławowskiego, nie wracało téż do dawnéj Bolesławów stolicy, która już na zawsze pozostała tylko duchowną, podczas gdy nowy kształt rządu Polski poprzestał na gnieździe swojego burzliwego wykształcenia w podziałach, na Krakowie. Prócz tego chęć przywiązania krnąbrnego a zamożnego Krakowa ścisłymi węzły do Polski, a niechęć ku Wielkopolsce za okazaną wyborem Głogowczyka nieprzyjaźń, skłoniły Łokietka do dania pierwszeństwa Krakowowi.

Co zaś do poszukiwania korony królewskiéj u papieża, temu chciał Łokietek i naród sumiennie zadość uczynić. Uchwałą zjazdu walnego wyprawiono do stolicy papieskiéj w Awinionie biskupa władysławskiego Gerwarda z pokornymi listami, w których stany polskie, t. j. „arcybiskup gnieźnieński z sufraganami, klasztory z opatami, książęta i rycerstwo, jakotéż miasta i grody“ upraszali papieża Jana XXII. o pozwolenie Łokietkowi przywdziania korony królewskiéj. Nadeszła odpowiedź pomyślna; mianowicie odpisał papież, że przeciwne przedstawienia króla czeskiego Jana Luksemburczyka, roszczącego sobie samemu, słusznie czy niesłusznie, prawo od tronu polskiego, zniewalają papieża do uchylenia się do stanowczego rozstrzygania téj sprawy, co jednak Łokietkowi bynajmniéj nie przeszkadza postąpić sobie w tym względzie według upodobania narodu. Témsamém uznała stolica papieska zupełną samowładność narodu w sprawach wewnętrznych i podobnie, jak niegdyś Bolesław Chrobry swoją powtórną, przedśmiertną koronacyą zadał jawny fałsz rozszczonemu przez cesarzów prawu rozrządzania koroną polską, tak teraz dwór apostolski przyznane sobie prawo rozporządzania tąż koroną zwrócił nazad samemuż narodowi. Korona polska stała się tak od uroszczeń cesarskich, jakotéż rzeczywistego zwierzchnictwa papieskiego wolną i niezawisłą, a Łokietek, jak w każdym innym względzie odnowiciel ojczyzny, tak i w téj mierze został pierwszym jéj niepodległym nikomu naczelnikiem.

Skoro tedy Gerward wrócił z pomyślną wieścią, przystąpiono do aktu koronacyjnego. Zapadło już było postanowienie, iż stolica św. Stanisława będzie odtąd koronacyjną królów polskich stolicą. Grób męczennika władzy królewskiéj

i tryumfatora nad nią miał wstępującym na tron królom przypominać dawną zbrodnię królewską i, od nowych powściągając ich zamachów, być narodowi na wieki świętą tarczą swobody. Stąd zapewne urósł pobożny zwyczaj królów polskich udawania się dniem przed koronacyą w uroczystym pochodzie do kościoła św. Stanisława na Skałce, dla uproszenia sobie pomocy Bożéj w mądrych i sprawiedliwych rządach królestwa. Gwoli koronacyi Łokietkowéj przewieziono koronę i insygnia królewskie do Krakowa. Za nimi zjechały tamże na dzień dwudziesty stycznia r. 1319. stany narodu, biskupowie, prałaci, dostojnicy państwa, rycerstwo. Arcybiskup gnieźnieński Janisław w towarzystwie krakowskiego biskupa Muskaty i poznańskiego Domarata, tudzież opatów tynieckiego, mogilskiego, jędrzejowskiego i brzezińskiego włożył wśród nabożeństwa Łokietkowi i małżonce jego Jadwidze koronę Bolesławów. Nazajutrz, na wystawionym wśród rynku tronie przyjmował król w koronie i purpurze hołd i przysięgę wierności miasta Krakowa. Zwyczajnym przy takich sposobnościach ucztom i zabawom rycerskim pora mięsopustna podwójnego dodawała zapału. Po dniach nieszczęść i walki płynęły dni radości i spokoju. A od dni onych — prawi kronika — cały naród przylgnął czcią, pokorą, miłością do Łokietka i cisami, którzy niegdyś naigrawali jego losom tułaczym, teraz z uniżonością i trwogą majestat jego wielbili.

Nowoprzywdzianą koronę uświetniły wnet mnogie dowody staranności o ustalenie „porządku, o ścisły wymiar sprawiedliwości, o pieczę nad wdowami i sierotami, o gościnność dla cudzoziemskich przybyszów“... Ciągła też przychylność stolicy apostolskiéj czuwała nad młodocianém królestwem.

Karol Szajnocha,

(Odrodzenie się Polski za Łokietka.)

---

43. Kazimierz Wielki a Piast.

Wskrzeszeniem i wzmocnieniem podupadłéj ojczyzny dopełnili Piastowie swego historycznego zadania. Przeto obraz ostatniego z nich, Kazimierza Wielkiego, niezgasłym promienieje blaskiem czci i świętości.

Patrząc na sędziwą postać tego króla gospodarza, tego uśmierzyciela zatargów narodu z sąsiadami, opiekuna rolników, prawodawcy ojczyzny, mniemamy w tym ostatnim koronnym

potomku błogosławionego kołodzieja z Kruszwicy widzieć ziemiańskie oblicze samegoż praojca Piasta. Jeśli ścisła krytyka pokusza się wydrzeć legendę o kołodzieju Piaście, tedy najściślejsza historya przedstawia natomiast drugiego, rzeczywistego, tylko trzykroć dostojniejszego Piasta w Kazimierzu. Czém legenda wróżebnie zaczyna, témsamém kończy spełniająca wróżbę historya. Tak ściśle narodowe, bo i legendą wymarzone i historyą sprawdzone, rysy odznaczają naszego „króla kmiotków“. I tento przez żadnego z naszych królów tak dokładnie, jak przez Kazimierza, nie osiągniony ideał króla narodowego, zjednał mu nazwę „Wielkiego“, nie przyznaną ani wielkiemu wskrzesicielowi ojczyzny, ojcu Kazimierzowemu, ani większemu jeszcze założycielowi narodu, Bolesławowi Chrobremu.

Jakoż zaiste, poglądając w poetycznéj oddali na dzieje Kazimierza W., ledwie nam odróżnić Piastowy ideał od Kazimierzowéj rzeczywistości. Jak Piast, tak i Kazimierz jest przedewszystkiém ziemianinem, gospodarzem. Przyciśniony koniecznością, zapuszcza on niektóre ziemie ojczyste, jak Pomorze i Szląsk, na zawsze lub do czasu ugorem. Zato jednak rozprzestrzenia zagrodę narodową nabytkiem nowéj, rodzajnéj ziemi, Rusi Czerwonéj. Potomek kołodzieja, napełnia Kazimierz całą Polskę gwarem wszechstronnéj fabryki domowéj. Naddziad pracował drewném, wnuk ciosem. W stu różnych miejscach kraju, od Inowrocławia do Czorsztyna, od Nakła do Trembowli, stutysięczna skrzętna czeladź króla - murarza zakłada nowe miasta, dawne opasuje murami, buduje grody, stawia kościoły. Zarazem ku zbudowaniu umysłów wznoszą się szkoły, pada węgielny kamień akademii krakowskiéj. A jako zgoda najlepszym, jedynym każdéj nowéj budowy bywa cementem, tak o zgodę najgorliwiéj nasz Piast drugi ma pieczę. Zgodą, acz drogą, uśpił on Krzyżaków aż do krwawego na polach grunwaldzkich przebudzenia. Zgodą, obfitém złotem umocowaną, załatwił spory z chciwym Luksemburczykiem, Janem czeskim. Ku największéj wreszcie swojéj zasłudze pojednał on zgodą cały naród, godząc jako najwyższy polubownik ojczyzny różne niezestrojone w niéj jeszcze stany ze stanami, obyczaje z obyczajami, prawa z prawami. Nieśmiertelnym tego pomnikiem jest Kazimierzów statut Wiślicki, utrzymujący słuszniejszą, niż kiedykolwiek jedność pomiędzy wszystkimi, a mianowicie dwoma głównymi stanami narodu,

stanem, który żywi ojczyznę, i stanem, który jéj broni, ludem i szlachtą. A że zgoda, praca, gospodarność rodzą dostatki, więc bogatym we wszelkie skarby téj ziemi, możnym jak żaden król ówczesny był nasz Kazimierz.

A nie byłby królem dawnych Polaków, gdyby się był przytém nie okazał gościnnym. Toż nie tylko tłum cudzoziemskich przybyszów, ale cały naród wygnańczy, żydowski, wyszczwany okropném prześladowaniem z Francyi i z Niemiec, miał swobodny w ziemi jego przytułek, używał do syta jego szczodroty i gościnności. I nie potrzeba było koniecznie stawać na ziemi polskiéj, nie trzeba było nędzarzem być i wygnańcem, aby doznawać dobrodziejstw Kazimierzowych. Nawet nieprzyjaznym Polsce sąsiadom, cudzoziemcom, nawet dumnym monarchom postronnym, sypała ręka Kazimierza hojne wsparcie, nie mierzone ani ważone dary. Wróg Kazimierza, Jan czeski, i syn jego Karol, cesarz zachodu, tuczyli się polskiém złotem, nie sromali się nawet wyzyskiwać zamożnego a szczodrego Piasta, skoro się zdarzyła sposobność udziobania kilku ziarnek ze złotego śpichrza Polski. Ościenny książę wołoski uciekał się do pomocy Kazimierzowéj przeciw własnemu bratu, a Kazimierz w dowód gotowości wspomagania wszystkich uciemiężonych utoczył strumień krwi polskiéj, przelanéj dla niego w leśnych pustkowiach bukowińskich.

I przybywało z czasem coraz więcéj ubogich i dostojnych przyjaciół, koronnych i niekoronnych ochotników dóbr ziemi polskiéj w gościnę do starego króla, szafarza łask i dostatków, w zaloty do bogatéj jego wnuczki Pomorskiéj, w zawody o jéj wiano, uniesione wreszcie przez pierwszego z monarchów europejskich, pana korony cesarskiéj, Karola Luksemburczyka. Sprawiona z tego powodu uczta weselna w Krakowie godna iść w porównanie z ucztą starego praojca Piasta. Nie byłoć tam wprawdzie aniołów pańskich, jak ongi w zagrodzie błogosławionego kołodzieja, lecz natomiast trzech królów ziemskich i jeden cesarz siedziało w około stołu prawnuka kołodziejowego i w około stołu jego służebnika, mieszczanina krakowskiego Wierzynka. Nie było téż tam wprawdzie synaczka Ziemowita, któremuby ojciec Kazimierz postrzygał włosy dziecięce, lecz natomiast pozostawił Kazimierz swojemu narodowi zbawienniejsze potomstwo moralne, usamowolnienie, swobodę. Przypuszczeniem narodu do współwyboru następcy w osobie obcego Ludwika węgierskiego,

z pominięciem bliższych, lecz niegodnych, bo przeniewierczych narodowi książąt mazowieckich i szląskich, przywiódł Kazimierz Polaków do samowolnego odtąd stanowienia sobie rządców i przewodników, wpoił im pojęcie pełnoletności, sprawił całemu narodowi postrzyżyny wolności. Poczém przyszło mu już tylko opiece Opatrzności poruczyć naród usamowolniony i jako potomkowi pasiecznego pana umrzéć z niebacznie na łożu choroby wypitéj czary miodu.

Pamięć narodowa, świadoma podobieństwa pomiędzy pierwszym a ostatnim koronnym Piastem, uzupełniła je nadanym Kazimierzowi, jakoby w przypomnienie kmiecostwa praojca Piasta, przydomkiem „króla kmiotków“. Ubogi kmiotek z Kruszwicy rozpoczyna ród Piastów, „wielki“ kmieć krakowski kończy jego zawód koronny.

Karol Szajnocha,

(Odrodzenie się Polski za Łokietka).

---

44. Chrzest Litwy.

Połączenie Litwy z Polską przyrównywano do wypraw morskich, odkrywających światu nieznane dotąd lądy i skarby. „Otworzył król portugalski swoimi wędrownymi żaglami indyjskie i afrykańskie strefy południa“ — mówi pisarz polski, żyjący współcześnie z Kolumbem: — „Jagiellonowie odsłaniają nam coraz dalsze ziemie i ludy, rozpostarte ku biegunowi północy i ku wschodowi słońca“.

Z niezwyczajną téż okazałością wybrał się król Władysław w pierwszą drogę tych odkryć Jagiellońskich. Przedewszystkiem wyszło świetne poselstwo do Krzyżaków, złożone z wielu książąt pod przewodnictwem Konrada Oleśnickiego, a wzywające mistrza Konrada Zolnera do wiecznéj zgody i unii, za pomocą któréj mógłby Jagiełło tém snadniéj ochrzcić Litwę. Poczém o pierwszych mrozach październikowych wyruszył nowy król polski z niezmiernie licznym dworem na wschód.

Omijając Ruś Czerwoną, obrano trakt wołyński na Lublin, Włodzimierz ku Łuckowi. Towarzyszył Jagielle tamtędy nader tłumny orszak duchowieństwa, książąt, wojewodów i kasztelanów polskich. Im głębiéj zapuszczały się cugi podróżne w strony Litwy pogańskiéj, tém nowszy, tém osobliwszy obraz ziemi i ludu zdziwiał polskich towarzyszy Jagiełły.

Wjeżdżano w ostatni zakątek, w ostatnią leśną kryjówkę pogaństwa w Europie, równie odmienną od reszty krajów europejskich, jak wiara i obyczaj mieszkańców od obyczajów reszty narodów europejskich.

Właśnie spoczywał lud po uroczystościach jesiennych — ostatnich uroczystościach pogańskich. Przejazd dworu apostolskiego nie wywoływał w nim żadnéj niechęci. Owszem, wystawność i okazałość, z jaką każda tego rodzaju wyprawa apostolska występowała zwyczajnie w kraju pogańskim, budziły ciekawość i dziecinny podziw w jego mieszkańcach, pociągały ku sobie ludność ubogą. Dlatego jednomyślnie z apostołem Słowian Pomorskich, świętym Ottonem, starał się każdy rozkrzewiacz ewangelii przybyć pomiędzy pogan „bogaty w pieniądz złoty i srebrny, w drogie sukna i złotogłowie, w kosztowności wszelkiego rodzaju, nawet w zapasy zboża, wiezione za nim czasami na pięćdziesięciu wozach".

Temuż przypisać należy niezwykłą okazałość, która uświetniała teraźniejszą podróż Jagiełły w ziemię litewską. Jakieśmy widzieli przy wyjeździe, otaczała go wspaniała rzesza biskupów, książąt litewskich, mazowieckich i szląskich, wojewodów i kasztelanów polskich. Mnogie sanie ładowne wiozły za dworem obfitość towarów polskich, mianowicie sukien wełnianych, tego powszedniego wówczas dostatku ziemi polskiéj. Symbol odzyskanéj chrztem niewinnności, a przeto zwyczajny niegdyś podarek nowochrzczeńców i wełniane szaty białe, bywały wielką pomocą przy każdéj próbie nawracania pogaństwa w Europie. Szły one więc i za Jagiełłą w znacznéj ilości. Jakoż skłoniwszy ku sobie całą płócienną Litwę, przyczynił się ten podarek sakramentalny niemało do rozstrzygnięcia losów bałwochwalstwa litewskiego w myśl dawnéj przepowiedni krajowéj.

Oprócz wielu innych wpływów przeciwnych, podkopywała jeszcze pogaństwo Litwy wróżba o niechybnym wkrótce upadku Znicza. Przed wielu laty, w czasie budowania głównéj świątyni pogańskiéj w Wilnie, udał się jéj książęcy założyciel do najsławniejszéj wyroczni na Żmudzi z zapytaniem, jak długo będzie stała świątynia? Wyrocznia odpowiedziała: Jak długo pogaństwa w Litwie. A w domiar otrzymał książę od wyroczni dar pewnéj liczby cegieł o tajemniczych znakach z tém poleceniem, aby co roku wmurowywano po jednéj cegle w ścianę świątyni. Przez lat sto dwadzieścia

i jeden działo się zadość zleceniu. Na obecny rok 1387. pozostała cegła ostatnia, a znakiem jéj był krzyż podwójny. Zaczém wypadło jedynie okazać się Jagielle z swoim chrześcijańskim orszakiem w Wilnie, a zniskąd nie groził opór dziełu zbawienia. Początek roku 1387. sprowadził całą wyprawę apostolską do Wilna.

Stołeczny gród Litwy, osiadły na południowém wybrzeżu Wilii między tą rzeką, a wpadającą do niéj z prawego brzegu rzeczułką Wilną, składał się z dwóch całkiem różnych połowic. Jedną połową było małe Wilno, ale warowne i zamożnie zabudowane, przez pogan zaludnione, Wilno książęce; drugą miasto rozległe, ale lichéj budowy, po największéj części przez cudzoziemców zamieszkane, Wilno chrześcijańskie.

Dlategoto, kiedy obecnie Jagiełło wjechał z swoim orszakiem apostolskim na „dolny zamek“, tylko „jedna połowa Wilna“ była do odrodzenia chrztem św.

Przystąpiono tedy do aktu nawrócenia, którym ostatni północny kaganek bałwochwalstwa w Europie zgasł w powszednim blasku jednego wielkiego słońca. Zaczém przygotowawszy wszystko, co chciano postawić na zwaliskach przeszłości, przyłożono topór do jéj pnia spróchniałego. Zwołano wszelkie pogaństwo okoliczne do Wilna i przedstawiono mu potrzebę zrzeczenia się dawnych baśni. Zdumiona Litwa wzdrygnęła się na to żądanie, mieniąc je niewdzięcznością i grzechem względem przodków. Niepoślednią téż pobudką niechęci była obawa zemsty bogów pogańskich. Należało tedy przekonać publicznie o ich nieudolności. Gwoli temu rzucili się chrześcijanie do obalenia świętości bałwochwalczych. Zalany został Znicz święty i pogaszone ognie wieczyste. Padły pod siekierą święte dęby na zamku i w gaju na Łukiszkach. Powybijano święte węże, jaszczurki, zarównie nieświadome przyczyn dawniejszéj czci, jak teraźniejszéj zagłady.

Przypatrujące się téj ruinie pogaństwo zawodziło wielkim, żałobnym płaczem. Ale tylkoż tyle oporu, tylko jęki i łzy spotkał przed sobą rozkaz książęcy; „zresztą nie śmiał nikt ani pisnąć“ — mówi jeden z naocznych świadków zdarzenia. A gdy taka wola książęca padła, gdy obaczono, iż bóstwa pogańskie dają się bezkarnie gasić, ścinać, zabijać: ochłonęła z trwogi zgraja pogańska i oświadczyło plemię „płoche a lek-

komyślne“, jak Litwinów nazywali Krzyżacy, iż chce się chrzcić.

Nastąpiła zatem katechizacya. Sam król pobożny pomagał w tym względzie polskim nauczycielom duchownym. Najwięcéj dziwiła pogan nauka o jednym Bogu. „Tak wielu bogów“ — mniemano — „okazało się bezwładnymi, a jeden miałby większą mieć władzę“? Nie było atoli pory do rozumowań. Wkrótce uznano uczniów dojrzałymi do chrztu i zaczęto chrzcić ich z osobna. Każdy nowochrzczeniec dostał białą szatę wełnianą. Schludny, bogaty w oczach Litwina strój, uszczęśliwił nędzę pogańską. W oka mgnieniu rozniosła się po kraju wiadomość o darze chrzestnym. Każdy pragnął go mieć, pragnął ochrzcić się. Zbiegały się zewsząd tłumy pogaństwa. Szczupła stosunkowo garstka duchownych polskich nie mogła podołać ochotnikom. Nie godziło się przecież nie korzystać z powszechnego natchnienia. W takiém położeniu chwytali się polscy apostołowie środka, nieznanego dotychczas w chrześcijaństwie. Zbierano pogaństwo w osobne gromady męskie i żeńskie i chrzczono je zbiorowo przez pokropienie święconą wodą. Każda gromada męska lub żeńska otrzymywała tożsamo imię świętego albo świętéj. Wychodziły w ten sposób z pod kropidła całe tłumy litewskich Stanulów, Janulisów i Piotrulisów albo Katrin i Jadziuł. Możniejszych chrzczono ciągle z osobna. I ci biegli w zawody po nową wiarę. Żupany chrzestne podbiły serca bogaczów i ubogich panów i niewolników.

Tymsamym więc cichym i łagodnym sposobem zajaśniało obecnie światełko nowéj prawdy. Po ochrzczeniu swojéj pogańskiéj „połowy Wilna“, nie naruszając wolności wyznania drugiéj, przeważnie ruskiéj połowy, wybrał się Jagiełło około marca w podróż po kraju. Towarzyszyło mu w niéj duchowieństwo łacińskie, a w każdém miejscu pobytu powtarzały się teżsame sceny apostolstwa, co w Wilnie. Pobożny król nie tylko kazaniami do ludu pomagał kapłanom polskim, lecz owszem, jako prawdziwy zesłannik Boży, sam chrztu udzielał, a nawet książętom i panom polskim tożsamo czynić kazał. Wszędzie burzono świątynie bałwochwalcze, stawiano krzyże i kaplice łacińskie, ogłaszano rozporządzenia na rzecz duchowieństwa nowego.

Ten objazd apostolski trwał kilka miesięcy. Nie obeszło się przedewszystkiém bez dalszych starań o wkorzenienie

wiary łacińskiéj. Wzniosły się dwa nowe kościoły rzymskie, jeden św. Marcina w zamku wileńskim, drugi św. Jana w mieście. Tak nowéj katedrze litewskiéj, jakotéż reszcie kościołów nadesłała królowa Jadwiga obfity zapas kielichów, obrazów, mszałów, ornatów i tympodobnych przyborów.

Po całym dalekim świecie rozbiegła się wiadomość o chrzcie pogaństwa litewskiego. Poselstwo królewskie zostało wyprawione do Watykanu, niosąc należną sprawę z apostolskich czynności na Litwie. Złożył ją u stóp papieża Urbana biskup poznański, pierwszy poseł Jagiełły, który stanął przed obliczem papieskiém. Przywiezione przezeń wieści litewskie przejęły niezmierną radością serce Ojca św. Oprócz nawrócenia ostatniéj społeczności pogańskiéj w Europie, jaśniała w nich nadzieja coraz dalszego wpływu Rzymu na wschodzie, coraz bliższéj unii chrześcijaństwa wschodniego z Rzymem.

K. Szajnocha,
(Jadwiga i Jagiełło).

45. Zdobycze pługa polskiego na Rusi Czerwonéj.

Z dwóch przeciwnych rysów charakteru narodowego słynęli zawsze Polacy — z rycerskości i z zamiłowania w rolnictwie. Jakoż panowały w istocie obydwie te zalety bardzo widocznie w historyi i w codzienném życiu narodu. Ochota rycerska przyozdobiła szlachtę polską wawrzynami wielu głośnych po świecie zwycięstw, ocaliła niejednokrotnie kraj i sąsiadów, czyni po dziś dzień każdego z nas cząstkowym spadkobiercą wielkiéj niegdyś sławy wojennéj; jakież godne pamięci owoce wydało tak powszechne u nas rozmiłowanie w życiu wiejskiém i zajęciach rolniczych?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, wypada przedewszystkiém przypomnieć z historyi wielką niejednostajność, jaką pod względem uprawy ziemi i zaludnienia przedstawiały w różnych epokach dawnego państwa polskiego różne jego prowincye. W połowie historycznego istnienia Polski, to jest w czasach Kazimierza Wielkiego cała przestrzeń szerokiego państwa Piastów i Jagiellonów dwa dziwnie różnobarwne ma lica. Zachodnie strony, Krakowskie, Sandomierskie, Mazowsze, Wielkopolska i Prusy, zasiane są wsiami i miasteczkami, roją się tłumną ludnością, brzmią gwarem pracy we wszystkich zawodach życia. Starożytne nadania i zapisy kościelne

z wieków XII i XIII. wyliczają nam prawie tęższamę ilość wiosek w dobrach arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, biskupstwa krakowskiego, opactw tynieckiego, jędrzejowskiego i innych, jaką tamże widzimy we wszystkich czasach następnych. W porównaniu z odwieczną mnogością tych zachodnio-polskich siół i miasteczek cóż za pustynia we wschodnich stronach państwa — na Rusi Czerwonéj, na Podolu i w Ukrainie!

Tam oprócz kilkunastu starodawnych grodów stołecznych zaledwie tu i ówdzie rzadkie miasta i zamki, opasane niewielkimi wyspami nieco więcéj osiadłéj krainy. Zresztą puste wszędzie obszary, nieprzejrzane błonia Rusi halickiéj, odludne jary z tatarskimi gdzieniegdzie zgliszczami na Podolu i trawne oczerety, a stepy ukraińskie. Stąd, kiedy władającym tu królom przyszło wydzielać darowiznę ziemską w tych stronach, był to zazwyczaj ogromny kawał pustego kraju, na którym późniéj stanąć miały przemnogie wsi i miasteczka.

Nieznany n. p. w dziejach sługa Kazimierza Wielkiego, Stanisław ze Strożysk, otrzymał od pana swego w r. 1362. Rzeszów z całym obszarem ziemi dokoła. Nieco daléj nad Dniestrem wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna posiadł około r. 1390. darem Władysława Jagiełły całą późniejszą Samborszczyznę od Dobromila aż ku Stryjowi. Syn Jagiełłów Władysław obdarzył w. r. 1441. zasłużonego w walkach z Tatarstwem rycerza Jana z Sienna starodawném Oleskiem z całym przyległym powiatem, roszczącym sobie w następnych czasach prawo do godności i nazwy księstwa i t. p.

Takie darowizny pustych obszarów bywały istotném dobrodziejstwem dla sąsiadów i całéj ziemi. Dzięki bowiem gospodarczemu zmysłowi nowych osadników polskich szły nietknięte stopą ludzką zarośla coprędzéj pod uprawę, gromadziła się zwołana zewsząd czeladź do pracy około nowego gospodarstwa, przymnażało się całéj okolicy rąk do pomocy i ratunku w razie potrzeby. Puste niedawno przestrzenie zaczęły porastać zwolna wsiami i miasteczkami.

Takim sposobem osiedliły się z kolei Ruś Czerwona, Podole i Ukraina. Dopomagała temu dziełu ludność najrozmaitsza, różnymi drogami i sposobami garnąca się w bezludne pustkowia Rusi. Osiadali tu pomiędzy krajowcami Wołosi, przybysze z Węgier, Ormianie, nawet Serbowie. Największa jednak liczba nowych właścicieli i uprawiaczów ziemskich składała się z Polaków. Zwłaszcza z przepełnionego drobną

szlachtą Mazowsza napłynęły na Ruś roje takich chudopacholskich osadników. Wszystkie dokumenta ówczesne poświadczają niezmierną ich mnogość i skrzętność w ziemiach ruskich. Oni téż głównie rzucili się do rolnictwa, uprawiali ziemię ruską do wydania złotego plonu czasów późniejszych. Kiedy reszta współmieszkających tu ludów zazwyczaj czém innóm się trudniła, Polacy wspólnie z ludnością rodzimą w pocie czoła pracowali około roli.

Wielcy panowie folgowali swojemu zamiłowaniu w rolnictwie, gospodarując na wielką stopę, zwołując zewsząd gromady osadniczéj ludności, wydzielając mniéj zamożnéj szlachcie pomniejsze posiadłości, zakładając wsi i miasteczka. Drobna szlachta własną ręką grzebała w ziemi, karczowała zarośla, tylko obowiązkiem do obrony kraju wyróżniona od ludu. Wiele z owych wiosek drobnoszlacheckich wzdłuż całego pogórza Karpat powstało z wydzielonych żołnierzom kawałków ziemi, na których rozrodzona z nich dziatwa rozbudowała się późniéj w dzisiejsze wsi szlacheckie. Zapewne większa liczba osad województw ruskiego i bełskiego urosła pod ręką takich wielkich i małych miłośników rolnictwa, z dalszych stron Polski przybyłych, przez stopniowe rozszerzanie się zajętych uprawą gruntów, zakładanie nowych folwarków, rozsadzanie ludności rolnéj na coraz odleglejszych pustkowiach.

Ale prawie żadna z dzisiejszych wsi i wiosek nie zna daty założenia swojego. Napróżno pytałbyś dzisiejszych jéj mieszkańców i właścicieli, kiedy powstała, kto ją założył, skąd się wzięła jéj nazwa? Tylko niektóre miasteczka posiadają dokumenta fundacyi i jakątaką znajomość swoich początków. One téż jedynie mogą posłużyć za wskazówkę w badaniach stopniowéj uprawy okolic naszych.

Przymnożenie się ludności i osad w pewnym okręgu wywołuje potrzebę miasteczka z odbywającymi się w niém targami, z jego przemysłem i rzemiosłami. Skoro w któréj okolicy powstaje miasteczko, znak to urośnięcia sąsiedniéj ludności i uprawy ziemi do tego stopnia, iż osadnicy mają coś sprzedać na targu i potrzebują kupić czegoś w miasteczku. Dopóki wymagania tego rodzaju nie dadzą się uczuć mieszkańcom, trudno spodziewać się w okolicy miasteczka. Przynosiło wprawdzie zakładanie miasteczek znaczne korzyści założycielom i bywało niekiedy z téj przyczyny podejmowane nazbyt skwapliwie. Nigdy jednak nie można było myśleć o założeniu miasteczka

bez dostatecznéj ludności sielskiéj w pobliżu. Stąd mnożenie się osad miejskich jest nam bardzo wiarogodną miarą wzrastania wiejskich i uprawy rolnéj całego kraju.

Przypatrzmy się dzisiejszym miastom i miasteczkom czerwonoruskim: jakże późno powstały prawie wszystkie z małym wyjątkiem! Z pomiędzy powiatowych miast dzisiejszéj austryackiéj Galicyi, które niegdyś należały do województwa ruskiego, bełskiego i podolskiego, tylko trzy stare grody, Lwów, Przemyśl i Sanok, znane były jako miasta za Kazimierza W. Wszystkie inne nastały dopiero za dalszych rządów polskich, po większej części na całkiém pustym gruncie. I tak Rzeszów i Stryj były małymi osadami, z których ostatnia dopiero za Władysława Jagiełły w roku 1431. nowe otrzymała zatwierdzenie. W miejscu dzisiejszego Sambora stało spustoszałe sioło Pohonicz, na którego gruncie wojewoda Spytko z Melsztyna około r. 1390. założył miasto Sambor. Złoczów należał w wieku XV. jako wioska do dóbr oleskich i wzniósł się dopiero za Sienieńskich, Górków, Sobieskich. Tarnopol winien swój początek sławnemu hetmanowi Janowi Tarnowskiemu, założycielowi miasta w r. 1540. Brzeżany urosły w miasto dziesięciu laty pierwéj za staraniem Sieniawskich. Żółkiew założył hetman Żółkiewski około r. 1597. na gruntach wsi Winniki. Trzeci z hetmanów-założycieli Stanisław Rewera Potocki około r. 1654. zbudował na gruntach wsi Zabłocie miasto Stanisławów i t. p.

Taksamo powstawały i miasteczka. Ledwie nie każdy z dawniejszych rodów polskich przyczynił się do uprawienia i zabudowania ziem ruskich fundacyą jakiegoś miasteczka. N. p. Tęczyńscy w r. 1605. założyli Toporów, około r. 1650. Podgrodzie w pobliżu Rohatyna. Sieniawscy oprócz Brzeżan r. 1552. wznieśli Prokopów czyli Wojniłów, r. 1549. Kałusz, r. 1578. Tustań czyli Chorostków, r. 1576. Oleszyce, około r. 1677. Sieniawę. — Zamojscy r. 1580. Zamość, r. 1615. Tomaszów, niegdyś Rogóżno, r. 1588. Krzeszów. — Żółkiewscy przed założeniem Żółkwi dali początek Brodom, około r. 1584. — Potoccy oprócz Stanisławowa założyli r. 1553. Suchostaw czyli Jabłonów, około r. 1570. Potok, r. 1676. Tartaków, około r. 1692. Krystynopol, r. 1715. Kuty. — Herburtowie ufundowali r. 1515. Podkamień, r. 1538. Kukizów, r. 1566. Dobromil. — Żurawińscy r. 1489. Bukaczowce, r. 1563. Jaryczów, około r. 1563. Żórawno. — Tarłowie za-

łożyli r. 1570. Mikołajów; Fredrowie r. 1580. Niemirów; Firleje r. 1570. Firlejów; Rejowie r. 1547. Rejowiec; Sienieńscy r. 1504. Pomorzany i t. d.

Podobnie powstały n. p. Leżajsk (1397), Hrubieszów (1400), Dunajów (1420), Sokal (1424), Rawa (1455), Komarno (1471), Kamionka Strumiłowa (1471), Założce (1516), Husiatyn (1559), Rozdół (1571), Janów (1611), Sasów (1615) i t. p.

Tyle miast i miasteczek przybyło województwom: ruskiemu, bełskiemu i jednemu powiatowi Podola w przeciągu trzech wieków pod rządem nowych dziedziców polskich. Zenitem téj skrzętności kolonizacyjnéj był wiek XVI.; wzmagała się ona w wieku XV., upadła w wieku XVII. Każde z licznie powstających miasteczek urastało z zasiłku i podniety nierównie liczniéj powstających dokoła wiosek. Ileż tych osad wiejskich mnożyło się wówczas tysiącami po całym kraju, lubo żadne dokumenta fundacyjne nie podają nam ani daty ich nastania ani nazwisk założycieli. Byli nimi w największéj części owi zamiłowani w rolnictwie przybysze szlacheccy z dalszych stron Polski, którzy nie tyle z ubóstwa, jak raczéj z niechęci ku innym zajęciom życia, a z wrodzonego pociągu do pracy na zagonie cisnęli się tłumnie w strony województw ruskich i zapewne w nierównie większéj połowie rękoma swoimi je przeorali, sprowadzoną przez siebie czeladzią zaludnili, założonymi swojém staraniem wsiami i miasteczkami zabudowali.

Zasługi ich wydadzą się nam tém większymi, jeżeli zważymy, jak często owoce długoletnich starań i zabiegów jedna niszczyła wojna, jeden niweczył najazd. Ile razy takie zagony tatarskie lub tureckie spustoszyły ze szczętem kraj, rozpędziły lub w jasyr zabrały ludność, uprowadziły wszystko bydło z dobytkiem, w perzynę obróciły mieszkania — tylekrotnie potrzeba było nowego osiedlenia, nowych ludzi, nowych trzód bydła, nowéj pracy około odbudowania spalonych chat i dworów. Wszystko przecież przemogła owa gorąca miłość zajęć rolniczych — wszystkiego dokazał ów pracowity pług polski który wraz z mieczem tak żywo ku sobie pociągał serca szlacheckie.

W braterskiéj zawsze zgodzie idzie tu ze sobą zamiłowanie w rycerskości z zamiłowaniem w rolnictwie — oręż z lemieszem! Szabla czyniła sobie zadość, broniąc Rusi od Tatarów, lemiesz uprawiał ją i osiedlił. Oba żelezca okryły się

w równéj mierze wawrzynami w tych stronach, a zasługa lemiesza przyniosła nawet trwalsze owoce od orężnych. Cześć więc orężowi i pługowi naszemu! Oba z chwałą dopełniły zadania swojego, oba też zarówno na uznanie zasługują w historyi.

Karol Szajnocha, (Szkice).

---

46. Wynalazek druku.

W połowie wieku XV. zrobiono w Europie wynalazek ogromnéj wagi, który się wielce przyczynił do rozwoju i postępu ludzkości: był to wynalazek druku.

Jan Gutenberg, opuściwszy z powodu zaburzeń rodzinne swe miasto Moguncyą (Mainz) i usiadłszy w Strasburgu, wpadł naprzód na pomysł wyrzynania na desce całych stronic książki, a potém wyrzynania osobnych wypukłych liter (czcionek) z drzewa bukowego (dla tego po niemiecku: Buchstaben). Wyrazy, ułożone z tych czcionek, posmarowane atramentem i wyciskane na papierze, mogły dać odrazu kilkanaście, kilkaset albo nawet kilka tysięcy jednostajnych odbić; tym sposobem każdą książkę można było odbić w kilkuset lub kilku tysiącach jednostajnych egzemplarzy bez żadnéj nowéj pracy, prócz podkładania czystego papieru i naciskania czcionek prasą. Sam Gutenberg wytłoczył w Strasburgu abecadło, ale mu brakowało pieniędzy do należytego urządzenia drukarni.

Wrócił więc do Moguncyi i tam zawarł spółkę z bogatym złotnikiem Fustem czyli Faustem, który zgodził się udzielać pożyczek na przedsiębiorstwo. Urządzono więc drukarnię i odbito łacińską biblią w dwóch tomach wielkości arkusza („in folio“) na 640 arkuszach pergaminowych. Jest to tak zwana Biblia Gutenbergowska, ukończona r. 1455 czy 1456.

Tymczasem inny złotnik, Piotr Szefer, zaczął robić ze stali formy na litery, za pomocą których można było odlewać bez wielkiego trudu z zupełną dokładnością same czcionki. Przyjęty na wyrobnika do drukarni, zwierzył on się ze swego pomysłu Faustowi, ten zaś namówił go do zachowania wynalazku w tajemnicy i postanowił sam prowadzić drukarnię.

Niespodzianie otrzymał Gutenberg wezwanie do zwrotu pożyczonych mu pieniędzy (z procentami 2.020 złot. guldenów). Ponieważ sumy téj, na owe czasy bardzo znacznéj, nie posia-

dał, więc Faust wygrał sprawę w sądzie i zabrał całą drukarnię jako swoję własność.

Stroskany Gutenberg nie wiedział, co począć. Jeździł do Strasburga, to znowu wracał do Moguncyi, aż nareszcie przy pomocy jednego ławnika urządził drugi zakład drukarski. Zresztą obie drukarnie utrzymywały wynalazek w ścisłéj tajemnicy; dopiero w r. 1462., gdy w czasie oblężenia Moguncyi spalił się zakład Fausta, wyrobnicy, postradawszy zarobek, rozbiegli się po innych miastach i roznieśli nową sztukę po całéj Europie. Ku końcowi wieku XV. każdy kraj miał już swoję drukarnię.

Druk stał się potężną dźwignią oświaty.

Dawniéj każdą książkę trzeba było przepisywać; na przepisanie obszernego dzieła niejeden mnich pracowity poświęcał całe życie. Pomijając tę niedogodność, że rękopisy zwykle bywały skażone mnóstwem omyłek, wynikało stąd inne złe, że książka stawała się własnością klasztorną i trudną do nabycia. Przy całém zamiłowaniu do nauk cesarz Karol IV. mógł zgromadzić zaledwo 114 dzieł. Biblia kosztowała 400—600, Liwius 120 złotych guldenów. Po wynalezieniu druku ceny książek odrazu zaczęły spadać i już Faust sprzedawał swoję biblią po 100 zł. guldenów; dziś Towarzystwa biblijne dostarczają nam Stary i Nowy Testament po 2 grosze za egzemplarz.

Przy obfitości i taniości książek nauka, wyszedłszy z cieśni uniwersytetów, szerzyła się pośród mas, oświecała całe ludy; każdy nowy pomysł, każde nowe dzieło obiegało w ciągu lat kilku całą Europę; uczeni różnych krajów mogli porozumiewać się, toczyć spory naukowe z cudzoziemcami, wywierać wpływ rozległy — posługując się tylko sztuką drukarską.

Śmiało można powiedzieć, że wynalazek Gutenberga silniejsze wywarł wrażenie na rozwój myśli ludzkiéj, niż koleje żelazne na przemysł i handel naszego wieku.

Tadeusz Korzon.

---

47. Królewny-sieroty.

Ze śmiercią Zygmunta Starego zgasła świetność królewskiego dworu w Krakowie. Chciwa i samolubna królowa Bona nie chciała ani nie umiała skupić dokoła siebie dozostałéj

rodziny, a kiedy w parę lat potém jeszcze i zgon Barbary Radziwiłłówny ciężką żałobą okrył Zygmunta Augusta i królewski dwór jego, smutny odtąd był los pozostałych królewien Anny i Katarzyny.

Wkrótce jednak nastały dla nich dni jeszcze smutniejsze. Obie przyzwyczajone były do obojętności matki, a przecież w głębi serca żywiły może nadzieję, że kiedyś, prędzéj czy późniéj, matka dla nich czulszą się stanie i otoczy je macierzyńską opieką. Tymczasem kobieta owa bez serca wyrzekła się syna, wyrzekła się córek i, zabrawszy ogromne skarby, wyjechała z Polski na zawsze. Możemy sobie wyobrazić zawód i żal królewien.

Współczesne pióro pozostawiło nam szczegółową wzmiankę o rozstaniu się Bony z córkami. Królewny zalały się gorzkimi łzami, bo przeczuwały, iż matki nigdy już nie ujrzą i że dla nich zaczyna się nowy okres życia, może równie smutny, jak dotąd, a może i cięższy od dni przebytych. Odjazd ten był dla nich jakby pogrzebem, usuwającym z przed ich oczu oblicze matki na zawsze; z jéj oddaleniem się gasły dla nich słabe iskierki nadziei, by w samolubném sercu téj kobiety roztlała kiedy owa miłość macierzyńska, któréj córki oddawna a napróżno wyglądały. „Królowa — czytamy w owém świadectwie — pożegnała obie panienki, gorzkimi zalewające się łzami, nie dawszy im tylko po jednym pierścieniu, łzy nie wypuściwszy sama z oczu“.

Odtąd jeszcze smutniéj potoczyły się dni żywota osierociałych królewien. Łzy owe „gorzkie“ oschnąć już nigdy nie mogły, przynajmniéj na czas dłuższy. O czułe serca obu ostatnich Jagiellonek wciąż biły burze klęsk licznych i zmartwień, trudnych do przebolenia, a brzemię życia długo i ciężko nieraz gniotło ich barki, stworzone, jak się zdawało, tylko do dźwigania purpury.

Ale na tém ciemném tle nieszczęść i sierocéj doli niezwykle pięknie przedstawia się charakter obu Jagiellonek. Szczególnie ujmuje nas wzajemne przywiązanie sióstr do siebie i do brata. Głęboko wkorzenione przekonanie o konieczności zachowywania węzłów rodzinnych, a przytém uczucie miłości rodzinnéj, wysoce rozwinięte, zniewalało królewny do utrzymywania ciągłych ze sobą stosunków, nawet tam, gdzie same okoliczności temu nie sprzyjały. Biegały przeto listy to do Węgier do najstarszéj siostry Izabelli, to

do Brunświku do drugiéj siostry Zofii, żony tamtejszego księcia. Pragnęły osobistego widywania się ze sobą, ale warunki ich bytu królewskiego czyniły to zbyt trudném, a oddalenie i niełatwe na on czas środki komunikacyjne prawie niepodobném. Wyrwało to im z piersi niejedno pewnie westchnienie. „Pan Bóg — pisze Izabella, królowa węgierska — nie dał nam tego, co dał niższym stanom, iż kiedy zechcą, mogą być u siebie na obiad, a my tylko przez listy, i te nie dosyć rychło do nas dochodzą“.

W kilka lat potém przyszła wieść, iż ciężko zaniemogła Izabella, królowa węgierska, którą one — jak się wyrażają— „pozbawione prawdziwéj matki, uważały i czciły razem jako matkę i siostrę“. Wieść ta srodze strapiła obie królewny, a gdy wreszcie królowa Izabella zstąpiła do grobu, „żal tylko zostawując po sobie“, Anna i Katarzyna, złamane smutkiem, szukały ukojenia w modlitwie, w umartwieniach ciała i innych praktykach religijnych. Posty nawet, zbyt ściśle zachowywane, a prawdopodobnie i owe ciężkie zmartwienia sprowadziły na obie królewny jakąś chorobę, jak się dowiadujemy z listu samego króla.

Najtkliwszy jednak był wzajemny stosunek obu ostatnich Jagiellonek, Anny i Katarzyny. Anna z macierzyńską prawie troskliwością opiekowała się młodszą swą siostrą; dla niéj skłonną była nawet do poświęceń. Kiedy królewicz szwedzki Jan oświadczył się o rękę Katarzyny, król zaś Zygmunt August pragnął, ażeby Anna jako starsza miała pierwszeństwo: ona sama dla siostry zrzekła się tych praw pierworodztwa. Kiedy przeto król (w sierpniu r. 1562.) chcąc stanowczo sprawę małżeństwa załatwić, wszedł do komnaty królewien i zapytał, co ma czynić, Anna, idąc za popędem zwykłéj swéj szlachetności, zrzekła się prawa starszeństwa w wychodzeniu zamąż. Król tedy zapytał Katarzyny, czy ma wolę oddania swéj ręki księciu finlandzkiemu Janowi? Wobec pytania, tak jasno i stanowczo uczynionego, zawahała się Katarzyna; krok stanowczy przerażał ją. Tłómaczyła się z drżeniem w głosie, iż stosunki obecne zadowalają ją najzupełniéj i że pragnie na zawsze pozostać w stanie panieńskim. To ostatnie wyznanie znać zupełnie sprzeczném było z tém wszystkiém, co siostry ze sobą o tym projekcie mówiły, gdyż Anna zawołała:

— A wszakżeś przede mną przyzwoliła, a cóż po inszéj mowie teraz?

Kochające serce Anny pragnęło w ten sposób przyśpieszyć pomyślne załatwienie téj sprawy, mniemając, że wyjście za mąż otwiera dobę pomyślności dla Katarzyny. Zwracając się więc śpiesznie do króla, dodała:

— Przyzwoliła, Miłościwy Królu; nie racz już więcéj pytać.

W kilka tygodni potém, dnia 4. października 1562. r., odbył się ślub królewny Katarzyny z królewiczem Janem księciem finlandzkim.

Odtąd jeszcze smutniejsze, bo samotne było życie królewny Anny. Przykrość tego osamotnienia powiększyły wkrótce wieści o ciężkich kolejach życia biednéj Katarzyny. Nikt pewnie tyle nad tém nie bolał, co królewna Anna.

Ale późniéj, kiedy Katarzyna została już królową szwedzką, królewna Anna nie tylko mogła się cieszyć powodzeniem siostry, ale nadto syna jéj Zygmunta wprowadziła na tron polski. Wedł. *Maryana Dubieckiego,*

(Katarzyna Jagiellonka).

48. Katarzyna Jagiellonka w niewoli.

Jeszcze w Abo, w uroczym zamku księcia finlandzkiego Jana Wazy, odbywały się wspaniałe uczty i zabawy, będące niejako dalszym ciągiem godów weselnych, w Wilnie odprawionych, gdy w stolicy szwedzkiéj burzliwe myśli wstrząsać zaczęły chorobliwym umysłem króla Eryka. Zaczęły się wtedy Erykowe przywidzenia i coraz to bardziéj wzrastające przypuszczenia, iż książę Jan, poślubiwszy królewnę polską Katarzynę Jagiellonkę, przy pomocy króla Zygmunta Augusta dąży do oderwania Finlandyi od Szwecyi lub nawet do obalenia króla. Znalazł téż Eryk stosownych doradców, którzy rozniecali jeszcze bardziéj płomień jego nienawiści i szerzeniem obaw, zręcznie nasuwanych, zwiększali objawy jego chorobliwego usposobienia.

Na następstwa podejrzeń i gniewu Eryka nie długo czekano. Kazał się on stawić bratu w Sztokholmie dla zdania sprawy ze swych kroków; podejrzywał go o tajemne knowania z Danią i Polską. Książę nie usłuchał wezwania. Przyszło więc do jawnéj niezgody pomiędzy braćmi. Zima r. 1562. na 1563. przeszła na niesnaskach, które się wreszcie

na wiosnę następnego roku przedzierzgnęły w otwartą wojnę. Ale siły obu stron nie były równe. Wkrótce przekonał się książę Jan, że nie może polegać na Szwedach ani na Finlandczykach. Katarzyna w pierwszéj zaraz chwili doradzała mężowi opuścić Finlandyą i w Polsce szukać schronienia i pomocy; ale książę Jan nie usłuchał zrazu téj rady. Wkrótce jednak myśl ucieczki do Polski okazała się spóźnioną, gdyż flota Eryka odcięła odwrót. Jakiś czas bronił się książę dzielnie w zamku swoim Abo; ale widząc, iż dłuższa obrona byłaby niemożliwą, poddał się wreszcie zwycięzcy.

W dziesięć tedy miesięcy po opuszczeniu Wilna dostała się Katarzyna Jagiellonka wraz z mężem i całym swym polskim dworem w niewolę króla Eryka. Całe grono jeńców wyprawiono natychmiast do Sztokholmu.

Dzikie myśli Eryka, krążąc ciągle w kole krwawych widziadeł, wywoływały szereg rozkazów coraz groźniejszych, by niewolę brata i bratowéj uczynić cięższą. Rozkazy te, wydawane w chwilach szału, a spełniane niewolniczo, oprócz niewygód i trosk wywoływały wielkie poniewieranie osób i uczuć dostojnych więźniów. Wykonawcy rozkazów prześcigali się niejako w srogościach; deptano wszystkie uczucia ludzkie, zapominano o względach należnych nieszczęściu kobiety, która dzieliła tylko los męża, a daleką była od posądzeń, nawet o tę rzekomą zbrodnię stanu, którą na barki księcia Jana wtłaczano.

Srogość żołnierzy Erykowych była tak wielką, iż nie tylko pozbawiono księżnę Katarzynę i jéj męża wszelkiego mienia, ruchomości, kosztowności, sług i dworzan, ale nawet nie wpuszczono ich do stolicy, lecz wysadzono na wyspę skalistą, pustą, wystawioną na jesienne wichry skandynawskich pobrzeży. Z żagli zrobiona kotara była jedyną osłoną nieszczęśliwych jeńców, póki nie rozstrzygnął się ich los, gdzie i w jaki sposób mają być osadzeni.

Tutajto, na téj dzikiéj skale, pod osłoną płachty żaglowéj, stanęli przed księżną Katarzyną wysłańcy króla Eryka z żądaniem, by męża jako oskarżonego o zdradę stanu opuściła, sama zaś albo do Polski powróciła albo, gdzie jéj się podoba, w Szwecyi na własny koszt osiadła.

Z wielką siłą woli odrzuciła Katarzyna to żądanie, a kiedy posłowie zagrozili, że jeżeli nie opuści wnet męża, będzie z nim więzienie dzieliła, ona zdjęła z palca pierścień,

na którym był napis łaciński: „Których Bóg połączył, człowiek nie rozdzieli“, a patrząc nań ze łzami w oczach, tak rzekła:

— „Nie opuszczę męża, jakakolwiek nań kaźń i przygoda przyjdzie!... Co Bóg złączył, człowiek nie rozłączy!... Niewiastą jestem, ale mam umysł i serce odważnego męża. Przysięgłam księciu Janowi miłość i przyjaźń do śmierci, przysięgi téj wiernie i statecznie dochowam. Zarówno żyć z nim, jak ginąć jestem gotową; w szczęściu i w niedoli — zawsze będę jego małżonką. Najsroższe postrachy ani żadne ułudne nadzieje nie odłączą mnie od niego... Może mi więc król grozić, ale oderwać od męża mego nie może!“

Tak przemawiała najmłodsza latorośl Jagiełłowego szczepu, a w słowach tych przebija się obok uczucia dla męża także pamięć na obowiązki żony chrześcijanki i kobiety, pochodzącéj ze społeczeństwa, które zawsze wysoko ceniło cnoty domowe. Słowa te nie były téż próżnym dźwiękiem; za nimi szedł czyn i to czyn nie jednéj chwili, lecz całych lat strapień, ciężkich do przebycia dla każdego, a tém bardziéj dla kobiety, która pochodziła z tak potężnéj naonczas rodziny królewskiéj.

Wierząc mężowi i posiadając zupełne jego zaufanie, mniemała Katarzyna, iż może być świadkiem w jego sprawie i że świadectwem swém na postanowienie króla szwedzkiego wpłynie. Nie brała biedna kobieta w rachubę wrodzonéj tego szaleńca przewrotności i skłonności do okrucieństw. Kiedy przeto jeden z posłów wspomniał o ciężkiéj winie jéj męża, ona, ufna w to, iż może coś polepszyć we wspólnéj niedoli, tak rzekła:

— „Zawinił mój mąż, mówicie; toć i ja jako jego żona świadomą jestem najskrytszych jego tajemnic... To jednak na przestrogę królowi Erykowi daję; wiadomą mi jest dokładnie niewinność mojego męża: niechże król pamięta, że niewinność ma swoję opiekę i obronę u króla nad królami!“

Wielką tę moc ducha czerpała Katarzyna z uczuć religijnych, które były przewodnią gwiazdą w życiu wszystkich naszych Jagiellonek. Pełna wiary głębokiéj, mówiła Katarzyna do sług i urzędników królewskich, iż „jeszcze Pan Bóg jako z lwiéj paszczy, tak z mocy a srogości onego tyrana wybawić ich raczy“. Ta wiara, z rodzinnéj kolebki, z murów

Wawelu wyniesiona, dźwigała ją potężnem ramieniem z otchłani zwątpień, chroniła ją od rozpaczy.

I nie zawiodła jéj tak silna wiara, w Bogu położona. Wprawdzie zrazu jeszcze cięższe nastały dla niéj czasy, kiedy zamknięto ją z mężem w odludnym i ponurym zamku gripsholmskim, w szczupłéj izbie więziennéj, bez żadnych wygód, bez żadnych nawet względów na jéj zdrowie, jednakże po czterech latach tak ciężkiego więzienia, nie tylko odzyskała Katarzyna wolność, lecz nawet zmieniły się role: Jan z więźnia stał się królem, Eryk zaś skutkiem jawnego szaleństwa zstąpił z tronu do więzienia. Dnia 20. czerwca 1569. ukoronowano księcia Jana w Upsali jako króla szwedzkiego Jana III. Korona, którą wtedy uwieńczono i Katarzynę, miała zatrzéć w jéj pamięci cztery lata niewoli i niedoli.

Wedł. *Maryana Dubieckiego*,
(Katarzyna Jagiellonka).

---

49. Małgorzata de Carteret.

Nazwisko Małgorzaty de Carteret jest na wyspie Jersey znane każdemu mieszkańcowi.

Zdzierstwa i okrucieństwa Bakera, namiestnika wysp normandzkich za Henryka VII., króla angielskiego, rzuciły popłoch na całą ludność; namiestnik, otoczony żołdactwem, dopuszczał się największych bezprawi, terroryzm zapanował wszędzie. Starożytne, jeszcze z czasów Jana bez ziemi pochodzące, autonomiczne zgromadzenia zwoływane były tylko na to, aby uprzedzać wolę i kaprysy dzikiego Anglika.

Ale gdy się czara po brzegi napełniła goryczą i nikt nie śmiał słowa powiedzieć wolnego, stał się fakt pamiętny, złotymi literami zapisany w kronikach wyspy.

Na zgromadzeniu najznakomitszych obywateli, którzy zwyczajem normandzkim mieli potwierdzić sukcesyą kilku własności ziemskich, powstał poważny, powszechnie szanowany starzec, Filip de Carteret, i w obecności namiestnika zażądał głosu.

Pan na Saint-Ouen, bo to było lenno Filipa, rzekł zaraz na wstępie, że czuje zbliżającą się starość i chce stanąć przed trybunałem Najwyższego Sędziego z zupełnie czystém sumieniem. — Sumienie zaś niepozwalało mu przemilczeć zbrodni, gwałtów i nadużyć, jakich się dopuszcza królewski namiestnik,

i nie uczynić wniosku na uproszenie króla, aby odwołał człowieka, który tyle krzywd wyrządza wyspie, wiernéj dotąd angielskiemu tronowi. Starzec wyliczył krzywdy, z których każda wystarczała, aby ciężko oskarżyć Bakera. — W zgromadzeniu zapanowała cisza i obawa. Podziwiano odwagę starca.

Gdy Filip skończył, podniósł się Baker, krew mu biła do głowy, a usta z gniewu się pieniły. Mówił krótko, a mowa jego nie była usprawiedliwieniem, ale szeregiem przekleństw. Po nim nikt się nie odezwał, nikt nie śmiał poprzéć wniosku Cartereta. Baker téż wyszedł, a opuszczając zgromadzenie, nie umiał nawet o tyle nad sobą zapanować, aby nie powiedzieć przytłumionym głosem: „Poczekaj starcze, zemścić się potrafię!“

I zemsta szybcéj nadeszła, aniżeli się jéj spodziewano. Baker kazał sfałszować list, jakoby pisany ręką Cartereta, a wzywający przeciw Anglikom francuskiéj pomocy. — Podrzucone pismo znaleziono na ulicy, namiestnik zamknął podejrzanego o zdradę stanu do zamku w Montorgueil, a dawnym zwyczajem publiczna walka pomiędzy oskarżonym a oskarżycielem miała udowodnić winę lub — niewinność.

Baker się jednak już o to postarał, aby Carteret uległ w stanowczéj chwili. Zamknął on go w wieży, we framudze, którą do dzisiaj pokazują; starzec miał za mało miejsca, aby stać, i za mało, aby leżeć, musiał więc siedzieć skulony w wilgoci, bez światła, o chlebie i wodzie. — Więzienie się przeciągało, siły starca opadały, a przeciwnikiem jego w turnieju miał być Roger le Bouteiller, młody żołnierz, którego Baker podstawił jako oskarżyciela.

Aby się ulegalizowane morderstwo powiodło zupełnie i przyjaciele Cartereta nie udali się do monarszéj łaski, postanowił namiestnik popłynąć na kilka dni przed zapowiedzianą walką z Rogerem do Anglii i całą rzecz tak królowi przedstawić, jak tego było potrzeba. Do swego zaś powrotu zakazał komukolwiek opuszczać wyspę.

Tyran jednak zapomniał, że Carteret miał za żonę niepospolitą kobietę, Angielkę z rodu.

Na dwanaście godzin przed odpłynięciem namiestnika do Anglii walczyła z falami mała barka, starając się dobić do Guersney. Chyba szaleńcy poważyli się wypłynąć w ciemną noc jesienną na tak niebezpieczne morze! — Nie, nie szaleństwo, ale poświęcenie kobiety miało wiosło w ręku, wioślarką

była pani de St. Ouen, pomagał jéj wierny służący. — Małgorzata de Carteret płynęła do przyjaciela rodziny, do pana de Beauvoir, który jéj dał statek do Anglii.

Gdy Baker dopływał do portu w Southampton, Małgorzata klęczała już przed królem, prosząc o odroczenie nierównéj walki pomiędzy więźniem z Montorgueil a wysłannikiem Bakera, błagając o zbadanie rzeczy przez ludzi prawych i cnotliwych.

Król był łaskaw na panią z St. Ouen, a kobieta nie traciła czasu, ale wybrała się natychmiast z powrotem do Jersey, każde bowiem opóźnienie mogło ją pozbawić męża, ojca dwunastu niedorosłych synów.

Na wyspie wszystko już było przygotowane do turnieju. U stóp skały zamkowéj, w dzisiejszém Gorey, wytknięto plac boju na 19 *m* długi i na 13 *m* szeroki. Grube szranki otaczało pole i tylko na przeciwległych krańcach dwie pozostawiono bramy, którymi wjechać mieli zapaśnicy: wynędzniały starzec, który od kilku miesięcy nic nie jadł oprócz chleba i nie pił oprócz wody, i silny żołnierz, na ludzkiéj wykarmiony krzywdzie. Poza szrankami ustawiono trybuny, na nich oczekiwała zniecierpliwiona publiczność, uwielbiająca ojca narodu — Cartereta...

Za chwil kilka walka się już miała rozpocząć, gdy spostrzeżono jeźdźca, pędzącego od St. Helier, i usłyszano głośne wołania.

Tym jeźdźcem była pani de Carteret, wioząca pismo królewskie, odraczające zbrodniczy pojedynek.

Publiczność przełamała szranki, echo radosnych okrzyków odbiło się o zamkową skałę; ale radość zmieniła się niebawem w oburzenie, bo na placu turniejów spostrzeżono zasadzki, rowy, lekko ziemią przykryte, na których się miał potknąć koń Cartereta. Zbrodnia niedowierzała orężowi, nawet w tak słabych jak Cartereta ręku.

Był to na Jersey ostatni „sąd przemocy“, który się średnim wiekom „sądem Bożym“ nazywać podobało.

Henryk VII. podpisał dwa rozporządzenia, ograniczające władzę namiestnika do rzeczy ściśle wojskowych, nie pozwalające mu się mieszać do sądownictwa, i polecił swemu zastępcy szanować dawne prawa, zwyczaje i przywileje wyspy pod karą „królewskiéj niełaski“. *H. Chłędowski,*

(Dwie wizyty w Anglii.)

50. Szlachetne przebaczanie uraz.

Król francuski Henryk IV. położył wielką zasługę około podniesienia dobrobytu we Francyi. On to mawiał, iż „radby doprowadzić do tego, by każdy wieśniak w jego państwie miał w niedzielę kurę w garnkn“.

W usiłowaniach tych króla i wogóle w zarządzie państwa prawą jego ręką był minister Sully, znakomity mąż stanu, a wierny i szlachetny jego przyjaciel. Bez niego Henryk nic nie przedsiębrał.

Sully zawsze otwarcie mówił mu prawdę, a ganił każdy niewłaściwy jego postępek. Niecierpliwiło to nieraz króla, ale nie na długo, bo wkrótce przekonywał się o słuszności uwag ministra i tém serdeczniejszą okazywał mu przyjaźń. „Są krótkowidze — rzekł Henryk pewnego razu — którzy myślą, że jeśli z Sullym w czém się poróżnię, nieporozumienie to potrwa długo. Nie! bo gdy się zastanowię, że ilekroć nie zgadza się ze mną lub sprzeciwia méj woli, czyni to dla mojego dobra i honoru, tém więcéj za każdym razem rośnie moje do niego przywiązanie i szacunek; a wówczas niecierpliwię się, gdy mu tego natychmiast nie mogę powiedzieć.“

Zawiść dworaków usiłowała nieraz korzystać z takich chwil nieporozumienia, aby złamać wpływ potężnego ministra, ale napróżno. Pewnego razu Sully tłómaczył się przed królem z zarzutów sobie poczynionych. Ten, nie słuchając tłómaczenia, najuprzejmiéj go przyjął. Wzruszony tém zaufaniem minister, chciał się rzucić do nóg królowi; ale Henryk, widząc stojących zdala panów dworskich, powstrzymał go, mówiąc: „Daj temu pokój! Ludzie ci — dodał, wskazując na dworzan — gotowi myśleć, że na prawdę mam ci co do przebaczenia.“

W jakiś czas potém Sully zganił pewien niesprawiedliwy postępek króla tak stanowczo, że ten gwałtownym zawrzał gniewem, a zerwawszy się nagle z siedzenia, odszedł.

— To naprawdę nieznośny człowiek — wołał król gniewnie; — zawsze się tylko sprzeciwia i gani każdy mój uczynek. Ale, jak mi Bóg miły, już tego nadto! Potrafię go zrobić posłusznym! Przez dwa tygodnie widzieć go nie chcę!

Nazajutrz o godzinie siódméj siedział Sully przy stoliku, od paru już godzin pracując dla swego pana, gdy wtém słyszy kołatanie do drzwi.

— Kto tam? — zawoła.

— Król — odpowiada głos z za drzwi.

W téj chwili wchodzi Henryk, chwyta przyjaciela w ramiona i mówi:

— Jeżelibyś mi się nie sprzeciwiał, uwierzyłbym, żeś przestał mnie kochać!

Wedł. *Z. Sawczyńskiego.*

---

51. Z życia Gustawa Adolfa.

Gustaw Adolf, król szwedzki, będąc prawdziwym narodu swego ojcem, zjednał sobie u niego uszanowanie i miłość; dlatego nieraz powtarzał, że mógłby bezpiecznie spać w domu każdego ze swoich poddanych. Bywał on wprawdzie prędkim i gwałtownym niekiedy wybuchał gniewem; ale wolnym będąc od fałszywéj dumy, skoro ochłonął, nigdy nie omieszkał zadość uczynić temu, komu w gniewie przykrość wyrządził.

Pewnego razu, podczas przeglądu wojska, złajał dotkliwie znanego z dzielności pułkownika Seatona; a gdy ten w gorących bronił się słowach, król zapomniał się do tego stopnia, że pułkownika uderzył. Znieważony, w téj chwili za służbę podziękowawszy, do Danii przenieść się postanowił.

Ale zaledwie Seaton opuścił Sztokholm, a już król, przybrawszy oficera i kilku sług wiernych, za nim w pogoń się udał. Dopędziwszy go tuż za granicą Szwecyi, zastąpił mu drogę i rzekł:

— Zatrzymaj się, Seaton! Skrzywdziłem cię, wyznaję, i dlatego przybywam, aby ci jako szlachcicowi dać zadośćuczynienie. Jesteśmy poza granicami Szwecyi. Gustaw i Seaton są tu równi. Obaj mamy ze sobą pałasze i pistolety; wybieraj! załatwimy tu natychmiast sprawę!

Na te słowa pułkownik zapomniał wszelkiéj do króla urazy i rzucił mu się do nóg, rozrzewniony.

— Boże mnie uchowaj — zawołał — abym pałasza dobył na tak dzielnego, szlachetnego i łaskawego pana. Wybacz mi, miłościwy Panie, nagłe moje postanowienie i pozwól powrócić do Sztokholmu, abym, tobie służąc, żył i umierał!

Gustaw wzruszony podniósł go z ziemi i serdecznie uściskał, poczém pojednani przyjaciele powrócili razem do stolicy.

Wedł. *Z. Sawczyńskiego.*

---

52. Śmierć Stefana Czarnieckiego.

Styczeń roku 1665. stał się najpamiętniejszym miesiącem w życiu Stefana Czarnieckiego. Prawie jednocześnie w pierwszych dniach tego miesiąca podpisał król przywiléj na upragnioną od tylu lat buławę i ugodził go śmiertelny cios z ręki nieprzyjaciela.

Chory hetman próbował leczyć się w swoim własnym majątku ukraińskim, w nadanych mu od króla Ilińcach. Podeszłe jednak lata, sterane ciągłymi znojami siły nie dozwalały zagoić się ranie w Ilińcach. Ze zmarszczoném od bolów i gniewu czołem musiał starzec dać się wsadzić na sanie i wieść na leki do Lwowa.

Ciężka była droga wśród zimy stepami ukraińskimi, bez dostatecznéj pieczy lekarskiéj. Pogorszał się téż codziennie stan choroby, zatrważała coraz większa gorączka z rany. Nie mógł chory znieść już jazdy w saniach, kazał przeto nieść się daléj na noszach.

W tak smutnym pochodzie spotkał się orszak podróżny około 4. lub 6. lutego z nadbiegającym z Warszawy gońcem. Niósł on Czarnieckiemu list króla Jana Kazimierza i przywiléj na buławę polną koronną po Jerzym Lubomirskim. Kiedy mu jedno i drugie doręczono, odczytał chory pismo królewskie, a potém obrócił się ku przytomnym i rzekł: „Zawszem się tego spodziewał, że mi król da buławę natenczas, kiedy ja ustanę wojować. Gdyby Bóg łaskawy użyczył życia i zdrowia, okazałbym wdzięczność J. K. M. za wyświadczoną łaskę, aniby król żałował tego, że mi dał buławę. Jeśli zaś przyjdzie umrzéć, przynajmniéj na nagrobku napiszą, żem był hetmanem.“

W kilka dni potém stanął hetman w granicach województwa ruskiego, w warownem mieście Brodach, siedzibie swego niegdyś pana i mistrza Koniecpolskiego. Tém zbliżeniem się ku pamiątkom swojéj przeszłości, ku niezbyt dalekiéj już Czarńcy, ku podwójnie osamotnionéj tam żonie, bo i po mężu i po obudwóch za mąż wydanych córkach tęskniącéj, zbliżył się chory także do ostatecznego kresu swojéj podróży. Już tylko dziesięciomilowa odległość przedzielała go od Lwowa i od spodziewanéj tam ulgi cierpieniom. W jednym, w dwóch dniach można było spocząć u celu. Użyto

więc wszelkich starań, aby ułatwić choremu ostatnie trudy podróży, i w imię Pańskie ruszono z Brodów ku Lwowu.

O milę za Brodami, na dawnym trakcie lwowskim, leżało i leży ubogie miasteczko Sokołówka. Była ona już wówczas osadą miejską, lecz bądźto dla jéj skromnego widoku, bądźtéż z niewiadomości nazywano ją czasem wioską. W każdym razie nie było potrzeby ani możności zatrzymywać się z chorym w biednéj mieścinie. Lubo więc choroba coraz widoczniejszém groziła niebezpieczeństwem, kazał się hetman złożyć na nosze i puszczono się w drogę do Lwowa.

Była to niedziela, dnia 15. lutego. Tylko chęć ocalenia rannego ośmielała do podjęcia podróży w porę świąteczną. Ale już za miasteczkiem okazało się niepodobieństwo dalszego pochodu zasypaną śniegami drogą, wśród zwyczajnych o téj porze zamieci. Każdy krok naprzód narażał chorego na zabójcze uderzenia wichrów ze śniegiem, a on sam coraz bardziéj wątlał na siłach. Każdéj chwili mógł oddać ducha, skonać wśród burzy zimowéj w polu, niepocieszony błogosławieństwem ostatniém. Przyszło rozstać się z myślą dowiezienia umierającego do Lwowa i, przynajmniéj dachu do skonania szukając, wrócić nazad pod pierwszą lepszą strzechą miasteczka.

Ta ostatnia próba tak dalece wysiliła chorego, iż za każdym krokiem oczekiwano w istocie jego zgaśnięcia. Owszem, nie było już czasu szukać najdogodniejszego schronienia, lecz musiano w najbliższe pośpieszać progi. Jakaś uboga chata miasteczka otworzyła się ostatnim przytułkiem bohaterowi. Tylko kilka osób z orszaku mogło zmieścić się w niéj przy hetmanie, reszta miała stanąć w domkach pobliskich. Tamże i ulubionemu rumakowi hetmańskiemu tymczasowe gotowano schronienie. Ale nawet przed zgonem nie zdołał hetman rozstać się z wiernym towarzyszem tylu wypraw zwycięskich i, kazawszy przywołać masztalerza, zalecił mu najtroskliwszą pamięć o koniu. Wprowadzono go do téjsaméj chaty, co pana, i ustawiono w sieni przy żłobie. A wierny tarant, jakby rozumiał, co się dzieje, wydocznymi znakami żalu odwzajemniał przychylność pańską. Gdy chorego w głównéj komorze chaty złożono, koń nie chciał nic jeść ani pić, nogami w ziemię bijąc, wzdychał i jęczał, a na wchodzących oglądał się, jakby stworzenie rozumne.

W świetlicy tymczasem uroczysta odbywała się scena. Czując się bliskim chwili ostatniéj, zawezwał hetman księdza Dąbrowskiego, swego od lat wielu kapłana. Przystąpił duchowny towarzysz najodleglejszych wypraw hetmańskich i wysłuchał grzechów chorego. Po spowiedzi polepszyło się hetmanowi. Jeszcze do dnia jutrzejszego snuć się miała słaba nitka żywota. Zdala od świata i rodziny, zdala od pola sławy i zwycięskich sztandarów, wśród modłów i, cichego oczekiwania kilku towarzyszów rycerskich — minęła bohaterowi ostatnia smutna noc w Sokołówce.

Nazajutrz w poniedziałek odprawił ksiądz Dąbrowski mszę ranną i dał wiatyk choremu. Tyleż jedynie było mu potrzeba jeszcze na ziemi. Wkrótce po przyjęciu komunii św. skonał.

Za hetmanem zaś poszedł niebawem i wierny rumak. Poczuł śmierć pańską i upadłszy stękając, zdechł — nie chcąc innego cierpieć jeźdźca.

Osieroconemu dworowi hetmańskiemu pozostało tylko odwieść zwłoki do Czarńcy. Tam to według powszechnego zwyczaju miały one spocząć w grobach rodzinnych. Najpierwéj jednak wyprawiono gońca do króla z wiadomością o śmierci, a w odpowiedzi na to przybył rozkaz królewski, aby ciało hatmańskie dla uczczenia go wielką uroczystością pogrzebną sprowadzono do Warszawy. Nastąpiło to około 8. marca 1665. roku.

Dopiero potém odwieziono zwłoki do Czarńcy.

Karol Szajnocha,
(Szkice historyczne).

53. Matka Washingtona.

Pomiędzy niewiastami, na które w wielkiéj części spływa sława ich synów, zajmuje matka Washingtona jedno z pierwszych miejsc. Pochodziła z Wirginii; rodzina jéj była jedną z najsławniejszych w całym kraju, a pobożność, uczciwość i niezmierna wytrwałość w raz przedsięwziętéj pracy wyróżniały ją zawsze z pośród wielu innych. Wszystkie te przymioty w wysokim stopniu posiadała Washingtonowa i w tym duchu dzieci swoje wychowywała. Gdy syn jéj Jerzy skoń-

czył lat 15, chciał wstąpić do marynarki kupieckiéj, ale matka sprzeciwiała się temu stanowczo.

— „Powinieneś pozostać w kraju“, mówiła, „aby wraz z ziomkami pracować nad utrwaleniem pomyślności twéj ojczyzny; na ten cel poświęcić winieneś wszystkie twoje siły“.

Jerzy więc pozostał. Wkrótce rozpoczęła się wojna Anglii ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnéj. Anglicy opanowali New-Jersey. Washington, który jako dowódca stał ze swoimi po drugiéj stronie rzeki, natychmiast ją przebył, a świetne jego zwycięstwo dnia tego stanowczo wpłynęło na losy młodéj Rzeczypospolitéj. Przyjaciele wodza tłumnie śpieszyli do matki jego; każdy chciał być pierwszym zwiastunem téj wieści szczęśliwéj i powinszować, że jest matką takiego syna. Radowała się razem z nimi, ale gdy ci czyny Washingtona pod niebiosa wynosić zaczęli, rzekła im z wielką prostotą:

— „Zakrawa to na pochlebstwo, moi panowie! Jerzy, spodziewam się, że nie zapomni zasad, jakie w duszę jego wpoić się starałem, i wie, że nie jest niczém więcéj, jak tylko prostym obywatelem kraju i że mu Bóg tylko więcéj szczęścia użyczył, aniżeli innym“.

Coraz daléj posuwali się Amerykanie, wkrótce już i Kornwallis był w ich ręku. Gdy wiadomość ta doszła do pani Washingtonowéj, zawołała, zapominając w téj chwili o sławie syna:

— „Dzięki Bogu, będziemy więc mieli pokój!“

Washington przez bogate ożenienie stał się jednym z najzamożniejszych obywateli Rzeczypospolitéj i wówczas po kilkakroć usilnie starał się nakłonić matkę, ażeby zamieszkała w jego ślicznym domku w Mont-Vernon, ale ona wolała pozostać w Fryderyksburgu i daléj prowadzić swoje małe gospodarstwo, które jéj po śmierci męża zostało. Liczyła już naówczas lat 84, a co rano jeszcze widziano ją konno objeżdżającą pola i wydającą rozkazy podwładnym. Dochody jéj były skromne, ale zacna matrona tak dobrze umiała się rządzić, że niemałą liczbę ubogich wspierać jeszcze mogła. Coraz silniéj rozwijająca się straszna choroba raka w ostatnich latach częściéj zatrzymywała ją w pokoju; jednak ciągle jeszcze zajmowała się domem i gospodarstwem. Zięć jéj chciał wziąć na siebie ten obowiązek.

— „Dziękuję ci, rzekła mu na to; jeżeli chcesz mi być pomocnym, to weź moje książki pod twą opiekę, bo lepsze masz oczy odemnie, a zarząd domu zostaw mi jeszcze“.

Przez siedm prawie lat nie widziała syna, którego obowiązki wodza zdala od ogniska domowego zatrzymywały; wreszcie, kiedy wojska związkowe powróciły do New-Yorku, Washington pośpieszył do Fryderyksburga i wysłał naprzód kuryera dla zawiadomienia o swoim przyjeździe. Matka ucieszyła się odebraną wiadomością, ale zastrzegła sobie wyraźnie, aby przybył do niéj sam, jako syn jéj, a nie dowódca wojskowy. I główny wódz Północnéj Ameryki, bohater swego wieku, udał się pieszo do mieszkania kobiety, któréj nie tylko życie, ale i sławę swoję zawdzięczał.

Washingtonowa przyjęła syna z niewymowną miłością, ale o sławie jego najmniejszéj nie robiła wzmianki i zamiast się unosić nad jego czynami, mówiła mu o starych, dawnych znajomych i przyjaciołach, dawała mu pieszczotliwe imiona, jak niegdyś, gdy jeszcze był dzieckiem, powiadając:

— „Nie zdobytą sławą mnie uszczęśliwiasz, mój synu, ale têm, że jesteś dobrym obywatelem kraju“.

Przyjęła jednak zaproszenie na bal, który ziomkowie wydali na cześć zwycięzcy z pod Kornwallis.

„Tańczyć zapewne nie będę, rzekła z uśmiechem, już dawno minął dla mnie czas zabaw tego rodzaju; ale z całą przyjemnością przyjmę udział w radości ogólnéj“.

Ukazała się pośród zgromadzenia w bogatym starożytnym stroju niewiast Wirgińskich; wsparta na ramieniu syna, przyjmowała z wdzięcznością powinszowania od wszystkich obecnych i, zabawiwszy czas krótki, przeszła się parę razy po sali, poczém opuściła zgromadzenie. Gdy już wychodziła, prowadzona przez syna, zawołał głośno jeden z oficerów francuskich:

— „Otóż skarb najdroższy dla matki — syn dobry“.

Generał Lafayette przed powrotem swym do Europy udał się do Fryderyksburga, ażeby raz jeszcze odwiedzić matkę swego generała. W téj chwili właśnie Washingtonowa pracowała w swoim ogrodzie. Generał Lafayette mówił o szczęśliwych skutkach wojny, o pełnéj sławy i nadziei przyszłości

młodéj Ameryki i nie mógł powstrzymać wyrazów uwielbienia i podziwu dla szlachetnego swego przyjaciela. Na wszystkie te pochwały Washingtonowa odpowiedziała spokojnie:

— „Wszystko to, co Jerzy zrobił, nie dziwi mnie wcale; był dobrym i kochającym mnie synem, został więc dobrym obywatelem“.

Lafayette przy pożegnaniu prosił zacnéj niewiasty o błogosławieństwo i, rozrzewniony, ucałował jéj ręce.

Kiedy Washingtona obrano prezydentem nowéj rzeczypospolitéj, przybył do matki i rzekł do niéj:

— „Naród powierzył mi najpierwszy urząd w Stanach Zjednoczonych, przychodzę więc pożegnać cię, matko. Jak tylko czynność moję ukończę, ujrzysz mnie znów u nóg swoich“.

— „Już mnie pewnie nie zastaniesz, odpowiedziała staruszka; ale idź, mój drogi Jerzy, idź, dokąd cię twój obowiązek woła, a łaska Boża niech będzie z tobą“!

Przy tych słowach głowę syna z miłością do piersi przycisnęła i drżącą ze starości i wzruszenia ręką gładziła jego policzki. Prezydent Stanów Zjednoczonych płakał jak dziecko i nie miał odwagi wyrwać się z tego ostatniego uścisku. Matka pierwsza zapanowała nad sobą; pożegnała go, raz jeszcze ucałowała serdecznie i łagodnie odsunęła.

Przeczucia jéj sprawdziły się; w krótkim czasie po wyjeździe syna umarła w 85. roku życia. W ostatnich dniach mówiła o swoim ukochanym Jerzym. Ostatnia jéj myśl była jemu poświęcona.

Surowość charakteru téj znakomitéj niewiasty łagodziła szczera, prawdziwa pobożność. Codzień na czas jakiś usuwała się w miejsce samotne, ażeby, jak mówiła, porozmawiać z Bogiem, i powracała do życia i zatrudnień z nową siłą w duszy i pogodą na czole. *Zuzanna Zajączkowska.*

---

54. Tadeusz Czacki.

Jedną z najpiękniejszych kart w dziejach naszych wieku XIX. jest powstanie i historya szkoły krzemienieckiéj, a na téj karcie niezatartymi głoskami jaśnieje imię Tadeusza Cza-

ckiego, pod którego portretem — jak powiada Wincenty Pol — napisał Mickiewicz te cztery wiersze:

Światła a światła łzy nasze błagały,
Światła a światła wołał naród cały:
I zesłał promień Bóg na lud Sarmacki:
Zająśniał Czacki!

Nie można u nas o Czackim mówić bez wzruszenia; jest to jeden z największych mężów, jakich naród wydał w tym wieku. Urodzony w r. 1765. w dobrach ojczystych, w Porycku na Wołyniu, był synem starosty nowogrodzkiego, Felixa. Od lat najmłodszych odznaczał się Tadeusz zapałem do nauk i zamiłowaniem do książek, których zbieranie było zawsze najmilszém jego zajęciem. Już w młodym wieku wszechstronnie był wykształcony; wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiéj żywo go zajmowały, choć z największém zamiłowaniem oddawał się prawu, historyi i ekonomii politycznéj. Wcześnie zwrócił na siebie uwagę króla Stanisława Augusta, który go zaledwie 19 lat liczącego nie dla zasług ojca, lecz dla osobistych jego zalet mianował członkiem sądów nadwornych, a wkrótce potém członkiem komisyi skarbu koronnego. Oceniając prawdziwe jego na tém polu zasługi, mianował go król starostą nowogrodzkim i ozdobił orderem św. Stanisława i Orła białego.

Wiedział Czacki, że posiadamy niezwykłe bogactwa mineralne, leżące odłogiem dla braku wykształconych górników. Chcąc tedy osobiście zbadać zasoby całego kraju pod względem rolniczym, handlowym, przemysłowym i górniczym, przedsięwziął własnym kosztem podróż naukową, która mu kilka lat zajęła. Zaczął od Litwy, Wołynia i Podola, zbadał naukowo bieg Dniestru, zastanawiał się nad uregulowaniem jego koryta i ożywieniem żeglugi po téj rzece; szczególną uwagę zwrócił na spławność rzek naszych i na wpływ ich na handel krajowy.

Powróciwszy z téj podróży, napisał sprawozdanie z obszernym planem rozwinięcia handlu krajowego z Turcyą przez morze Czarne i z innymi ościennymi państwami. Wykazał przytém bogactwo zbadanych prowincyj, ich zasoby naturalne, gatunek ich gleby, lasów, a nawet skarbów mineralnych.

W tymsamym celu zwiedził w następnych latach Wielkopolskę i Małopolskę, Kujawy i Mazowsze, Gdańsk, Toruń, Malborg, Frauenburg i t. d. Lecz badając te kraje jako członek

komisyi skarbu, nie mógł się pozbyć wrodzonego pociągu badań i poszukiwań historycznych; przejrzał tajne archiwum w Królewcu i bogate biblioteki na Łysej-Górze i Tyńcu, pozostałe po Benedyktynach, niejednę rzecz cenną wynalazł, a nawet był tak szczęśliwy, że odszukał grób Kopernika w Frauenburgu.

Sprawozdanie o téj wycieczce naukowéj ledwie było podane do komisyi skarbu; ledwie mógł trochę uporządkować skarby naukowe, które zdobył w téj podróży: aliści już powierzono mu nowe zadanie — przejrzenie i uporządkowanie skarbca królewskiego na Wawelu.

Tymczasem coraz bardziéj zasępiający się widnokrąg polityczny nie dozwolił mu już wrócić do Warszawy; nie brał téż czynnego udziału w ostatnich wypadkach krajowych, lecz na równi z innymi przebył chwile bardzo ciężkie, tém bardziéj, że mu wszystkie jego dobra na Wołyniu i Ukrainie zabrano. Kiedy mu wkrótce potém zwrócono Poryck, osiadł spokojnie na wsi i oddał się pracy, do czego wielce pomocnym mu był bogaty księgozbiór porycki, nagromadzony jeszcze przez jego ojca i znakomicie przez niego samego dopełniony. Księgozbiór ten wcielono późniéj do zbiorów puławskich. W usilnéj i niezmordowanéj pracy znalazł Czacki uspokojenie po tylu przebytych nieszczęściach; nic tak bowiem nie goi ran duszy, nic tak nie odrywa od smutnych wspomnień, jak wdzięczne studya literackie; szczęśliwy zaś ten, który z pogodnym umysłem może się im w każdym czasie oddawać. Do tego téż okresu jego życia należą najcelniejsze jego rozprawy historyczne i dzieła naukowe.

Atoli marzenia jego o możności stałego oddania się cichéj pracy literackiéj w Porycku spełzły na niczém. Wtedy właśnie utworzono w Rosyi ministeryum oświecenia publicznego. Prowincye ruskie, które niegdyś do Polski należały, przyłączono do okręgu naukowego wileńskiego, którego kuratorem został książę Adam Czartoryski. Wszechstronne Czackiego wiadomości, zamiłowanie jego do prac literackich, a przeważnie stanowisko, jakie zajmował wśród obywateli, sprawiły, że na prośbę ks. Adama mianowano go w r. 1803. wizytatorem szkół na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Nie wahał się Czacki ani chwili i przyjął chętnie powierzony mu urząd. Opracował zaraz gruntowny plan przekształcenia wychowania publicznego w owych prowincyach, czując jako mąż rozumny, a szcze-

gólnie jako człowiek kochający gorąco swą ojczyznę, że na tém polu może oddać rodakom największe usługi.

Zaczął od obmyślania środków finansowych dla szkół, które stworzyć zamyślał, gdyż rząd tylko bardzo nieznaczne na ten cel przeznaczył sumy. Udał się tedy Czacki do ofiarności publicznéj i ta go rzeczywiście nie zawiodła. Objechał domy obywatelskie owych trzech prowincyj i w istocie dokonał prawie cudu, gdyż potrafił zebrać przeszło 2 miliony złp. Już dnia 1. października r. 1805. uroczyście otworzono w Krzemieńcu wyższy zakład naukowy, który w krótkim czasie zdobył sobie największą sławę. Nabył téż Czacki od ks. Józefa Poniatowskiego bogate zbiory numizmatyczne, mineralogiczne i piękną bibliotekę po królu Stanisławie Auguście, liczącą do 15 tysięcy tomów, która stała się pierwszym zawiązkiem bogatéj biblioteki licealnéj. Nie szczędził Czacki ani prac ani zabiegów w zbieraniu darów dla ukochanéj szkoły; naśladując skrzętność pszczół, żadną, najmniejszą ofiarą nie gardził. Miała w nim szkoła gorliwego opiekuna i stanęła tak świetnie jedynie dzięki jego gorliwości i ofiarności publicznéj, o jakiéj dzisiaj trudno już mieć należyte wyobrażenie.

Wewnętrzne urządzenie szkoły, pod względem moralności i pielęgnowania szlachetnych uczuć młodzieży, było rzeczywiście zdumiewające. Żaden brzydki i niehonorowy uczynek nie splamił nigdy jéj wychowanków. Trzeba było widzieć tego męża, pełnego nauki, mającego tak poważną i łagodną postać, o rysach szlachetnych, twarzy bladéj, nosie orlim i oczach trochę przymrużonych z powodu krótkiego wzroku, gdy, otoczony studentami, grał z nimi w piłkę; jak dla krótkiego wzroku nieprędko mógł piłkę złapać ani dobrze uderzyć i jak prosił, aby go bynajmniéj nie oszczędzano. Każda partya chciała go mieć pomiędzy sobą, porywano go, całowano po rękach, aby się do partyi przyłączył. Była to prawdziwa miłość dzieci dla ukochanego ojca. Rozrzewniającym był zawsze obrzęd, powtarzany co roku po rozdaniu nagród na publicznym popisie w dzień św. Piotra i Pawła, kiedy starosta żegnał uczniów, opuszczających mury szkolne po ukończeniu kursów.

Któż, patrząc na to jego życie, pełne poświęceń, mógł się spodziewać, że droga jego nie była różami usłana. Miewał on rozmaite przykrości, oskarżano go i oczerniano, tak, że go nawet powołano do Petersburga. Długo tam zabawił. Już

zdawało się, że nie powróci na swe stanowisko; ale wreszcie po należytém wytłómaczeniu się, przyjęty z nadzwyczajną czcią przez ministra oświaty i bardzo łaskawie pożegnany przez samego monarchę, wrócił po roku do Krzemieńca.

Powrót jego był najpiękniejszym tryumfem. Młodzież na rękach wniosła na główne schody swego ukochanego zwierzchnika, którego już nie spodziewała się oglądać. Całowano go po rękach, rzucano się sobie na szyję z radości. On zaś z głębokiego wzruszenia słowa nie mógł przemówić, łzy radości spływały mu po licach i jedna ta chwila z pewnością sowicie mu wynagrodziła wszystkie doznane przykrości.

Atoli boleści i przykrości nadwerężyły mocno zdrowie Czackiego; zaczął często niedomagać. Nie opuszczał wszakże swych zwykłych zajęć, owszem z podwojoną energią im się oddawał. Czuł, że go siły opuszczają, a wiedział, ile mu jeszcze pozostało do zrobienia, ile nowych reform w szkołach potrzeba jeszcze przeprowadzić.

Solenne otwarcie gimnazyum kijowskiego w pierwszych dniach roku 1813. było ostatnią urzędową czynnością Tadeusza Czackiego. W Dubnie dnia 8. lutego r. 1813., mając lat niespełna 48, zakończył żywot pełen zasług i chwały, całkiem poświęcony dla dobra ogólnego. Niepodobna opisać, jak przerażające wrażenie wiadomość ta sprawiła w Krzemieńcu. Rozległ się jeden okrzyk, pełen boleści: „Umarł! umarł nasz dobroczyńca, nasz opiekun! kto go nam potrafi zastąpić?“ Ze śmiercią jednego jakby zabrakło życia wszystkim. Żal po nim był szczery i niekłamany; podzielały go wszystkie bez wyjątku warstwy społeczeństwa. Lecz duch jego opiekował się i nadal szkołą krzemieniecką, którą tak ukochał. System pozostał ten sam, cały zakład rozwijał się i późniéj, po jego śmierci; wszyscy bowiem przejęci byli tradycyą, którą nieodżałowany starosta przez niespełna lat ośm potrafił tam zaszczepić.

Serce Tadeusza Czackiego podług ostatniéj jego woli złożono w urnie w zakrystyi kościoła gimnazyalnego w Krzemieńcu. Z tém, co najbardziéj ukochał za życia, tj. z uczącą się młodzieżą naszą, nie chciał rozstać się ani po śmierci.

Józef Karwicki, (Szkice).

55. Ze szkolnych wspomnień.

W Borunach, tym wiejskim, małym, cichym zakątku, jak słońce w kropli wody, odbijał się w pierwszych latach naszego stulecia cały charakter i obyczaj szkół litewskich, jakotéż studenckiego w nich życia młodzieży.

Wyobraź sobie, czytelniku, wieś, zwaną miasteczkiem dlatego, że ma duży i piękny kościół murowany i otoczony murem, zegarową wieżę, kapliczkę na środku rynku i dwupiątrowy klasztor, ale zresztą zabudowaną prostymi, drewnianymi domami w liczbie najwięcéj 25—30, licząc w to szkołę, dwie karczmy zajezdne w rynku i dwie tuż za miasteczkiem, oraz stary, wpół pusty dom w środku, rodzaj ratusza, zwany *Kaffeehausem*, ale w którym jak rady miejskiéj, tak i kawy nigdy nie było, a mieszkał tylko stary Niemiec z żoną, sprzedającą studentom kołacze, obwarzanki i mleko, póki jagód i owoców nie było. Wszystkie te domy, należące do mieszczan, nie różniących się niczém od włościan, a raczéj od zaściankowéj szlachty, własną ręką uprawiających rolę, zbudowane były częścią w rynku naprzeciw kościoła, częścią wzdłuż trzech tak zwanych ulic, ale rzeczywiście wzdłuż trzech dróg najzwyczajniejszych, z wybojami i kolejami, piaszczystych i błotnistych po deszczu, rozchodzących się na trzy strony z miasteczka, ale przez które w poprzek nawet ścieżki brukowanéj nie było.

Struktura tych domów, z małymi wyjątkami, była taka: Dziedziniec oddzielony był od rynku niskim parkanem lub płotem. Z dziedzińca wchodziło się do sieni, z niéj zaś na prawo i na lewo do dwóch osobnych mieszkań, z których każde składało się z dwóch izb, rozdzielonych pomiędzy sobą sienią i równą jéj co do rozciągłości kuchnią czy piekarnią. Ta część domu była zawsze mieszkaniem gospodyni, utrzymującéj studentów; bywała nią sama właścicielka albo tylko dzierżawczyni domu, a w takim razie właściciele mieścili się w oddzielnéj od domu chałupie.

Otóż te dwa mieszkania w każdym domu służyły za pomieszczenie dla uczniów, a mieściło się w nich tylu, ile łóżek mogło stanąć w okrąg ściany. Niekiedy obie połowy miały nad sobą jednego tylko g u w e r n e r a, niekiedy w każdéj panował osobny. Grono uczniów, pod jednym guwernerem będących, nosiło ogólną nazwę s t a n c y i tego a tego. Stancye

więc, jak kraje, były większe i mniejsze, ale nigdy nie mogły ogarniać dwóch domów; panowanie nawet nad obydwiema połowami jednego domu było tylko udziałem samych guwernerów emerytów, to jest takich, co sami skończywszy już szkoły, obowiązek w nich nauczycielski spełniali. Wszyscy jednak guwernerowie w ogólności stanowili właściwy patrycyat szkolny, który sam bezpośrednio stykał się już ze sferą i władzą rządzącą, tj. z profesorami i prefektem. Prefekt był jeśli nie dyktatorem to przynajmniéj konsulem téj całéj rzeczypospolitéj studenckiéj, gdyż ksiądz superyor, zarządzający całym klasztorem, częścią jego kościelną i majątkową, był dla studentów osobą prawie obcą; nigdy on bezpośrednio do nich się nie mieszał.

Szkoła boruńska, jak każda powiatowa, była o sześciu klasach i miała sześciu profesorów głównych; prefekt, jeżeli nie był także profesorem, był siódmym i ogólnym zwierzchnikiem ich wszystkich. Bywali téż niekiedy i osobni nauczyciele języków: rosyjskiego, francuskiego i niemieckiego, z których dwa tylko pierwsze były obowiązkowymi. Dwie klasy pierwsze zwały się niższymi, cztery następne wyższymi. Uczniowie pierwszych, pod pogardliwém mianem minimusów, nie śmieli nawet wzdychać do równości, która już panowała między ostatnimi; osobne przeto towarzystwo składali. Dwaj ich profesorowie nosili nazwę Łaciny i Arytmetyki; czteréj zaś klas wyższych: Wymowy, Historyi, Fizyki i Matematyki. Wszystkie te przedmioty wykładały się codzień we wszystkich po kolei klasach.

Porządek życia szkolnego był taki: O wpół do siódméj rano dzwoniono na mszę studencką, do któréj jednemu z profesorów studenci na ochotnika służyli, guwernerowie zaś i szóstoklasiści w ławkach litanią do Najśw. Panny po łacinie śpiewali. O siódméj krótkie bywało śniadanie, a w pół do ósméj *primum*, tj. pierwsze dzwonienie do szkoły, po którém w pół godziny następowało *secundum*, tj. hasło zajęcia miejsc w klasach i przyjście profesorów. Lekcye trwały do dziesiątéj, którą ogłaszał dzwonek, dzwoniący na *finem* (koniec). Po południu, prócz wtorku i czwartku, lekcye w klasach zajmowały czas od 2. do 4., a lekcye obcych języków do piątéj, po czém już reszta dnia służyła na naukę w domu i na zabawę (rekreacyą) po niéj. Dziedziniec szkolny, w czasie pomiędzy *primum* i *secundum*, równie rano, jak popołudniu, tworzył obraz bez porównania tłu-

mniejszy, ruchawszy i gwarliwszy, niżeli wieczorna nawet zabawa na rynku, w któréj wszystkie stancye razem brały lub mogły brać udział. W tym to bowiem czasie odbywała się na tym dziedzińcu jakby ogólna, głośna naukowa spowiedź jednych przed drugimi, tj. recytowanie lekcyj przed audytorami, którzy zdanie swe o ich umieniu przekazywali *imperatorom* dla zapisania w *erracie*.

Do wszystkich tych wyrazów potrzebne jest już dziś objaśnienie. Otóż ponieważ sam profesor nie miałby był nigdy dość czasu na wykład, gdyby mu przyszło co dzień zapytywać każdego z uczniów, czy i jak umie lekcyą poprzednią, wybierał więc zdolniejszych i pilniejszych do zastępowania go w tym obowiązku. Wybrani ci mieli u nas tytuł audytorów (w innych, a zwłaszcza świeckich szkołach, zwano ich dekuryonami). Każdy z nich miał sobie powierzonych kilku, najwięcéj sześciu kolegów, których miał codziennie między *primum* a *secundum* z przeszłéj lekcyi wysłuchać i zdanie swe, jak ją umieli, do wiadomości profesora podać. Za środek ku temu służyła tak zwana *errata*. Była to lista imienna wszystkich uczniów klasy, spisana rzędem na arkuszu papieru, a mająca przed każdém imieniem szereg kratek, w których się zapisywało codzienne zdanie audytorów. Profesor, spojrzawszy w erratę, zapytywał sam tych lub owych, ażeby zdanie o nich zapisane sprawdzić; a wtenczas biada audytorom, którzyby przez pobłażanie lub niechęć fałszywe złożyli świadectwo. Sami téż oni nie byli wolni od audytorskiéj kontroli, tylko, że audytorem nad nimi był już sam najwyższy dygnitarz klasy, *imperator* (w innych szkołach *centuryonem* zwany); tego już tylko profesor, który go sam mianował, miał prawo zapytywać i sądzić. Głównym atoli zakresem jego władzy było utrzymywanie i zapisywanie erraty. Siedział więc na katedrze profesorskiéj pomiędzy *primum* i *secundum* i, mając na profesorskim stoliku rozłożoną przed sobą owę erratę, wpisywał w nią zdania audytorów o innych, a swoje o audytorach. Łatwo pojąć, jak taka godność i powaga wpływała na dziecinne umysły, tém bardziéj, że kto raz już był nią obleczony, chociaż ją sprawować poprzestał, zachował zawsze pewne przywileje, które go wynosiły nad innych, np. że już nie miał nad sobą nigdy audytora. Gdy było kilku równie dobrze uczących się w klasie, wszyscy oni z kolei dostępowali tego zaszczytu. Kresem zaś ich władzy w tym razie było zazwyczaj

zapełnienie ostatnich kratek erraty, gdyż utworzenie nowéj natenczas profesor nowemu zwykle następcy poruczał. Wszystko to wszakże miało miejsce tylko w trzech pierwszych klasach; w następnych liczono już na dojrzalszy rozsądek i pilność samychże uczniów i już ani audytorów ani erraty nie było.

We wszystkich szkołach egzamin publiczny, kończący każdy rok szkolny w dzień św. Piotra i Pawła, dnia 29. czerwca, był zarazem kulminacyjnym punktem jego i koroną. W Borunach odbywał się on już nie w klasach, ale w kościele, zamienionym natenczas na salę popisu, po odbytém nabożeństwie rannem. Cały kościół napełniała publiczność, złożona przeważnie z matek, przybyłych z córkami po synów, z całego pobliskiego sąsiedztwa i z dygnitarzy powiatowych. Wszystkie te gwiazdy gasły przy blasku chwały prałata-wizytatora (jeśli ten był obecny), który w kanonicznéj purpurze, w doktorskim birecie na głowie, siedział jakby na tronie, w krześle na podniesieniu stojącém, mając obok, po obu stronach, powiatowego marszałka, oraz superyora boruńskiego klasztoru. Wszystkie klasy z kolei szykowały się przed tym tryumwiratem, a celujący tylko mieli ten przywiléj, że byli dopuszczani do popisywania się publicznie odpowiedziami na pytania albo deklamacyą wierszy, przedstawiając w ten sposób postęp całéj klasy. Głównymi atoli bohaterami byli uczniowie kończący szóstą klasę i szkoły, gdyż, podług przyjętego zwyczaju, rozpoczynały i kończyły egzamin dwie mowy, wypowiedziane właśnie przez dwóch uczniów kończących szkoły, z mownicy, w środku kościoła wzniesionéj, a kobiercami okrytéj.

A. E. Odyniec,
(Wspomnienia z przeszłości.)

---

56. Z życia Ewy Felińskiéj.

(Ustęp ze wspomnień syna.)

Gospodarstwo domowe.

Majątek rodziców moich składał się z niewielkiéj części w Wojutynie i z drugiéj, mało co większéj, w Zboroszowie, co wszystko razem na ówczesny rachunek dwadzieścia kilka chat stanowiło i około sześciu tysięcy złotych czystego dochodu dać mogło. Rodzice tak się urządzili, że dochody ze Zboroszowa, który był wówczas wydzierżawiony, miały iść na utrzymanie ojca, deputata sądu głównego w Żytomierzu,

gospodarstwo zaś wojutyńskie, pod bezpośrednim zarządem matki zostawione, winno było wystarczyć na utrzymanie reszty rodziny.

Matka wzięła się gorliwie do gospodarstwa, chociaż nie było to zadanie łatwe dla kobiety, dwojgiem drobnych dzieci obarczonéj, a do tego bez żadnéj męskiéj opieki. Wprawdzie ojciec, korzystając z feryj sądowych, całe niemal lato przepędzał zwykle na wsi, a nawet i zimą odwiedzał rodzinne gniazdo i wówczas z właściwą swemu charakterowi sprężystością dopomagał matce w gospodarstwie; przez większą jednak część roku wszystkie bieżące interesa o nią się jednę opierały. Matka wszakże tak dobrze z zadania swego wywiązać się umiała, że i gospodarstwo szło, jak należy, i włościanie z rządów jéj byli zadowoleni i w domu było schludnie, syto, a nawet ozdobnie.

Bo téż posiadała rzadki talent do rządzenia, którego jéj niejeden zawołany gospodarz pozazdrościł, i tak sumiennie korzystać zeń umiała, że bez niczyjéj krzywdy znakomite owoce pracy swéj otrzymywała. Rozsądkiem swym, sprawiedliwością i spokojnym, choć silnym charakterem potrafiła ona bez hałasu, bez zrzędzenia i surowości utrzymać wszędzie ład, posłuszeństwo i ścisłe wszystkich obowiązków spełnienie. Włościanie nawet tak jéj prawości i rozsądkowi ufali, że najchętniéj we własnych interesach na poradę do dworu przychodzili i w potrzebach swoich jak do matki się udawali. Jakoż miała ona dla nich prawdziwie macierzyńskie serce, troszczyła się o ich dobro, jak o swoje własne, wewnętrzny zaś stan każdéj chaty znała tak dokładnie, że każde zmartwienie przewidzieć, każdéj biedzie wcześnie zapobiec umiała.

Z powodu zbyt małéj liczby lekarzy, których po większych zaledwie miastach znaleść naówczas było można, cała uboższa ludność wiejska musiała w swych niemocach domowymi środkami się ratować. Stąd w każdym niemal dworze była mała apteczka, w zioła i najpospolitsze lekarstwa zaopatrzona, matrony zaś nasze wiedziały tradycyjnie, na jakie choroby co i jak dawać potrzeba. Matka nasza, obdarzona zdrowym rozsądkiem, umysłem spostrzegawczym i niezwykłą pamięcią, a do tego sercem zawsze gotowém na posługę bliźnich, większe od innych w domowéj medycynie uczyniła postępy, codzienne zaś doświadczenie i obeznanie się z popularnymi dziełami do takiéj z czasem doprowadziły ją

biegłości, że nie tylko swoi włościanie, ale i obcy, a niekiedy i uboższi sąsiedzi szukali pomocy w jéj uczynności i doświadczeniu. Na dalsze lekarskie wycieczki jeździła zwykle małą, parokonną bryczką, nie zważając ani na słotę ani na spóźnioną porę, a czyniła to z taką prostotą i z tak szczerą gotowością, że ani na myśl nie przychodziło, żeby w tém była jaka z jéj strony ofiara. Do włościan wojutyńskich chodziła pieszo, niosąc choremu nie tylko radę i lekarstwo, ale téż lepszą strawę i inne niezbędne w chorobie przedmioty.

Niemało téż pomagała jéj do zjednania serca włościan miłość, jaką otaczała ich dziatki; bo nie darmo przysłowie mówi: „dziecko za rękę, matkę za serce“. Znała ona wszystkie dzieci po imieniu, każde pocałowała, popieściła, jednemu uszyła czapeczkę, drugiemu koszulkę, inne obdarzyła cackiem lub poczęstowała łakociami, tak, że wszystkie cisnęły się do niéj tłumnie, ilekroć ukazała się na ulicy. Niemało téż zobowiązywało rodziców to, że sama nauczyła się szczepić ospę i najchętniéj oddawała tę usługę każdemu wiejskiemu dziecku, tak umiejąc ból ukoić pieszczotami i osłodzić przysmaczkami, że i matki i dzieci bez obawy udawały się do niéj.

Dla pozyskania znowu posłuszeństwa i zaufania, tak dworskich sług jak i poddanych, dopomagała jéj najwięcéj dokładna znajomość wszystkich robót, których wykonanie im polecała; prostym bowiem ludziom żadna mądrość tak nie imponuje, jak gruntowna świadomość tych zajęć, którym oni życie swe poświęcają. Skoro więc spostrzegą, że kto ze znajomością rzeczy im przewodniczy i zawsze jest w stanie dać dobrą radę w razie napotkanéj trudności, takiego chętnie szanują i są mu posłuszni, byle ich niesprawiedliwością lub zbyt surowém obchodzeniem się nie zrażał. Ta rzadka w męszczyźnie nawet znajomość gospodarstwa tém dziwniejszą była, że matka nasza przed wyjściem za mąż wcale się tego rodzaju zajęciom nie oddawała i dopiero, zostawszy żoną niebogatego właściciela roli, poczęła przykładać się do wiejskich zatrudnień. Uczyła się zaś nie teoretycznie i z widzenia tylko, ale wykonywając własnymi rękami te wszystkie roboty, które sił jéj nie przewyższały. Tak nauczyła się naprzód gospodarstwa kobiecego, a następnie, objąwszy ogólny zarząd w swe ręce, poznała téż gruntownie i wydział męski. Co zaś najwięcéj uwydatnia jéj wrodzoną zdolność do zarządu, to to, że do pomocy w rozmaitych gałęziach gospodarstwa nie po-

trzebowała wcale ludzi specyalnych, lecz układała sama wiejskich chłopaków i wiejskie dziewczęta do wszelkiego rodzaju posług, a nawet rzemiosł, niezbędnych w niezamożnym, obywatelskim dworze.

Cała mądrość praktycznéj wiejskiéj gospodyni zasadzała się wówczas na têm, by jak najwięcéj codziennych potrzeb domowymi środkami załatwić, nie uciekając się do gotowego grosza; o pieniądz bowiem było wówczas bardzo trudno z powodu niezmiernéj taniości surowych płodów, które w braku środków przewozu w żyznych okolicach wołyńskich za bezcen sprzedawać było trzeba. Nic przeto dziwnego, że starano się spożytkować na miejscu, jak można było, najwięcéj płodów, sprzedając to tylko, co zawsze trzyma się w cenie z powodu wywozu za granicę, jakoto: len, miód, wosk, wełnę, wreszcie pszenicę, którą dostawiano do Bugu. Gotowego grosza potrzeba było tylko na zaspokojenie ciężarów gruntowych, sprawienie wykwintniejszych artykułów garderoby, zakupienie do stołu korzennych towarów, wreszcie na opłacenie sług i najemników; zresztą pomagano sobie środkami domowymi.

We dworze tkano płótna, robiono krochmal, lano świece, sycono miody, pędzono gorzałkę, z któréj wyrabiano rozmaite nalewki i domowy arak. Na wykarmienie siebie i licznéj czeladzi stawiano na brahę woły, tuczono wieprze, trzymano mnóstwo krów, owiec i wszelkiego drobiu. Z owoców znowu i jarzyn przyrządzano najrozmaitsze konserwy, które, dodane do nabiału i wędlin, stanowiły niewyczerpany zapas śpiżarniany. Przy tych pomocach, nawet przy niedostatku gotowizny, rządna gospodyni przychodziła do pewnego rodzaju zamożności, niewykwintnéj wprawdzie, ale nacechowanéj wygodą i obfitością; serdeczna zaś uprzejmość gospodarzy i niewymyślne nawyknienia gości nadawały tyle uroku sytym i wesołym ówczesnym ucztom, że wcale do zamorskich specyałów szlachta wiejska nie tęskniła.

W domu mojéj matki więcéj może jeszcze, niż w sąsiednich dworach, trzymano się tego patryarchalnego zwyczaju: służba wyłącznie prawie składała się z wiejskich parobków i dziewcząt, w narodowy wołyński strój przybranych; bielizna, obuwie, a nawet zwierzchnia odzież nasza, w znacznéj przynajmniéj części, domowego były wyrobu; zapasy kuchenne z własnego czerpane gospodarstwa — ale zato jaka obfitość,

jak smacznie każda potrawa przyrządzona, jaka rozmaitość w daniach! Nie tylko domowym, ale i gościom tak te wiejskie potrawy smakowały, że rzadki był dzień, żeby kto w progi nasze nie zawitał, a częstokroć i spora nawet gromadka znalazła się u stołu. Czy to jednak łaska Boża rozmnażała dary w miarę szczodrego ich szafowania, czy téż wielka rządność gospodyni umiała wyciągnąć korzyść ze wszystkiego: dość, że wszystkim wystarczyło i nigdy śpiżarnia całkiem się nie wypróżniała.

Zarząd matki naszéj odznaczał się téż dziwną harmonią wszystkich składowych części gospodarstwa, tak, że na jakąkolwiek skalę żyć jéj wypadło, wnet umiała wszystko do téj skali zastosować. Nie było u niéj tego, żeby w jednéj gałęzi wykazywała się kłamana zamożność, podczas gdy druga zdradza niedostatek; żeby n. p. pani domu w bławatach i koronkach rozsiadała się w salonie na palisandrowych meblach, gdy tymczasem obszarpana i głodna czeladź kryje się po brudnych kątach domu. U niéj względny stosunek tak był dobrze we wszystkiém zachowany, że z najdrobniejszego nawet szczegółu można było poznać skalę, na którą cały dom był urządzony; skala zaś ta odpowiadała zawsze stanowi majątku i ze zmianą zamożności sama się téż zmieniała, tak, że ilekroć przy podupadłéj fortunie zostawał jaki zabytek dawniejszego dostatku, to wnet go starała się usunąć, ażeby nie psuł harmonii całości.

Ks. Zygmunt Szczęsny Feliński,
(Paulina).

C.

I.

57. Kraków.

Starodawna królów polskich stolica położona jest w nader pięknéj okolicy. Od południa oblewa ją rzeka Wisła, na któréj lewym brzegu leży miasto, a na prawym brzegu wznosi się stopniowo pasmo gór skalistych, Krzemionkami zwanych. Na zachód opasany jest Kraków ramieniem tychże gór, a od północy i wschodu otoczyły go urodzajne płaszczyzny, gęstymi wioskami zasiane. Pięknem położeniem niewiele miast wyrówna dawnéj stolicy Polski. Są miasta, celujące pięknymi ogrodami, lecz czémże są te utwory ręki ludzkiéj w porównaniu z dziełami przyrody? Potrzeba widzieć Kraków w porze wiośnianéj, w chwili, kiedy dziewicza zieloność pokrywa przyległe wzgórza. Już o milę odległości rozwija się powabny widok tego starożytnego miasta, z którém co do wspaniałości obrazu żadne miasto polskie porównania nie wytrzyma. Wysokie wieże licznych jego kościołów, czerwieniejące się dachówki, oraz połysk miedzianych dachów i kopuł, od których się promień słońca odbija, wreszcie zamek królewski, górujący nad tą mieszaniną gmachów, umysł podróżnego naprzód już szczególném napełniają uczuciem. Jeszcze widok ten urozmaicają w dalekiéj głębi leżące Karpaty, jakby ramy czarowne tego obrazu, których wysokie szczyty w błękitach powietrza giną.

Na wysokiéj, nad miastem wznoszącéj się górze, o któréj podstawę skalistą Wisła szumiące fale roztrąca, na téj skale, któréj nazwisko jest *Wawel*, stoi gmach starożytny, niegdyś książąt i królów polskich siedlisko.

Z licznych i wielkich gmachów składał się niegdyś zamek krakowski, a z rozległości swéj raczéj do miasta, niż zamku był podobny. Teraz najznakomitszą jego częścią jest

kościół katedralny, tudzież dawny pałac królewski i nowowzniesiony gmach gwoli użytkowi wojskowemu. Mur okalający od strony południa i zachodu już nie istnieje, tylko stoją baszty czyli wieże zadziwiającej wysokości, które służyły jako więzienia. Właściwy pałac królewski formują gmachy o dwu piętrach, galeryami opasanych; stoją one w czworobok około dziedzińca znacznéj obszerności, będącego w środku. Gmachy te, chociaż im czas dawną świetność wydarł, świadczą jeszcze wymownie, że były królów siedliskiem.

Z całego dawnego przepychu zamku krakowskiego utrzymał się tylko bez uszkodzenia kościół katedralny, świątynia najwspanialsza z kościołów krajowych, pobożnością monarchów wzniesiona i ozdobiona. Obejmuje ona 18 kaplic, w których się mieszczą wspaniałe grobowce i pomniki królów. Dwie wieże wznoszą się przy wielkich drzwiach kościelnych, a trzecia obok zakrystyi. Na téj znajduje się dzwon największy w Polsce, zwany Zygmuntem. Ma on przeszło 7 *m* w obwodzie, a do poruszenia go ośmiu silnych ludzi potrzeba. Majestatyczne, donośne brzmienie jego rozlewa wdzięczną i dla słuchu wielce miłą harmonią nad miastem i dalszą okolicą.

Od zamku wiedzie ulica Grodzka do miasta. Wielkością i regularnym kształtem rynku Kraków zaszczytne ma pierwszeństwo nie tylko przed wszystkimi miastami polskimi, ale nawet i przed wielu zagranicznymi.

Jest to doskonały czworobok, do którego 12 głównych ulic wbiega; ściany zaś jego formują rzędy pięknych, trzechpiętrowych gmachów. Po zniesieniu dawnych kramów pozostała w rynku jeszcze wysoka wieża ratuszowa, niemniéj mały kościółek św. Wojciecha i gmach, zwany Sukiennicami, który wystawił król Kazimierz Wielki. Nie ma w Polsce drugiéj budowli, któraby długością téj wyrównała. Tworzy on salę 108 *m* długą, a 1 *m* szeroką, która 7000 ludzi pomieścić może.

Wspaniałe i liczne świątynie Krakowa stanowią niezaprzeczenie główną jego ozdobę. Liczba ich niegdyś była znaczniejszą, kiedy z tego względu Kraków drugim Rzymem nazywano. W rzeczy saméj nie masz w północnéj Europie miasta, któreby tyle kościołów i klasztorów liczyło. Obecnie jest w mieście i na przedmieściach kościołów katolickich 40, ilość zaś świątyń rozebranych lub zamkniętych albo przerobionych na inne cele wynosi 26. Najpierwszym ze względu okazałéj budowy i dawności, a drugim po katedrze co do wewnętrznéj

wspaniałości jest kościół pod wezwaniem N. Maryi Panny, stojący we wschodniéj stronie rynku. Niemałéj przydają świątyni téj okazałości dwie wieże, z których jedna, większą zwana, 70 *m* wysoka, najwyższą jest w Krakowie, a może i w całéj Polsce. Z jéj szczytu wspaniały dokoła roztacza się widok.

Dawniéj dzieliły miasto od przedmieść szerokie i wysokie mury, w których ośm bram było. Po rozebraniu tychże założono na ich miejscu obszerne plantacye z drzew, służące za miejsce przechadzki; z bram zaś tylko jedna Floryańska stoi. Za plantami leżą przedmieścia.

I bliższe i dalsze okolice Krakowa obfitują w urocze widoki i w ciekawe pamiątki dziejowe, to téż nie masz dla Polaka ciekawszéj miejscowości na ziemi nad Kraków i jego najbliższe sąsiedztwo. Tu masz w budowlach, nagrobkach, pomnikach i ruinach wypisane dzieje ojczyzny, a patrząc na urocze i wspaniałe widoki wszelkiego rodzaju, uczysz się korzyć z uwielbieniem przed wielkością Boga.

Wedł. *Ambr. Grabowskiego*,
(Kraków i jego okolice).

---

58. Lwów.

Lwów, niegdyś stolica Rusi halickiéj, leży w głębokiéj kotlinie, ze wszech stron otoczonéj górami, nad małą rzeczką, Pełtwią. Założył go Daniel, książę halicki, dla swego syna Lwa, od którego téż miasto Lwowem nazwano. Zbudowawszy tu dwa zamki, jeden na szczycie wysokiéj góry, wówczas łysą, a dziś zamkową zwanéj, drugi u stóp jéj w dolinie, gęstym zarosłéj borem, oba drewniane, przeniósł książę Lew tutaj stolicę swoję z Halicza. Wzrastała nowa stolica i zaludniała się szybko, a mieszkańcy otrzymali od księcia liczne przywileje.

Kazimierz W., prawem dziedzictwa objąwszy Lwów wraz z ziemią Halicką i przyłączywszy kraj ten do Polski, zburzył oba zamki drewniane, górny i dolny, a w miejsce ich postawił murowane, warowne. Szczątek tego Kazimierzowskiego muru pozostał jeszcze do dziś dnia na szczycie góry zamkowéj. Obdarzył ten król miasto nowymi łaskami i przywilejami, tak, iż wzrastając w ludność i zamożność, stało się wkrótce ogniskiem handlu, rozciągającego się aż do krańców Wschodu.

Po śmierci Kazimierza W. następca jego Ludwik, król węgierski, zagarnął był chwilowo Ruś halicką i do węgierskiéj korony przyłączył; ale córka jego, Jadwiga, już jako królowa polska, pod niebytność Jagiełły, zajętego nawracaniem pogańskiéj Litwy, wyprawiwszy się zbrojno na Ruś, odzyskała ją wraz z stolicą ziemi halickiéj, Lwowem, który już odtąd nieprzerwanie do Polski należał.

Królowie polscy przyczyniali się kolejno do jego wzrostu przez różne nadania i przywileje. Wszelako Lwów dawny nie wiele był do dzisiejszego podobny. Było to miasto małe, ujęte w ramy podwójnego muru, zamykającego czworobok dosyć foremny, oddzielony od przedmieść, rozciągających się za murem, wałami i fosą.

Kiedy w nowszych już czasach zburzono warownie, na miejscu wałów miejskich zasadzono drzewa i urządzono przechadzki, dotąd jeszcze Wałami zwane. Cztery bramy większe a dwie mniejsze prowadziły do miasta. Ponad murem miejskim wznosiło się siedmnaście baszt warownych, a każda powierzona była obronie jednego z cechów rzemieślniczych. Za miastem, na szczycie góry zamkowéj wznosił się poważny i wspaniały zamek, który zdaleka o mil dziesięć widny był wokoło. Gdy królowie zjeżdżali do Lwowa, tam miewali swoje mieszkanie.

Wspaniałe krużganki obiegały dokoła wnętrza zamku, ponad nim obronne jeżyły się baszty. U podnóża góry był drugi zamek, dolny. Ten, oprócz pomieszkań dla dworu królewskiego i różnych urzędów, zawierał archiwa grodzkie i zbrojownię. Oba zamki były warowne, a zwłaszcza górny, który z samego już położenia swego nieprzystępny był i trudny do zdobycia. Podczas napadów nieprzyjacielskich i oblężeń, na które Lwów po wielekroć bywał narażany, bronili miasta zazwyczaj mieszczanie; złożona z nich załoga miejska nieraz dzielnie zadania swego dopełniała. Dawnymi czasy niemal corocznie zapędzały się na Ruś hordy Tatarów, często aż pod sam Lwów zapuszczając zagony swoje. Późniéj Turcy, Kozacy, Szwedzi po wiele razy Lwów oblegali, palili i niszczyli. Pamiętne są w jego obronie zwycięstwa Jana Sobieskiego i Stanisława Jabłonowskiego. Pod wodzą Karola XII. Szwedzi, opanowawszy miasto, zrabowali je do szczętu; był to cios dla Lwowa największy, po którym nie mógł już wrócić do dawnéj świetności.

Było niegdyś czterdzieści kościołów we Lwowie. Najdawniejszym z nich i najokazalszym jest katedra obrządku łacińskiego, któréj budowę rozpoczął był jeszcze Kazimierz W., a dokończył Władysław Jagiełło. Wspaniała ta świątynia jest w stylu gotyckim; wysmukłe i lekkie wybiegają w górę filary, splatając się ostrołukami gotyckiego sklepienia. Po bokach kościoła część kaplic do głównéj nawy przypiera, jakoto: kaplica Zamojskich, Buczackich i t. d. Z pomiędzy pomników zwracają szczególniéj uwagę grobowce: Michała Buczackiego, Stanisława Żółkiewskiego, ojca sławnego hetmana, poległego pod Cecorą; Jana Zamojskiego i Tarnowskiego, arcybiskupów lwowskich. Obok katedry stoi przytykająca do ulicy Halickiéj kaplica, Ogrójcową zwana, prześlicznéj budowy w stylu odrodzenia.

Po kościele katedralnym najpiękniejszy jest kościół OO. Bernardynów, w którym spoczywają zwłoki błogosławionego Jana z Dukli. Kościół jezuicki, fundowany przez Jabłonowskich, zawiera groby téj rodziny; dominikański zbudowany jest na wzór kościoła św. Piotra w Rzymie; cerkiew wołoska z ciosowego kamienia w stylu bizantyńskim, z trzema pozłocistymi kopułami i piękną wieżą, zwraca na siebie uwagę wspaniałością budowy, jakkolwiek wewnątrz potraciła już dawne rzeźby i ołtarze. Metropolitalna cerkiew św. Jerzego jest to przepyszna budowa w stylu włoskim.

Lwów może się tém pochlubić, że liczy stosunkowo więcéj zakładów dobroczynnych, niż inne, wielkie nawet miasta i wiele zakładów naukowych, między tymi uniwersytet, szkołę politechniczną, zakład Ossolińskich, muzeum Dzieduszyckich i t. p. Obfituje też to miasto w wiele wspaniałych budowli, ma liczne, starannie utrzymane publiczne miejsca przechadzek i piękne okolice. Wedł. *Wład. Zawadzkiego.*

59. Wieliczka.

Lubo dość porządne miasteczko, nie objawia przecież Wieliczka niczém skarbów, ukrytych w swém łonie; kto nieświadomy, mógłby przejechać przez nią, nie domyśliwszy się niczego, równie jak przechodzimy nieraz koło mędrca, nie zgadując po mało znaczącéj twarzy, jakie bogactwa dusza jego mieści. Ale pod stopami mieszkańców tego spokojnego

miasta jest ogromny przestwór, jakby miasto drugie, i blisko tysiąc ludzi, o tyleż łokci w głąb ziemi zagrzebanych, kopie skarby, istotnie potrzebniejsze od złota; bo wszyscy, bogaci i ubodzy, zwierzęta nawet, są ich uczestnikami, i to już więcéj, niż od siedmiu wieków. Dowiedzioną bowiem jest rzeczą, iż mimo podania gminu, które św. Kunegundzie odkrycie soli w Wieliczce i Bochni przyznaje, te kopalnie znane już były przed rokiem 1105., i w tym już czasie Krzywousty Benedyktynom tynieckim dochód na nich zapewnił. Godząc podanie ustne z dowodami piśmiennymi, sądzą dziejopisowie, iż od niepamiętnych czasów sól tam kopano, ale w czasach pierwszych napadów tatarskich zaniechano robót, które może za prośbą i nakładem Kunegundy rozpoczęto na nowo. Dzisiaj kopalnia wielicka w całéj nawet Europie pierwsze zajmuje miejsce, tak dla czystości i wielości soli, jakotéż dla wspaniałych robót podziemnych.

Kiedy po raz pierwszy staniesz nad otworem kopalni i zajrzysz w tę ciemną głębiznę, którą masz przebyć, mimowolny dreszcz cię przejdzie; pióro, podane do zapisania nazwiska swego w księdze, ku temu sporządzonéj, drży zlekka w ręku, a długie, płócienne koszule, w które oblekają podróżnych dla oszczędzenia sukień, zdają się być przypomnieniem ostatniego śmiertelnych ubioru. Jednak przemaga ciekawość i każdy mówi śmiało: „Już ja spuścić się muszę“.

Tylko do pierwszego piętra na linie spuszczać się można, do dwóch drugich iść trzeba schodami albo po drabinach; należy zaś wiedzieć, że tu wszystko przeciwnie, jak na ziemi; najwyższe piętro pierwszém się zowie, najniższe ostatniém. Znikło wnet słabe światło dzienne, które przez otwór widać trochę było; czujemy, że już zupełnie jesteśmy pod ziemią, że innem oddychamy powietrzem, w innym jesteśmy świecie. Jakoż prawdziwie wszystko tu odmienne, a wszystko jednostajne; natura, wszędzie tak rozmaita, w tém miejscu zawsze tasama. Światło słońca nigdy tu nie dochodzi, pory nigdy się nie zmieniają, czy na ziemi jasno czy noc ponura, czy wiosna lubym tchem wieje czy skwar słoneczny dopieka, czy dżdże jesieni wskróś przejmują czy mróz ściął wszystko — tu zawsze głębokie ciemności, światłem tylko lamp i kagańców rozjaśnione; tu ciągle powietrze czyste, chłodne, jednakowe. Na ziemi tyle niezliczonych przedmiotów — tu jeden, wiecznie jeden; wszystko, co widzisz, czego się doty-

kasz, po czém stąpasz nawet, jest solą; bo ściany ogromne tych długich ulic, te filary wspaniałe, te schody niezliczone, te stosy beczek, te góry okruchów, wszystko to jest jednego rodzaju, jednego koloru, wszystko z soli. Ludzie tu także zupełnie inaczéj wyglądają: naprzód migające się światło lamp i kagańców inną barwę, wyraz ostrzejszy im daje, głębokie cienie rzucając; powtóre, postać robotników jest niezwyczajna: koszula całą ich odzieżą, nogi, ramiona i piersi obnażone; ta ich postać, te kagańce, wszędzie poprzyczepiane, nawet do taczek, którymi sól wożą, wszystko jakąś nową zupełnie krainę wystawia. Patrząc na trudną robotników pracę, niejednego przejąć może zdziwienie nad śmiałością owéj znikoméj przez się istoty, która, słabą ręką wątłe ująwszy narzędzie, z garstką prochu porywa się na kruszenie opok, na gór obalanie. Zamiary jéj, równie jak myśl, granic nie znają; — zdaje się, że ich dokonać nie zdoła, tymczasem przemysłem i pracą wszystko zwycięża; bo jest w jéj umyśle iskra Boskiego geniuszu, jest w saméj téj wytrwałości nieśmiertelnego ducha piętno.

Nie można się obronić od pewnego odurzenia, a umysł, to zdziwiony, to przejęty, nieraz wątpić gotowy, czy rzeczywista prawda czy złudne marzenie jest przed nim. Idzie się ciągle, idzie godzinę, drugą, trzecią i szóstą, to wąską, to szeroką galeryą, to wygodnymi schodami, to na dół, to w górę; zdaje się, że to królestwo nocy granic nie ma. O jakże dobroczynnym darem Opatrzności wydaje się tu światło! ono kieruje i prowadzi w téj otchłani, a na myśl o wygaśnieniu jego włosy na głowie powstają.

Umysł największego doznaje zdziwienia, najwięcéj ocenia światło w miejscu, a raczéj w otchłani, Kloskami zwanéj. Tam stanąwszy na moście, gdy spojrzysz w górę, dojrzéć nie możesz szczytu téj niezmiernéj wysokości; gdy oczy spuścisz na dół, lękasz się na widok bezdennéj przepaści; a kiedy przewodnicy twoi rozbiegną się, jeden stanie przy tobie, drugi wyjdzie do góry, trzeci na dół się spuści, rozpalą nowe ognie i rozniecą swe pochodnie: wówczas dziwisz się, że coraz więcéj spostrzegasz przestrzeni, coraz daléj i wyżéj; a jak w bajkach wróżek, tak ci się wydaje, że rośnie przed tobą świat czarodziejski, że już końca jego nie ma.

Podobnie dziwnego uczucia się doznaje, zobaczywszy w tém podziemném państwie, lecz nie na samym dole, dość

obszerną sadzawkę; jeziorem ją zowią i dają jéj przydomek szczególny Przykos. Złożona jest z wód, które, przesączając się ponikami z powierzchni ziemi przez pokłady piasku i gliny, sprowadzone są w to miejsce kanałami dla ochrony robót górniczych. To jezioro więcéj jest głębokie, niż obszerne; woda jego brunatna i słona; zwykle w dość wygodnym promie wożą po niéj podróżnych. Gdyby przewoźnik ubrany był, jak ów starożytny Charon, a przynajmniéj miał brodę i kosę, możnaby w zupełném być złudzeniu, iż owe blade postaci, w tych białych koszulach, wpośród nocnych ciemności, są to dusze zmarłych, które przez Acheron do drugiego przepływają świata.

Piękna jest także sala Łętów zwana, gdzie zwykle iluminacye, a nawet i bale bywają. Kiedy osoby jakieś dostojne zwiedzają te kopalnie, jakotéż w dni pewne uroczyste wszystkie galerye, sale, korytarze, Kloski rzęsisto są oświetlone; odgłos muzyki rozlega się po ogromnych sklepieniach i obecni są w zachwyceniu.

Godną widzenia jest jeszcze kaplica, niedaleko głównego wchodu będąca, opiece św. Antoniego oddana, jak wszystko, w soli wykuta: posągi świętych, filary, kazalnica, wszystko z soli. Jest tu również posąg Augusta II. z jednéj bryły urobiony; ale przez długi napływ wilgotnego z zewnątrz powietrza nikną we wszystkich twarzach znaczniejsze rysy i z osób robią się słupy. W téj kaplicy raz na rok, w dzień św. Kunegundy, msza bywa, a tak, jeśli ją ukrzywdzili dziejopisowie, odejmując jéj zaszczyt odkrycia tych kopalń, ma w tym odwiecznym zwyczaju niejakie wynagrodzenie. Raz tylko w rok odbywa się w téj kaplicy nabożeństwo, gdyż zupełną jest bajką, żeby tu robotnicy mieszkać mieli; codzień wieczorem wychodzą, spuszczają się rano.

Czy te kopalnie wyczerpią się kiedy czy téż zawalą, tego sami uczeni powiedzieć nie umieją; powtarzają jednak wszyscy, że tu wielkiéj baczności potrzeba, ażeby dobrze podpierać wiszące sklepienia. Niegdyś podpierano wykonane galerye rusztowaniem z drzewa, czego jeszcze w wielu miejscach widać ślady; było to i kosztowne i na wypadek ognia niebezpieczne. Teraz zostawują ogromne filary z soli, odpowiadające takimże słupom w piętrach niższych. Trzebaby chyba jakiego Samsona, ażeby jeden z tych filarów uchwycił i obalił, lub trzęsienia ziemi, którego Wieliczka jeszcze nie

doznała. Ale za to już kilka razy te kopalnie uległy pospolitszemu, choć niemniéj okropnemu nieszczęściu — pożarom. Sama imaginacya wzbrania się od wystawienia sobie tego, co tam dziać się musiało w tych straszliwych chwilach; jak trudny pewnie był ratunek, jak niepodobna ucieczka; a jak ten ogień samowładnie rozpościerać się musiał po tych ogromnych galeryach, wszędzie wybuchać i pożerać wszystko!

Kościeleckiego i Betmana posągi chciałoby się widzieć w kopalniach Wieliczki: należała im się ta nagroda za bohaterską obronę kopalni podczas pożaru r. 1520; zasługiwał na nią zwłaszcza Betman, który, już starzec sędziwy, pomimo wieku tyle męstwa, ludzkości, przytomności umysłu zachował.

Ale czas już wracać! Dobrze, że są przewodnicy, bo nic łatwiejszego, jak zbłądzić w tym labiryncie, a nawet twierdzą niektórzy, czemu snadno uwierzyć, że lat kilka do tych sklepień uczęszczać trzeba, chcąc się z nimi obeznać dokładnie.

Kiedy wreszcie, zwiedziwszy kopalnię, powrócisz na powierzchnię ziemi; kiedy cię ogarnie ciepłe, żywotne powietrze, kiedy jasność dnia w oczy cię uderzy, a ludzie w zwyczajnéj ukażą się postaci i barwie, dziękujesz Bogu, że nie w ziemi, ale na ziemi żyć ci przeznaczył; a że przez kilka godzin nic nie widziałeś prócz brunatnéj soli, niepewnego światła i okropnych ciemności, niebo wyda ci się błękitniejszém, drzewa i pola zieleńszymi, wszystko piękniejszém. *Klementyna z Tańskich Hofmanowa.*

---

60. Maria-Zell.

Przechodząc latem przez ulice Wiednia, spotkać można często tłum ludzi, jakby wyciętych z średniowiecznego obrazka i ubranych jak na daleką pieszą podróż, w długich płaszczach, wielkich kapeluszach lub chustkach na głowie; jeden z pobożnych niesie krzyż albo chorągiew, a wszyscy śpiewają na starą nutę litanie i pieśni święte do Matki Bożéj. Nikt się nie obejrzy za nimi, bo każdy wie, że to pielgrzymi do Maria-Zell, miejsca od wieków wsławionego cudami. Wsiędą na koléj aż do bocznéj stacyi Neuberg, odległéj od Wiednia o pięć godzin, a stamtąd częścią pieszo, częścią omnibusem pójdą daléj, kilkanaście mil drogi, w głąb Styryi, do Maria-Zell, dokąd i my podążymy w ślad za nimi.

Droga ta i kraj okoliczny, wogóle cała Styrya wygląda jak wstęp do świętego miejsca, jak przedmieście świętéj stolicy. Co kilkanaście kroków na drodze publicznéj kapliczka lub figura świętego, na murach starych domów freski wyblakłe, deszczem zmyte; lecz jeszcze dojrzysz wśród nawpół startych konturów ramię krzyża lub twarz jakiego świętego Tam znów wśród pola, pomiędzy falującymi kłosami zboża stoi malowany posąg Matki Bożéj, obwieszony bławatkami; a nawet ówdzie na najwyższych skałach ręka pobożna zatknęła krzyż, który stamtąd zdaje się błogosławić ludziom i ziemi całéj. Im bliżéj do Maria-Zell, tém częściéj wizerunek cudownéj Królowéj niebios, w szerokiéj sukience, w koronie, z dzieciątkiem Jezus na ręku, powtarza się na figurach po drodze, na obrazkach po zajazdach i chatach chłopskich.

Droga to bardzo daleka: dobry dzień jazdy pozostaje od stacyi kolejowéj, i to dobrymi końmi, które jeszcze trzeba przeprzęgać w połowie podróży; bo droga jest ciężka, to pod stromą górę, to znów z góry na dół i znowu pod górę, a zawsze krok za krokiem, przy ciągłym krzyku furmana i skrzypieniu hamulca. A jednak droga ta nigdy nie jest pusta; mianowicie w miesiącach letnich przedstawia się jak szlak do mrowiska, którym ludzie-mrówki podążają jedni za drugimi, każdy ze swoją ofiarą, każdy ze swoim ciężarem trosk, cierpień, kłopotów, aby je złożyć u stóp Wielkiéj Pocieszycielki. Od wieków tak było: podążali do cudownego ołtarza i wielcy i mali, z różnych stron, nie tylko z Austryi, ale i z Węgier, z Serbii, z Włoch. Po dokonanych wielkich dziełach, przed wypełnieniem wielkich przedsięwzięć, z tryumfem w sercu lub z niepewnością w duszy udawali się tam panujący i monarchowie. Był tam Ludwik, król węgierski i polski, by podziękować za zwycięstwo nad Turkami, był i cesarz Ferdynand, gdy w roku 1621. wydał wyrok na zbuntowanych Czechów w Pradze; i cesarz Karol VI. jakgdyby po radę i natchnienie udawał się do Maria-Zell: jednem słowem, aż do ostatnich czasów nie było monarchy, któryby nie odwiedził świętego miejsca. Nie ma téż do dziś dnia wielu takich w Austryi, którzyby przynajmniéj raz w życiu nie odbyli téj pobożnéj pielgrzymki.

Nam podróż wypadła niepomyślnie, bo przy najgorszéj pogodzie. Przez dziesięć prawie godzin od stacyi kolejowéj powóz nasz toczył się, kołysał, skrzypiał, jęczał, a my z nim

razem; a że deszcz był ulewny, więc się trzeba było tylko domyślać, że okolica śliczna. Od czasu do czasu, gdy deszcz trochę ustał i szare chmury raczyły się usunąć, pokazywały się szczyty groźne, skaliste, o dziwacznych kształtach i zrębach, które za każdym skrętem drogi przedstawiały się inaczéj: raz w całéj grozie skał nagich, szarych, bezroślinnych, to znowu z innéj, bardziéj ludzkiéj strony, pokryte lasami, wśród których zdala jak słabe echo dźwięczał dzwonek alpejskiéj krowy. Mieniały się kształty i postaci gór i smugi cieniów od szaréj, sinéj barwy kamienia do ciemnéj zieloności świerków. Z Wegscheid, gdzieśmy trochę wypoczywali, przeglądając w książce niezliczone nazwiska i uwagi naszych poprzedników, miała być jeszcze godzina drogi, tak nam mówił woźnica; ale co za godzina! jaka droga! Znowu jechaliśmy pod górę, bo kościół cudowny stoi na samym szczycie i jedzie się drogą, która wężykowato ciągnie się wokoło góry tak, że przez cały czas masz przed oczyma wieże kościelne; jesteś jakby u celu, a droga ciągłymi skrętami zdaje się raczéj oddalać, niż przybliżać do miejsca świętego. Istny symbol chrześcijańskiego, wogóle ludzkiego żywota.

W średnich wiekach tak budowano kościoły, klasztory, zamki: zawsze niedostępnie, na szczytach, zgodnie z potrzebami wojennymi i z duchem czasu, który się wyrywał od ziemi w górę, w niedostępne światy.

Kościół w Maria-Zell ma swoję historyą. Legenda przypisuje mu bardzo piękne a skromne początki. Posążek Matki Boskiéj, dziś pokryty złotem i perłami, niegdyś w XII. wieku miał się znajdować w ubogiéj celi zakonnika, który przybył w te strony, aby nawracać zupełnie jeszcze dziką ludność pasterzy alpejskich. Tu pierwszy raz „Królowa z Maria-Zell“ zasłynęła cudami. Margrabia morawski Henryk na znak wdzięczności za odzyskane zdrowie po ciężkiéj chorobie wybudował r. 1200. kamienną kaplicę, która do dziś dnia stoi w środku nawy kościoła. Późniéj Ludwik, król węgierski, zrzucił drewniany kościółek, który otaczał kaplicę, i zastąpił go kościołem murowanym. Z téj pierwotnéj świątyni utrzymała się jeszcze wieża, która góruje ponad dwiema innymi, należącymi do nowszych czasów. Posągi dwóch fundatorów, margrabiego i króla, stoją u wejścia do kościoła, lane ze srebra, ze stosownymi napisami.

Przeszedłszy prędko nawę kościelną, śpieszymy do kaplicy, która stoi w środku kościoła, otoczona kratą ze srebra i oświecona niezliczonymi lampami. Tutaj jaśnieje posążek Matki Boskiéj, ze srebra i złota, wśród mnóstwa klęczących Serafinów. Posążka Matki Boskiéj cudownéj trzeba jednak szukać wewnątrz kapliczki, nad małym ołtarzykiem, w ciszy i ciemności. Oto patronka monarchii.

Prócz głównéj kaplicy rzeczą godną widzenia jest tu jeszcze skarbiec i mnóstwo wotów czyli darów, obrazów, pamiątek, ofiarowanych przez ludzi pobożnych. Najciekawszą w skarbcu rzeczą jest starożytny ornat, ofiarowany przez Ludwika węgierskiego. Są tam bardzo bogate monstrancye, krzyże, kielichy, wysadzane kosztownymi kamieniami, złote i srebrne. Wszystko to jest zbiór osobistych pamiątek i ofiar i jako taki wielkie sprawia wrażenie. Rozwija się przed nami długa historya ludzkich cierpień i zawodów, czy patrzymy na bransoletkę, którą nosiła arcyksiężniczka w dzień nieszczęsny, kiedy się spaliła, a którą potém rodzina ofiarowała kościołowi na wieczną pamiątkę — czy na sznury pereł, niegdyś nieobliczonéj wartości, które na ofiarę złożyła wielka jakaś pani, wzgardziwszy tym światem. We wszystkich tych wotach zostało jakby zaklęte tchnienie jakiéjś smutnéj przeszłości, mówiąc nam, że wszystko, co jest, przejść musi.

Zaprawdę, nawet człowiek obojętny musi ulec potężnemu wrażeniu, kiedy się znajdzie tutaj wśród tego pobożnego ludu, kiedy uklęknie z tym tłumem, który tu przyprowadziła myśl jedna, jedno uczucie; kiedy się przypatrzy tym twarzom najrozmaitszym i przysłucha szczeréj, poufnéj rozmowie, którą ci ludzie prowadzą z Królową nieba i ziemi. Wrażenie to jeszcze się potęguje myślą, że już przez długie wieki przed nami przychodzili tu ludzie z taką samą szczerą modlitwą na ustach i po nas jeszcze garnąć się będą do tego świętego źródła pociechy i pomocy.

Stef. Chłędowska (Szkice).

---

61. Hellbrunn.

Pałac Hellbruński wraz z otaczającym go ogrodem, parkiem i zwierzyńcem, należący teraz do cesarza, założył arcybiskup salzburski Sittich w roku 1613. w odległości pięciu kilometrów od Salzburga. Sam pałac, budynek dosyć wielki,

nie ma zewnątrz nic szczególnego; to téż jeżdżą ludzie do Hellbrunnu nie po to, aby oglądać ten pałac, lecz po to, żeby podziwiać ogród i znajdujące się w nim sztuki wodne, wodotryski, groty, jaskinie, teatr maryonetek i przeróżne figury ruchome i nieruchome.

Wszedłszy do ogrodu wejściem, znajdującém się po lewéj stronie pałacu, spostrzega się przedewszystkiém dwie wielkie sadzawki w kamiennéj oprawie, w których kapią się kamienne figury, wyrzucające wodę ustami. W głębi za tymi basenami wznosi się front budynku, wyłożony drobniutkimi kamykami różnych kolorów i ozdobiony kilku posągami. Przed tym frontem stoi stół kamienny, otoczony takimiż kamyczkami. Oprowadzający gości dozorca odkręca ukryty kurek, a z ziemi dokoła stołu i stołków wytryska kilkaset cienkich jak druty promieni wody, które tak się krzyżują, że tworzą jakoby płot i stojący przy stole już stamtąd wyjść nie może. Nie koniec na tém; po chwili z każdego stołka ze środka wzbija się wodotrysk, a nareszcie i ze środka stołu zaczyna bić najwyższa i najokazalsza ze wszystkich fontanna. Zdarza się czasem, że ktoś nieostrożny, zapatrzywszy się w inną stronę, użyje niespodziewanie lekkiéj kąpieli natryskowéj; ale to się przyczynia tylko do urozmaicenia zabawy i powiększa wesołość tych, którzy uszli sucho przed tym deszczem z pod ziemi.

O parę kroków od tych zdradzieckich stołków kryje się w cieniu drzew jaskinia, w któréj po skałach poustawiane są różne zwierzęta: tu puhacz z wytrzeszczonymi oczyma, tam coś niby hyena, ówdzie wilk, a nawet i takie dziwolągi niestworzone, których nie ma na świecie i nie było. Gdyśmy się tym wszystkim dziwom przypatrywali, usłyszeliśmy nagle za sobą szum; zwróciliśmy się szybko do drzwi, a tu z progu w górę, z bocznych oddrzwi w boki, a z górnych na dół biją promienie wody i drzwi wydają się zamknięte kratą z wody.

Z téj groty poszliśmy na drugą stronę pałacu i stanęliśmy przed wielkim, dwupiątrowym domem, do którego prowadzą wysokie drzwi w pięknéj oprawie marmurowéj, ozdobionéj po obu stronach dwiema głowami jelenimi o rozłożystych rogach. Przed wchodem jest duży basen, z którego biją w górę trzy promienie wody, tak sztucznie skrzyżowane, że utrzymują ciągle w powietrzu kulkę złotą, jakby się nią bawiły, niby piłką. Są w tym basenie także i zwierzęta, z których paszcz leją się strumienie wody. Wszedłszy do środka

tego domu, staje się naprzód w wielkiéj sali, wyłożonéj marmurem. W głębi stoi posąg marmurowy, a u jego stóp leży wielka głowa. Za pociśnięciem sprężynki otwiera ta głowa szeroko usta, wystawia zwiedzającym gościom długi język czerwony i bucha całym potokiem wody, a równocześnie dokoła owego posągu stojącego wzbija się kilkanaście wodotrysków.

Z téj sali wchodzi się do drugiéj, która tak wygląda, jakby była wykuta w skale. Po sztucznych złomach głazów wiją się sztuczne rośliny, rosną sztuczne drzewa, na których siedzą sztuczne ptaszki, a po jednéj stronie w skalistym basenie połyskuje mała sadzawka. Gdy dozorca puści w ruch ukrytą maszyneryą, zaczynają te ptaszki śpiewać, naśladując wcale nieźle słowiki, tylko trochę za głośno; potém odzywa się kukułka i gdzieś z kąta huka sowa. Wśród téj ptaszęcéj wrzawy wypływają z jaskini nad wodą nimfy wodne na delfinach i pływają sobie w kółko po sadzawce.

Z téj śpiewającéj groty przechodzi się napowrót przez dierwszą salę do dwóch innych, znajdujących się po lewéj stronie. Wszedłszy do pierwszéj z nich, cofa się człowiek mimowolnie, bo zdaje mu się, że wszystko się wali. Ściany popękane od dołu do góry; w marmurowych oprawach drzwi i okien niebezpieczne rysy, a z sufitu oderwał się na środku kawał tynku i wylatuje spróchniały belek. Wszyscy tedy cisną się u wchodu i boją się wejść, ale dozorca uspokaja, że to nie wali się istotnie, że owszem wszystko stoi jak najmocniéj, a te wszystkie rysy i pęknięcia są sztuczne. Ta ruina jest istotnie tak znakomicie naśladowaną, że każdego na pierwszy rzut oka może w błąd wprowadzić. Druga sala po téj stronie jest także sztuczną grotą, w któréj głębi w framudze stoją dwie figury marmurowe, a w środku ustawiony jest na skale słup, także marmurowy, bo marmuru nie żałowano. Na tym słupie leży korona. Za pociśnięciem sprężyny zaczyna z pod korony wydobywać się woda i powoli wzbija się słup wody, który podnosi tę koronę coraz wyżéj i wyżéj, aż wkońcu dosięgnie sklepienia, gdzie stanąwszy, rozsypuje drobniutki deszcz na wszystkie strony, poczém znowu korona powoli się zniża i napowrót na słupie osiada.

Jeszcześmy podziwiali tę sztukę wodną, gdy oprowadzający zawołał na nas: — Moi państwo, śpieszcie się, bo będziemy mieli deszcz ulewny! — Pamiętając, jakiego nam figla

wypłatał w tamtéj grocie koło zdradzieckiego stołu, cisnęliśmy się do wyjścia, ale nimeśmy zdołali dobiédz do drzwi, a tu w pierwszéj, wchodowéj sali ciecze od sufitu taki deszcz ulewny, że ani myśleć przejść.

Gdyśmy wyszli nakoniec z tego czarodziejskiego domu, pokazał nam przewodnik jeszcze inną sztukę, puszczając prześliczne fontanny z każdego końca rogów owych głów jelenich, umieszczonych po obu stronach drzwi wchodowych. Są w tym ogrodzie jeszcze różne inne groty, ale w tych nie pokazują już takich sztuk. Pomiędzy krzakami poustawiane są najrozmaitsze posągi i zwierzęta, tak dobrze w kamieniu naśladowane, jakby były żywe.

Oglądając tak to i owo, weszliśmy w ulicę, drobniutkimi kamykami wysypaną, która ma z jednéj i drugiéj strony obwarowany kanał, napełniony wodą. Po jednéj stronie tego kanału stoją małe domki, niewyższe nad metr, otwarte od strony ulicy, w których są różne figurki, poruszane za pomocą maszyneryi, wprawianéj w ruch wodą. Tu kowale kują młotami, tam rzeźnik rąbie mięso, ówdzie jacyś dwaj biją się na pałasze, jeszcze daléj rycerz walczy ze strasznym potworem morskim i wiele innych tym podobnych rzeczy. Po drugiéj stronie bukiety sztucznych kwiatów, tak oblane wodą, że zdaje się, jakoby były pod szklanymi kloszami; obrazy malowane na blasze olejnymi farbami, po których spływała woda, tak jednostajnie i tak czyściuteńka, że wydaje się, jakby były za szklaną szybą; a w jedném miejscu jakiś dziwoląg na skale, ni człowiek ni zwierzę, który tryska na wszystkie strony wodą, gdy się do niego zbliżyć za nadto.

Na końcu téj ulicy zbudowany jest wyższy dom, zamknięty na szerokie drzwi. Gdy je otworzono, przedstawiła nam się scena, jak w teatrze maryonetek, pełna najrozmaitszych figurek. Wtedy ozwała się pozytywka, wewnątrz teatru umieszczona, i wszystkie figurki, a jest ich tam 154, zaczęły się ruszać, maszerować, skakać, tańczyć, kłaniać się i rozmaite inne wyprawiać figle. Dzieci, które się temu przypatrywały, nie mogły z zachwycenia ustać na miejscu i same podskakiwały, objawiając głośnymi wykrzykami swoję radość. Widok tych zachwyconych chłopaków i dziewcząt sprawiał mi większą przyjemność, niż maryonetki.

Łucyan Tatomir,
(Ferye alpejskie).

62. Ostra Brama w Wilnie.

Z rycin, z opowiadań i opisów przedstawia sobie każdy człowiek Ostrą Bramę inną zupełnie, niż jest w rzeczywistości. W głębi ulicy długiéj, staroświeckiéj i bardzo cichéj wyobraża sobie bramę wysoką, wąską, daleko smuklejszą może, niż Floryańska w Krakowie, prawdziwie „ostrą“; w niéj wysoko nad ludźmi przez otwarte okna z ciemnego wnętrza kaplicy połyskują marmury, świeci złoto, iskrzą się drogie kamienie, migają światła lamp srebrnych; na górę prowadzą po dwóch stronach schody kamienne, a na każdym stopniu grupy klęczących, które spływają aż na ulicę; brama może być poczerniała i obdarta, ale musi nosić widoczne ślady wielu wieków....

Czyż nieprawda, że jest się przygotowanym na coś bardzo malowniczego, a w téj malowniczości przeważają dwa pierwiastki — starożytność i przepych?

Rzeczywistość jest zupełnie inna. Jedziesz ku miastu ulicą, podobną do wszystkich najpospolitszych małomiejskich ulic, ani długą ani piękną, dość nową, aż ujrzysz się przed kwadratową, ciężką basztą, bramą zapewne, skoro się pod nią podjeżdża; ta brama bez stylu i bez cechy starości, bo ją zawsze bielą i mażą, pomalowana jest rosyjską modą na żółto, gzymsy na niéj i Pogoń nad otworem bramy wysmarowane wapnem na biało. Nie wiesz, na co patrzysz i gdzie jesteś, kiedy widzisz naraz, że twój dorożkarz zdejmuje czapkę, że na ulicy wszyscy bez czapek, że niektórzy klęczą na bruku... już wiesz co to za Brama! Zrywasz czapkę i ty, chcesz dojrzeć obrazu „Panny świętéj, co w Ostréj świeci Bramie“: widzisz tylko kapliczkę, przystawioną do bramy tak, że zdaje się być jedną ścianą, widzisz z trzech jéj okien największe środkowe narozcież otwarte, a za tém oknem firanki, które zasłaniają obraz; ale napróżno szukasz przepychu lub starożytności. Owszem, nic skromniejszego, powiedzmy poprostu, nic uboższego, jak ta budowa, dostawiona do bramy tak, że zdaje się być jéj facyatą, a tylko z za dwóch boków trójkąta, który stanowi szczyt kaplicy, wyglądają dwa rogi właściwéj kwadratowéj baszty. Inaczéj świeci obraz częstochowski ze swojéj Jasnéj Góry, któréj wieże i baszty na kilka mil widne dokoła; i zdaleka już można mu się pokłonić.

Niegdyś, przed wiekami, obraz stał we framudze téj baszty, tak mniéj więcéj, jak figura św. Floryana w bramie Floryańskiéj w Krakowie; późniéj wystawiono nad wjazdem kapliczkę drewnianą, już cokolwiek więcéj przestronną, a tę dzisiejszą ukończyli księża Karmelici z sąsiedniego kościoła św. Teresy już w początkach naszego wieku. Na marmury nie było ich stać; jest to prosty mur, niczém nie ozdobiony ani nie zasłonięty, pomalowany na kolor szafirowy, a wszystko, co z muru wystaje, jak gzymsy, pilastry i t. p., wapnem pobielone. Ulica nie cicha niestety; owszem, najgwarniejsza ze wszystkich gwarnych ulic wileńskich, bo prowadząc do kolei, jest główną komunikacyą miasta. Dawniéj powozy jeździć po niéj nie mogły, a ruch cały szukał sobie dróg innych; dziś wszystkie powozy i dorożki, wszystkie pakunki i ciężary, wszystkie żydowskie fury i wózki jeżdżą popod Ostrą Bramę bez ceremonii i nieustannym turkotem przeszkadzają i do nabożeństwa i do skupienia ducha i myśli.

I schodów kamiennych z ciosowymi poręczami nie ma. W jakiéjś przystawce, w jakiéjś żółtéj, niepokaźnéj budzie po lewéj stronie ulicy są ciasne, wąskie drzwiczki; jest ciasny, wąski, ciemny korytarzyk, są schody drewniane, niebardzo ciasne, ale dość trudne; po tych wychodzi się do maleńkiego przedsionka (czy kruchty), znajdującego się zawsze jeszcze we wspomnianéj budzie, z niego zaś naprost ciasne drzwiczki do małéj zakrystyi, a na prawo małe, wąskie, na jednego człowieka ledwo, żelazne drzwi do kaplicy.

Kaplica może mieć długości kroków kilkanaście, szerokości ledwo kilka; na pokój nie byłaby bardzo duża. Jak wejdzie pięćdziesiąt osób, już nie mają się gdzie pomieścić, a gorąco staje się dusznèm i nieznośném. Z dwóch ścian dłuższych jednę zajmują trzy okna, wychodzące na ulicę i podczas nabożeństwa zawsze otwarte, drugą przez całą prawie jéj szerokość ołtarz i umieszczone przy nim małe organki. Wszystko to niskie, tak, że ten ołtarz choć dochodzi do samego sklepienia, wydaje się za niski w stosunku do swéj szerokości, jakiś zduszony, przygnieciony.

I tu nie ma ani marmurów ani złota ani pereł i kamieni ani lamp kosztownych; ściany pociągnięte klejowo szafirowym, a sklepienie zielonym kolorem; ołtarz murowany, pomalowany olejno, udaje marmur; kolumny ołtarzowe i wszystko wokoło nich na pierwszy rzut oka niby ze srebra, ale to wszystko

drewniane, obwieszone tylko srebrnymi wotami. Są na ołtarzu nawet dwie figury świętych drewniane, złocone, tak złe, że mogłyby stać w najskromniejszym wiejskim kościele; nawet lichtarze tylko te, co małe, są srebrne, a wielkie ołowiane są czy cynowe. I wota skromne. Nie ma częstochowskich buław hetmańskich ani królewskich darów; srebrne blaszki, przez biedaków zawieszone, wyobrażają to nogi, to ręce, to oczy, to serca; niektóre mają napisy niezgrabne, jakgdyby szpilką wydrapane. Jedyne wotum bogatsze, to wielki srebrny półksiężyc, który cały obraz od spodu obejmuje, tak, że na obrazkach wydaje się, jakgdyby był jego częścią.

Nie częstochowskie to bogactwa i wspaniałości. Tam Matka Boska na swojéj wysokiéj górze, w swojéj obronnéj fortecy, w swojéj wspaniałéj kaplicy wygląda jak królowa na majestacie; tu w tych prostych, białych murach, w téj ciasnéj przestrzeni, w tém otoczeniu ubogiém wygląda sama jak w więzieniu, w ucisku, w ubóstwie. I w obrazach samych podobna różnica. Częstochowski ma oblicze surowe i groźne, tak, że mu w oczy popatrzeć trudno; — ten patrzy tak łagodnie, tak łaskawie, a tak smutno, jakgdyby sam chciał płakać nad sobą; a widząc go w tém ubóstwie, w tym ucisku, myśli się o Matce Bolesnéj, jak z pod krzyża wróciła do swojéj izdebki, a za nią mała garstka wiernych, płaczących niewiast i uczniów. I tu tak ciasno, i tu tak mało ludzi wejść może, a ci ludzie, co są, płaczą tak często i to nie nad sobą tylko, ale jak tam po powrocie z Golgoty i nad Najświętszą Panną także, że taka biedna, i nad jéj Synem, że zelżony i umęczony przez Heroda i Piłata!... Doprawdy, patrząc na te kobiety, klęczące koło ołtarza i płaczące, myśli się o Salomei albo Weronice, o tych świętych niewiastach, które z takiém uczuciem pojął i przedstawił Delaroche w W i e l k i m P i ą t k u, jak Matkę Najświętszą znękaną odprowadzają do domu albo na kolanach próbują krzepić i cucić zemdloną. A sam sobie wydaje się człowiek, jakgdyby należał do tego orszaku, jakgdyby szedł za nim gdzieś daleko, „na końcu“ i przez uchylone drzwi patrzał na te sceny świętych boleści i sam je choć trochę podzielał. Taki jest charakter Ostréj Bramy, taki rodzaj czci, którą tam Matka Boska odbiera, i takie wrażenie. I gdyby na tém miejscu stanął przybytek tak wspaniały, jak nie ma żadnego na świecie; gdyby go wszystkie skarby świata zdobiły, gdyby najzawołańsi śpiewacy od rana do nocy śpiewali jak

anioły, a setki tysięcy ludzi klęczały dokoła: nie robiłby ten przybytek większego wrażenia, jak robi dziś, w téj swojéj biedzie i przez nią.

Obraz sam mało jest podobny do innych. Twarz jest więcéj, niż naturalnéj wielkości; jéj kolor nie czarny wcale, raczéj zanadto czerwony; figura cała zasłonięta zwykłą u nas sukienką, tylko, że nie jest jak w Częstochowie na aksamicie, perłami i kamieniami haftowana, ale wyrobiona ze srebrnéj, pozłoconéj blachy i wyrobiona wcale ładnie. Jedyna to rzecz okazała i bogata w całéj kaplicy.

Zrana msze wychodzą jedna po drugiéj bez przerwy aż do godziny jedenastéj, wieczorem zaś o szóstéj czyta ksiądz litanią przed odsłoniętym obrazem, a zawsze tak wieczorem, jak z rana, kaplica pełna i na schodach ludzie się tłoczą i na ulicy klęczą.

Przed Ostrą Bramą, po lewéj stronie ulicy, stoi rodzaj domu, umyślnie zbudowanego, który na piętrze ma tylko jednę salę, raczéj duży pokój, z oknami, dającymi wprost widok na ołtarz, z ławkami do siedzenia i klęczenia; to rodzaj loży dla tych, którzy do kaplicy docisnąć się nie mogą, a wolą mszy słuchać pod dachem, niż na ulicy. Tutaj, na ulicy, dużo żebraków i kalek wszelkiego rodzaju i cokolwiek (niewiele) sklepików i przekupek z obrazkami, medalikami, szkaplerzami i wszelkim takim kramowo-odpustowym towarem. Towaru tego niewiele i dość lichy. Ani mowy o takich pięknych obrazkach na blasze lub drzewie, jakimi pyszni się Częstochowa.

Za to przekupki, które tutaj te obrazki sprzedają, otoczone są najwyższém uszanowaniem całego miasta, nawet całéj Litwy, jako bardzo godna, mądra i typowa część ludności.

Stanisław hr. Tarnowski, (Z Wilna).

63. Ławra peczerska.

Każdego, przybywającego do Kijowa, zajmują nadewszystko jego sławne pieczary, o których tyle bajek cudownych powtarzają ci, co je widzieli, i ci, co ich nie widzieli. Przebywszy całe Peczerskie, tylu pięknymi odznaczające się gmachami, wyjeżdża się ku twierdzy, w któréj środku złocistymi kopułami świeci Ławra, ta Jeruzalem Rusi, do któréj od wie-

ków tyle pobożnych ciągnie pielgrzymów, aby ucałować nogi świętym, w niéj spoczywającym. Wysoka wieża-dzwonica już zdala oznajmuje Ławrę. Wchodzi się na dziedziniec obszerny, otoczony gmachami, napełniony czerńcami; spostrzegamy dziwnie ozdobny a piękny front cerkwi, a wejście do niéj okazuje się w zagłębieniu, ozdobioném malowaniami zewnątrz na ścianach, na ogromnych blachach przybitymi. Co mianowicie odznacza cerkwie tutejsze, to sposób ich zdobienia zewnątrz i wewnątrz , kopuły. Kopuły te, jakkolwiek niskie, nieco różnego od bizantyńskich minaretów kształtu, mają w sobie coś bizantyńskiego; nagromadzenie ich, skupienie i rozmaita wielkość uderza więcéj, niż wewnątrz architektura, nie mająca nic nadzwyczaj udzielnego, pomimo zdania wielu, co ją mają za charekterystyczną. Świetne, a a może aż nadto błyskotliwe zewnątrz ozdoby, na które składają się wszystkie barwy tęczy, srebro i złoto, coś także mają wschodniego.

Wewnątrz Ławra jest tajemnicza, wspaniała a smutna. Całe prawie ściany jéj i przegrody okrywają złocenia: złocenia na kopule, złocenia we drzwiach, złoto wszędzie. Na przodzie, w głębi jaśnieje kołem ogromném cudowny obraz Bogarodzicy, który się na sznurach zniża i podnosi. Dokoła na podwyższeniach leżą ciała świętych w trumnach bogatych, otwartych, a do nich cisną się ze świeczkami, ofiarami i modlitwą pielgrzymi pobożni, całując naprzód ziemię, potém nogi i ręce świętego.

W ciemnéj świątyni, całkiem prawie złoconéj, a poczerniałéj od czasu i dymu kadzideł i świec, te stojące wszędzie trumny pomnażają jeszcze uczucie religijnéj grozy i trwogi, uczucie czci i uszanowania. Z wszystkich stron leżą święci i śpią snem błogosławionych, spokojnym, nieprzerwanym. U stóp ich to mnich czarny, to mniszka, to wieśniak, to stary żołnierz odstawny klęczy, przylepiwszy cieniuchną świeczkę ofiarną do trumny. Wśród cieniu jaśnieją te światełka jak gwiazdki, a z posępnéj ciszy, przerywanéj tylko cichém po suknie stąpaniem, nagle powstający głos przeciągły śpiewu pobożnego uroczyście przejmuje. Na lewo cerkwi, na murze czarnym, są portrety kilku hetmanów kozackich, ciemne jak przeszłość postaci, poważne i groźne. Z ogromnych opon wyglądają twarze wąsate, oczy czarne, nieruchome i blade lica. Ci hetmani są to stróże arki ruskiéj...

Przeszedłszy długie galerye i dziedzińce Ławry, staje się u wejścia pieczary bliższéj, przy któréj jest bogata kaplica. Tu pielgrzymi kupują świece, zapalają je u lampy. Zakonnik starszy błogosławi klęczącego przed sobą mnicha, który ze świeczką w ręku poprzedza długi szereg pobożnych i wąską szyją spuszcza się w pieczarę. Pieczary wykute są w zsiadłéj, żółtéj i białéj glinie, z półokrągłém sklepieniem, mało co wyższe nad trzy łokcie, mało co szersze nad dwa: wysłane są kamieniem lub blachą, a po obu bokach tego wąskiego, ciemnego korytarza ukazują się wgłębienia, w których na podstawach wywyższonych, w trumnach odkrytych, przybrani w jedwabne suknie, pokryci oponami jedwabnymi, spoczywają święci, dawni tych pieczar mieszkańcy. Nad każdą trumną jest obrazek i tabliczka z napisem imienia. Przewodniczący pochodowi zakonnik zatrzymuje się przed każdym świętym, wymawia imię jego głośno i dodaje:

— Módl się do Boga za nami!

Pobożni pielgrzymi całują przed każdym świętym, naprzód ziemię, potém stopy jego i ręce, poczém idą daléj. Czasami na prawo i lewo ukazują się drzwi zaparte, wiodące do pieczar dalszych, których nikt nie zwidza; głośne są podania o rozciąganiu się ich popod Dniepr i daléj.

Pieczara ta w dół zbiega, to się podnosi znowu, to rozłamuje na dwie i więcéj gałęzi. Spotyka się w niéj cele; maleńkie trapezy (jadalnie, refektarze) i cerkwie podziemne z wyzłoconymi ikonostasami, gorejącymi lampami. Niekiedy wskazuje mnich okienka, otwory cel, w których żyli i pomarli święci zatwornicy, zamknięci, co dobrowolnie zakopawszy się żywo w tym grobie, w ciemności i samotności o niebie tylko i wieczności marzyli.

Przechód przez pieczary jest uroczystym i przejmującym: te groby, zewsząd otaczające, odkryte, to przejście wąskie, te cerkwie złociste, zjawiające się na zawrocie nagle i błyskające w ciemnościach, silne czynią wrażenia. W pieczarach są groby sławnych mężów, między nimi Nestora, pierwszego historyka Rusi. *J. I. Kraszewski.*

64. Z ruin Rzymu.

W Rzymie dziś trzy są właściwie miasta: nowożytne, dawne papieskie i starożytne. Częstokroć domy, wybudowane dziś lub wczoraj, stoją na fundamentach starorzymskich; między zwykłymi kamienicami wznosi się tu i ówdzie wieża romańska; czoła kościołów wsparte są na starożytnych kolumnach — słowem, życie wieków średnich wyrastało jak pleśń na zwaliskach świata pogańskiego, potém samo z kolei zapadało w gruzy, z których lepił sobie gniazdo człowiek nowożytny. Rzym jest to więc mieszanina bezładna trzech światów i wskutek tego miasto najosobliwsze na świecie. Ulic jego nie dotknęły prawie jeszcze linia i cyrkiel; domy piętrzą się jedne nad drugimi, obniżają się, wznoszą, występują jako grupy; uliczki gną się w nieznane gdzieindziéj krzywizny, między domami widać tarasy, mury forteczne, wieże, pałace, kościoły, zwaliska, olbrzymie fundamenta, fontanny, krzyże, obeliski, znowu wąskie nakształt korytarzy uliczki, a na ich rogach Madonny, oświetlone nocą blaskiem lamp.

Starożytnego Rzymu widzi się na każdym kroku ślady, ale przeważnie tylko ślady. Wogóle zapadł on w ziemię, wieki pochowały go jak umarłego człowieka i pokryły grubymi warstwami gruntu, a na tym olbrzymim grobie zazieleniało nowe życie. Ale ciekawość dzisiejsza lubi odgrzebywać stare mogiły i w ten sposób odgrzebano *Forum-Romanum.*

Począwszy od Kapitolu aż do Koloseum ciągnie się Rzym starożytny, niepomieszany z nowym. Część ta stanowi odrębną dzielnicę, leżącą na skraju dzisiejszego miasta. Widok na nią odkrywa się prawie niespodzianie i trudno nawet zdać sobie sprawę z wrażenia, jakiego doświadcza podróżnik, gdy, wynurzywszy się z wąskich uliczek obok Kapitolu, spostrzega od razu to miasto zwalisk. Forum jest to dziś ogromny prostokąt, zapadły na 8 metrów w ziemię, ograniczony w swéj długości z jednéj strony Kapitolem, z drugiéj Koloseum. Po prawéj stronie leży skała Tarpejska i gruzy pałaców cezaryańskich, po lewéj ruiny kilku świątyń, szczególnie olbrzymie mury świątyni Konstantyna. Tu było ognisko i serce dawnego Rzymu, a obecnie kraniec dzisiejszego. Przez otwory w łukach i sklepieniach, przez puste okna odwiecznych zwalisk widzi się ogrody, niezabudowane pola, a w dalekości znów zwaliska i stosy gruzów, przysłonięte błękitem oddale-

nia, za którymi ciągnie się smutna, rozległa równina Kampanii rzymskiéj.

Ruchu miejskiego prawie tu nie ma; nie słychać turkotu wozów i dorożek. Kolumny, to stojące samotnie, to jeszcze połączone, sterczą ku górze z powagą i martwotą pustki; kształtne linie przecinają na wszystkie strony ciemny błękit nieba; olbrzymie sklepienia, jakby nie rękami ludzkimi wznoszone, zwieszające się masą, niepodpieraną od wieków, zdaje się, że runą za chwilę pod własnym ciężarem; nad wszystkiém wznosi się jakiś nieopisany majestat wielkich wspomnień, ciszy i śmierci.

W około żyje tylko natura; na zrębach murów cezaryańskich pałaców czernieją sosny rzymskie, gdzieniegdzie palma rysuje się na wysokości nakształt wysmukłéj kolumny, zakończonéj kapitelem liści; długie trawy, powoje i mchy czepiają się wszystkich szczytów, rozpadlin, szpar i załamań; nad zwaliskami krąży w powietrzu ptastwo i słońce zlewa potoki światła, ale wszystko, co tylko wyszło z pod ręki ludzkiéj, ciche jest, zrujnowane i martwe. Jest to poprostu miasto umarłe. Częstokroć, zwłaszcza w miesiącach letnich i na początku jesieni, gdy cudzoziemcy jeszcze się nie pozjeżdżają, żadna żywa dusza ludzka nie zakłóca tu ciszy. Gdym w godzinach popołudniowych zabłąkał się między te kolumny, zdala zaledwie dochodził szum miasta niewyraźny, zmącony, podobny do mruczenia dalekich wód; zresztą słyszałem tylko świegot ptastwa w gzymsach i głosy świerszczów ukrytych w szparach kamiennych.

Forum wygląda jak wielki, zrujnowany cmentarz, na którym bezład grobowców dopełnia dzieła śmierci. Kolumny, jedne połamane w górnéj części, drugie u podstaw, oznaczają jeszcze granice świątyń; ale trzony wielu tych kolumn leżą już bezładnie na ziemi w różnych kierunkach. Gdzieniegdzie noga depce korynckie lub jońskie nagłowniki, nawpół zagłębione w ziemi i porastające mchem w ozdobieniach. Trawa wydobywa się ze szpar pomiędzy kamiennymi płytami, którymi całe Forum było wyłożone. Mnóstwo podstaw posągów, ale bez posągów, to stoi, to pochyla się ku upadkowi, to leży już w dzikiém nagromadzeniu. Oko odkrywa jeszcze na nich wpół czytelne napisy, w których wyraz D i v o powtarza się co chwila. „Boskim“ i „ubóstwionym“ ludziom wznoszone były za cesarstwa te posągi, a teraz czę-

sto marmurowe członki owych „boskich“ leżą w kupach rupieci i w pyle zczerniałe, pokryte pleśnią, zapomniane. Cała przestrzeń zasłana jest szczątkami posągów. Tu widać tułów kobiecy bez głowy, rąk i nóg, tam ręce męskie lub głowy bez nosów i nogi, to olbrzymie, to zwykłéj wielkości, poprzewracane obok siebie, i smutne okruchy, wśród których głośno sykają świerszcze.

Przez łuk Tytusa, obok zwalisk pałaców cezaryańskich, przechodzi się do Koloseum. Łuk ten to najpiękniejszy zabytek czysto rzymskiego budownictwa; jakoż wyśmienite jego wymiary i pyszne rzeźby wyróżniają go od pobliskiego łuku Konstantyna, stojącego na drodze do łaźni Karakalli. Na wewnętrznéj, wklęsłéj jego stronie płaskorzeźba wyobraża pochód tryumfalny Tytusowych legionów, obciążonych łupami zburzonéj Jerozolimy. Między innymi przedmiotami widać tam sławny świecznik ze świątyni Salomona.

Za łukiem jest się już w zakresie Koloseum. Wzniósł je cesarz Wespazyan dla ludu, chcącego się bawić. Tutaj to lud cieszył się i weselił, patrząc na śmierć ludzi i zwierząt; tu odzywały się nocami przeciągłe ryki lwów. Dziś olbrzymia ruina świeci pustymi oknami, ale dawniéj, wśród ryku zwierząt i chrapania konających, 90.000 gardzieli wyło: *Macte* (wybornie)! klaskały dłonie, palce podnosiły się ku górze lub na dół, gladyatorowie wykrzykiwali: *Ave Caesar! Morituri te salutant*! (Bądź pozdrowion, cesarzu! mający umrzéć pozdrawiają cię)! na arenie przesuwali się Germanowie, Gallowie, Dakowie — i dzikie zwierzęta, których dostarczała Afryka; tutaj także cicho konali chrześcijanie. Potém ten piekielny chorał krzyków i jęków, dzikich i wściekłych, rozpaczliwych lub pokornych, umilkł raz na zawsze, a na przesiąkłéj krwią arenie rozciągnął, w głuchém milczeniu, ramiona krzyż.

Dziś nie ma krzyża. Władze świeckie kazały go uprzątnąć; zresztą wznosił się on już wśród zwalisk. Olbrzymi gmach zaczął sam przez się rozpadać się w gruzy; reszty dokonała chciwość ludzka. Dopiero za czasów Napoleona zaczęto niby odbudowywać gmach i wzniesiono, a raczéj odnowiono kilkanaście sklepień; ale próby owe były i pozostały w stosunku do całości kroplą w morzu. Całość sterczy do dziś dnia potworna, zczerniała, połamana, obumarła i prawie niepodobna do dzieła rąk ludzkich. Widziałem ją w blasku słońca i przy księżycu. W nocy jest prawie straszna swoim

ogromem, ruiną i pustką. Zamieszkują ją teraz skorpiony, nietoperze i zniszczenie.

Pod sklepieniem łuku Konstantyna przechodzi droga do łaźni Karakalli. Droga to prześliczna, wśród ogrodów i wądołów, których szczyty pokryte są sosnami kształtu parasoli, stoki zaś porastają winogradem i wysoką kukurydzą. Na prawo i na lewo, razwraz ponad masą zieleni wznoszą się jakieś zwaliska i szczątki. Krajobraz jest włoski, pełen słodyczy, światła, lazuru, a oko leci daleko w przeźroczy powietrznéj. Cichość przerywają tylko ćwierkania wróbli na drzewach, bo zresztą dziwnie jest mało ruchu w téj okolicy. Idąc spotkałem tylko jeden wóz wysoki, ładowny, zaprzężony w muły, poobwieszane dzwonkami; prócz niego ani żywéj duszy. Droga, objęta murami, zwęża się i zakręca tak, że do łaźni dochodzi się prawie niespodzianie.

Zapłaciwszy franka u wejścia, wszedłem w środek, a wszedłszy począłem się rozglądać na wszystkie strony i mimowoli pytałem siebie, gdzie jestem. Koloseum w porównaniu z tymi zwaliskami jest poprostu małe. Żaden gmach nowożytny nie daje nam wyobrażenia o wielkości łaźni.

Podnosim oczy do nieba, którego krąg ogromny widać z każdéj komnaty, potém do stropu opustoszałych murów — i te ściany, z cegłą zeszkloną przez wieki, wyniosłe, poszczerbione na szczytach, pokryte pękami zieleni, a ciche, wydają się skałami, otaczającymi jakąś dolinę górską. Stada kawek, przelatujące z wrzaskiem z jednego grzbietu muru na drugi, dopełniają złudzenia. Szczątki sklepień, przerzucanych ze ściany na ścianę lub zwieszonych w powietrzu, ogromne złamy kamienia, porozpraszane bezładnie, przypominają fantazyą natury. Chwilami zdawało mi się, że jestem w górach. Głucho tu téż także jak w górach, przestronno i pusto; kawki tylko krzyczą, ale szum miasta nie dochodzi wcale. Jednakże to dzieło rąk ludzkich, to łaźnia Karakalli!

W kątach murów leżą jeszcze szczątki posągów, tułowy i głowy, a tam, gdzie trawa i wrzos nie pokrywają gruntu, odsłania się oczom najpyszniejsza mozaikowa posadzka, układana w kwiaty, zwierzęta i ludzi. Obszedłem wszystkie komnaty, po jakichś szczątkach schodów wydostałem się na zrąb wewnętrznéj ściany, skąd oczyma mogłem ogarnąć lepiéj całość. Ogrom jéj przechodzi stanowczo nasze pojęcia o budo-

wlach ludzkich; jest to zupełnie jakby dzieło przyrody: naokoło skały i skały!

Ale okruchy cegieł poczęły się wysuwać z szelestem z pod nóg moich; trzeba było zejść, témbardziej, że i słońce jęło zachodzić. Ostatnie jego promienie rzucały złote blaski na owe szczyty sterczące; stada kawek poszły spać, a niebo czerwieniło się coraz więcéj; wreszcie głos stróża rozlegający się echem, wywołał mnie ze zwalisk. Doszedłszy do skrętu drogi, raz jeszcze rzuciłem na nie oczyma. W świetle zorzy były takie czerwone, jak krew.

Wydostałem się wreszcie na drogę, wiodącą do łuku Konstantyna. W dzień była pusta, teraz zaś gromady chłopców i dziewcząt wracały od roboty, zapewne z winnic i pól kukurydzowych, a wracając zawodziły chórem pieśni. Świeże i dźwięczne głosy rozlegały się poetycznie wśród ciszy wieczornéj. Tymczasem ciemniało coraz bardziéj i nakoniec zrobiła się noc, ale noc włoska, ciepła, gwiaździsta. Księżyc roztoczył już na Forum i Koloseum czarodziejstwo bladych promieni. Śpiewające gromady długo jeszcze szły razem ze mną i stopniały dopiero w labiryncie wąskich uliczek, otaczających Kapitol.

Henryk Sienkiewicz,
(Listy z podróży).

---

65. Widok Carogrodu.

Wyjeżdżając ze Stambułu do Aten, na francuskim statku, miałem przed sobą najpiękniejszy widok, jaki w świecie mieć można. Dżdżyste od kilku tygodni niebo wypogodziło się nakoniec zupełnie i zarumieniło się wspaniałą zorzą wieczorną. Pobliski brzeg azyatycki zalany był światłem; Bosfor i Złoty Róg wyglądały jak olbrzymie ogniste wstęgi, a Pera, Galata i Stambuł ze swymi wieżami, z kopułami i minaretami meczetów tonęły w złocie i purpurze.

Statek zwrócił dziób ku morzu Marmora i począł burzyć zlekka wodę, przeciskając się ostrożnie wśród natłoku statków parowych, żaglowców, łodzi, łódek i kaików. Konstantynopol jest jedną z lepszych ostoi morskich w Europie, to też u stóp tego miasta roi się drugie miasto — okrętów. Jak nad tamtém minarety, tak nad tém sterczą maszty — nad nimi zaś tęcza chorągwi. I nie jest ono mniéj gwarne. Tu, jak tam, mieszanina języków, ras, barw skóry, strojów. Ujrzysz

tu wszystkie typy, jakie tylko zamieszkują przyległe trzy części świata, począwszy od Anglików, skończywszy na półdzikich mieszkańcach Azyi mniejszéj, którzy ściągnęli się do stolicy, aby jako wioślarze zarabiać na kawałek chleba. Minęliśmy przylądek, za którym wznosi się Stary Seraj.

Pera, Galata i Stambuł poczęły zlewać się w jeden spiętrzony gród, którego krańców oko nie sięga. Ani Neapol ani żadne inne miasto w świecie nie może się równać z tą przepyszną panoramą. Wszystkie opisy są tylko bladém odbiciem rzeczywistości, bo słowa ludzkie są jeno dźwiękiem; więc ni barw ni tych kształtów — to smukłych i powietrznych, to olbrzymich i groźnych — oddać nie potrafią. Chwilami zdawało się, że cały gród zaczarowanych pałaców wisi w powietrzu, to znów byłem pod wrażeniem takiego majestatu, ogromu i potęgi, jakgdyby z tego miasta dotychczas jeszcze szedł strach na całą Europę i jakby dziś, taksamo jak ongi, ważyły się w niém losy świata. Z morza Marmora już tylko największe budowle rozróżnić można gołém okiem: więc prócz starego Seraju, część murów Jedykuły z siedmiu wieżami, sławnego niegdyś więzienia, świętą Zofią, meczet wielkiego Sulejmana i wieżę Seraskiera, hetmana, dziś mieszkanie straży pożarnéj. Zwolna stopy miasta zasuwają się coraz bardziéj pod wodę: kryją się naprzód mury obwodowe, potém niższe szeregi domostw, potém wyższe, potém meczety i ich kopuły. Miasto zdaje się tonąć. Na niebie ściemnia się także — tylko na strzeliste minarety padają jeszcze ostatnie czerwone i złote blaski. Rzekłbyś: tysiące olbrzymich świec, zapalonych nad niewidzialnym już grodem. Jest to godzina, w któréj muezzinowie wychodzą na ganki i, wzywając wiernych do modlitwy, oznajmują na cztery strony świata, że Bóg jest wielki i że noc Boża pada na ziemię.

Henryk Sienkiewicz.

---

66. Nowoczesne Ateny.

O pierwszym brzasku śruba okrętowa przestaje huczeć i nagła ta cisza budzi wszystkich. Ubrawszy się, wypadamy pośpiesznie na pokład: Pireus—Attyka.

Przypuszczam, że nawet najobojętniejszy człowiek z pewném wzruszeniem staje na téj ziemi, w obliczu Aten. Z Pi-

reus do Aten można jechać koleją, ale nierównie lepiéj jest wziąć powóz i widzieć dokładniéj wszystko, co się da zobaczyć w ciągu pół godziny po drodze. Droga z Pireus, wysadzana po obu stronach platanami, idzie wśród tak zwanéj równiny attyckiéj, którą skrapia, a raczéj mógłby skrapiać — Cefisus. Każda nazwa budzi tu w pamięci echa i wspomnienia historyczne. Gdyby nie to, Cefisus zresztą nie budziłby zbyt wielkiego uszanowania, bo jak w Polsce są takie mosty, których nie ma, tak i Cefisus jest taką rzeką, któréj nie ma, to znaczy, że w jego wyschłém i spieczoném korycie nie sączy się ani jedna kropla wody.

Równina jest wąska. Po lewéj ręce widzisz góry Dafni i Poikilon, po prawéj miodonośny Himetus i Pentelikon, który dziś jeszcze, jak i dawniéj, dostarcza Atenom marmurów. Kraj wydaje się spalony słońcem, pusty, bezpłodny. Pola, wzgórza i skały mają ton popielaty z odcieniem nieco błękitnawym. Wpół drogi lasek oliwny zdaje się być także przytrząśnięty mdławym popiołem. Nad tém wszystkiém zwiesza się błękit bez chmurki, nie tak modry, jak we Włoszech, natomiast świetlistszy. Ziemia — niby podarta opoka wietrzeje, kruszy się i rozsypuje. Nadaje to całéj okolicy pozór ruiny i pustki. Ale dobrze jéj z tém. Do twarzy jéj ta cisza i zgrzybiałość, te senne laski oliwne i bezpłodne skały.

W pobliżu miasta powóz skręca na prawo i wjeżdzamy na bulwar, wysadzany pieprzowymi drzewami. Wówczas na stroméj skale dostrzegasz szereg złotawych kolumn, połączonych wyszczerbionymi architrawami. Wszystko to rumiane od jutrzenki, rysujące się z nieopisaną słodyczą i czystością na niebie, niezbyt wielkie w rozmiarze, wielkie nad wszelką miarę w harmonii, spokojne, poprostu: boskie.

Drogman, siedzący na kożle, odwraca się i mówi: Akropolis!

Na Ceramiku wznosi się świątynia Tezeusza, stosunkowo najlepiéj zachowana ze wszystkich pamiątek starożytnego świata. Potém, co krok, jakieś szczątki. Oko biega z jednego złamu na drugi; wyobraźnia pracuje, pragnąc odtworzyć ubiegłe życie; myśl nie może ogarnąć wszystkiego i mimowoli ograniczasz się do prostego przyjmowania wrażeń. Czujesz tylko, że tu naprawdę warto przyjechać. Ale powóz mija aż nadto szybko te półboskie głazy — i nagle jesteśmy w nowém mieście, w nowych Atenach. Miasto wysiliło się, aby swoje

ulice i place ocienić drzewami; jest ono jedną zieloną wstęgą. Pieprzowe drzewa, o jasnych, zielonych, delikatnych listkach, przypominają wierzby płaczące i nadają téj drodze wiosenny, majowy pozór. Wszędy widzisz ogrody, w nich palmy, czarne dęby, kaktusy i aloesy. Wszystko to okryte jest szarym pyłem, idącym od skał i ruin, jakby te umarłe zabytki chciały mówić każdéj żyjącéj istocie: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz“. Można tu jednak już dziś znaleść wszędzie cień i chłód. Główne ulice miasta są szerokie, domy duże, oślepiającéj białości, bogatsze wykładane marmurem. Budowle te nie są pozbawione ni wdzięku ni lekkości. Wyjątek stanowi pałac królewski. Ściany jego także są z marmuru, ale styl ciężki, koszarowy, sprawia, że rezydencya ta nie tylko nie jest ozdobą głównego placu, ale go szpeci. Na domiar — za pałacem i z jednego boku leżą wprawdzie okazałe królewskie ogrody, natomiast przed pałacem szarzeje prawdziwa pustynia, ciągnąca się aż do głównego miejskiego ogrodu. By nic nie psuło wrażenia pustyni, stoją na niéj duże palmy, wyniosłe, odrzynające się twardo wśród pustoszy. Dodawszy Araba z wielbłądem, możnaby sobie wyobrazić, że się jest w Egipcie. Zresztą miasto jest jasne, schludne i zupełnie europejskie, ale budujące się na wzór dawnych porządków architekturalnych greckich, co mu nadaje pyszny pozór. Wszędzie spotykasz kolumny doryckie, jońskie i korynckie; fryzy, które począł rzeźbić człowiek, a dorzeźbia słońce. Uniwersytet, a zwłaszcza Akademia sztuk pięknych ma wspaniałe i harmonijne kształty greckiéj świątyni.

Bogatszą część miasta zbudowali bogacze greccy zamieszkujący już to Fanar, już to Odessę, Marsylią i inne portowe miasta. Ludzie ci, przy wrodzonéj Grekom zdolności do handlu, dorobili się milionowych fortun, ale — należy im oddać tę sprawiedliwość — nie zaprzedali ducha greckiego. Kwoli téj sławnéj przeszłości płynęły do Attyki miliony ze wszystkich krajów; wśród dzikich wąwozów powstawały koleje żelazne i bite drogi, w miastach zakładano szkoły, a na ruinach starych Aten — nowe Ateny.

Kupcy i handlarze dzisiejsi osiedli przeważnie wzdłuż ulicy Hermesa, który, jak wiadomo, jeszcze za czasów Zewsa był patronem kupiectwa. Tu leży bazar, przypominający inne wschodnie bazary; tu roi się ludność ruchliwa ogromnie, gestykulująca i mówiąca tak głośno, jakby pragnęła odurzyć

przechodnia. Życie i handel odbywa się na ulicach, jak wszędzie w południowych miastach; wieczorem, gdy skończy się upał dzienny, ruch największy. Sklepy otwarte do późna. Płomieniste kiście gazu oświecają składy towarów, przepysznych owoców i kwiatów. Od godziny jednak czwartéj, nie tylko na ulicy Hermesa i w części handlowéj miasta roją się tłumy; ale pełno ich i w bogatych dzielnicach. Kobiet mniéj tu wszakże, niż męszczyzn, zwłaszcza między pieszymi. Może tu resztki wpływów wschodnich; może zwyczaj zamykania kobiet po domach powstał i utrwalił się za czasów tureckich. Między męszczyznami widzi się wiele postaci zarazem pięknych i dzikich. Wielu téż nosi jeszcze kostyum albański, składający się z pustanelli, to jest białéj, sięgającéj prawie do kolan spodniczki, fezu i kaftana, zahaftowanego zupełnie jedwabiem lub złotém. Biodra ich otacza pas, za który zatykali dawniéj cały arsenał handżarów i pistoletów, a w którym noszą dziś chustkę do nosa. Jednakże mimo téj chustki, są to zresztą zawzięci konserwatyści i przeciwnicy wpływów zachodnich. To téż tak ubranych spotyka się przeważnie starców. Jednakże na wzór tychże poprzebierano całe oddziały wojska i to nadaje miastu odrębny od innych miast pozór.

Henryk Sienkiewicz.

---

67. Westminster.

Łatwo wymówić słowo „Westminster", ale je trudno określić, jeżeli się nie chce w śmieszną popaść przesadę. Rzecz to niełatwa przebiec całą historyą angielską od Edwarda I. aż do dni naszych; zrobić za godzinę spacer od miejsca spoczynku najpierwszego aż do grobu ostatniego angielskiego poety, otarłszy się po drodze o pomniki tylu innych pisarzów!

Jest jednak coś, co ośmiela, gdy się stanęło przed słynną katedrą, coś, co do niéj wzbudza zaufanie. Mała to rzecz: zielony trawnik wokoło! Człowiek przypomina sobie kościół farny, księdza proboszcza i żebraczki, siedzące na murawie. Wprawdzie ten trawnik londyński, wystrzyżony, gładki, bez liścia, bez chwastu i żadna żebraczka usiąśćby na nim nie śmiała: ale przecież trawnik.

Sama świątynia zresztą tak starannie utrzymana, taka czysta, prawie świecąca, że trudno uwierzyć, iż ona już

przetrwała pięćset wilgotnych zim angielskich. Gdy się zatém wchodzi do furty, to się nie czuje nad sobą owych pięciu wieków.

Po obu stronach stoją wykuci z białego marmuru, naturalnéj wielkości, sami wielcy mężowie, dyplomaci, ministrowie, wodzowie i t. p., dawniejsi w togach, nowi w bogatym stroju orderu Podwiązki: przepyszne postaci, okazałe i silne, głowy szlachetne, twarze pełne godności, jakby rzymscy bohaterowie z czasów rzeczypospolitéj.

Jesteśmy więc w przybytku, poświęconym mężom, którzy się w parlamencie, w dyplomacyi, w wojnie przyczynili do wielkości swéj ojczyzny. Zajmują oni jedno ramię wielkiego krzyża, którego kształt nadano katedrze. Ramię przeciwległe to ów sławny „zakątek poetów", wielkich pisarzy i artystów; część górna krzyża przeznaczona dla królów, nawa dla innego rodzaju sławnych mężów.

Właśnie, kiedyśmy weszli, odbywało się w nawie nabożeństwo, dla tego czerwony sznur przeciągnięto, aby tamtędy nie przechodzić i nie przeszkadzać. Długo trwały śpiewy kościelne, chóry bardzo poważne. Nareszcie głosy ucichły, sznur się otwiera i kilkudziesięciu Anglików z prowincyi z żonami i dziećmi, tudzież kilkunastu Niemców rzuca się naprzód, aby oglądnąć wspaniałe pomniki przeszłości.

Słychać szmer: „Szekspir! Szekspir!" Każdy szuka przedewszystkiém grobowca najpotężniejszego z poetów. Ale każdy idzie, gdzie mu się podoba; nie ma dokoła owych przewodników, którzy we Włoszech okrążają cudzoziemca, jak jastrzębie samotnego gołębia, i szeptają mu do ucha wszystkimi językami historyą tego lub owego pomnika sztuki. Tu nikt nas nie trzyma za kołnierz, nikt nie wiedzie od pomnika do pomnika — byle prędzéj, byle daléj.

„Ustronie" poetów skromniejsze, aniżeli halla tych, którzy na wojnie lub w parlamencie przewodzili: zamiast całych postaci z białego marmuru, tylko popiersia, nagrobki albo proste tablice z napisami.

Górne ramię krzyża wypełnia kaplica św. Edwarda Wyznawcy i siedm innych kaplic wokoło, w których są groby dawniejszych królów i ich rodzin, znakomitych duchownych i rycerzy: kąt wielkich tego świata. Do kaplicy św. Edwarda idzie się po schodach; leży ona wyżéj, niż nawa katedry.

Mury stare, omszałe, tak się utrzymały jak je wystawiono w pierwszéj połowie XIII. wieku; pomniki z drzewa, z kamienia, z bronzu, po większéj części roboty grubéj, prostéj; twarze bez nosów, sarkofagi z poodrywanymi krawędziami, bo tamtędy przeszła rewolucya.

Pełno wszędzie jest zabytków i pamiątek. Nad grobowcem jednego króla zawieszone jest siodło, które mu miało służyć w sławnéj bitwie; tam znów leży słynny kamień „Stone“, symbol zamierzchłéj Szkotów potęgi. Według podania służył on biblijnemu Jakóbowi za oparcie pod głowę, gdy patryarcha zasnął i śnił o drabinie, idącéj do nieba; król Edward wydarł ten skarb Szkotom, a z nim i siłę, którą dzielny naród nieraz dał uczuć Anglikom. Odtąd leży owa spora bryła zawsze w Westminsterze — pod dębowém krzesłem, na którém się koronowali wszyscy monarchowie angielscy, od Wilhelma III. do królowéj Wiktoryi. Krzesło to najprostsze, jakie sobie wyobrazić można, zbite z grubych kawałów dębiny, na których w ciągu wieków ludzie, chcący się uwiecznić, powyciskali początkowe litery swych nazwisk.

Z siedmiu kaplic, okalających owe najstarsze zabytki angielskiéj monarchii, najwspanialszą jest kaplica Henryka VII., przybudowana do górnego ramienia krzyża i stanowiąca osobną architektoniczną całość. Powiadają, że w téj kaplicy znajduje się przeszło tysiąc pomników i figur z bronzu, z drzewa i marmuru. Oprócz wspaniałego grobowca samego założyciela wielce ciekawym zabytkiem są tam jeszcze stalle rycerzy orderu „Podwiązki“, rznięte z drzewa dębowego. Każda poręcz inna; nad stallą rycerza duży herb, kuty z miedzi; wyżéj sztandar rodowy, a pod stallą siedzenie dla giermka.

Za stallami, po bokach kaplicy, w osobnych kryptach, dwie rywalki spoczywają w wiecznem milczeniu: królowa Elżbieta i Marya Stuart; grobowce ich skromne, podobne do siebie; mury poczerniałe, niczém nie zdradzające tajemnic, które w sobie mieszczą.

Przechodząc wzdłuż nawy Westminsteru, możnaby odczytywać dzieje smaku i ludzkiéj wyobraźni. Z twardych wieków twarde, sztywne pozostały postaci: rycerza lub prałata wyryto w bronzie lub wykuto w kamieniu i położono go na grobowcu; hełm, miecz, pastorał to jedyne ozdoby; linie wszędzie ostre, proste... wieki je chyba wygładziły.

Portretów trudnoby się tam dopatrzeć; król podobny do króla, biskup do biskupa. W późniejszych czasach starała się potomność oddać podobiznę zmarłego, biustem lub medalionem zdobiła architektoniczny pomnik, aż wreszcie w wieku XVIII. wprowadziła na groby cały aparat alegoryi. Pomnik już nie tylko chce opowiedzieć, czém był ów człowiek, którego popioły zakrywa, ale radby wypisać w alegoryach całą historyą jego duszy.

Za katedrą jest cała grupa należących do opactwa domów i przybudowań, jak: dom kapituły, kolegium westminsterskie, refektarz. Wszystko to bardzo malownicze: czarne od starości, ale schludne domki, okna pełne kwiatów, w podwórzu zielone drzewa, dalej ganek pod poważną gotycką kolumną, podobny do włoskich wnętrz klasztornych.

Kazimierz Chłędowski,
(Dwie wizyty w Anglii).

---

68. Morze Martwe.

Miejsce biblijnéj katastrofy sodomskiéj, morze Martwe, zwane przez Arabów morzem Lota, należy do ciekawych zjawisk geologicznych. Dwie ściany skał wulkanicznych odgradzają je wraz z całą doliną Jordanu od morza, przez co jezioro Martwe tworzy basen zupełnie zamknięty, a tak głęboki, że poziom jeziora leży o 400 metrów niżéj od poziomu morza Śródziemnego, z którém nie łączyło się nigdy, a o 1179 metrów niżéj od Jerozolimy. Woda w niém nadzwyczaj jest słona, a tak gęsta, że człowiek pływa po jéj powierzchni jak korek, nie mogąc w niéj się zanurzyć. Okolica, dzika, posępna, jałowa, lecz malownicza, zieleni się skąpymi pastwiskami na gruncie przesiąkłym solą i gipsem.

Morze Martwe jest największe i najniższe z trzech „mórz“ (u Arabów każde jezioro jest morzem) głębokiéj doliny Jordanu, ciągnącéj się od wielkiego Hermonu do morza Czerwonego, na przestrzeni, wynoszącéj około 300 kilometrów, a zwanéj przez Arabów nadbrzeżnych Ghor. Najwyżéj na północy, prawie na poziomie morza Śródziemnego leży jezioro Bahr-el-Huleh, daléj jezioro Tyberyackie czyli Bahr-Tabarijeh, już o 194 metrów niżéj, wreszcie morze Martwe, mające obecnie około 24 mil kwadratowych powierzchni; dawniéj je-

dnak było ono znacznie większe, jak można wnosić z rozległych pokładów napływowych na jego brzegach.

Jadąc od strony Jerozolimy do ujścia Jordanu, widzimy, że pokłady skał wapiennych, jakie napotykamy, leżą poziomo. Dolina Jordanu przedstawia nam więc pas lądu, który się zapadł w głęboką otchłań. Tak powstał długi i szeroki jar o stromych ścianach, ciągnący się od północy na południe, który nakształt bruzdy przedziela wyżynę palestyńską na dwie części, wschodnią i zachodnią. Jar ten ciągnie się od podnóży Hermonu aż do morza Czerwonego. Najniższa część jaru leży w środku: wypełnia ją morze Martwe. Północną połowę bruzdy przepływa Jordan; dalszy ciąg doliny téj, na południe od Martwego morza, jest zupełnie bezwodny i suchy, podobnie jak cała okoliczna pustynia. Jest to część téj krainy, po któréj Izraelici koczowali, zanim wkroczyli do Ziemi Obiecanéj. Dolina Jordanu oddziela Galileę, Samaryą i Judeę od krainy wschodniéj, zwanéj Pereą czyli krajem zajordańskim.

Z początku miało morze Martwe wodę słodką; jednak wskutek braku odpływu i silnego parowania wody z czasem coraz silniéj przesiąkało solą, zwłaszcza, że otrzymuje znaczną ilość soli mineralnych z okolicznych źródeł gorących. W pobliżu jeziora są téż już dość znaczne pokłady soli kamiennéj. W miarę przesolenia wody jeziora i życie wszelkie zamrzéć musiało, skąd temu osobliwemu zbiornikowi wody dostała się nazwa morza Martwego.

Oprócz soli w wodzie morza Martwego pływają kawałki asfaltu, w których odkryto włókna roślinne; w dolinie Jordanu są téż obfite pokłady węgla brunatnego.

Głębokość jeziora w środku wynosi 360 metrów; najgłębsze miejsce, w północnéj jego części, wynosi 437 metrów; najmniejsza głębokość, 4 metry, jest na południu. Smak wody gorzki i oleisty; przejrzystość wskutek przesycenia substancyami mineralnymi niewielka; barwa powierzchni, zwykle pięknie szafirowa, niekiedy przybiera lekki odcień zielonkawy.

Skład wody w rozmaitych częściach morza i w różnych porach roku jest niejednostajny, stosownie do większego lub mniejszego rozcieńczenia solanki przez słodkie wody Jordanu lub przez rzadko spadające deszcze.

Sole, zawarte w wodzie jeziora, różnią się swym składem i stosunkiem ilościowym od soli wody morskiéj; natomiast zgadzają się z chemicznym składem okolicznych źródeł mineralnych. Spostrzeżenia te stwierdzają przypuszczenie geologów o pochodzeniu miejscowém soli morza Martwego i świadczą, że jezioro to nie miało żadnéj łączności z morzem Śródziemném czy téż Czerwoném w czasach ubiegłych, czyli że morze Martwe jest dawném jeziorem wody słodkiéj, zajmującém kotlinę, która powstała wskutek zapadnięcia się części lądu, następnie zmienioném co do składu wody przez powolny przypływ części mineralnych w niezbyt odległych stosunkowo czasach.

Z *Wszechświata* (1887).

---

69. Wschód słońca na Ceylonie.

Lekkim wózkiem podążyłem dnia 12. grudnia z Galla wzdłuż wybrzeża południowego do Belligemy. — Było ot o godzinie piątéj z rana, a noc jeszcze ciemna zalegała całą okolicę, gdym się zbliżał do przystani w Pettah. Syngalezowie jeszcze spali, owinięci w białe, bawełniane okrycia, na matach palmowych przed swymi ciemnymi chatami. Głęboką, senną ciszę przerywał tylko jednostajny turkot wózka.

Wtém po krótkim brzasku ukazało się słońce i nagle, jakby różdżką czarodziejską tknięta, cała zmieniła się okolica. Gaj palmowy, uderzony pękiem promieni słonecznych, obudził się pierwszy ze snu głębokiego; pierwsze zeń wylatują głosy i szmery poranne, pozdrawiające światło dzienne. Tu i ówdzie odzywa się śpiew ptaka, ukrytego w gąszczu wyniosłéj wiechy palmowéj, a zgrabne wiewiórki palmowe opuściwszy swe legowisko, w zręcznych podskokach uwijają się po pniach kokosowych; nawet gnuśny kabragoja, olbrzymi jaszczur zielony, rozciągnięty na grząskim brzegu, zaczyna poruszać leniwém swém cielskiem. Żwawe małpeczki już plądrują po plantacyach, aby uzbierać sobie podostatkiem żeru. Wreszcie i Syngalezowie ze snu się ocknęli, a pierwszą ich czynnością poranną zażyć kąpieli orzeźwiającéj, do któréj całymi śpieszą rodzinami.

Do najdziwniejszych wrażeń, jakich doznaje Europejczyk pod międzyzwrotnikowém podniebiem, tak blisko równika, należy brak świtu porannego i mroku wieczornego, brak

owego półcienia między dniem i nocą, właściwego naszéj umiarkowanéj strefie, a nadającego mu tyle wdzięcznego uroku. Zaledwie bowiem promienista tarcza słońca, w którego złocistych promieniach przed chwilą cała jaśniała okolica, zanurzyła się w błękitne tonie oceanu, już noc czarna po krótkim mroku rozpostarła senne swe skrzydła, już wskróś, tak na lądzie jak morzu, zapanowała głęboka cisza. Taksamo téż prawie nagle pierzcha noc przed wschodzącém słońcem. Nieznany tu cudowny wdzięk naszéj zorzy porannéj. Natomiast tém wspanialszym wydaje się tu blask słońca wschodzącego, tém świetniejsze jego promienie, przeciskające się przez pierzaste liście wiechy palmowéj. Miliardy kropel rosy, porozwieszane na koniuszkach liści, w tęczowe łamią się barwy, lśnią jak najżywsze brylanty, a gładkie powierzchnie szerokich liści bananu jak tysiące zwierciadeł odbijają ukośnie rzucone pęki promieni. Chłodny wiatr zawiał od morza, a wszystko, jakby odmłodzone świeżém jego tchnieniem, w orzeźwiających nurza się promieniach porannego słońca.

Wedł. *E. Häckla*,
(Indische Reisebriefe).

---

70. Życie wiejskie na wyspie Ceylon.

Wyspa indyjska Ceylon, cokolwiek większa od królestwa czeskiego, leży w oceanie Indyjskim, niedaleko równika, w najgorętszym pasie kuli ziemskiéj.

Mieszkańcy jéj rozmaitéj są narodowości; w miastach portowych znajduje się niemało przybyszów z różnych krajów Azyi, Afryki i Europy. Między ludźmi pochodzenia europejskiego są w części potomkowie dawnych panów téj wyspy, Portugalczyków i Holendrów, w części teraźniejsi jéj władcy, Anglicy. Jest téż wielu tak zwanych Maurów czyli Indo-Arabów, wyznania muzułmańskiego. Są to potomkowie Arabów, którzy oddawna rozmaitymi czasami osiedlali się w Ceylonie i do dzisiaj zajmują się kupiectwem, wypożyczaniem pieniędzy na lichwę i tym podobnymi sprawami. W głębi wyspy żyją w nielicznych hordach tak zwani Weddahowie, to jest niedobitki najdawniejszych mieszkańców wyspy, ciemnéj cery, zdziczali, upośledzeni, odcięci od styczności z innymi mieszkańcami kraju.

Przeważną masę ludności stanowią jednakże dwa plemiona, to jest Syngalezowie i Tamilowie, zwani także Malabarami. Pierwsi liczniejsi przybyli na wyspę z północnéj Indyi przed 2400 laty. Należą oni właściwie do białéj, indoeuropejskiéj rasy ludzi; język ich, podobnie jak liczne inne języki indyjskie, jest pokrewny językom romańskim, germańskim i słowiańskim w Europie, choć pokrewieństwo to na pozór nie bardzo jest widoczne. Cera ich jednakże jest śniada, niemal cynamonowa. Syngalezowie trudnią się głównie rolnictwem i sadownictwem. Tamilowie późniéj dostali się do Ceylonu. Pochodzą oni z południowéj części półwyspu indyjskiego. Cera ich jest o wiele ciemniejsza, koloru kawowego. Są oni o wiele roślejsi i silniejsi od Syngalezów i wykonują téż wszystkie trudniejsze prace i rzemiosła. Syngalezowie wyznają religią Buddy, Tamilowie są wyznawcami religii Bramińskiéj i czczą mianowicie boga Siwę.

Życie wiejskie na Ceylonie inaczéj wygląda, niż u nas. Przedewszystkiém trzeba pamiętać, że wsi Syngalezów nie są tak skupione, jak nasze. Nie można téż dokładnie rozróżnić, gdzie jedna wieś się kończy, a gdzie druga zaczyna, gdyż n. p. na całém długiém południowo-zachodniém pomorzu wyspy mieniają się ze sobą jednym nieprzerwanym ciągiem ogrody owocowe, pola, gaje kokosowe, gąszcze, zarośla i lasy. Jest to tedy jakgdyby jeden nieskończony park, śród którego są porozrzucane chaty indyjskie.

Wszędzie powtarzają się tesame, a jednak różnorodném zestawieniem urozmaicone widoki: niskie lepianki, ocienione drzewami chlebowymi i mangowymi, kokosowcami i arekami, okolone grządkami roślin uprawnych i zaroślami pisangu, kaladyami o olbrzymich liściach i zgrabnymi papajami. Po wysokich drzewach wspinają się pnącze i powoje, zwisają z nich pasożyty. Gotówbyś myśleć, że jesteś w głębi lasu. Wtém widzisz kudłatego psa, nieodstępnego stróża syngalezyjskiego domu, lub słyszysz głosy dziecięce i po niejakim czasie spostrzegasz, że jesteś tuż obok chaty, ukrytéj zupełnie w cieniu zwisających gałęzi. Na ławach, przed otwartymi chatami leżą ospali Syngalezowie, oddani słodkiemu próżnowaniu, i gapią się na swe wiecznie zielone obejście.

Nagie dzieci igrają po drogach, bawią się w chowanego, ukrywając się pod olbrzymymi kaladyowymi liśćmi, lub łowią

barwne motyle i jaszczurki. Wszędzie przed chatami widać pełno kur i czarnych małych świnek; rzadziéj widzi się gęsi, kaczki, wysokonogie, chude kozy, a jeszcze rzadziéj owce.

W pewnych porach dnia ożywiają się drogi licznymi, niezgrabnymi, dwukolnymi wozami. Do zaprzęgu służą niemal wyłącznie woły z garbem na grzbiecie, zwane zebu, w jarzmach, podobnych do tych, jakie bywają używane u nas. Czasem jeden wół stanowi cały zaprząg i pędzi szparko z lekkim wózkiem; czasem ciągną cztery woły duży wóz, przykryty półokrągło gęstą plecionką z włókien listnych kokosowca, nie przepuszczającą deszczu. Woźnica siedzi na dyszlu, tuż za wołami i popędza je własnymi ich ogonami.

Gdzieniegdzie otwiera się widok na wybrzeże morskie, okryte białym lub żółtawym piaskiem. Tu rybacy pojedynczo lub gromadami trudnią się rybołostwem, w czém z nimi współzawodniczą czaple i liczne inne ptaki. Tam gromada rybaków kilku czółnami wyrusza z dużymi włokami na morze lub wyciąga na brzeg więcierze. Gdzieindziéj krzątają się pojedynkiem zgrabni i zwinni męszczyźni; nadzy, ogorzali, zasłonięci tylko kapeluszem słomianym o szerokich krysach od dotkliwych promieni słonecznych, rzucają się odważnie w spienione bałwany i chwytają ryby małą, ręczną siecią.

Wprawy w tém rzemiośle wcześnie nabywają: wszędzie bowiem widać na brzegu gromady igrających i kąpiących się dzieci; sześcioletni chłopcy okazują się nieraz mistrzami w sztuce pływania.

Dziewcząt widzi się na ulicy bardzo mało. Od maleńkości są zatrudnione robotami gospodarskimi w domu, wychodzą wcześnie za mąż i starzeją się bardzo prędko: niekiedy w wieku niespełna trzydziestu lat wyglądają jak zgrzybiałe staruszki.

Targowica wiejska na Ceylonie odpowiada całemu otoczeniu. Głównym przedmiotem handlu są ryż i przyprawy do niego, tudzież liście rośliny betel i orzechy areski, używane do żucia w ustach. Te i inne towary leżą w kramach, których jedyny otwór służy i za drzwi i za okno, porozścielane na świeżych zielonych bananowych liściach. Obok nich wznoszą się kupy orzechów kokosowych, wspaniałych gron bananowych, wonnych ananasów, bogatych w mączkę korzeni manioka i kolokasyi i t. d., olbrzymich, nieraz 30—50 funtów ważących owoców drzewa chlebowego, i innych szlachetnych drzew owo-

cowych. Stragany te, wabiące i tak już aromatycznym zapachem, stroją przekupnie jeszcze kwiatami i gałęziami. Inne sklepiki nie są tak wonne: tam leżą kupami świeże i suszone ryby, raki i inne zwierzęta morskie, używane do sporządzania przyprawy do ryżu.

Myliłby się ten, ktoby mniemał, że na ceylońskiéj targowicy panuje taki gwar i ruch, jaki się widzi na placach targowych we Włoszech albo choćby w naszych miasteczkach. Cichy i łagodny charakter Syngalezów odbija i w ich zachowaniu przy handlu. *Bol. Baranowski.*

71. Pora sucha pod równikiem.

Pewien Warszawianin, który zwiedzał w celach naukowych kraje Ameryki południowéj, o 30 mil na południe od równika oddalone, tak opisuje smutny widok całéj okolicy w porze suchéj: Równiny, pokryte spaloną, wyschłą, żółtą trawą i niskimi zaroślami kolącéj mimozy, pozbawionéj w téj porze liści, przypominają nam krajobraz późnéj jesieni. Gdzieniegdzie, jak oaza wśród tego morza nagich, ciernistych krzaków, wznosi się pękaty pień drzewa bawełnianego, również bez liści, lecz za to obfitém, żółtém pokryty kwieciem, lub kępy wysokich, nawpół wyschłych kaktusów. Rzadziéj jeszcze daje się widzieć wielka, drzewiasta szkarłatnica, o pniu grubym, pokrytym potężnymi kolcami, liściach bardzo delikatnych i rzadkich, daleko obficiéj jeszcze od poprzedzających osypana szkarłatnymi dużymi kwiatami, wśród których wre życie nieustanne. Roje kolibrów uwijają się wśród tych kwiatów przez dzień cały. Z prawdziwą przyjemnością nieraz przypatrywałem się ruchom tych drobnych stworzeń, istnych motyli pomiędzy ptakami. Lot ich nadzwyczaj przypomina ruchy niektórych owadów. Parę sekund zawieszają się nieruchomo w miejscu ponad kwiatami, a przytém tak szybko poruszają skrzydełkami, że ich zupełnie nie widać; tylko burczenie, jakby dużego trzmiela, ruch ten zdradza. Potém jak błyskawica nagłym ruchem rzucają się w bok i, zanim oko widza zdoła ten ruch pochwycić, już malutka ptaszyna unosi się nad drugim kwiatkiem. Wogóle ruchy kolibrów są łudząco podobne do lotu zawisaków lub muchy bujanki.

Niemniéj smutnie wyglądają okoliczne wzgórza, porosłe rzadkim lasem kwitnących, lecz obnażonych z liści bawełnic, u dołu zaś nieprzebytym gąszczem wyschłéj trawy i kolących pnączów, z pośród których podróżnik wychodzi podobny do jeża, pokryty kolcami najrozmaitszych kształtów i rozmiarów, z podrapanymi rękami i poszarpaném odzieniem. Wśród tych gąszczów życie bardzo słabe i z wyjątkiem mnóstwa motyli i innych owadów niewiele tu widać istot żyjących. Czasem tylko ruda jaszczurka lub wąż zaszeleszcze w suchéj trawie, jakiś ptaszek, czarno z białém ubarwiony, wielkości drozda, skrzętnie przeszukuje stosy zeschłych liści; duży oliwkowo-czarny dzięcioł, z pąsowym czubem, krzyczy w niebogłosy na najrozmaitsze tony; na suchym pniu grucha stadko grzywaczy; wysoko w górę unoszą się, jakby małe punkciki, sępy czarne lub przeciąga wrzaskliwe stado papug; czasem przeleci świegocący koliberek lub mały pąsowy dzięciołek....

Rozsiodławszy konie, zapuszczamy się w gąszcze, po których bez bussoli sambym się nigdy chodzić nie odważył; ale Indyanie mają jakiś zmysł szczególny oryentowania się w lesie, w którym biały zginąłby na pierwszym kroku. Chodzić tu, nawet teraz w suchéj porze, kiedy liści nie ma, nie jest rzeczą łatwą. Ale w porze dżdżystéj wszystko to staje się bezbrzeżném morzem zieleni, z głębi któréj już nie tylko wzgórz okolicznych, lecz i szczytów drzew nie widać. Las poprzecinany w różnych kierunkach mnóstwem wyschłych łożysk rzecznych, które w lesie toczą spienione fale ku oceanowi Spokojnemu, oraz labiryntem ścieżek, krzyżujących się w najrozmaitszych kierunkach, w części wydeptanych przez dzikie zwierzęta: sarny, dziki, jaguary i t. d., w części przez drwali, szukających żelaznego drzewa, którego używają tu powszechnie na budowle. W gąszcze te odważny myśliwy zapuszcza się samotnie, niekiedy w krótki tylko oszczep uzbrojony, i wraca po dniach paru, obładowany zwierzyną, którą zaraz na miejscu wędzi dla zabezpieczenia jéj od zepsucia. Bywa jednak niekiedy, że i stary myśliwy zbłądzi w tym labiryncie, a wtedy mu biada! niejeden już życiem odwagę swoję przepłacił.

Józef Siemiradzki,

(Z Warszawy do równika).

II.

72. Chata gajowego.

W lesie, w głębokim lesie, na obszernéj polance, stała chata gajowego Szczepana. Chata była słomą kryta, a budowana z krąglaków, mchem utykanych w spojeniach. Obok chaty stały dwa budynki gospodarskie, przed nią zaś kawał zagrodzonego pola i studnia żórawiana. Przed oknami rosły słoneczniki i dzikie malwy, wysokie, smukłe, a pokryte kwieciem, jakby rojem motylów. Między słonecznikami patrzyły się czerwone główki maku, około malw okręcał się groch o kwieciu różaném i lila; w dole rósł barwinek, żółty krokosz, złote nagietki i astry blade.

W ogrodzeniu, po obu stronach drogi do chaty, posiane były warzywa: marchew i kapusta; daléj, w osobnych opłotkach, za każdym powiewem wiatru kołysały się falą błękitne kwiatki lnu; daléj ciemniała zieleń kartoflanéj naci, a na reszcie obszernéj polanki ruń zbóż mieniła się to jaśniéj, to ciemniéj, aż do brzegów jeziora, oblewającego z jednéj strony polankę. Drzew niewiele było przy chacie. Kilka czereśni, z ciemnym, błyszczącym liściem i brzoza jedna, o długich, cienkich prątkach, stojąca tak blisko chaty, że lada wietrzyk rzucał jéj zielone warkocze na zapadły, mchem porosły dach słomiany. W téj brzozie było pełno wróbli, a szelest liści i szmer prątków mieszał się ze świegotem i radosną wrzawą ptastwa; na podstrzeszu zaś chaty niosły się gołębie, więc i tam pełno było ich rozhoworu.

Bywało, że czasem spłoszył je jaki nieznany strach; wówczas koło chaty zrywał się szum skrzydeł, powietrze roiło się wirem skrzydlatym i mnogością białego ptastwa; słyszałeś zamęt i szum i warkotanie sterówek. Cały rój wylatywał nagle i w kołach a w kółkach krążył i zbliżał się i oddalał; to się rozpływał w błękicie, to błysnął pod słońce białymi pióry, to zawisnął nad chatą, zawahał się, zakołysał w powietrzu i wreszcie padał, niby tuman śniegowych płatków na szary, słomiany dach chaty. Wieczorem, gdy słońce zachodziło za bory, cichł zwolna rozhowor pod strzechą i

świegot na brzozie. Wróble i gołębie strząsały rosę ze skrzydeł i zabierały się do snu; czasem zagruchał lub zaświegotał jeszcze który, ale coraz rzadziéj, ciszéj, senniéj, a wreszcie cichło wszystko.

Około polanki, jak okiem dojrzał, ciągnął się mur ciemnych sosen i gęstwi leśnéj. Mur ten przerywał się w jedném miejscu; tam bełkotały fale jeziora i opłukiwały brzeg polanki. Jezioro było rozległe, bo drugi kraniec jego prawie ginął w oddaleniu; chyba jak przez mgłę można było dojrzéć czerwony dach i wieżyczkę stojącego po drugiéj stronie kościółka i czarną opaskę lasu, zamykającą niedaleko za kościółkiem horyzont.

Sosny przeglądały się z wysokich, piaszczystych brzegów w jeziorze, niby w zwierciedle, więc zdawało się, że drugi las jest w toni; a kiedy kołysał się las na ziemi, kołysał się i w jeziorze; kiedy zaś wśród ciszy powietrznéj tkwił nieruchomie, wówczas i w gładkiéj, niepomarszczonéj toni każda igiełka sosny rysowała się wyraźnie, a pnie szły prosto, niby szeregi kolumn, idące gdzieś daleko — w nieskończoność. Środkiem jeziora fala w dzień odbijała słońce, rankiem i wieczorem zorze, nocą księżyc i gwiazdy, a wydawała się tak głęboką, jak wysoko nad nami jest sklepienie niebieskie ze słońcem, zorzą, księżycem i gwiazdami.

W chacie mieszkał gajowy, imieniem Szczepan, i córka, jego, lat szesnastu dziewczyna, na imię Kasia. Była ona tém w téj chacie, czém zorza na niebie. Chowała się w niewinności wielkiéj i w bojaźni Bożéj. Nieboszczyk stryj, który czasu swego z różnych pieców chleb jadał, a na starość był organistą w sąsiednim kościółku, nauczył ją czytać na pobożnéj książce, a czego stryj nie douczył, tego douczyła ustroń leśna. Więc pszczoły nauczyły ją pracować; gołębie, jak być czystą; szare wróble, jak świegotać staremu ojcu wesoło; spokojna fala wyuczyła ją spokoju, pogoda niebieska ziemskiéj pogody, pobożny ranny dzwonek na kościółku pobożności, a dobroć Boża dobroci ludzkiéj

I ojciec więc i Kasia wiedli żywot cichy i byli szczęśliwi, jak tylko można być szczęśliwym na świecie.

Henryk Sienkiewicz,
(Sielanka.)

73. Przygoda w podróży.

(Ustęp z pamiętnika malarza.)

Zwiedzałem raz z przyjacielem moim, Świateckim, góry w Salzkammergut. Zabłądziliśmy koło Zell am See. Ponieważ zapadła noc i łatwo było gdzieś w przepaści życie postradać, więc Światecki powiada do mnie:

— Słuchaj, Władek! Ciebie większa szkoda, więc ja pójdę naprzód. Jak spadnę, to posiedzisz na miejscu do rana, a rano już sobie jakoś poradzisz.

— Nie ty pójdziesz naprzód — odpowiadam — tylko ja pójdę, bo mam lepsze oczy.

Na to Światecki:

— Ja pójdę naprzód; wszystko mi jedno, gdzie i kiedy zginę.

Zaczynamy się sprzeczać. Tymczasem robi się ciemno, jak w piwnicy. Koniec końcem, umawiamy się, że pójdziemy na losy. Idziemy. Światecki wyciąga węzełek i rusza naprzód. Posuwamy się przełęczą. Z początku jest dość szeroko, później coraz węziéj. O ile możemy wymiarkować, w prawo i w lewo są przepaści, pewnie bezdenne.

Grzbiet staje się jeszcze węższy, a co więcéj, okruchy zwietrzałych skał usuwają nam się z pod nóg...

— Idę na czworakach, bo nie można inaczéj! — mówi Światecki.

Rzeczywiście nie można było inaczéj, więc opuszczamy się na czworaki i idziemy daléj, jak dwa szympanse. Ale wkrótce pokazuje się, że i to na nic... Grzbiet skalny robi się nie szerszy od końskiego. Światecki siada na oklep, ja za nim — i opierając się rękoma przed sobą, posuwamy się naprzód... Po niejakim czasie słyszę głos Świateckiego:

— Władek!

— Co takiego?

— Grzbiet się skończył.

— A co daléj?

— Pusto... Musi być przepaść.

— Weźże jaki kamień i ciśnij; posłuchamy, czy długo leci.

W ciemności słyszę, jak Światecki szuka rękoma, by wynaleść jaki okruch zwietrzałéj skały, a następnie mówi:

— Ciskam... słuchaj!

Nadstawiamy obaj uszu... Cisza!

— Nie słyszałeś nic?...

— Nie.

— Ładnieśmy się wybrali; musi być ze sto sążni.

— Ciśnij jeszcze raz!

Świątecki wynajduje większy okruch, ciska... Ani odgłosu.

— Cóż tam? dna nie ma, czy co? — mówi Świątecki.

— Trudna rada! Będziemy siedzieli do rana.

I siedzimy. Świątecki puszcza jeszcze parę kamieni; wszystko napróżno. Upływa jedna godzina, druga; wreszcie słyszę głos Świąteckiego.

— Władek, a nie zdrzemnij się!... Nie masz papierosa?

Pokazuje się, że papierosy mam, ale zapałki wyszły nam obydwom. Rozpacz! Godzina może być pierwsza w nocy albo nawet i nie tyle. Zaczyna padać drobniuchny deszcz. Naokoło ciemność nieprzebita. Dochodzę do przekonania, że żyjąc między ludźmi, czy w miastach czy na wsi, nie mamy pojęcia, co to jest cisza. Ta, która nas otacza, aż w uszach dzwoni. Słyszę niemal, jak krew krąży mi w żyłach, a bicie własnego serca słyszę doskonale.

Z początku położenie nasze zajmuje mnie; siedzieć jak na koniu i tuż nad niezgłębioną przepaścią, to się przecie byle komu w stolicy nie trafi; ale wkrótce robi się zimno, coraz dotkliwsze.

Świątecki rzucił jeszcze parę kamieni, powtórzył jeszcze parę razy: „Ani słychu!“ i odtąd milczeliśmy ze trzy godziny.

Zdawało mi się, że niedługo powinien się był zacząć brzask. Nagle usłyszeliśmy nad głowami krakanie i szum skrzydeł. Było jeszcze ciemno i nie mogłem nic dojrzéć; ale byłem pewien, że to orły poczynają krążyć nad przepaścią. „Kra! kra!“ rozlegało się coraz silniéj w górze i w ciemności. Dziwiło mnie, że słychać tak dużo tych głosów, jakby przelatywały całe legiony orłów. Ale bądź co bądź, zwiastowały one dzień.

Jakoż po niejakim czasie dojrzałem swoje ręce, oparte o brzeg skalisty; potém zarysowały się przede mną plecy Świąteckiego, zupełnie jak czarna sylwetka na cokolwiek mniéj czarném tle. Tło owo bladło z każdą chwilą. Następnie, py-

szny, bladosrebrny ton począł przyświecać na skale, na plecach Świateckiego i nasycał coraz bardziéj ciemność, zupełnie jakby kto dolewał do niéj srebrnego płynu, który wsiąkał w nią, mieszał się z nią, czynił ją z czarnéj szarą, z szaréj perłową. Była w tém jednocześnie jakaś surowość i wilgoć; nie tylko skała, ale i powietrze wydawało się mokre.

Co chwila robi się świetliściéj. Patrzę, staram się zapamiętać te zmiany tonu i potroszę w duszy maluję, gdy nagle przerywa mi okrzyk Świateckiego:

— Tfy! głupcy!

I plecy jego giną mi z oczu.

— Światecki! — krzyczę — co robisz!

— Nie wrzeszcz! — powiada — patrz!

Przechylam się, spoglądam — cóż się pokazuje? Oto siedzę na skalistym zrębie, zapuszczającym się w łąkę, która leży może o półtora łokcia poniżéj. Mchy głuszyły odgłos kamieni, bo zresztą łąka jest równiutka; w dali widać drogę, na niéj wrony, które poczytałem za orły. Potrzebowaliśmy tylko nogi spuścić ze zrębu, ażeby pójść najspokojniéj do domu. Tymczasem przesiedzieliśmy na zrębie, szczękając zębami, całą Bożą noc... *Henryk Sienkiewicz,*

(Ta trzecia).

---

74. Zapusty.

Opowiadanie starego szlachcica.

Ignacy Rewieński, sędzia ziemski, powiedział mi raz po sesyi: „Panie Sewerynie, proszę WPana na zapusty do Omniewicz; ale przywieź nam i żonkę.“

Skłoniłem się sędziemu, dziękując mu, iż raczy o nas pamiętać. Tedy z moją Magdusią bryczką krytą puściłem się do Omniewicz. Trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach bryczka kryta nie była rzeczą powszechną i że palestra nasza, choć z obywatelskich synów złożona, ślicznie wózkami ruszała; ale gdy otrzymałem w darze bryczkę, czemuż miałem jéj sobie i żonie żałować?

Sędziego dom nie był pałacem, ale ileż tam mieściło się gości? dziśby tego nikt umieścić nie potrafił; a jaka uprzejmość, jaka szczerość, jaka wesołość!

Ja z żonką stałem na folwarku.

Około dziewiątéj zrana wszyscy zbieraliśmy się na pokojach, gdzie już sędzina i sędzianki poubierane siedziały, ażeby gości bawić, a gospodarz przyjmował ich w sieniach i wprowadzał do żony każdego, nie wchodząc w jego godność. Bo chociaż my niżsi umieli czcić powagę urzędu, znaliśmy dobrze, że jako szlachta wszyscyśmy byli równi. Otóż kiedy mnie W. sędzia, tak majętny i dostojny obywatel, w sieniach witał i nisko się kłaniał i przed sobą do pokoju wprowadzał, umiałem przyjąć jego łaskawą grzeczność i w kolanom go pocałował; a przecie, gdyby mię inaczéj przyjął, poczytałbym siebie być silnie ukrzywdzonym. Zebrawszy się tedy w pokoju bawialnym, pocałowaliśmy rączki wszystkich dam, poczynając od gospodyni i jéj córek. — W. sędzia odezwał się: „Panowie dobrodzieje, raczcie się rozgościć!“ — i odpasał szablę, a my wszyscy poszli za jego przykładem i w kątyśmy je postawili, ale tak, żeby każdy o swojéj szabli wiedział; bo jak tylko jaki senator albo wysoki urzędnik przyjeżdżał, trzeba było nam wszystkim szable przypasać, biec do sieni za gospodarzem dla przyjęcia gościa i wprowadzić go do pokoju, a dopiero odpasać się, gdy sam się odpasze. Ale ta grzeczność obowiązywała tylko względem ministrów, senatorów, dygnitarzy i podkomorzego; a nas palestrę także i względem urzędników sądowych, jako nad nami zwierzchność mających. Potém zaczynały się zabawy przedobiednie. JW. Jeleński, kasztelan nowogrodzki, który zaszczycał towarzystwo nasze swoją bytnością, siadał do maryasza w pulę z gospodarzem i W. Rdułtowskim, chorążym nowogrodzkim, którego żona była siostrzenicą księcia Radziwiłła, a on sam był orderowy pan. A choć to byli możni ludzie, po złotemu tylko grali, bo to była u nas wielka sromota w karty się zgrywać. Więc panowie maryaszem, a my niżsi rozmową starszych zajmowali się.

Zaczęto mówić o gospodarstwie, do czego i kobiety się mieszały. Pani sędzina zaczęła się popisywać, wynosząc rozmaitych kształtów moteczki i płótna swojego urządzenia. Wszyscy chwalili jéj prace, a Ojciec gwardyan z Iwieńca, co przez ten cały czas, trzymając na kolanach małego sędzica, obrazkami go bawił, odezwał się; — „*Laus tibi Christe* (Chwała ci, Chryste), żeś mnie do Omniewicz przyprowadził. Właśnie nasza zakrystya obdarła się, w łatanych albach za dobrodziejów Boga prosić przychodzi, a tu piękne, lniane płócienka

tęsknią do kościoła i same proszą, ażeby ze mną pojechały do Iwieńca.“ A sędzina mu na to: „Weź sobie, ile chcesz, Ojcze gwardyanie, masz do tego prawo; wszak ja wasza dłużnica za cebulki tulipanowe, coś mi je dał w jesieni.“ Pan sędzia odezwał się: „Ale wybierzże ze wszystkich półsetków najcieńsze; bo jak mi się nie popiszesz, to będę się skarżył kapitule, że nam takich gwardyanów przysyła, co się na gospodarstwie nie znają.“

Wtém Wawrzyniec kredensarz wszedł z serwetą na plecach i coś sędziemu szepnął, a sędzia wstawszy powiedział żonie: „Kochanko, proś JW. kasztelana do stołu.“ — Za przykładem pierwszéj pary my wszyscy, wziąwszy kobiety pod rękę, poszliśmy do sali, gdzie stół był zastawiony, a przy nim stołki i ławki. Siedzieliśmy wszyscy za stołem, oprócz samego sędziego, który jako gospodarz, chodził od jednego do drugiego wokoło stołu, aby usługi z oka nie spuścić. Przy obiedzie po pierwszych potrawach zaczęto kielichem się bawić. Kielich niewielki zaczął kolejno obchodzić, jedni winem, drudzy miodem zdrowia rozmaite pili.

Po obiedzie zaczynały się pląsy, tańce i mazur na przemianę. A tak i młodzież i sędziwi bawili się. Zabawy były niewinne, szczere; każdy serce na ustach nosił.

W ostatni poniedziałek zrana, gdyśmy byli zebrani u sędzinéj, sędzia wpadł z obliczem uradowaném i powiedział: „Kochanko, baw gości, bo muszę natychmiast konno wyruszyć naprzeciw dostojnego gościa, co swoją osobą chce zaszczycić ubogi nasz domek. JO. książę Radziwiłł, wojewoda wileński, w samo południe tu będzie; zatém na granicy mojego dziedzictwa biegnę go przyjąć.“ Ledwo to wyrzekł, prócz JW. kasztelana nowogrodzkiego, co jako senator w domu został, i kilku starszych, wszyscyśmy się upomnieli, by W. sędziemu asystować.

Droga była kopna, a my ciągnęli się sznurem. Wkrótce spotkaliśmy pierwsze sanie orszaku księcia, a ostatnich jeszcze okiem dojrzéć nie można było. Więc my ustąpili z drogi, czekając, aż sanie samego księcia nadejdą. Sędzia z urzędnikami stał przodem, a my z tyłu. Gdy się przybliżył sam książę, krzyknęliśmy wszyscy razem: „Niech żyje nasz książę, ozdoba prowincyi Litewskiéj!“ — i wszyscyśmy pozsiadali z koni, ażeby go powitać. Sędzia z mową wystąpił, aż książę do łez się rozczulił, powtarzając po kilkakrotnie: „Panie kochanku,

czy ja wart, żebyście mnie tak przyjmowali“, a pomimo nalegań sędziego wysiadł sam, nie uważając, że śnieg. Witał nas, każdego chrzestném imieniem zowiąc. Więcéj godziny witania trwały, aż nacałowawszy się z bracią szlachtą, książę krzyknął na koniuszego swego, żeby mu konia wierzchowego podał. A że sędzia nalegał, aby w saniach jechał, jak wprzódy, zniecierpliwił się i rzekł: „Taki WPan przyjaciel, panie Ignacy; kiedy szlachta na koniu, chcesz, żeby Radziwiłł na wozie siedział!“ — i lubo dosyć był otyły, skoczył na konia, jak za dobrych czasów i zażył go, jakby żadnemu z nas lepiéj się nie udało. Potém stępo wedle powagi swojéj ciągnął do Omniewicz, ustawicznie coś prawiąc sędziemu i jego otaczającym.

Kiedy się kawalkada już do omniewiczowskiego dworu zbliżała, sędzia puścił konia w ował, żeby księcia przed domem przyjąć; jakoż jego i niektórych gości zastaliśmy przy ganku. Sędzina i wszystkie damy wyszły także na spotkanie gościa. Książę, zsiadłszy z konia i po kilkakrotnie ucałowawszy znowu gospodarza, wszystkie kobiety, zacząwszy od gospodyni, w rękę pocałował; dostało się i mojéj Magdusi. Potém wszedłszy do pokoju, a obaczywszy Wawrzyńca: „Jak się masz waszeć, kumie“ powiedział mu. W istocie przed trzema laty chłopca mu do chrztu trzymał. Wawrzyniec jak długi padł księciu do nóg i rozbeczał się. Książę, podniósłszy go, zaczął łaskawie pytać o żonę i dziecko, a kazawszy sekretarzowi swemu odliczyć mu sto złotych, dodał: „zanieś to odemnie twojéj żonie.“ Wawrzyniec ledwo nie oszalał i cały dzień chodził nabuńczuczony jak indyk.

Nazajutrz, w ostatni wtorek, był zrana obrządek solenny dla gospodarstwa i ich przyjaciół, zaręczyny pana Symeona Mogilnickiego, cześnikowicza nowogrodzkiego, z panną Agnieszką Haciską, rodzoną siostrzenicą sędziego, a w jego opiece będącą; ślub naznaczony został na Wniebowstąpienie Pańskie, z woli sędziny pomimo licznych próśb, aby go przyśpieszyć, a to z powodu, iż w dniu tym z mężem przyjęła błogosławieństwo. Ucałowawszy rękę męża, rzekła: „Dzień to szczęśliwy, mój Ignasiu! Już zbliża się rok szesnasty, jak z sobą mieszkamy, a momentu smutku nie doświadczyłam.“ Sędzia rzucił się w jéj objęcia i rozpłakał się, my wszyscy się rozrzewnili i księciu wojewodzie kilka łez na wąs upadło.

Jeszcześmy nie odeszli z rozczulenia naszego, gdy pora obiadowa złączyła nas wszystkich za stołem. Już sama weso-

łość panowała. Pierwsze zdrowie było przyszłego szczęścia państwa młodych; piliśmy także: „Niech żyją połączone domy!“ a gdy przyszło do pląsów, którym książę dał hasło, w pierwszą parę wziąwszy pannę Agnieszkę, coraz lepsza ochota nas zagrzewała i naprzemian szły tańce, mazurki, krakowiaki. Dopiero w północ, na zakończenie zapust, książę, wziąwszy panią sędzinę, a każdy z nas damę swoję, poszliśmy drabanta, po którym muzyka się rozeszła, a zwykłym natenczas obyczajem ksiądz gwardyan bernardyn miał do nas exhortę.

Ostrzegłszy nas, że o zabawach trzeba zapomnieć, bo nadszedł czas pokuty i postu, zaprosił wszystkich do modlitw. Zaczęliśmy śpiewać „Gorżkie żale“, aż się ściany trzęsły. Donośne głosy księcia wojewody i ojca gwardyana nad naszymi wszystkimi się unosiły. W kilka godzin udaliśmy się za gwardyanem do cerkwi unickiéj, niedaleko dworu będącéj. Tam Ojciec gwardyan miał mszę o czwartéj zrana, sędzia służył mu do mszy. Kiedy przyszło do ewangelii, wszyscyśmy do pół szabli z pochew wydobyli, głowy czapkami nakrywszy, a to na znak, iż gotowi jesteśmy orężem walczyć za święte słowa Zbawiciela naszego. Po skończonéj mszy książę wojewoda z JW. kasztelanem Jeleńskim, po nich stan rycerski, urzędnicy wprzódy, daléj my szlachta, potém słudzy, ordynkiem po dwóch przystępowali do ołtarza dla przyjęcia popielcu; dopiero po nas kobiety. Kiedyśmy wrócili do dworu, to już było około szóstéj zrana. Jako w pierwszy dzień postu bez żadnego posiłku poszliśmy spoczywać kilka godzin, aż zebraliśmy się w sali obiedniéj. Siedliśmy do postnego obiadu. Wszystko było na oleju; ale część gości i samo gospodarstwo, mając zwyczaj dzień popielcowy suszyć, grzankami się tylko posilali. Gdyśmy spostrzegli, że książę wojewoda także się od innych pokarmów wstrzymuje, zbudowani pięknym przykładem, nie odważyliśmy się dogadzać żołądkowi i choć tém małém umartwieniem każdy rad był przysłużyć się Zbawicielowi swojemu. W dniu tym wina nie było widać u stołu. Po obiedzie rozjechali się wszyscy. Ja z moją Magdusią puściliśmy się do Nowogródka, gdzie dość późno stanęliśmy w naszym dworku.

Henryk hr. Rzewuski,
(Pamiętniki starego szlachcica).

75. Majówka.

Rozsypana na rynku boruńskim młodzież swobodnie używała wieczora, piłka lekko szybowała w powietrzu, kiedy ksiądz fizyk, który brał udział w zabawie, spojrzał na zachód i jakby od niechcenia rzucił uwagę: „Jutro dzień piękny, wartoby, dzieci, o majówce pomyśleć.“ Ksiądz fizyk nigdy się w proroctwie nie myli: jutro dzień piękny, więc wnet wielka pod kościołem składa się rada, na której jednomyślnie uchwalono prosić o majówkę na jutro. Wyprawiona tuż w tropy za księdzem fizykiem do księdza prefekta delegacya, a wybrana ze śmielszych zuchów i mających łaskę u księdza prefekta, powraca w kwadrans z klasztoru. Krzyczą zdaleka posłowie: Majówka! majówka! Okrzyk się powtórzył na rynku: Majówka! Na to hasło pan Kazimierz, arcydobosz szkolny, wie, co ma czynić; bieży do kościoła, porywa z chóru ogromny bęben i, waląc weń, co ma siły, maszeruje po całém miasteczku; za nim biegnąc liczna tłuszcza głuszy huk bębna nieprzestannėm wołaniem: Majówka! gdy zaś zemdlały ręce panu Kazimierzowi, a krzykaczom zachrypło w gardle, rozbiegli się nakoniec wszyscy do domów, padli na pościele i każdemu śni się majówka.

Ledwie nazajutrz dzień zaświtał, leniwi w każdym innym czasie chłopcy zrywają się ochotnie z pościeli; każdy skwapliwie pakuje zapasy podróżne; wtém pan Kazimierz daje hasło w taraban, a emeryt szósto-klasista, otoczony liczną asystencyą, wynosi z kaplicy studenckiéj szkolną chorągiew. Na niéj z jednéj strony wyobrażenie patronki szkolnéj, Bogarodzicy, bogato na białym atłasie wyszyte, na drugiéj zaś stronie kłosisty snop zboża, godło plonów z nauki. Około téj chorągwi tłum dziatwy coraz liczniéj się gromadził, rozmaite głosy i krzyki rozlegały się po całém miasteczku, a jednoczyły się i zlewały w jedno w tłumie. Scena ta pełna życia; tu skaczą z radości, stamtąd biegną bez pamięci, wyrzucając czapkę w górę i łapiąc ją na powietrzu; tam się czubią i godzą, a w powszechnym wrzasku słychać pisk strojonych klarynetów, brzęk fałszywéj strunki skrzypców i pomrukiwanie jakby godzącéj te spory poczciwéj basetli.

Wreszcie wychodzi z klasztoru sztab główny: ksiądz prefekt jako naczelny wódz i księża profesorowie. Ksiądz fizyk uprzedził wszystkich, stanął w tłumie i głośno zawołał: „Do-

kądże pójdziemy, dzieci?“ — „Do Giejstun!“ wołają jedni; „do Olan!“ drudzy, „do Zahorza!“ krzyczą trzeci. Któż rozdzielone zdania zjednoczy? Tenże sam ksiądz fizyk, który i sprzeczce dał powód. „Do Zahorza pojedziemy, księże prefekcie! Do Zahorza, dzieci; już ja ręczę, mosanie, że będzie tam dobrze!“ I nie czekając odpowiedzi, pchnął w kark chorążego: „Do Zahorza, marsz, mosanie cymbale! marsz!“ krzyknął „marsz!“ Zabrzmiały klarynety, skrzypce i basetla, ruszyła chorągiew, a za nią hurmem wszyscy.

Miła jest nader okolica Borun po drodze ku Mińskowi, Po wzgórkach jakby po falach podnosi się ona i spływa, a z każdego wzgórza coraz to nowe, a zawsze przyjemne odkryjesz obrazy. Najpiękniejsze gaje z rozmaitego drzewa i w rozmaitych formach wznoszą się gęsto na góry lub schodzą na łąki, między rozległymi i okrytymi bujnem zbożem polami w dolinach rozesłane; gdzieniegdzie małe widać wioseczki, rozłożystymi dęby i kosatą brzozą ocienione; po obu stronach drogi, w gronie drzew owocowych lub stuletnich lip, wznoszą się dwory i dworki, w szybach przejrzystych stawów jak w źwierciadłach odbite; dróżki wąskie, wijąc się po wzgórkach i polach, łączą sąsiadów, a strumyki, z jednego do drugiego przebiegając stawu, szumią na młynkach, tu i ówdzie rozrzuconych, i ożywiają tę piękną, ludną i powabną krainkę, która całością zachwyca, a szczegółami przynęca.

Po téjto drodze, wysypawszy się z miasteczka, ciągnęła czerń szkolna wesołym pochodem przez półtory najmniéj godziny; potém zwróciła się małą drożyną na prawo ku dworowi, blisko wzgórza dającemu się spostrzegać; to cel wędrówki, Zahorze! Maszerujemy więc w porządniejszym szyku przy odgłosie saméj tylko muzyki prosto na dziedziniec: a gdy pod bramę chorągiew się zbliża, występuje na powitanie uprzejmy gospodarz, pan szambelan Bujnicki. Któż z moich kolegów nie przypomni sobie, jak poczciwy staruszek rad był swoim gościom! jak się uwijał między dziatwą! jak poprawiając pasa na niskiéj, krępéj a rubasznéj figurze swojéj błyskał szeroką łysiną, kłaniając się na wszystkie strony! Za nim wysypuje się liczne grono mamuniek. Na ten widok chłopcy krzyczą z zadziwienia, a ksiądz fizyk odzywa się z uśmiechem: „A cóż? dzieci, nie mówiłem, mosanie, że nam tu będzie dobrze? — he?“ Oj! bo ksiądz fizyk wysłał na całą noc żebraczkę Raducinę do bliskich dworków, uwiadamiając

mamunie o majówce i zapraszając do Zahorza; wiedział więc, kto się tam znajdzie, a zatém śmiało zaręczał, że tam będzie dobrze. Pieszczota dziatwy z rodzicami budziłaby zazdrość w innych, gdyby wesołość powszechna nie tłumiła wszelkich innych uczuć i myśli. Nareszcie ksiądz prefekt i profesorowie wchodzą do budynku; za nimi starszyzna, panowie dyrektorowie; za nimi malcy, którzy tu rodziców znaleźli; nakoniec muzyka: wszyscy, którzy mają ochotę, proszeni i nieproszeni, sute tam znajdują śniadanie. A tymczasem główny tłum majówki zwraca się na równinę u spodu wzgórza, na którém dom się wznosi, rozciągającą się szeroko i bujnymi brzozami zrzadka porosłą, tak, że i cień przed spieką w południu gotowy i miejsca na zabawy wystarcza.

W budynku po sutém śniadaniu pan Bujnicki musnął się po łysinie, pan Dziewiałtowski, metr muzyki, zrozumiał chęć gospodarza, chwycił za skrzypce i urznął poloneza; reszta panów wirtuozów stanęła obok, a ucieszony pan szambelan h u h a! zawołał i stanął w pierwszą parę z panią mostowniczyną. Dziatwa wybiegła do gaju, panowie dyrektorowie stanęli za panem szambelanem i zaczęły się tańce.

Tak dzień przelatywał wesoło. Gdy godzina podwieczorku nadeszła, pan szambelan z całą kompanią wychodził do gaju; tam w zgromadzonym tłumie dziatwy stanąwszy, równie grzecznie i uprzejmie, jak przy powitaniu, kłaniając się, zapraszał na podwieczorek. O! jakże go kochano w szkole boruńskiéj! dzieci i rodzice zarówno wdzięcznymi mu byli. Pan Bujnicki szanował i jednał sobie miłość nowego pokolenia swych ziomków; była to uprzejmość obywatelska, którą każdy z sąsiadów boruńskich z równą jak pan Bujnicki rozkoszą i z chlubą nawet wyświadczał, gdy miał gościem całą szkołę boruńską. Trzeba też było zagadnąć którego malca o pana szambelana, za każde wątpliwe o nim słowo dostałbyś sińca na czole, choćby wnet na pieńku odpokutować przyszło. Podwieczorek wiejski! kredens sejmikowy! w długich stodołach i odrynach ustawiono wzdłuż i nakryto stoły, zedle i ławy zastawiono garnkami wybornego kwaśnego mleka; chleba i soli dostatek; misek i łyżek drewnianych mnóstwo; apetyt studencki, podniecony kilkogodzinną swawolą, wilczy!

We dworze wyśmienita kawa z wyborną wiejską śmietanką i cwibaczkami ocukrowanymi, których mamunie kopami

nawiozły, zasila uczone grono i wesołych przed chwilą towarzyszy w poważnych i mądrych przemienia statystów.

Przeciągły podwieczorek doprowadził aż do zachodu słońca; zatém na skinienie prefekta dano niespodziane hasło w taraban. „Ach! ach!“ krzyknęły przelęknione damy; — „czas wracać“ rzekła smutno dziatwa i gromadziła się około chorągwi, wbitéj na środku dziedzińca, na który i cała kompania wyszła z pokojów. Rozpoczynały się więc pożegnania i powszechne i szczególne; księża prawili panu szambelanowi podziękowania; pan szambelan znowu się kłaniał na wszystkie strony; chłopcy czepiali się szyi matek.

Wracamy więc. Rój nas około księdza prefekta i chorągwi, jak pszczoły około matki, ciemnym, gęstym i szumnym posuwa się kłębem; reszta odlotków długiém po gościńcu ciągnie się pasmem i odstrzela się pojedynczo na boki. Znowu wchodzimy na górę, ale we wstecznym kierunku, więc i przeciwny z niéj uderza nas widok. Horyzont tuż za Borunami głębokim w półkole ogranicza się lasem; na nim jak na tle czarném odbite białe gmachy kościoła, klasztoru i wież boruńskich poważny i uroczysty dają obraz.

Przy wejściu do Borun marsz tryumfalny ozwał się znowu. Natenczas dziatwa, złamawszy szyki i porządek, rzuciła się do miasteczka, jakby je szturmem zdobyć chciała; muzyka umilkła na rynku; zmęczona tłuszcza rozsypała się po kwaterach, a księża niknęli jeden za drugim w ciemnych korytarzach klasztornych. Gwar zwolna ustawał, coraz ciszéj było i ciszéj, aż nakoniec piękna noc majowa ogarnęła to siedlisko wesołości, na setne rozdzielonéj serca.

Ignacy Chodźko, (Boruny).

---

76. Zakończenie roku szkolnego w Krzemieńcu.

Otworzyły się publiczne egzamina. W Krzemieńcu młodzież z prawdziwym zapałem oddawała się naukom i, pewna siebie, ochotnie i przytomnie z nich sprawę zdawała. Popisy, szczególniéj z fizyki i chemii, objaśnione doświadczeniami, z wymowy i literatury, okraszone przytaczanymi wzorowymi przekładami prozy i deklamacyą wiersza, zachwycały zgromadzonych słuchaczy. Zadowoleni byli goście, rozrzewniał się pociechą szanowny pasterz, rodzice uwielbiali Czackiego,

Czacki ojcowskiéj w sercu doznawał radości i w duchu gorącéj wiary niósł Panu dzięki, że trudy i starania jego błogosławił.

Po trzechdniowych popisach nastąpił dzień rozdawania nagród. Biblioteka jeszcze nie była zupełnie ukończoną, a sala żadna nie wystarczała obszernością na objęcie tylu osób, zbierających się na ten akt uroczysty; w gmachu więc wspaniałym, w kościele gimnazyalnym, każdą podobną uroczystość obchodzono. W środku kościoła, po prawéj ręce od wchodu, wzniesione było siedzenie biskupa, po lewéj tron z portretem cesarza; wokoło stały w dwóch rzędach krzesła, które zasiedli poważni obywatele, ojcowie i matki; poza nimi porządkiem stanęli uczniowie klas i kursów, daléj mnóstwo interesowanych lub tylko ciekawych widzów.

Jeszcze nie ma Czackiego, komisarzów i senatu nauczycielskiego. Uczniowie, klasami rozstawieni, zajęli swe miejsca; na czele każdéj klasy gromada celujących należnéj nagrody oczekuje; wszyscy w mundurach, wszyscy weseli; czyż wszyscy nagrody biorą? Nader mała liczba niebiorących przynajmniéj pochwalnego listu wpośród świetniejących zasługą zniknęła. Śmiało i wesoło poglądają, ale ułożeniem skromni i przyzwoici; bo tu nie tylko przyozdabiają umysły, tu i serca kształcą i nawet w mniéj dobrych wzniosłe uczucia obudzić potrafią; bo tu naczelnikiem jest przykład, jest wzór, za którym dążą wszyscy, pragnący szczycić się imieniem prawego obywatela.

Od drzwi wchodowych dał się słyszeć szelest, wszystkich oczy w tę stronę się zwróciły, wszystkich usta szepnęły: „idą“. Jakoż weszli nauczyciele parami, porządkiem starszeństwa, a dwaj ostatni nieśli, jeden dyplom cesarski, drugi na tacy medale; za nimi weszli dyrektor i prefekt, daléj komisarze, Michał Sobański, Wacław Boryeko, ks. Maksymilian Jabłonowski i Filip Plater; daléj pisarz komisyi Rudzki i plenipotent funduszów edukacyjnych Borkowski; na końcu szedł sam Czacki, a za nim sekretarz gimnazyalny ze stosem atestatów i listów pochwalnych. Rozstąpili się wszyscy, grono szanownych mężów zasiadło swoje krzesła, na tronie pod portretem cesarskim złożono dyplom, na stopniach listy pochwalne, sekretarz stanął za krzesłem Czackiego. Ks. biskup zaintonował „Veni Creator“, po którego odśpiewaniu Czacki zagaił posiedzenie krótką a piękną przemową; następnie jeden z profesorów odczytał uczoną rozprawę.

Nastąpiło rozdanie nagród. Czacki każdemu, począwszy od pierwszéj klasy aż do trzeciego kursu, oddając list pochwalny, coś stosownego, coś przyjemnego powiedział. Następowały medale. Od najdawniejszych czasów trwał u nas zwyczaj, że je rozdawali rodzice, znakomitsi dygnitarze lub panie, a zwłaszcza pokrewni odznaczonego ucznia; nie mającym obecnéj przy uroczystości rodziny oddawali tę nagrodę ks. biskup, poważni ojcowie i dostojne matrony. Dawniéj król Stanisław sam przypinał zasłużonym medale, ale jeżeli matka była obecną, król nawet zostawiał jéj pierwszeństwo uwieńczenia zasługi syna. W tym roku p. Michał Sobański brata i synowca, obu z drugiego kursu, medalem ozdobił. „Zaszczyć tą nagrodą zasłużoną ich pilność i obyczajność, dostojny mężu!“ przemówił Czacki. „Zastąp tu im ojców, których opiekę tak godnie im zastępowałeś; zaszczyć, zaszczyć ich, nim twój syn, dorósłszy lat, do nauki sposobnych, odebrać znak taki z rąk rodziców zasłuży. Wy zaś, młodzieńcy, możecie się pochlubić, żeście z rąk takiego czcigodnego krewnego ten znak waszéj zasługi odebrali, i starajcie się być jemu podobni“.

Następował kurs trzeci, na którym najbezstronniéj złoty medal nauczyciele przysądzili Józefowi Czackiemu. Szedł piękny młodzieniec po nagrodę skromnie, lecz śmiało; ale spojrzawszy na matkę, któréj wyraz twarzy zdradzał walkę uczuć wewnętrznych, jeszcze żywszym spłonął rumieńcem i nie tak już pewnym krokiem postąpił ku ojcu.

„Synu mój, Józefie!“ rzekł ojciec, „ufność moja bez granic w charakterze i sumieniu władz téj szkoły upewnia mnie, że nie sama ku mnie życzliwość ani żaden interes w przysądzeniu ci téj nagrody zdaniem ich kierowały. Żeś na nią zasłużył, zacni ci nauczyciele mnie zapewniają; wierzę więc, z prawdziwą serca uciechą zasługę twoję uznaję i do tego, drżącego z radości ojcowskiego serca przyciskam! Wam, dostojni nauczyciele i przełożeni téj szkoły, najczulsze składam dzięki, żeście wszczepili w ten młodociany umysł zamiłowanie nauk i szlachetną emulacyą. Czém on będzie na świecie, wasze to dzieło, a za trudy, około niego podjęte, moja ku wam wdzięczność do grobu serca mego nie odstąpi. Ale, mój synu! ukończywszy zawód naukowy, wychodzisz na świat; wręczyłem ci w tym względzie moje uwagi, tu ci jeszcze kilka jedynie słów powiem. Wielkie zaciągnąłeś obowiązki względem téj szkoły! Ja jedną nogą nad grobem już stoję, może głos

mój już po raz ostatni w tych się murach rozlega. Na tobie, mój synu, cała moja nadzieja! Ty się przejmiesz moimi względem téj szkoły uczuciami, ty z mojéj wdzięczności masz się wypłacić téj szkole, tym czcigodnym współziomkom, téj ziemi rodzinnéj, która cię wydała i wykarmiła. Twojéj i mojéj wdzięczności dowiedziesz, jeśli w całém twém życiu, postępując drogą wiary i prawości, staniesz się godnym szacunku tych życzliwych współobywateli, godnym opieki twojego monarchy, godnym imienia ucznia gimnazyum wołyńskiego, imienia Polaka! Na znak, że mi to przyrzekasz, podaj mi dłoń twoję!“ A ująwszy syna za rękę jedną, a drugą ręką medal — „Pójdź“ — rzecze — „synu kochany! nikt godniéj nie zdoła ozdobić cię tym znakiem zaszczytnym, jak ta, która z mlekiem swojém przelała w twe serce uczucia miłości Boga, miłości honoru i miłości ojczyzny!“

Nie mógł już więcéj mówić, łzy głos stłumiły. Oddał żonie medal, a Józef przed matką zgiął kolana; drżącą ręką starościna przypięła medal synowi, pochyliła się nad głową jego, lecz gdy chciała do niego przemówić, płacz głośny wydarł się z piersi szczęśliwéj matki; objęła piękną głowę młodzieńca, przycisnęła do serca: i łzy czcigodnych rodziców zmieszały się ze łzami godnego ich syna; a te łzy były łzami radości, niemymi tłómaczami rodzicielskiego błogosławieństwa.

Gdy starościna przypięła synowi medal i ojciec wręczył mu świadectwo szkolne, przykląkł młody Czacki przed spłakanym pasterzem, który go ojcowskiém sercem na dalszą koléj życia pobłogosławił.

Zakończył tę całą uroczystość czcigodny ks. biskup hymnem św. Ambrożego i powszechném błogosławieństwem.

Antoni Andrzejowski,
(Ramoty starego Detiuka).

III.

77. Żubry w puszczy białowieskiej.

Kiedyśmy w puszczy odpoczywali, nadbiegł jeden z budników i — „Schowajcie się, schowajcie! wołał. — Zaraz będą szły tędy!“ Skoczyliśmy coprędzéj do sosen. — Żubry szły rzeczywiście. Zwiastował je trzask suchych gałęzi, łamanie się krzów i drzewek. Gdy całe stado pędzi z pośpiechem, sprawia w puszczy taki łoskot, że wśród ciszy można go posłyszeć na dwie wiorsty. Ale tym razem były to pojedyncze sztuki. Naprzód w zaroślach zamigotały dwa czarne ciała, które, to zbiegając się, to rozbiegając, sunęły ku nam z nadzwyczajną szybkością, rosnąc z każdą chwilą. Były to dwa stare, olbrzymie samce, co łatwo było poznać z ich garbów i łbów, pokrytych obfitymi kudłami, zwieszającymi się w kształcie długich bród pod szczęką dolną. Ujrzawszy nas czy też zwietrzywszy, zwróciły się nagle i przeszły o jakie półtorasta kroków, skacząc lekko przez leżące zawały drzewne. Ponieważ za nami las był zupełnie podszyty, wkrótce straciliśmy je z oczu.

Po pewnym czasie znowu kilka sztuk ukazało się między drzewami, ale jeszcze daléj, niż poprzednio. Prawdziwie dobrze przypatrzeć się tym wspaniałym mieszkańcom puszczy mogliśmy dopiero w końcu zwierzyńca. Spore stado, ruszone przez budników, zatłoczyło się w ten kąt, przez który i nam wypadało wracać do domu. Posłyszawszy nawoływanie, zaledwie zdążyliśmy schronić się za drzewa, gdy ze wszystkich stron posypało się kilkanaście sztuk. Były tam stare samce i krowy z cielętami. Niespodziewanie połączyło się z nimi i stado jeleni, które również schroniło się w to zacisze poprzednio. Wówczas otoczyła nas cała menażerya puszczy.

Ręka mimowoli szukała strzelby, któréj brać ze sobą do puszczy nie wolno. Cały korowód przesuwał się nie więcéj

jak o czterdzieści kroków. Ani jeden strzał nie byłby chybił. Żubry, płoszone krzykiem budników, którzy zabiegali im drogę, kołowały czas jakiś tuż obok nas. Małe cielątka, czarne jak żuki, bezrogie, podobne do kulek, śmieszne, z rozwiniętym nad miarę łbem i przodem, a marną resztą ciała, smyrgały z chyżością sarn przez wszelkie przeszkody. Jedna krowa biegła tuż koło częstokołu i tę widzieliśmy najlepiéj. Małe jéj nie tylko nie zostawało, ale uprzedzało jeszcze matkę. Gdyby było ranne, możeby się była rzuciła na budników, których żubry mniéj się boją, niż ludzi, przybyłych zdaleka i noszących nieznane im ubiory.

Wogóle jednak żubry są płochliwe i, gdy ranny jeleń rzuca się na strzelca nader często, żubr, należący jeszcze do stada, niemal nigdy. Natomiast stare samce, chodzące pojedynczo, są zuchwałe, złe i bywają niebezpieczne. Widocznie starość, odłączenie i ciągła samotność usposabia ich posępnie i gniewliwie.

Czasem, a zwłaszcza zimową porą, taki pojedynek staje napoprzek drogi, jakgdyby szukał zaczepki, i nie ustępuje nie tylko pojedynczemu człowiekowi, ale i gromadzie całéj. Widząc zbliżających się ludzi, wozy i konie, poczyna kiwać swą olbrzymią, brodatą głową, toczy krwawymi oczyma, wydaje głuchy mruk, podobny do chrząkania i chrapania zarazem, i rzuca się na oślep. Naówczas biada zaczepionym! To téż chłop puszczański, jadący zimą saneczkami, gdy zobaczy zdala stojącego na drodze pojedynka, zjeżdża natychmiast w las i stara się objechać olbrzyma jak najdaléj. Bywają także wypadki, że w ostępie żubr rzuca się niespodzianie na leśnika. Wówczas jedyną ochroną, jeśli napadnięty nie ma broni lub jeśli nie chce strzelać, jest uciekać naokół cienkiego drzewa, bacząc na obroty napastnika i zwracając się wedle tychże obrotów. Naokół grubéj sosny, która zasłania ruchy zwierzęcia, dogania ono z łatwością strzelca, depce go i rozmiażdża racicami, potém porywa na rogi i ciska w górę.

Pewien stary leśnik, którego nazwiska nie pamiętam, opowiadał jednemu z naszych towarzyszów, iż dwa razy w życiu napadany był przez żubra. Raz schronił się pod pień leżący i wyciągnął się wzdłuż, przyciskając ciało do drzewa, jak mógł najszczelniéj. Żubr nie mógł go deptać, że zaś przy pniu była wklęsłość, nie mógł także podłożyć pod niego rogów. Jednakże zaciekły zwierz nie odstępował go przez kilka godzin. Starzec opowiadał potém, iż zdawało mu się, że trwało

to wieki całe. Drugi raz wyratował się ucieczką sposobem, wyżéj wspomnianym.

Żubr litewski nader podobny jest do amerykańskiego bizona. Różni się tylko od niego zewnętrznie, mniejszą głową i mniejszą wyniosłością przodu. Jest on także garbaty, ale nie do tego stopnia. Kudły na grzbiecie ma także mniejsze i nie tak obfite. Pod względem wagi, zdaje mi się, że nasz litwin nie ustępuje amerykaninowi ani go też nie przewyższa. Ustępuje tylko liczbą, bo gdy bizonów są jeszcze na wysokich i niskich stepach setki tysięcy — liczba żubrów nie przenosi sześciuset sztuk. Za rządów pruskich liczba tych zwierząt zmiejszyła się tak dalece, iż była obawa, że wyginą zupełnie.

Niewielka stosunkowo liczba dziś istniejących żubrów da się wytłómaczyć po części złagodzeniem kary za zabijanie tych zwierząt, po części rozrastaniem się wsi. Jest ich w puszczy kilkanaście. Ludność wzrasta, osady rozszerzają się, ruch na drogach, wiodących przez ostępy, zwiększa się — nic więc dziwnego, że płochliwy zwierz cofa się w coraz głębsze uroczyska, nie czując się swobodnym.

Prócz tego łudziłby się, ktoby sądził, że dziś nie ma już kłusowników i szkód między żubrami. Wiemy od miejscowych ludzi, że na chrzciny, wesela i tym podobne uroczytości do dziś dnia zastawiają w chatach żubrze mięso. Od każdego też chłopa, zaskarbiwszy sobie jego ufność, można nabyć rogi lub skórę, każdy bowiem jest potrosze kłusownikiem. Latem trudniéj im wyprawiać się na łowy, ale zimową porą, w czasie zawiei, gdy szum wiatru głuszy strzał, a śnieg zasypuje ślady, wyprawiają się w saneczkach na upatrzonego i z podobnych wypraw rzadko wracają bez łupu.

Henryk Sienkiewicz,
(Z puszczy białowieskiéj).

78. Z życia lwa.

Zdawałoby się rzeczą niepodobną ułaskawić tak drapieżne zwierzę, jak jest lew; a przecież naturaliści podają wiele tego rodzaju przykładów.

Już w starożytności Kartagińczyk Hanno oswoił lwa do tego stopnia, iż tenże towarzyszył mu wszędzie. Hanno skoń-

czył życie na wygnaniu; dla usprawiedliwienia wyroku sędziowie utrzymywali, że rzeczpospolita musi się lękać człowieka, który zdołał nawet srogiego lwa ujarzmić. Tryumwir zaś Antonius do swego wozu kazał lwy zaprzęgać. Fakta te okazują możność udomowienia dzikich zwierząt i dowodzą zarazem potęgi i siły moralnéj człowieka.

Lew oswaja się istotnie jak pies i niemniejszą od niego odznacza się pamięcią; po długich nawet latach rozłączenia poznaje swego pana, tak z rysów twarzy jak i z dźwięków głosu.

Sławny uczony niemiecki Brehm chował lwicę, zwaną Baszyda, a należącą przedtém do wielkorządcy wschodniéj części Sudanu. Naturalista zostawił jéj zupełną swobodę; okazywała też ona względem niego żywe przywiązanie, przychodziła do łóżka budzić go pieszczotami, łasiła się u nóg, posłuszna na każde skinienie pana. Baszyda igrała chętnie ze zwierzętami domowymi, nie czyniąc im nigdy najmniejszéj przykrości. Często, udając zasadzkę, rzucała się na wskazaną jéj osobę, nie zadając jéj jednak najmniejszego zadraśnięcia; raz tylko przypadkiem, i to podczas zabawy, zadusiła małpę. Brehm odbywał z nią dalekie podróże; w Kairze, ku wielkiemu zdziwieniu mieszkańców miasta, przechadzał się z lwicą po rynku. Wróciwszy z Alexandryi do Europy, pozostawił ją w Berlinie, udając się w dalsze podróże. Gdy po upływie dwóch lat przybył ją zobaczyć, poznała go od razu i żywą z tego powodu okazywała radość.

Niemniéj godnym uwagi był lew, trzymany w menażeryi muzeum paryskiego razem z psem, z którym zawiązał przyjaźń zażyłą. Lew ten, pochodzenia afrykańskiego, posiadał wszystkie szlachetne cechy swego rodu. Względem psa okazywał jak najczulsze przywiązanie. Zresztą poważny charakter króla lasów przystawał wybornie do zawsze wesołego humoru i szczerości współtowarzysza niewoli. Częstokroć pies przyczepiał się do jego grzywy, gryzł uszy, wyprawiał harce po grzbiecie kolegi, który z rezygnacyą schylał głowę, nie wiele obruszając się na te, niekiedy bolesne żarty. Przyjaciele na jedném sypiali łożu i podzielali wszystkie przyjemności życia, zapominając o niewoli. Gdy w zwykłéj godzinie podawano im pożywienie, każdy, wziąwszy swą porcyą, oddalał się w kąt przeciwległy dla jéj spożycia; żaden nie zwracał pożądliwego oka na ucztę sąsiada. Kto pierwszy jadło spożył, w milczeniu oczekiwał, aż drugi wstanie od stołu. Jednego wszakże

dnia nieroztropny dozorca porcyą mięsa, dla lwa przeznaczoną, psu rzucił. Pokrzywdzony zwraca się naturalnie po odbiór do towarzysza, ale spotyka ostre zęby, gotowe siłą bronić zdobyczy. Lew ustąpił: widocznie miał pies nad nim wpływ moralny, pomimo wcale niemoralnego w tym razie postępku. Podobne sceny powtarzały się, gdy kto ze zwiedzających menażeryą rzucał chleb lub mięso do klatki. Pies porywał zwykle te przysmaki, a pokrzywdzony lew zamiast przyjacielskiego podziału zdobyczy odbierał niekiedy razy tak ciężkie, że krew mu z ran płynęła. Wtedy jednak poprzestawał na odtrąceniu łapą samoluba. Zajścia te jednak w niczém nie osłabiały węzłów przyjaźni.

Atoli znikome jest szczęście ziemskie: pies ciężko zachorował i życie zakończył. Po stracie przyjaciela lew popadł w smutek, graniczący z rozpaczą; ryczał, rwał się, nie przyjmował pokarmu i opadł widocznie na siłach. Właściciel menażeryi obawiał się, ażeby nie padł ofiarą smutku; wyszukał więc innego psa, tegosamego, co poprzedni gatunku i takiéj saméj barwy. Przyprowadzono go przed klatkę. Lew powstał, oczy mu dziwnym błysnęły żarem, wydał straszliwy i przeciągły ryk i rzucił się na kraty, jakby chciał klatkę zdruzgotać. Rozumiano, iż te wybuchy gniewu lwa pochodzą stąd, iż ujrzał swego ulubieńca w rękach osób obcych; co prędzéj puszczono psa do klatki. Złudzenie nie trwało długo; rozjuszony zwierz w jednéj chwili skoczył i zdusił w pazurach nowego towarzysza. Odtąd nie próbowano już tego rodzaju pokuszeń; widocznie lew nie żałował psa, ale przyjaciela. Czas, leczący wszystkie smutki, powrócił mu siły i spokój, lecz nie zatarł całkiem wspomnień bolesnych. Odtąd nie mógł lew nigdy znosić widoku psa; wspinał się na dwóch łapach i ryczał, dopóki drażniącego go zwierzęcia nie usunięto.

Nie tylko u nas, ale i w Persyi, w Turcyi, w Kabulu nieraz napotkać można lwy oswojone na progach pałaców lub w podwórzach. Jeden z ministrów sułtana w pokojach swego pałacu chował lwa ułaskawionego.

Wedł. *Winc. Niewiadomskiego*,
(Życie i obyczaje zwierząt).

79. Paw.

Paw jest najozdobniejszym ptakiem z pomiędzy tych kilkunastu gatunków, które zamieniono na domowe. Pochodzi on z Indyj wschodnich, gdzie jeszcze dotąd przechowuje się w stanie dzikim. Świetność najżywszych kolorów i niezwykłe ozdoby, ptaka tego odznaczające, zwróciły na się szczególną uwagę ludów odległéj starożytności. W Indyach i w krajach przyległych niewątpliwie bardzo go już dawno przyswojono; już w Piśmie Świętém są wzmianki, że za czasów Salomona przywożono temu monarsze pawie z Ofiru razem ze złotem, kością słoniową i innymi kosztownościami wschodu.

Do Europy dostał się paw dopiero za czasów Alexandra Macedońskiego; zdobywca ten bowiem ptaka tego po raz pierwszy dopiero zobaczył i tak się zachwycił jego pięknością, iż zakazał go zabijać pod najsurowszą odpowiedzialnością; ślady zaś historyczne zaświadczają, że się pawie już pod koniec jego panowania znacznie rozpowszechniły w Grecyi.

Obecnie paw stał się ptakiem domowym we wszystkich częściach świata, o ile na to klimat pozwala; utrzymuje się nawet dość dobrze w ostrym klimacie Szwecyi i Norwegii południowéj, tak odmiennym od indyjskiego; jednak w krajach ciepłych nierównie łatwiéj się hoduje. Obecnie nigdzie już nie dziczeje, nawet w krajach międzyzwrotnikowych innych części świata, podobnych do ojczystych, lecz wszędzie już stale zostaje pod opieką człowieka.

Grecy utrzymywali pawia wyłącznie tylko dla ozdoby, lecz u Rzymian, w czasach zepsucia i zbytku, mięso jego wielce było cenione, co do tego stopnia posunięto, że na niektórych ucztach podawano potrawy, z samych móżdżków pawich sporządzone. W naszych czasach mięso to stoi na równi z mięsem innych domowych ptaków grzebiących, lecz mało jest używane; hodowanie bowiem pawi nie jest łatwe, a utrzymywanie w większych ilościach uciążliwe dla szkód, jakie po ogrodach zrządzają; staje tu także na przeszkodzie niesforność tego ptaka i niepoddawanie się pod bliski nadzór, jakiemu inny drób podlega; nakoniec wpływa na to pewien rodzaj żalu i wstrętu do zabijania tak ozdobnego stworzenia.

Jakkolwiek ptak ten jest domowym i żyje pod opieką człowieka, nie dał się tak opanować, jak kura lub indyk

a nawet perlica, lecz przechował uporczywie pewien stopień dzikości. Chociaż zupełnie się do człowieka przyzwyczaił, taksamo się go nie obawia, jak wyżéj wymienione ptaki i taksamo do jego ręki po jadło przychodzi: więcéj jednak wymaga swobody i opiera się ścisłemu nadzorowi; nie znosi pobytu w miejscach zamkniętych, lecz wymaga zawsze wolnéj przestrzeni i świeżego powietrza.

Samica zwykła młode wysiadywać w najskrytszych miejscach ogrodów i sadów; lecz z dziećmi do pana swego powraca i nigdy o zupełnéj wolności nie marzy.

Pomiędzy ptakami grzebiącymi bardzo wiele liczymy gatunków, mniéj lub więcéj ozdobnych, których żywość, rozmaitość i układ barw, równie jak kształty ciała mogą z pawiem iść w zawody; lecz żaden z nich nie posiada tak uderzającéj i oryginalnéj ozdoby, jaką jest wspaniały, rozwijalny ogon pawi. Składa się on z licznych bardzo długich pokryw ogonowych, które odznaczają się rzadkimi i odosobnionymi promykami; na końcach pokryw znajdują się koła, świetnymi ozdobione oczkami, które na tym rozwiniętym wachlarzu najwspanialszą stanowią ozdobę. Brzeg tego półkola stanowi gęsty rząd księżycowatych końców najdłuższych piór, a boki utworzone są z zielonych, bardzo świetnych a gęstych piórek, w kształcie sierpu wygiętych. Ptak ten zdaje się być dumnym z tych ozdób i lubi się nimi często popisywać. Roztoczywszy ten pyszny wachlarz, zostaje w téj postawie na miejscu całymi godzinami, wykręcając się na wszystkie strony, a świetnie szafirowa, wysmukła szyja ozdobnie się przy tém odznacza. Od czasu do czasu potrząsa ogonowymi piórami, przez co sprawia metaliczny szelest, a posuwając się nagłym rzutem przed siebie, wydaje przeciągły, ale niemiły głos.

Obyczaje pawia są łagodne i spokojne, mianowicie samice odznaczają się tymi przymiotami. Okazują jednak pewną nienawiść i zawziętość względem innych ptaków domowych, a szczególnie nie lubią indorów. Nie cierpią także ptaków drapieżnych, lecz zawsze pewien wstręt i obawę względem nich okazują. Sam widziałem, jak się zbiegały do młodych sów, na które z pewną głupotą nacierały; lecz gdy który tak się zbliżył do nich, że nie można się już było cofnąć, przeskakiwał, jakgdyby się brzydził dotknąć ich nogami. W témże samém miejscu bocian miał oddawna gniazdo na

stodole. Paw chciał sobie także obrać tam siedlisko, lecz nie mogąc ścierpieć sąsiedztwa, zbliżał się do gniazda, roztaczał ogon i tak straszył właścicieli potrząsaniem wachlarza, że się zniechęciły i opuściły siedzibę.

Wład. Taczanowski.

---

80. Wędrowne ptaki.

Gdy lód i śnieg pokryją wody i ziemię, gdy świat owadów w letargu spoczywa: musi powabne ptastwo pozostać w krajach południowych, dokąd je zapędza potrzeba żywienia się; lecz skoro tylko wiosna łagodniejszym powiewem i ciepłym promieniem słońca na nowo ziemię do życia obudzi, wnet i owi wędrowcy gotują się do powrotu w strony rodzinne i pojawiają się u nas jedni wcześniéj, drudzy późniéj, w miarę dalszéj lub bliższéj podróży, jakotéż w miarę wytwarzania się potrzebnych im do wyżywienia istot organicznych.

Jakżeż martwymi i posępnymi byłyby falujące łany, zielone łąki i wspaniałe lasy, gdyby im zabrakło ruchliwych, różnobarwnych i rozgłośnych śpiewem ptaków! Oneto nam podczas wiosny opiewają cuda przyrody i chyba bezmyślny tylko człowiek nie poświęca im swéj uwagi. Zaprawdę, z niecierpliwością wyglądamy chwili, w któréj po martwéj zimie pierwsze ptaszę śpiewem ogłosi swe przybycie, a z uczuciem smutku patrzymy na jesienny ich odlot.

Pierwszym ptakiem, który nam obudzenie się natury ze snu zimowego swą pieśnią zwiastuje, jest s k o w r o n e k. Niedaleką on odbywa podróż, zimuje bowiem w południowych krajach Europy, przybywa więc wcześnie, często już w lutym, skoro tylko śnieg z pól ustąpi, a słońce ożywczo z niebieskiego stropu podziała. Po przykréj porze zimowéj pierwsza jego pieśń weselna, wzbijająca się coraz głośniéj, coraz radośniéj, im wyżéj ptaszę ku słońcu się wznosi, oddawna uczyniła je ulubieńcem rodu ludzkiego. Hańba smakoszom, którzy tego uroczego śpiewaka w jesieni, gdy najbardziéj utuczony, tysiącami spożywają; hańba téż nielitościwym sidlarzom. W mnogiéj gromadzie odleciał skowronek w jesieni ku południowi, gromadnie téż powraca; odrywa się od rzeszy i żywi się naprzód skąpo kończynami zielonych zasiewów zi-

mowych, nim po obsianiu ról i po rozwinięciu się roślinności obfitszego doczeka się żeru.

W początku marca, zwłaszcza gdy południowo-zachodni wiatr przez kilka dni powiewał, spostrzegamy rój dzikich gołębi przeciągających przez pola i zapadających na nie, gdy rolnik przygotował im zastawę. Wszelkie posiewy są dla nich pożądane; w tym względzie żarłoczność ich jest zadziwiająca. Gdy upodobają sobie miejsce, bogate w pożywienie i wodę bieżącą; gdy mają oparcie o las szpilkowy lub starą dębinę: to już im nic nie braknie do rozkoszy życia i stale tam pozostają.

Ledwie znów odezwie się w lesie głos grzywacza, zapada nocą w lesie gromada drozdów. Z ciekawością rozglądają się naprzód po drzewach i krzewach, na których w ubiegłym roku gnieździły się lub wychowały, a jeżeli istotnie trafiły na swą ojcowiznę, to już jéj nie opuszczą. I oto już ożywia się las, zaledwie ze snu obudzony; w godzinach porannych i wieczornych głoszą swą pieśń drozdy i tęsknie przywołują wiosnę.

Wnet potém jawi się jako przelotny tylko gość — słonka. Dziwny ton jéj głosu, zwłaszcza rano i wieczorem o zmierzchu, którym wyraża swoje uczucia albo zwołuje się do odlotu, znamionuje cudzoziemca. Przeżyła ona zimowe miesięce w Afryce, nawet w Chinach lub Japonii, lecz dla odmiany zamierzyła spędzić lato w północnych okolicach Europy, nawet w Islandyi i Kamczatce. My zaledwie trzy tygodnie mamy zaszczyt w lasach naszych gościć tego tak pożądanego przechodnia.

Gdy już znikły słonki, a pierwsze żabki wieczorem tęskne ku nam wysyłają głosy, jawi się w licznéj rzeszy wrzaskliwy szpak. Szuka on również przeszłorocznéj swéj ojcowizny, po lasach wydrążonych gałęzi dębowych, po wsiach gotowych gniazdek, które wieśniak w znacznéj liczbie do drzew owocowych przytwierdza, nie dla hodowania tych ptaków, lecz dla handlu młodymi.

Wkrótce potém widzimy także grzywacza i słyszymy w lesie donośny jego głos bełkocący, któremu z cicha wtóruje turkawka. Maszli grosz w kieszeni i trzymasz go silnie w ręku, to ci go przez cały rok nie zabraknie, bo oto odezwała się kukułka. Niedługo wszakże wróży nam ta wie-

szczka upragnione szczęście, niedługo tępi owady w naszych lasach, gdyż opuszcza je już w lipcu.

Wraz w kwiatem drzew owocowych zbliża się ku nam około końca kwietnia najpierwszy nasz śpiewak — słowik. Już las i zarośla pokryte różnobarwnym kwiatem i liściem, buczyna rozwinęła pierwszą swą zieloność, kobierzec leśny utkany różnorodném kwieciem — słowem, rozwinęła się w pełni wiosna. Jeżeli znalazł odpowiednie miejsce w gajach, w pobliżu łąk i wód, najchętniéj tam, gdzie się gnieździł w roku ubiegłym, zaczyna nocą wywodzić swe pienia. Słowiki lęgną się w porze letniéj raz tylko, rzadko dwa razy, a z wzmagającym się skwarem słońca odzywa się ich śpiew coraz krótszy, coraz bardziéj przerywany, aż po upływie dwóch miesięcy zupełnie się ucisza. Gdy świętojańskie robaczki roją się w powietrzu i świecą na łąkach i krzewach, już wtedy milknie uroczy nasz pieśniarz wiosenny, zaprawia młode swe do lotu i do połowu owadów, a już w połowie sierpnia odlatuje cała rodzina, cicho przenosząc się z jednego krzaka na drugi, ku południowemu wschodowi, ażeby różom Persyi zanieść pieśń powitalną.

Oprócz słowika jest jeszcze wiele innych śpiewaków, które do nas przybywają również około Świąt Zielonych. Siwa pokrzywka wysila się naśladować głos krewniaka swego, słowika, czarnogłówka niezmordowanie w nocy wywodzi jeszcze swe pieśni, gdy senny słowik swoje już zakończył; odzywa się rudzika głos melancholijny, nieco drżący, ziemba zuchwale nuci, makolągwa rzuca swe pełne tony, a wtórują im czyżyk i szczygieł aż do mysikrólika, naszego kolibra.

Wyjdźmyż teraz z lasu na przyległe obszary polne, gdzie wiatr poranny chłoszcze niedorosłe jeszcze kłosy zboża i zmusza je do miotania się, tak, że podobne się stają do wzburzonych fal morskich, a rosa błyszcząca spada z ich szczytów na ziemię. Oto odzywa się prócz skowronka poranna pieśń przepiórki. W nocy silnym lotem przybyła ona z Afryki i azyatyckiéj Turcyi do nas, aby się tu ochronić od prześladowania licznych swych nieprzyjaciół.

W czternaście prawie dni po przybyciu przepiórki słyszymy na łąkach i polach głos chruściela. Nosi on niesłusznie miano króla przepiórek, ponieważ według mylnéj przypowieści ma przywodzić jesiennemu odlotowi tych ptaków.

Właściwą jego nazwą jest derkacz, na którą też w całéj pełni zasługuje, przebiegając bowiem na długich nogach pola i łąki, wrzeszczy przeraźliwie.

Wysoko w powietrzu płynie kania ruda. Czasem tylko dostrzéc można uderzenie skrzydłem, a jednak lot jéj szybki jest i pewny. Pięknem swém, jasném okiem widzi wszystko, cokolwiek się porusza i żyje na ziemi, na szczytach drzew i w powietrzu. Co jéj się podoba, na to spada z szybkością błyskawicy z niezmierzonéj wysokości prostopadle na ziemię i rzadko uchodzi jéj upatrzona ofiara nieszczęsna.

Z przenikliwie chrapliwym świstem wznosi się myszołów, coraz wyżéj, ciężkie zataczając koła. Uważany bywa mylnie za ptaka pożytecznego, dlatego, że także myszy łowi; groźna drapieżność jest mu wrodzoną. Ze wszystkich sokołów lot jego jest najcięższy i bardzo rzadko udaje mu się schwytać ptaka w locie lub inne zwierzę w biegu. Natomiast odznacza się nadzwyczajną cierpliwością i wytrwałością: znając swą niezręczność, długo wyczekuje z pozorną obojętnością stosownéj chwili, w któréjby bez obawy mylnego uderzenia rzucił się na upatrzoną ofiarę.

Groźniejszym od nich jest jastrząb gołębiarz. Krótkie jego skrzydła nie pozwalają mu wprawdzie wznosić się zbyt wysoko, ale z niesłychaną szybkością lata ponad powierzchnią ziemi i rzuca się na każdego ptaka, siedzącego lub leżącego, na każde ssące zwierzę, które pokonać może.

Ci rozbójnicy powietrzni, chciwi mordu, są także ptakami wędrownymi. Idą w ślad za swymi ofiarami, gdy one w jesieni ciągną na południe, i wracają z nimi na wiosnę.

Zwróćmy jeszcze uwagę na ruchliwe życie na wodach i błotach, gdzie się znajdują najróżnorodniejsze okazy ptaków wędrownych. Gdy południowe skwary afrykańskiego i azyatyckiego klimatu wysuszają w owych krajach wezbrane w czasie pory dżdżystéj wody jezior i rzek, jakoteż moczarów, a milionom ptaków wodnych i błotnych zabraknie niezmierzonéj przestrzeni wodnéj, na któréj tak błogo im było w porze europejskiéj zimy; gdy już nie ma tam odpowiednich dla ich bytu warunków: wówczas ciągną ku północy, przelatują przez morze i szukają dla siebie siedzib w Europie, naprzód w południowych krajach, a gdy i tam słońce wszystkie stojące wody wysuszy, coraz daléj na północy. Dwadzieścia gatunków

samego rodu kaczego ciągnie bezzwłocznie ku wodom morza północnego i lodowatego, pozostając w krajach pośrednich tylko dla odpoczynku. Już w lutym, skoro tylko lody z wód ustąpią, zlatują różnorodnego ptastwa gromady, a w następnym miesiącu liczba owych wędrowców szczególnie się wzmaga. Dzikie gęsi ciągną w długich, trójkątnych grupach, oznajmiając swój przelot donośnym krzykiem; bociany i żórawie, lecąc w szyku porządnym, szukają znanych od dawna miejsc; tłumy żwawych czajek opuszczają Egipt, Chiny i Persyą, aby rozkoszy zaznać na naszych łąkach bagnistych; bekasy przeciągają z jednego moczaru na drugi nim znajdą odpowiednią letnią siedzibę; ciężko wzlatujące kurki wodne biegiem, na wodzie płynąc, niekiedy wzlatując, dalekie przebywają przestrzenie; czaple przelatują w wielkiéj liczbie, podobnie jak dzikie gęsi; smaczne siewki, w porze zimowéj przebywające w Sardynii, śpieszą ku północy Europy; kuliki i kulony w szybkim locie okrążają brzegi stawów i większych moczarów; mewy z głośnym wrzaskiem trzepią się ponad powierzchnią wód, chciwie rzucając się na rybki — jedném słowem podczas ciągu nadzwyczaj ruchliwe panuje życie wśród ptastwa błotnego i wodnego, a jego różnorodne, niekiedy dziwne kształty i właściwości jawnymi się stają dopiero wtedy, gdy można je widzieć z ukrycia lub gdy są wypłoszone z kryjówek.

Ale sześć miesięcy błogiego pokoju i szczęścia przebiega szybko. Ukończyły się już żniwa, lasy przybierają postać jesienną, a ptaki wędrowne śpieszą znowu ku cieplejszym strefom, aby się uchronić od niedostatku pożywienia w porze zimowéj. Smutno nam bez tych skrzydlatych naszych współmieszkańców, którzy na wiosnę i w lecie tyle nam chwil uprzyjemnili; z żalem spoglądamy na opustoszałe po nich gniazdka, na opuszczone przez nie lasy, pola i wody: ale ta zima znowu minie, znowu powróci wesoła wiosna i — przyjaciele nasi znów do nas zawitają. O ileż biedniejsi są częstokroć ludzie, którzy, miotani zrządzeniami losu, opuścić muszą miejsca swe rodzinne, ale powrócić do nich już nigdy nie mogą!

Z Łowca 1887.

---

81. Skrzydlaci architekci.

Ptaki posiadają podziwienia godną znajomość zasad budownictwa i architektoniki. Znają one najwłaściwsze punkta zaczepienia, obliczają wybornie zasady obciążenia, umieją budować sklepienia, a co do materyałów i ich użycia, prześcigają świadomością pomysłów wszystkich architektów rodu człowieczego.

Dość spojrzéć na gniazda jaskółki oknówki, aby powziąć uszanowanie dla jéj zmysłu architektonicznego. A gniazdo zięby, zawieszone w starannie upatrzonych widłach gałęzi, tak trwałe, ozdobne i z takim komfortem wewnątrz wyścielone? Materyał tworzą zielone gałązki mchów, płatki szarych porostów, tu i ówdzie piórka puchu, a jak to wszystko zmyślnie połączone zapomocą sierci i włosienia końskiego! Jeszcze śmielszą i kunsztowniejszą w budowie swego gniazdka jest sikorka, znana pod nazwą „remiza“. Na wiotkiéj gałązce ponad wodą zaczepia ona przedewszystkiém kilka włókien mocnego łyka, a potém z włókien drzewnych i miękkiéj wełny, wyskubywanéj z bazi topolowych, tka swoje gniazdeczko, torebkę kształtu gruszkowatego z umieszczonym na boku okrągłym otworem, który zwraca zawsze na wschód, bo wie, że słońce poranne to miły i pożądany gość dla izdebki, w któréj wychowują się pisklęta.

Oryginalnym bardzo budowniczym jest piękna wilga, letni gość naszych ogrodów. Nie dba ona o ozdobę, ale roztropnie i trwale zakłada swe gniazda na wierzchołku drzew, w miejscu, skąd kilka pobocznych gałęzi wychodzi. Są to kolumny jéj pałacu, do których zapomocą włókien domek swój silnie przytwierdza, ażeby żadna burza nie mogła go zmieść z wierzchołka. Każdy materyał budowlany jest dla niéj dobry; nie okazuje w téj mierze wielkiéj wybredności. W nadworném muzeum przyrodniczém w Wiedniu znajduje się gniazdo wilgi, które zdjęto z wiązu, niedaleko kawiarni w Praterze. Widać w niém wplecione bilety tramwajowe i rachunki kupieckie. W inném, które zdjęto z drzewa we Freudenau, odszukały się szczątki programów wyścigowych.

Z większym gustem, lecz niemniéj trwale, umieszcza swe gniazdo drozd trzcinowy, spajając niém trzy lub cztery, tuż obok siebie wznoszące się łodygi trzciny. Ściany gniazda

uwite z cząstek wiech trzcinowych, z traw i wodorostów, są wytrwałe a miękkie. Architekta ten zaopatruje zresztą brzeg swego gniazda pochyloną ku środkowi ścianką, aby które z ciekawych piskląt, wyglądając z gniazda, gdy wicher trzciną kołysze, do wody przypadkiem nie spadło.

Pluszcz kordusek okazuje się znowu wybornym hydrotechnikiem. Szuka on miejsca na gniazdo przy górskim wodospadzie, gdzie brzeg podmyty na przód się pochyla, a woda spadająca zakrywa go jakby kloszem szklanym. Tutaj to, za tą srebrzystą zasłoną, gdzie woda pieni się i huczy, wyszukuje on miejsce na izdebkę dla swych piskląt. Chcąc się do niéj dostać, muszą rodzice przebijać się przez ruchomą zasłonę wody. Nieraz wydaje się zdumionemu widzowi, że ptak zabłąkał się w nurty wodne i śmierć w nich znalazł — a on tymczasem szczebioce w gnieździe do swych piskląt i śmieje się z człowieka, że jest tak krótkowidzącym.

Śmiało i potężnie, całkiem zgodnie ze swoją naturą, ścielą drapieżce swe gniazda na szczytach wielkich drzew lub na skałach. Tu już nie trawki i łyczka, ale całe gałęzie i konary sterczą poza obwód gniazda, niby obronne bastyony i szańce poza obrębem zamczyska. Samica stara się wprawdzie legowisko wyścielić trawą, słomą, porostami i siercią zwierzęcą, zawsze jednak twardy to materac dla piskląt, które téż i do twardego życia nawyknąć mają.

Kania, podobnie jak wilga, lubi także kraść niezwykłe przedmioty do wytapetowania swego gniazda. Pewnego razu znaleziono w jéj gnieździe kopertę z listu pieniężnego. Kani podobało się widocznie pięć czerwonych pieczęci na białém tle i wyścieliła nimi swe gniazdo.

Imponujące swymi rozmiarami jest gniazdo orła. Orły nie budują gniazda co roku, lecz odnawiają je, dokładając co roku świeżych łomaków. W skutek tego tworzą się częstokroć z gniazd orlich dziwolągi, na metr przeszło wysokie, pod których ciężarem nawet stare drzewa stękają i skrzypią. A jakby na urąganie się potędze króla ptaków, ścielą sobie wróble gniazda w gmatwaninie tego stosu gałęzi. W c. k. nadworném muzeum we Wiedniu znajduje się gniazdo orła bielika, które waży 600 *kg* i mieści w swym obwodzie więcéj, niż dwadzieścia gniazd wróblich.

To są nasi lotni architekci, a są i zagraniczni, zadziwiający swym zmysłem architektonicznym i obyczajami. Sno-

wacze towarzyskie budują całe kolonie gniazd pod wspólnymi strzechami, inne otaczają swoje gniazda całymi wieńcami barwnych muszelek i błyszczących kamyczków, a inny znowu ptak, będący także rodzajem snowacza, poszedł jeszcze o krok dalej, bo chwyta chrząszcza świeciela i umieszcza go w gnieździe jako lampę. Czyż nie godzien podziwu taki architekta? *Z Łowca 1888.*

---

82. Węże na wyspach antylskich.

Na obu wyspach, Martynice i Św. Łucyi, panuje wąż sercogłów dotychczas samowładnie; nawet w pobliżu siedzib ludzkich, na uprawnéj ziemi nie można bez obawy spocząć w cieniu drzewa ani pól swych doglądać bez licznego orszaku niewolników ani błąkać się po zaroślach ze strzelbą. W nocy miewa się sny straszne, nasłuchawszy się we dnie okropnych powieści o wężach.

Najulubieńszém ich siedliskiem są góry koło St. Pierre. Strome przepaści, głębokie na kilkaset metrów, są tu bujną pokryte roślinnością; drzewa i krzewy splecione tysiącami ljan; grunt przykrywa gruba warstwa próchna, nagromadzonego od wieków, a pnie zbutwiałe razem z bujną i wspaniałą roślinnością żywą tworzą zbitą masę zieleni, w któréj cieniu panuje nie świeży powiew życia, lecz raczéj zgniłe tchnienie śmierci. Grobową ciszę tych lasów przerywa tylko zrzadka głos małego ptaszka, zwanego przez Kreolów „siffleur des montagnes“; innych ptaków nie ma tu prawie. Ludzie nie zdołali nigdy wtargnąć w te dzikie ostępy, zaludnione przez miryady wężów, którym nikt ich dziedzictwa wydrzéć nie śmie.

W zaludnionych okolicach ulubionem miejscem pobytu tych straszliwych potworów są gęste, cieniste plantacye trzciny cukrowéj; rozpadlina skały, wypróchniałe drzewo, nora szczura lub kraba służy mu za siedlisko. Wchodzą również do stajen i domów mieszkalnych; w nocy na najbardziéj uczęszczanych drogach spotkać je można.

Ruchy sercogłowa są dziwnie lekkie i zwinne. Gdy pełznie, żadnego nie słychać szelestu; pełzając trzyma głowę wysoko; zaczepiony podczas spoczynku, wysuwa łeb z szybko-

ścią błyskawicy, wyprężając się na wysokość połowy swego ciała i po ukąszeniu równie szybko zwija się znowu w kłębek; pływa doskonale, na wodzie zwija się równie łatwo w kłębek, jak i na ziemi, groźnie podnosząc straszliwą głowę. Rzecz dziwna, że nie korzysta z téj łatwości pływania, aby się dostać na inne wyspy pobliskie; na Gwadelupie bowiem i Dominice węży tych nie ma.

Przed człowiekiem nigdy nie ucieka, lecz go nie goni. Wypadki śmierci z ukąszenia są liczne: w każdéj parafii corocznie 2—3 ludzi w ten sposób umiera. Wprawdzie dziesięćkroć większa liczba ukąszonych pozostaje przy życiu, lecz i w tych szczęśliwych wypadkach skutkiem ukąszenia bywa długa choroba lub paraliż członków. Bywają lata, w których jad jest silniejszy, tak, iż prawie każdy ukąszony umiera. Takim był rok 1843., w którym w jednéj osadzie 7 ludzi od węży zginęło.

Skutki ukąszenia są straszliwe. Sina obrzękłość zranionéj części, późniéj wymioty, kurcze, ból serca, nieprzezwyciężona senność i śmierć po kilku godzinach lub dniach, w najlepszym zaś razie kilkoletnie cierpienia wszelkiego rodzaju — zawrót głowy, ból piersi, paraliż, wrzody — oto następstwa ukąszenia tego wielce niebezpiecznego gadu.

Środka przeciw ukąszeniu nie znają żadnego, chociaż starzy murzyni, jak nasi zamawiacze, niby czémś pacyentów leczą. Raz miano myśl szczęśliwą sprowadzenia z Afryki sekretarzy, lecz miejscowi strzelcy wybili do szczętu owe nieocenione ptaki. Wyznaczono nagrody pieniężne za trzebienie węży, a statystyka urzędowa daje tu cyfry przerażające. W ciągu trzech lat w okolicy jednego tylko fortu Bourbon zabito 2026, a koło Fort de France co kwartał dostarczano po 70 węży; w pewnéj plantacyi w jednym roku zabito 600, w następnym 300 sercogłowów. Długość starych węży dochodzi do 3 metrów. Jedynym środkiem zaradczym byłoby wprowadzenie drobnych drapieżników, jedzących węże, jak jeżów, tchórzów i t. p. Wedł. *Brehma,*

(Thierleben).

83. Pijawka lądowa.

Do najdokuczliwszych plag, trapiących mieszkańców Ceylonu, należy bezsprzecznie malutka, zaledwie na jeden centymetr długa, cieniutka pijawka lądowa. Znachodzi się ona z wyjątkiem wybrzeży i górzystych okolic téj wyspy wszędzie po lasach i zaroślach miliardami, a szczególnie nad rzekami i bagnami, gdzie prawie kroku postąpić nie można, aby nie być przez nią opadniętym. Krwi chciwe, pełzają one nie tylko wszędzie po ziemi, lecz łażą także po krzewach i drzewach, skąd często spadają na wędrowca, który przed nimi mimo wszelkiéj uwagi ustrzéc się nie zdoła. Nassane dosięgają prawie wielkości naszéj pijawki lekarskiéj. Do ofiary swojéj bardzo prędko się przyczepiają, nawet przez odzienie, jeżeli nie jest dość grubém. Zwykle uczuwa się jéj ukąszenie natychmiast, często jednak dopiero późniéj spostrzega się jéj obecność, gdy już krew z ranki wyciekła.

Aby się uchronić przed napaścią tego wstrętnego napastnika, wystarczy kropla soku cytrynowego, którego znieść nie może; dlategotéż dobrze mieć zawsze pod ręką cytrynę. Zamiast soku cytrynowego z korzyścią używają inni kwasu karbolowego lub wyskoku, używanego do zbierania drobnych żyjątek. Skutki ukąszenia są bardzo różne. Osoby z czułą bardzo skórą cierpią jeszcze dni kilka w miejscu ukąszoném na mocne swędzenie, połączone nierzadko z zapaleniem i owrzodzeniem.

W r. 1815. stracili Anglicy znaczną ilość żołnierza tylko przez te pijawki. Wojsko bowiem, przebijające się całymi tygodniami przez lasy, bagna i zarośla, ciągle było narażone na ustawiczne napady tych drobnych, lecz niemniéj od rzeczywistych nieprzyjaciół groźnych wrogów. Niektóre okolice téj wyspy są dla ogromnéj ilości tych pijawek, jakotéż niemniéj uprzykrzonych kleszczów wprost niezamieszkalne, do czego również przyczyniają się dokuczliwe moskity, jadowite niedźwiadki i wije, nieraz do kilku decymetrów długie.

Wedł. *E. Häckla*,
(Indische Reisebriefe).

84. Krzew herbaciany.

Któż nie zna napoju, zwanego herbatą? używa jéj dzisiaj każdy niemal człowiek; nawet wieśniak i ubogi wyrobnik raczą się nią, choćby tylko kiedy niekiedy. Napój ten wszakże, będący właściwie naparem suszonych liści, zawdzięczamy roślinie nie naszéj ani téż nie europejskiéj; rośnie ona daleko od nas, bo aż w Chinach, gdzie ją od niepamiętnych czasów uprawiają: stąd téż nazywamy ją herbatą chińską.

Krzew herbaciany dorasta w stanie uprawnym do 3 *m* wysokości. Eliptyczne, skórzaste, do 9 *cm* długie, a do 4 *cm* szerokie jego liście są lśniące, na brzegach w ząbki powycinane i zawsze zielone. Białe, dość wielkie korony kwiatowe mają przyjemny zapach, owoc zaś zawiera w torebkach po trzy nasiona wielkości małego orzecha laskowego. Kto widział kamelie, hodowane u nas w cieplarniach, ten lepiéj wyobrazi sobie, jak wygląda krzew herbaty chińskiéj, gdyż kamelie są to rośliny pokrewne herbacie chińskiéj i mają z nią wiele cech wspólnych. Dziko rosnący krzew herbaciany bywa znacznie większy; jednak uprawny daje o wiele lepszą herbatę.

Herbatę uprawiają przeważnie w Chinach, także w Indyach Wschodnich, w Japonii i w innych częściach świata w klimacie gorącym. Lubi ona grunt żyzny i starannie uprawiony, a że jéj uprawa przysparza mieszkańcom znacznych dochodów, sadzą ją przeto i hodują wszędzie, gdzie tylko gleba i klimat jéj wzrostowi sprzyjają; ale wymaga ona téż niemałéj pracy i wielkiego zachodu.

Surowe lub jakbądź wysuszone liście nie dadzą dobréj herbaty; trzeba je wpierw odpowiednio przyrządzić. Liście herbaciane zrywają 4 do 5 razy do roku, suszą na słońcu i na blachach nad wolnym ogniem; potém skręcają je rękami, a gdy zupełnie wyschną, zsypują je do blaszanych lub drewnianych, szczelnie zamkniętych puszek i pak i rozsyłają po świecie. Na szczelność opakowania bardzo trzeba uważać, gdyż na powietrzu utraciłaby herbata woń i smak, a wskutek wilgoci łatwoby się popsuła. To téż od sposobu suszenia i od tego, czy herbatę przywieziono do nas morzem czy lądem, zawisła bardzo jéj dobroć.

Nie każdy jednak liść daje równie dobrą herbatę. Najlepsza pochodzi z najbardziéj soczystch liści i pąków pierw-

szego zbioru, dokonywanego co roku w kwietniu i maju. Jest to tak zwana herbata cesarska albo kwiatowa, która atoli nigdy nie pojawia się w handlu, gdyż cały ten zbiór zabiera dwór cesarski w Chinach. Każdy następny zbiór liści herbacianych, trwający aż do końca września w odstępach pięciotygodniowych, daje coraz gorszą herbatę; liście bowiem twardnieją coraz więcéj i z tego powodu mniéj są soczyste i aromatyczne.

Herbata, przywieziona do nas morzem, jest znacznie gorsza od herbaty, sprowadzonéj lądem. Ta nazywa się karawanową i może się do nas dostać tylko przez Rosyą. Stądto myślą u nas powszechnie, że każda herbata rosyjska jest rzeczywiście karawanową i lepszą od wszystkich innych. Tymczasem zwykła herbata rosyjska, pojawiająca się w handlu, jest taksamo sprowadzana morzem, jak każda inna; bo ażeby dostała się lądem z Chin do Rosyi, musi przebyć drogę tak odległą, że za jeden jéj kilogram trzeba około 50 zł. zapłacić, a tyle płacić mogą tylko ludzie bardzo bogaci.

Bardzo często fałszują herbatę tak na miejscu, jakoteż już sprowadzoną do Europy. Tak n. p. herbatę zepsutą albo już używaną farbują nieraz, aby jéj nadać pozór odpowiedni. Z herbatą prawdziwą mieszają Chińczycy bardzo często wysuszone liście rozmaitych innych roślin, a chcąc tak fałszowanéj herbacie nadać przyjemnego zapachu, skrapiają ją pachnidłami. Nie lepiéj dzieje się i u nas. Do sprowadzonéj, a właściwie często już na miejscu fałszowanéj herbaty, dodają suszonych liści wierzby, tarniny, głogu, wiązu, topoli i t. p.

Najwięcéj herbaty w Europie spożywają Anglicy, Holendrzy i Rosyanie. W Chinach piją ją od lat niepamiętnych, w Europie dopiero od lat 200. Chińczycy, a niekiedy także i Rosyanie piją ją bez cukru i jakichkolwiek dodatków; u nas piją ją zwyczajnie osłodzoną, nadto z dodaniem rumu, czerwonego wina lub śmietanki. *Józef Bąkowski,*

(Dwadzieścia lekcyi).

---

85. Palma daktylowa.

Kraje gorące zupełnie odmiennie wyglądają od naszych: inny tam świat zwierzęcy, inni mieszkają tam ludzie, inaczéj też wyglądają tamtejsze wsi i miasta. I świat roślinny niepodobny

tam do naszego. Z pomiędzy właściwych tym krajom roślin na szczególną uwagę zasługuje drzewo palmowe, będące prawdziwém dobrodziejstwem dla tamtejszych mieszkańców.

Drzewo palmowe dorasta do 20 *m* wysokości, a 60—90 *cm* grubości; różni się jednak wybitnie od drzew, u nas rosnących. Pień bez konarów i gałęzi wygląda jakby słup jaki, ozdobiony na wierzchołku dużym pękiem 2 do 3 *m* długich liści pierzastych. W środku korony z pomiędzy liści wyrastają trzonki, okryte mnogimi kwiatami. Gdybyśmy taki pień palmowy ścięli, spostrzeglibyśmy, że drzewo jego nie ma słojów takich, jakie widzimy u drzew naszych; nie jest téż ono równie, jak nasze drzewa, przydatne ani do budowy ani do sporządzania sprzętów.

Palma daktylowa rośnie i wydaje owoce w północnéj Afryce, w oazach pośród pustyni Sahary, w Arabii, Persyi, miejscami także w Azyi Mniejszéj. Sadzą ją także na wyspie Sycylii, w południowych Włoszech i w południowéj Hiszpanii; atoli w tych krajach owoce jéj nie zawsze i nie wszędzie dojrzewają. To téż utrzymują tam palmę daktylową najczęściéj tylko dla ozdoby ogrodów. W Azyi i Afryce tworzy palma daktylowa większe i mniejsze gaje, ale tamtejsi mieszkańcy pielęgnują ją także na swych polach i w ogrodach, jak my nasze drzewa owocowe.

Jakkolwiek w tych krajach, gdzie palma daktylowa rośnie, deszcze bardzo rzadko kiedy albo wcale nie padają, mimo to tam właśnie najlepiéj się ona udaje. Wyrasta nawet na takich miejscach, na których z powodu posuchy i skwaru słonecznego żadne inne drzewo istnieć nie może. Potrzeba jednak, ażeby ziemia, w któréj daktylowiec ma swe korzenie, miała dostateczny zapas wilgoci. Dla tego udaje się palma ta najlepiéj w pobliżu źródeł, które wydobywają się na wierzch w zaklęsłościach pustyni, dając początek oazom; a w okolicach piaszczystych kopią mieszkańcy niekiedy głębokie studnie dla sadzenia drzew daktylowych, aby się tylko dostać do wodonośnéj warstwy ziemi. Przysłowie bowiem mówi, że palma daktylowa musi mieć głowę w ogniu, a nogi w wodzie.

Już w piątym roku okrywa się palma daktylowa licznymi owocami, a w dwudziestym roku wydaje ich często jedno drzewo do 300 *kg*. Daktylowiec jest dla mieszkańców pustynnych i gorących krajów nieocenionem dobrodziejstwem, dostarcza im bowiem niemal wszystkiego, czego potrzebują do

życia. Daktyle są wyborną i posilną strawą, czyto świeże czy suszone czy rozmaicie przyprawiane i gotowane; w wielu miejscowościach stanowią one jedyne pożywienie uboższéj ludności. Częstokroć zarabiają je także mąką i wypiekają z nich placki albo téż przyrządzają rozmaite inne potrawy. Arabowie mówią, że dobra gospodyni potrafi z daktylów przez cały miesiąc codziennie inne przyrządzać danie. Suszone na słońcu dadzą się przez kilka lat przechowywać; dlatego téż zaopatruje się w nie każda karawana, wybierająca się w daleką drogę przez odludne pustynie. Nimi głód swój zaspokajają podróżni, nimi posilają się także wielbłądy. Z daktylów wyciskają tamtejsi mieszkańcy rodzaj miodu, którego używają podobnie, jak my miodu pszczelnego; z nich téż robią wódkę i wino daktylowe. Także z soku saméj palmy wyrabiają Arabowie ulubiony napój, podobny smakiem do wina, zwany téż winem palmowém.

Nawet pestki daktylowe nie są bez użytku: z nich to przyrządzają Arabowie napój, do kawy czarnéj podobny, i wyciskają oléj; zmiękczonymi zaś albo na mąkę zmielonymi pestkami karmią swoje zwierzęta domowe: wielbłądy, konie, owce, kozy i psy. Także rdzeń młodych daktylowców daje posilną strawę, taksamo, jak rdzeń palmy sagowcowéj. Z trzonków kwiatowych gotują smaczną jarzynę, z liści i włókien drzewnych wyrabiają rozmaite plecionki, kosze, sandały, kapelusze, kręcą sznury, robią wory i płótno; z drzewa stawiają domy i inne budynki, używają go do budowy okrętów, na ogrodzenia, na opał i na sprzęty domowe. Co więcéj, w cieniu palm zasiewają jęczmień, pszenicę, kukurydzę, zasadzają warzywa i wiele innych roślin, któreby się pod skwarném niebem na otwartych miejscach nigdy nie udały.

Z tego się przekonywamy, ile to pożytku mają mieszkańcy niektórych krajów gorących z palmy daktylowéj. Gdyby nie ona, wiele okolic stałoby tam pustką, nie byłyby wcale zamieszkane. Palma daktylowa żywi i przyodziewa miliony ludzi. Nic więc dziwnego, że ludy, zajmujące się jéj uprawą, sławią ją po wszystkie czasy i uważają za drzewo święte.

Prócz daktylowéj jest jeszcze wiele innych gatunków palm w krajach gorących; liczą je na setki, a niektóre z nich podobnie są pożyteczne, jak daktylowa. Do najpożyteczniejszych gatunków należy palma kokosowa. I ona rośnie w krajach gorących, ale lubi przedewszystkiém wilgotne niziny

nadmorskie i nie obejdzie się bez deszczu. Owoce jéj, orzechy kokosowe, wielkości główki dziecięcéj, zawierają jądro pożywne. Olejem, wyciskanym z ziarn palmy kokosowéj, zaprawiają u nas mydełka. I z tego gatunku palm ciągną mieszkańcy krajów południowych bardzo różnorodne korzyści.

Józef Bąkowski,
(Dwadzieścia lekcyj).

---

86. Kawał bursztynu.

Dawno, dawno temu, był wielki las... W którym roku to było, trudno powiedzieć, bo było to tak dawno, iż człowiek, który chciałby tego dociéc, omyliłby się zawsze o kilkaset lat w swojéj rachubie.

Las ten dziwnie wyglądał. Dziś, gdyby kto zjechał świat cały wszerz i wzdłuż, lasu takiego nie znalazłby nigdzie. Nie zobaczyłby dziś także i takich zwierząt, jakie żyły w tym lesie. Olbrzymie świerki, jakich dzisiaj nie ujrzysz, ponad ich wierzchołkami korony palm wspaniałe, a w ich cieniu rozścielone ponętnie kobierce alpejskich róż, wonnych jałowców, karłowatych palm, mirtów, tulipanów dziwacznych i strzelających dumnie, a smętnych cyprysów. I sporo, sporo innego bujnego i barwistego kwiecia...

W lesie tym żył świat wielce tajemniczych stworzeń. Tu niby wół, niby tapir olbrzymi ryje w ziemi, tam na gałęzi czyha wielki jakiś krwiożerczy kot, ówdzie jeleń ze szczególną, ogromną sochą, jakich dziś nawet niekażde muzeum posiada. Obrzydłe płaskie żółwie grzeją się na brzegu strumienia, otoczonego barwną krawędzią wybujałych na podziw kwiatów niezwykłych — nęcących ku sobie całe roje pstrych motyli i owadów.

Las cały pełen orzeźwiającéj woni żywicy, co płynie ze szczelin świerkowych. Szczeliny te duże, nabrzmiałe żywicą, tak w nią obfitują, że zbytek jéj zwisa niby stalaktyty w powietrzu i ściele się na mchu leśnym piękną złoto-żółtą patoką. Na wiosnę, gdy soki w drzewach pędzą z ziemi ku górze, wylewa się ta żywica tak gwałtownie, że pokrywa cały pień drzewa grubą warstwą, zalewa korę, siatki pajęcze na niéj utkane, a często i niebacznego pająjczka, czyhającego na zdobycz w środku swéj tkaniny. Widok rozlanéj wonnéj żywicy

na mchu leśnym nęci znowu muszki, chrząszczyki i skorpionki przeróżne, żądne słodyczy, a następstw nieświadome; niebaczne, zlatują się na złotożółte jeziorko i — grzęzną w lepkiéj żywicy na wieki. Jeziorko żywicy staje się ich grobem.

Zwykłym rzeczy tokiem przychodzi ulewa, pobliski strumień wzbiera, występuje z brzegów, zalewa część lasu i jeziorka żywiczne, grób muszek i chrząszczyków. Wzburzony ruch wody podmula je coraz więcéj, wreszcie z kawałem mchu i gliny wyrywa i unosi do rzeki, a stąd do morza, gdzie jeziorko żywiczne opada wraz z iłem na dno. Świeży namuł przykrywa je z góry nową warstwą piasku, grób chrząszczy i skorpionów zalega w jeszcze straszniejszym grobie, w głębinie dna oceanu.

Jak długo ciała tych stworzonek, zabalsamowane żywicą, leżały tam w otchłani, trudno oznaczyć. Fale przepływały ponad nimi w nieskończone czasy, żywica jeziorka stwardniała na kamień, a chrząszczyk lub muszka, w nim pogrzebiona, gdyby mogła ożyć i wydobyć się ze słonéj wody, nie znalazłaby z rodzinnego swego lasu ani śladu. Tam bowiem, gdzie ongi wspaniałe palm, świerków i cyprysów korony kąpały się w blasku słońca, rozścieliła się teraz pusta, nadbrzeżna nizina, pokrajana w czworokąty łąk i pól lnianych, karłowatych gaików i obejść gospodarczych, ponad które strzelają jedynie tu i ówdzie szkieletowe wiatraki. Tam, gdzie ongi ścielił się kobierzec róż alpejskich i innych bujnych, tropikalnych kwiatów, zaległy dziś bagna i trzęsawiska torfowe. A ponad to wszystko unosi się dzisiaj takie mgliste, przenikliwe tchnienie, że biedne muszki, chrząszcze i skorpiony ulécby musiały zapewne ponownéj śmierci.

Między onym czasem, kiedy świerki i jodły olbrzymie rosły w towarzystwie palm i cyprysów, a chwilą dzisiejszą, kiedy na ich miejscu zieją mgłami bagna torfowe, minęły długie, długie lata.

Chrząszcze, muszki i skorpiony nie zginęły jednak w otchłani morza. One zmartwychwstały ze swego grobu, ale wstały martwe, zamknięte w żywicy, wydobyte przez człowieka z ziemi oskardem lub wyłowione siecią z wody morskiéj. Odtąd spokój ich grobu, raz naruszony, przepadł na zawsze.

Oczyszczony okruch żywicy począł wędrować z ręki do ręki, z kraju do kraju. Opiłowano go na wszystkie strony,

wygładzono w formę podłużnego orzecha, przewiercono na wylot i nanizano na sznur do innych okruchów, co zdobiły szyję młodéj kobiety, królowéj jednego ze szczepów, zamieszkujących wyspy Bałtyku. Ale niedługo trwał ten pozorny spokój, ten zaszczyt zdobienia szyi pięknéj władczyni północnéj. Przybyli częścią lądem, częścią dziwnymi okręty o trzech piętrach wioseł, ludzie kupczący z południa, obcéj mowy i obcych obyczajów. Za sznury żywicznych okruchów ofiarowali oni naszyjniki z szczerozłotych blaszek. Zabrali więc kupcy sporo bursztynowych sznurów, a sprzedając je drogą zamiany na inne towary w Gallii i Luzytanii, z najpiękniejszymi okazami zajechali aż do możnéj Hellady. Tutaj o pochodzeniu okruchów żywicy świerkowéj, jak Helleni mówili: o elektronach, taka wówczas powstała legenda:

Oto syn słońca, Faeton, uprosił raz sobie u ojca, iż mu tenże zezwolił powozić wozem ognistym, który codziennie od wschodu na zachód pędzi po niebie i oświeca przybytek człowieka. Młody Faeton nie zdołał jednak poskromić rumaków szalonych u wozu, rozpędzone zwierzęta wznieciły pożar na niebie. Bóg najwyższy, Zeus, rozgniewany za to na Faetona, strącił go piorunem swéj gromawładnéj prawicy do nurtów rzeki Erydanu. A gdy zrozpaczone siostry Faetona, imieniem Heliady, poczęły płakać nad brzegami Erydanu za bratem, przemienił je Zeus w smukłe topole, ich zaś łzy w złociste perły elektronu...

Dzięki téj powabnéj legendzie, był elektron fenicki na targu helleńskim w wysokiéj cenie. Ceniony był także na targach assyryjskich i egipskich, gdzie go znowu nazywano „szafranem, co przyciąga“.

Jeden okruch elektronu, powstały z żywicy, co spływając po korze świerka na wiosnę, zalała rozsnutą na niéj siatkę pajęczą, a w siatce kroplę rosy porannéj — nabył jeden z wielkich mędrców, których wiele posiadała Hellada. Począł on badać go swym przenikliwym rozumem na wszelakie sposoby i wykrył, że ta stwardniała żywica, potarta trochę, przyciąga leciuchne przedmioty; — jednem słowem, wykrył siłę elektronu — elektryczność...

Inne okruchy złocistego elektronu wprawiono w dyademy posągów bogiń helleńskich, których tak wiele zdobiło przybytki tego narodu. Małe okruchy tłuczono na żwir drobny

i rzucano na żar ogni ofiarnych, celem przypodobania się bóstwom wywołaną z elektronu wonią.

Ale i te elektrony, co lśniły w dyademach bogiń helleńskich, nie zaznały długo spokoju. Przybyli chrobrzy Rzymianie i zburzyli posągi bogiń, a dyademy uwieźli łupem. A kochali się Rzymiani w elektronie także. Nero, władca ich okrutny, kazał sprowadzić sobie raz z nad Bałtyku, 6.000 *kg* elektronu!... Zmienną losu koleją złupili je na Rzymianach późniéj wojowniczy Gallowie i unieśli w swe północne sadyby, co sięgały aż w te strony, gdzie elektron ujrzał pierwszy raz światło dzienne.

Czasy i ludzie zmieniali się znowu jedne po drugich, a chociaż przestano wierzyć w łzy Heliad, bursztyn pozostał cenionym i poszukiwanym. Robiono z niego głównie perły różańcowe. Prawo wydobywania i łowienia bursztynu zdobyli sobie Krzyżacy i w ich zakonie długo prawo to się przechowywało. Dziś także jest to prawo wyłączną własnością potomków krzyżackich.

Przechodząc tak z kraju do kraju, z rąk do rąk, dotrwał bursztyn aż do naszych czasów, niby spuścizna zamierzchłéj wspanialszéj przeszłości. Gdyby tak mogły o niéj coś powiedzieć — muszki, chrząszczyki i skorpionki!...

Maryan Dimmel.

87. Gleba.

Cała roślinność każdego kraju zależy od jego gleby; a znów żadne zwierzę nie mogłoby istnieć, gdyby nie było roślin.

Każde pole jest ową warstwą rodzajnéj gleby na powierzchni ziemi. Przypatrzywszy mu się bliżéj, zobaczymy, że na samym wierzchu znajduje się warstwa bardzo ciemnéj barwy, która, jak wiemy, pochodzi od domieszki zbutwiałych roślin. Butwiejąc, czernieją rośliny, a chociaż zostały pokruszone, to wszakże widoczném jest, że te drobniutkie kawałeczki są istotnie szczątkami roślin, tém bardziéj, że niezupełnie jeszcze zbutwiałe rośliny zachowują swoję postać pierwotną. Te szczątki obumarłych roślin, zwane próchnicą, przemieszane z ziemią, stopniowo zamieniają ją na brunatny pokład, który, im głębiéj sięga, tém jaśniejszym się staje,

wreszcie w dostatecznéj głębokości zupełnie znikają domieszki roślinne. Daléj w głąb staje się grunt coraz twardszym, aż nakoniec dojdziemy do skały, któréj powierzchnia jest zazwyczaj zwietrzała i spękana wskutek działania korzeni, jakie się w nią zapuściły. Pod tą zwietrzałą powierzchnią leży już zupełnie twarda skała.

W ten sposób tworzy się gleba rodzajna, chociaż w niektórych okolicach powstaje ona w inny jeszcze sposób. Gdybyśmy zupełnie usunęli warstwę rodzajnéj gleby, powstałą ze stopniowego rozkładu leżącéj pod nią skały, z czasem znówby się utworzyła w powyżéj opisany sposób. Skały, wystawione na działanie powietrza, zaczęłyby znów wietrzeć, a nasiona (zarodniki) mchów i porostów, padłszy na zmiękczoną powierzchnię skały, znówby się na niéj umocniły. Najniższe rośliny mogą rosnąć i bez warstwy rodzajnéj, wprost na zwietrzałéj skale, gdyż nie posiadają korzeni i wystarcza dla nich chropowata powierzchnia skały, o którąby się zaczepić mogły. Z czasem rozrastając się, tworzą one dosyć ścisłą, gęstą sieć na powierzchni skały, tak dalece, że zupełnie ją pokrywają, przez co utrzymują wilgoć na jéj powierzchni, a kwasy, powstające w wodzie skutkiem gnicia tych roślin, przyczyniają się do niszczenia po niejakim czasie tych skał omszonych. W niewielkich zagłębieniach skały znajdzie się trochę ziemi, w któréj trawy i krzewy zagnieździć się już mogą; te przez swoje korzenie ułatwiają pękanie skał wietrzejących. Proces ten trwa przez bardzo wiele lat, może nawet całe wieki. Większe rośliny, obumierając, mieszają się z okruchami kamienia, tworząc muł, którego warstwa staje się z postępem czasu coraz grubszą, aż wreszcie wystarczyć już może potrzebie korzeni drzewnych. Lekkie nasiona sosny, topoli, wierzby i innych drzew, unoszone powiewem wiatru, dostawszy się na grunt, w którym kiełkować mogą, zapuszczają w nim korzenie. Z początku rosnące tu drzewa są karłowate, lecz odtąd grubość rodzajnéj warstwy powiększa się w dwóch kierunkach: naprzód skutkiem butwienia liści, gałęzi i pni obumarłych, a powtóre wskutek działania korzeni, wody i mrozu, co wszystko się przyczynia do kruszenia skał, leżących pod warstwą rodzajną.

Bogactwo gleby zależy od dwóch warunków: przedewszystkiem od rodzaju skały, jaka się pod nią znajduje czyli od tego, z jakich się składa pierwiastków; skała, powstała

z wapienia, wytwarza żyzną glebę. Drugim warunkiem są rośliny, które pozostawiają w glebie swoje szczątki, a bez których skały nie mogłyby w żaden sposób utworzyć urodzajnego gruntu, albowiem głównie kwasy, które woda otrzymuje od butwiejących roślin, uzdolniają ją do rozpuszczania w sobie dostatecznéj ilości pierwiastków pożywnych, potrzebnych roślinom.

Przypatrzmy się teraz, co robią ludzie, chcąc sobie zapewnić dobre plony. Człowiek w stanie dzikim przebiega lasy, żywiąc się owocami drzew, jakie napotka, oraz zwierzętami, które upolować może. Ale dzikich ludzi bardzo jest dziś niewiele; wszyscy inni uprawiają grunt i ciągną z niego zyski. Dzieje się to tylko przez usuwanie dziko rosnących roślin, które zastępują pożytecznymi. Wskazówką cywilizacyi i bogactwa kraju jest stan uprawy jego roli, a chociaż może nie wszyscy zgodzą się na to zdanie, to przecież przyznać muszą, że początkiem cywilizacyi było rolnictwo. Człowiek, uprawiając grunt, niszczy jego dawny stan naturalny i wszystkie czynności gleby robi poniekąd sztucznymi.

Rolnik, przy pomocy pługa przewróciwszy glebę, ułatwia do niéj przystęp deszczom i powietrzu, a wówczas znacznie większa jéj powierzchnia może posłużyć za posiłek dla roślin. Lecz z drugiéj strony glebę uprawną łatwiéj deszcze spłukają i pozbawiają wielu pierwiastków, potrzebnych do wzrostu roślin. Warstwa ziemi rodzajnéj w naturalnym swoim stanie, wydając trawy i drzewa, coraz grubszą się staje i żyźniejszą. Przy sztucznéj uprawie przeciwnie, zmniejsza się ustawicznie jéj pokład i żyzność — ziemia jałowieje. Jeśli uprawa roli będzie zupełnie racyonalną, jeśli rolnik starać się będzie o to, żeby deszcze nie spłukiwały gruntu, oraz żeby rośliny nie zużywały więcéj pożywienia nad to, co powstaje z naturalnego corocznego butwienia, to gleba utrzyma swą urodzajnosó przez lat tysiące. W Anglii, Francyi i Belgii, gdzie bardzo starannie uprawiano grunta, są one dziś może równie żyzne, jak były przed lat tysiącem; ale u nas, gdzie cena ziemi jest niską, uprawiano ją bardzo niedbale — i dlatego znaczną jéj część zupełnie wycieńczono. Strata to niepowetowana, bo na jéj poprawę potrzeba nie dziesiątków lat, lecz całych wieków.

Kiedy gleba powstaje na twardéj skale, tworzy się zwyczajnie w sposób, jaki powyżéj opisaliśmy; w innych jednak miejscowościach tworzy się jeszcze inaczéj. Wzdłuż dolin rze-

cznych np. znajdujemy warstwy urodzajnéj ziemi, zwane napływem lub namuliskiem, które utworzyły rzeki, osadzając tu zebraną skądinąd ziemię. Składają się one z bardzo głębokiéj warstwy nader drobnego piasku, żwiru i mułu. Rośliny, na nich rosnące, nie potrzebują się wysilać na kruszenie skał, gdyż tak wielką jest ilość drobno sproszkowanéj materyi, a warstwy iłu są tak głębokie, że korzenie roślin nigdy w zupełności przejść przez nie nie zdołają. Rzeczywiście warstwa napływowa składa się po większéj części z ziemi, spłukanéj z okolic oddalonych, znajdujących się w górze rzeki, i osadziła się tu z tego tylko powodu, iż rzeka w tak wielkiéj obfitości unieść tych cząstek nie mogła. Takie grunta odznaczają się nadzwyczajną żyznością; takie np. są Delta i brzegi Nilu. Podług *N. S. Shalera.*

88. Dno morskie.

Grunt dna morskiego jest napływowy. W pokładzie jego zewnętrznym znajdziesz szczątki wszystkich roślin i zwierząt stałego lądu i wszystkich mieszkańców morskich przestrzeni; od małego wodorostu lub polipa aż do mieszkańca lasów naszego globu, od robaczka małego, żyjącego w ziemi, aż do orła — wszystkie szczątki pochłania morze, wszystkie biorą udział w tworzeniu się jego dna.

Wyniosła skała, opierając się siłom wiatrów i burz, przez długie wieki pod ich działaniem obraca się w drobny pyłek, który wkońcu ostatni wypoczynek w wodzie znajduje; z deszczem zebrany dostaje się do rzek, a z biegiem ich wody wpada do morza, na którego dnie się osadza. Pod działaniem tych czynników twarde granity, piękne porfiry i wspaniałe marmury, najtwardsze wreszcie skały, wietrzeją i pękają, a staczające się z ich wierzchołków głazy dostają się ostatecznie do rzek; tu woda ostre ich kanty szlifuje i coraz daléj posuwa ku morzu, a zamarznąwszy z krą razem unosi je i rzuca w przepaści morskie. Takim sposobem lodniki mórz podbiegunowych przynoszą z sobą ogromne odłamy skał, a topniejąc pod wpływem ciepłego słońca i wody ogrzanéj, składają się na tworzenie pokładów dna morskiego. Dodajmy do tego miliony jestestw, w morzu i rzekach żyjących, których szkielety wkońcu na dno opadają, a będziemy mieli obraz

dna morskiego. Dzisiejsze zaś dno pokryło miliony ustrojów przedwiekowych epok, całe lasy niebotycznych roślin, które, być może, w dalekiéj przeszłości były na stałym lądzie, a wskutek jakiéjś rewolucyi ziemskiéj zalane zostały morzem!

Gdybyś na chwilę chciał sobie wyobrazić, żeś na skrzydłach ptaka wzniósł się wysoko i że wzrok twój przeniknął głębie wód morskich, tak, iż dno przedstawia ci się wyraźnie: zaiste, wówczas wspaniały ujrzałbyś widok. Pod wodą w przeróżnych kierunkach spostrzegłbyś doliny, łańcuchem gór porozrywane. Wśród tych gór, dolin i pagórków dojrzałbyś mnóstwo płaszczyzn, okiem niezmierzonych, morza piasku jakgdyby w Arabii, a na nich z miękkiego mułu rozsiane oazy czy wyspy. Wśród stosów oderwanych z wyżyn głazów widziałbyś bryły przeróżnego gatunku skał, a między nagimi wierzchołkami tych podmorskich gór, przewyższających nieraz najwyższe szczyty Azyi, rozpoznałbyś otwarte kratery wulkanów, które bądźto czynne, całe piekło z wnętrza swego wyrzucają, bądź zgasłe, świadczą o przeszłéj swéj czynności.

Prawdziwéj ciszy i spokoju nie ma na dnie oceanu, choćby w największéj jego głębokości. Nierówność ciepła i soli porusza wody jego, tworząc prądy tak powierzchowne, jak wewnętrzne czyli podmorskie, a ruch ten walczących z sobą nurtów musi, zdaje się, choć w małéj cząsteczce dochodzić aż do dna. Wreszcie tysiące gór wulkanicznych, wyspy tegosamego pochodzenia, jak Teneryfa, Malta, Santorin i t. p., świadczą o nagłém wznoszeniu się w tych miejscach dna morskiego. To wznoszenie się połączone jest zwykle z wybuchem wulkanu, trzęsieniem ziemi, burzami i orkanami, jak cyklony i huragany, które sięgają zapewne aż do dna morskiego; a choć te ostatnie, szalejąc na powierzchni morza, na dnie zaledwie milionowém są echem tych spustoszeń, jakie sprawiają u nas, w każdym jednak razie ruch i tam sprawiać muszą. *Z. Rościszewski.*

D.

89. Szkło.

Szkło należy do najdawniejszych wynalazków. Już pismo święte o niém wspomina. W najodleglejszéj starożytności Egipcyanie znali sztukę fabrykowania białych i kolorowych szkieł, szlifowania ich i pozłacania; dowodem tego ozdoby wielu mumij, znalezionych w katakombach Teb i Memfis. Rzymianie znali szkło więcéj, niż na dwa wieki przed narodzeniem Chrystusa; za czasów Pliniusa budowano huty w Gallii i Hiszpanii. W dwieście kilkanaście lat po narodzeniu Chrystusa za panowania Alexandra Sewera huty w Rzymie były już tak liczne, że do ich zakładania przeznaczono oddzielną część miasta. To wszystko usprawiedliwia znajdowane tak często w starożytnych grobach w Egipcie, Włoszech, Niemczech i Francyi szklane naczynia i flaszeczki.

Pierwsze huty w nowożytnych czasach w Europie pojawiły się w Wenecyi, pod kierownictwem rękodzielników arabskich, co okazuje, że ludy wschodnie przechowały sztukę wyrabiania szkła, pozostawioną im przez starożytnych. W XIII. wieku Wenecyanie odkryli tajemnicę odlewania zwierciadeł i rozsyłali po całéj Europie swój wyrób pod nazwą zwierciadeł weneckich. Starożytni nie znali sztuki odlewania tafli szklanych, to téż u nich miejsce dzisiejszych zwierciadeł zastępowały po prostu srebrne płyty, dobrze wypolerowane, albo płyty z innego metalu błyszczącego, a nie łatwo oxydującego.

Sztukę rznięcia na szkle, szlifowania i wyrabiania z tego materyału przedmiotów, służących do ozdoby, odkrył podobno artysta niemiecki, nazwiskiem Gaspar Lehmann.

Szkło, wzięte w znaczeniu, jakie nadajemy pospolicie temu wyrazowi, jest chemicznym związkiem potażu lub wody z krzemionką (czystym piaskiem), a czasem i z małą domieszką ciał innych: jest więc krzemianem potażu lub sody, zmieszanym niekiedy z częściami wapna, ołowiu, żelaza itp.

Szkła jest kilka gatunków: bezbarwne, którego używają na szklanki i szyby zwyczajne; ciemne czyli butelkowe, z którego wyrabiają butelki, gąsiory itp.; kryształowe, szkło najczystsze, używane do wyrobu narzędzi optycznych, tafel zwierciadlanych, ozdobnych szklanek, karafek, flakoników itp. Gatunki szkła bezbarwnego powstają ze stopionéj krzemionki (piasku) w połączeniu z wapnem, potażem lub sodą. Najpiękniejszym z takich gatunków jest szkło czeskie.

Piec huty szklanéj składa się z ogniska środkowego i dwóch części bocznych, w których mieszczą się materye, wchodzące do składu szkła, celem wstępnego zwapnienia takowych. Skoro się te materye rozgrzeją do pewnéj temperatury, wówczas kładą je w tygle do środkowego ognisku, gdzie się zupełnie topią i wydają szkło. Z tego to produktu, będącego z powodu gorąca w stanie płynnym, wyrabiają rozmaite przedmioty.

Głównem narzędziem robotnika w hucie jest żelazna rurka, opatrzona drewnianą obsadą.

Chcąc dać wyobrażenie, jakim sposobem zapomocą tego narzędzia kształtują się rozmaite przedmioty, opiszemy sposób wyrabiania szyby.

Robotnik macza żelazną rurkę w tyglu, zawierającym szkło płynne, potém dmąc w nią od strony zaopatrzonéj drzewem i obracając w koło lub kołysząc w różnych kierunkach, zwolna nadaje szkłu postać podłużnego cylindra. Następnie odcina żwawo nożycami kopułę, zakończającą ów cylinder, co mu przychodzi bez trudności, ponieważ szkło jest jeszcze miękkie; potém odłącza cylinder od rurki, spuszczając kroplę wody tam, gdzie się spajało szkło z żelazem, i okrążając je rozpalonym drutem. Dokonawszy tego, przecina cylinder wzdłuż także zapomocą kropli wody i rozpalonego drutu. Wtedy cylinder podobny jest do wielkiéj szklanki bez dna. przeciętéj wzdłuż; idzie więc tylko o to, aby go rozpłaszczyć. Otóż w tym celu przenoszą go do umyślnego pieca, gdzie po dostatecznem rozgrzaniu, a témsamém zmiękczeniu szkła inny

robotnik, opatrzony długą linią, wprowadza takową w środek cylindra, rozgarnia jego boki na prawo i na lewo, następnie drewnianym przyciskiem rozpłaszcza go do reszty, tak, że szkło przybiera postać szyby. Następnie dobrze już wygładzoną taflę raz jeszcze rozgrzewają w innym piecu i powoli studzą. Wtedy dopiero przydatną jest do użytku.

Butelki robią się także zapomocą tego narzędzia. Robotnik macza je w roztopioném szkle, a nabrawszy dostateczną jego ilość, dmucha w rurkę, obracając ją szybko, a rozgrzawszy szkło powtórnie, nadaje mu ostateczny kształt w mosiężnéj lub bronzowéj formie.

Z *„Przyjaciela dzieci"*.

---

90. Czystość ciała warunkiem zdrowia.

Ażeby być zdrowym i silnym, niedość jest używać potrzebnych pokarmów i należytego po pracy wypoczynku, ale potrzeba jeszcze troskliwie dbać o zachowanie czystości ciała.

Ciało nasze zewsząd okrywa skóra, która ważne spełnia zadania. Nasamprzód jest ona organem czucia. Dotykając się różnych przedmiotów, poznajemy za pośrednictwem skóry ich gładkość lub chropowatość, ich ciepłotę i kształt. Prócz tego służy skóra do wydzielania potu z ciała i do wyziewania z ciała pary wodnéj i kwasu węglowego, które wydobywają się z bardzo licznych otworków, zwanych porami skóry. Z ciała dorosłego człowieka uchodzi dziennie porami skóry prawie $^3/_4$ kilograma wody w postaci pary wodnéj, a czasem, gdy człowiek znużony lub w czasie upałów, znacznie więcéj.

Jeśli pył i pot pozatykają otworki skóry, wydzielanie pary wodnéj i kwasu węglowego, czyli oddychanie skóry, tudzież wydzielanie potu staje się niemożebne, co szkodliwie oddziaływa na zdrowie człowieka.

Jak ważną jest sprawą oddychanie skóry, poznać można z tego, że poparzenie ciała w jednéj trzeciéj powierzchni całéj skóry sprowadza śmierć niechybną. Zanieczyszczenie skóry wywołuje także często wyrzuty skórne, jakoto pryszcze, liszaje, strupy i t. p., co czyni człowieka wstrętnym i dla siebie i dla drugich.

Aby uchronić skórę od zanieczyszczenia, a témsamém uchronić się od powyżéj wymienionych złych następstw, konieczną jest rzeczą skórę czysto utrzymywać. Osiąga się to najlepiéj zapomocą częstych kąpieli w wodzie letniéj lub w parni, a w lecie w rzekach i stawach. Jeśli nie można się kąpać, dobrze jest przynajmniéj obmyć całe ciało, a po zmyciu natrzéć aż do czerwoności. Częsta zmiana bielizny również przyczynia się do utrzymania skóry w czystości.

Kąpiele rzeczne, stawowe i morskie są jeszcze dlatego bardzo pożądane, ponieważ można pływać, a pływanie jest ruchem zdrowym i wzmacniającym ciało. Dla chorych zalecają kąpiele morskie lub kąpiele mineralne w zakładach kąpielowych, jak n. p. w Iwoniczu, Rymanowie, Krynicy, Żegiestowie, Szczawnicy, Krościenku i t. d., gdzie tryskają z ziemi źródła mineralne.

Z książki do nauki dopełniającéj.

91. Wyrazy bliskoznaczne.

a) Odkrycie a wynalazek.

Obadwa te wyrazy oznaczają poznanie rzeczy dotąd jeszcze niewiadoméj. Rzecz, będącą w naturze, lecz dotąd nieznaną poznać, jest to ją odkryć; natomiast utworzyć rzecz jakąś nową lub znaną do nieznanych dotąd potrzeb zastosować, jest to wynaleść. Wynajdujemy więc, kiedy przypadkiem lub umyślnie rzeczy jakiéjś dopiero istnienie dajemy, chociażby jéj cząstki już dawno były znane.

Trafnie różnice obudwu wyrazów podaje Jan Śniadecki. Wynalazkiem nazywa objawienie tego, czego nie było; odkryciem zaś objawienie tego, co było, ale przed nami zatajone, ukryte. Wszystkie nowe jestestwa i zjawiska natury, wszystkie prawdy wieczne i niezaprzeczone są to odkrycia, bo człowiek ich nie stworzył, ale je upatrzył, wydobył i odsłonił; przystosowanie tych jestestw, zjawisk i prawd do użycia, wypracowane z nich roboty, machiny i narzędzia do tego wymyślone, wskazane nowe drogi i sposoby dochodzenia prawdy — są to rzetelne wynalazki. Zjawiska n. p. najdelikatniejsze światła, prawa jego odbijania się i łamania są to odkrycia; machiny zaś optyczne, wspierające wzrok w widzeniu ciał odległych albo bliskich, ale nadto drobnych, jakimi są teleskopy, mikroskopy, zwierciadła i t. p., lub z tych jeszcze

złożone różne narzędzia — są to prawdziwe wynalazki. Świeże wynalazki potrzebują nowych nazwisk, bo naród nie mógł nazwać tego, czego nie było; ale odkrycia mogą ich często nie potrzebować.

Odkrycia prowadzą do wynalazków i wzajem wynalazki wiodą do odkryć; tak n. p. odkrycie własności saletry dało powód do wynalezienia prochu.

b) Litościwy, miłosierny.

Jeżeli, widząc cudze cierpienie, poprzestaje się na samém podzielaniu, współczuciu cudzéj niedoli, wtenczas jest to litością; jeżeli zaś to współczucie okazuje się czynném ku ulżeniu boleści innego, wtenczas jest to miłosierdziem. Tragedya obudza w nas litość, nie miłosierdzie; cierpienia, w nich wystawione, wzruszają, ale nie pobudzają do ich ulżenia. Przeciwnie odwiedzanie szpitalów lub mieszkań ubogich pochodzi z uczucia miłosierdzia, t. j. litości, połączonéj z usiłowaniem ratowania nieszczęśliwych. Dlatego niewiasty, czyniące ślub ratowania chorych, zowią się miłosiernymi, bo tutaj nie wystarczyłoby samo uczucie litości. Stąd mówimy: litościwe serce, a miłosierne uczynki. Miłosierdzie okażę nad tym, nad którym się zlituję; przeto w przeczeniu nielitościwym zowiemy tego, kto jest zimny i nieczuły na cudze nieszczęścia, niemiłosiernym, kto się jeszcze czynnie do nich przyczynia lub sam je sprawuje. „Bali się o młodego Bolesława, aby Konrad nad nim i nad matką jego jakiego niemiłosierdzia nie okazał.“ Udziałem słabych jest tylko litość, szczęśliwym udziałem możnych jest miłosierdzie; dlatego Bóg tylko miłosiernym być może. „Litość człowieka nad bliźnim jego, ale miłosierdzie Boże nad wszystkiém ciałem“ — czytamy w tłóm. pisma św. Leopolity. Król, litując się nad nieszczęściami, które wojna sprowadza, jest miłosierny, jeżeli jéj skutkom zapobiegać się stara. Miłosierny często musi przytłumiać w sobie uczucie litości, ażeby mógł czynnie złemu zapobiec; przeto cnota ta jest owocem bądź silniejszéj natury, bądź zasadą męskiego czucia. Opatrujący rany chorych więcéj mają miłosierdzia, niżeli litości.

c) Nabożny, pobożny, świątobliwy.

Wszystkie te wyrazy oznaczają człowieka, zajętego Bogiem lub Boskimi rzeczami.

P o b o ż n y jest to człowiek, żyjący po Bogu, według Boga. Zwykle odnosimy wyraz ten do uczuć i czynów takich, które dotyczą szczególnych ustaw religii i kościoła. Pobożnymi uczynkami zowiemy dawanie jałmużny, pielgrzymki do miejsc świętych, budowanie i przyozdabianie świątyń i t. d. Ogólniéj biorąc, przez wyraz pobożny rozumieć należy tego, dla którego we wszystkich myślach i czynach miłość Boga jest żródłem, który z dziecinną wdzięcznością i poświęceniem przyjmuje dobre i złe przygody i pragnie Boga według możności naśladować. — N a b o ż n y okazuje zewnętrznie miłość i cześć ku Bogu — nie już przez działania, ale przez modły i obrządki religijne, z pokorą i uniesieniem.

Człowiek pobożny jest naturalnie skłonny do nabożności; wykonywanie téjże należy do szczęścia i zacności człowieka. Działać i cierpieć dla Boga jest cnotą; rozpamiętywać o nim wyrządzać mu cześć, jest nie tylko powinnością, ale i przyjemném uczuciem, jest to nawet coś wzniosłego. Dusza, wywnętrzająca się przed Bogiem, a nawet nabożeństwo być może pobudką, ożywianiem i utrzymywaniem w nas ducha pobożności; dlatego wszystkie religie tak wielką wagę przywiązują do nabożeństwa i u większéj części pogańskich ludów, nawet tam, gdzie nie ma śladu pobożności, jest w wysokim stopniu nabożeństwo. Bywają jednak tacy, u których nabożeństwo nie ma źródła w prawdziwéj pobożności, lecz bywa często tylko nałogiem lub rachubą tak, że powierzchownèm nabożeństwem, bez wzniesienia ducha, chcą i pobożność zastąpić; tacy „nabożnisie“ zawsze na szyderstwo i pogardę zasługują.

Ś w i ą t o b l i w o ś ć jest połączeniem życia pobożnego z nabożném, jest najwyższym stopniem cnót chrześcijańskich, czystości, pokoju duszy, pokory i surowości dla siebie, nieograniczonéj miłości dla Boga, jest zgoła naśladowaniem Chrystusa; jest to więc przymiot, który tylko chrześcijanom przyznajemy. Za życia wyznawcy kościoła katolickiego przyznają ten tytuł papieżom; świątobliwe życie prowadzą téż zakonnicy, pustelnicy i wszyscy nie tylko od uciech, ale i od spraw świata tego oderwani. Lecz właściwie nazwiskiem świątobliwych zaszczycamy dopiero po śmierci tych, którzy w pobożności i nabożności do zgonu wytrwali.

Jedyny wzór i naukę wszystkich tych trzech przymiotów zostawił nam Chrystus, który ciągle na ziemi dla dobra

ludzkiego pobożnie działał i mówił, który modlił się, miłością Ojca powszechnego przejęty, a przez pokój duszy, czystość i niewinność prawdziwie był świątobliwy.

Kazimierz Brodziński,
(Synonimy polskie).

---

92. Ziemia rodzinna.

Pomiędzy ziemią a człowiekiem, tę ziemię zamieszkującym, bliskie zachodzi powinowactwo. Zmiana pokarmu i powietrza wyraźny na cały organizm człowieka wpływ wywiera i działa przez ciało na umysł i na wszystkie władze duszy jego. Dostarczając pokarmów ludziom, przeistaczając w ich ciała wszystkie pożywne cząstki swoje, jest ona rzeczywiście jego matką i nie masz nic prawdziwszego nad to, co w księgach Mojżeszowych czytamy, że Bóg z ziemi stworzył człowieka. Co ziemia wydaje, to się staje pokarmem człowieka i zamienia się w jego ciało. Ziemia, woda, powietrze, klimat — wszystko to nieustannie żywi i utrzymuje ciało nasze.

Dlategoto im bliżéj człowiek z naturą złączony, im mniéj przez cywilizacyą odbiegł od pierwotnych praw przyrodzenia, tém wydatniéj odzywa się to powinowactwo ziemi od człowieka. Jest to owa tęsknota do kraju, na którą zdala od ojczyzny chorują wszyscy, w dalekie od niéj rzuceni strony. Między nimi a krajem, zda się, jakgdyby była niewidzialna siła, którą ziemia rodzinna ich przyciąga; a ta walka dwóch sił: niemożności powrotu i owego pociągu do kraju, targa duszę nieszczęśliwego wychodźca i jak ów sęp w Erebie szarpie jego serce. Niedowiarku, co nie wierzysz w tak gorącą miłość ziemi rodzinnéj, patrz na współrodaka z okiem obłąkaném, ku rodzinnym stronom wytężoném, z licem wywiędłém i bladém, z sercem, do którego nic z wdzięków i rozkoszy świata nie przypada, z duszą spragnioną i łaknącą choćby jednego tchnienia ojczystego powietrza; a to wszystko wśród rozkosznego, południowego nieba, wśród bogactw przemysłu i kultury, wśród światła nauk i oświaty: a przekonasz się, jak sama ziemia domaga się od tych, co z niéj ulepieni, praw swoich, jak sama do miłości ku sobie zmusza.

Nie idzie zatém, aby ta ziemia, którąś jako ojczyznę ukochał, obfitowała w dostatki i wdzięki przyrody. Sławny

pewien mąż, opisując podróż swoję do Włoch, opowiada, że gdy go przewodnik po górach styryjskich oprowadzał i pomiędzy szczelinami skał pokazał mu widok na rozległą równinę, dziką, kamienistą, rzęsisto obsutą łomami skał, wskazując na ten obszar rozległy, zawołał z uniesieniem: „To moja ojczyzna!“ a we wzroku jego malowała się taka duma narodowa, takie zadowolenie, jakgdyby mu jaki raj pokazał. Tak niegdyś Odysej, po obcych tułający się krajach, choć opływał w dostatki, tęsknił do swojéj pustéj i skalistéj Itaki i marzył tylko o tém, aby choć dym itacki ujrzéć mógł zdaleka, a umarłby bez żalu.“ Tak góral pokochał obnażone szczyty gór i duszno mu w strojnych ogrodami dolinach; tak mieszkaniec północy z pod skwarnych i barwistych okolic południa wraca do krain zimy, mgły i szarego nieba, bo to miejsca jego rodzinne, duszy jego tak lube, w których się czuje najswobodniéj.

Ludy dzikie stosunkowo więcéj mają przywiązania do miejsc rodzinnych, niżeli narody oświecone. Tęsknią do dziczy lasów, w których leżą święcone ich gaje, do skał urwistych, po których przebiegali jak gazele; — tęsknią do krainy śniegów i lodów Skandynawii, jak Etyopowie do piaszczystych i spiekłych pustyń Afryki. Amerykanin na każde cięcie siekiery europejskiéj, co się głuchém echem po lasach odwiecznych rozlega, truchleje, bo czuje, że z prześwietleniem tych kniei uszczuplają się granice jego siedlisk, a Negr, z ojczyzny wywieziony, sam sobie śmierć zadaje, by co prędzéj dusza jego powróciła do swoich. Z tegosamego powodu więcéj przywiązania do rodzinnéj ziemi mają narody rolnicze, aniżeli narody, przemysłem idące; narody lądowe więcéj, niżeli mieszkańcy nadbrzeżni i wyspiarze, których przemysł i handel w odległe kraje prowadzi i od ziemi ojczystéj odrywa. Dlatego kolonie wychodziły zawsze, już od Fenicyan począwszy, od narodów handlowych i nadmorskich, nie byli zaś ku wędrówkom skorymi rolnicy.

Miłość ziemi rodzinnéj spotęguje w sobie człowiek, gdy pozna tę ziemię na wszystkie strony, wzdłuż i wpoprzek ją przebieży, wszystkie malowane obrazy natury z niéj zdejmie i w wyobraźni i pamięci swojéj wiernie zachowa; — gdy się pełnymi piersiami ojczystego napije powietrza z różnéj jego krynicy i tam, gdzie szumią puszcze czarne, i tam, gdzie na porohach rozbija się woda sina, i tam, gdzie szerokie łany

złotym kłosem powiewają, i tam na turniach gór ojczystych, odwiecznych jego ziemicy strażnicach.

Miłujeż ten ojczyznę swoję, kto obce zwiedził kraje, a swojego własnego nie poznał? — co wróciwszy z dalekiéj podróży z uniesieniem prawi o wszystkiém, co widział, a nie czuje tego uniesienia, które na widok ziemi rodzinnéj tylu poetów naszych do pieśni natchnęło? — Miłujeż ten ojciec kraj swój rodzinny, co zwiedzenie cudzych krajów uważa za dokończenie wychowania syna i na to majątku swego nie żałuje, a nie pomyśli, że zwiedzić kraj własny jest religijnym jego mieszkańców obowiązkiem, jest jakoby ową podróżą do Mekki, przynajmniéj raz w życiu nakazaną? Cóż ci po tém, że w duszy i pamięci twojéj porozwieszasz obrazy ziem obcych, a obrazu własnéj matki ziemi tam nie zawiesisz? Każdy twéj ciekawości i znajomości świata odda sprawiedliwość, ale cię nazwie niewdzięcznym synem, nieczułym na drogie rysy matki, co cię wykarmiła. Ona zawsze cudna, strojna, nie starzejąca się nigdy; a w jéj łonie tysiące tysięcy pokoleń, wszyscy twoi pomarli przodkowie, cały twój naród pomarły. Jeśli więc kochasz ziemię twą rodzinną, zwiedzaj ją całą, zwiedzaj, pókiś młody.

O te skarby, te obrazy,
I natury i swobody
Chwytaj, pókiś jeszcze młody,
Póki w sercu jeszcze rano!

Karol Libelt,
(O miłości ojczyzny).

---

93. Rozmowy towarzyskie.

Duszą towarzyskiego zebrania jest rozmowa; im więc istotniejszym ona jest warunkiem wspólnéj zabawy, tém bardziéj i gość i gospodarz nad tém się zastanawiać mają, aby ją umieć prowadzić ciągle; gdy jedna ustanie, drugą wszcząć: zgoła, nie zostawiać téj nudnéj pory, gdzie wszyscy umilkną albo téż niewcześnem odezwaniem się chcą wskrzesić rozmowę, ale nadaremnie.

Co innego jest pisać, co innego mówić. Nie wymaga rozmowa takiego zastanowienia się, jak pisanie; lecz ponieważ i jéj wyrazy w pamięci słuchaczów utkwić mogą, trzeba mówiącemu wiedzieć, co, jak i kiedy mówi. Przedmiotem roz-

mowy niekiedy są rzeczy potoczne, niekiedy ważne; potoczne służą do zabawy, ważne do nauki, w obudwóch jednak potrzeba, ile możności, starać się o to, ażeby wdzięk użytkowi towarzyszył. Rozmowy potoczne zasadzają się po większéj części na opowiadaniu tego, co się stało; jest więc opis dzieł, rzeczy, miejsca. Gdy się o ludziach mówi, strzéc się należy tego, ażeby się zbyt nie zaciekać w opisywaniu: wypaść może słowo nieostrożne, które urazi; wzajemnie, gdy się i dobrze o innych mówi, trzeba mieć baczność na to, aby pochwała nie wyszła na pochlebstwo.

W każdéj okoliczności, czylito o ludziach czy o sobie czy o rzeczy, choćby potocznéj, wzmianka, niech się zawsze powieść na prawdzie wspiera. Naówczas nie będziemy się wstydzili tego, cośmy raz wyrzekli, i choćbyśmy może niekiedy wykroczyli przeciw roztropności, łatwiéj ten błąd usprawiedliwienie znajdzie, gdy nas nikt o kłamstwo nie przeświadczy. Ganić wtenczas tylko należy, gdy nagany konieczną potrzebę, a przeto z niéj pożytek widzimy, gdy nas obowiązek stanu naszego do tego przyniewala, gdy milczenie nasze zdałoby się być utwierdzeniem zdrożności; gdy zaś jedna z tych okoliczności nie zachodzi, lepiéj oszczędzić obwinionego albo zbyć rzecz milczeniem. Gdy nas chęć ku naganie czyjéj wiedzie, zastanówmy się nad tém, że wielekroć i my sami nagany jesteśmy godni, a naówczas, jeśli nas miłość własna nie oślepi, znajdziemy w sobie przyczynę do oszczędzania drugich.

Wyśmiewać zdrożności, jakoto: kalectwo, niezgrabność lub ubiór, mniéj przystojny, jest znakiem niedobrego serca i lekkomyślności. Dopomagać innym w wyszydzaniu jest to utwierdzać ich w błędzie, a témsamém w dwójnasób wykraczać. Ponieważ już nieraz opłakiwaliśmy ten błąd szkaradny, nie zawadzi się jeszcze cokolwiek nad nim zastanowić.

Żart przez się zaprawą jest i — że tak rzekę — przysmakiem towarzyskiego zebrania, daje bowiem poznać dowcip i delikatne uczucie tego, który żartuje. Ale jeżeli żart ma mieć skutki miłe, nie powinien być zjadliwym, przez tosamo bowiem wdzięk i słodycz swoję istotną traci. Śmieje się złość, wewnątrz zasklepiona, z obrazy cudzéj, a ten śmiech cechą jest skażonego serca, tak w tym, który go zdziałał, jako i w tym, który go używa. Człowiek, zjadliwie żartobliwy, podoba się na chwilę, gdy rozwesela i do śmiechu wiedzie; ale skoro to porywcze rozweselenie przejdzie, nie jest rzecz

podobna, iżby rozśmieszony nie uczuł, iż ten, który drugiego wyszydzić mógł, i jego samego wyśmiać potrafi. Stąd wzrasta naturalna jakowaś odraza od szyderców i bojaźń nader sprawiedliwa, aby na ich język kiedy nie przyjść. Powiadają niektórzy, iż śmiać się z drugich, jest to ton właściwy wielkiego świata. Jeżeliby na tém grzeczność modna zawisła, lepiéj być mniéj grzecznym, niżeli podawać się w niebezpieczeństwo szkodzenia cudzéj sławie.

Mówić o sobie samym, rzadko się nadaje. Gdy konieczna potrzeba o sobie mówić każe, mówmy skromnie tak, jak gdybyśmy cudze sprawy opowiadali, a natenczas i wiarę znajdziemy i uszu słuchających nie obrazimy. Tak czynili owi zacni mężowie, którzy własne dzieła swoje opisywali. Czytając ich opowiadanie, można się dowiedzieć o ich błędach, można mieć wiadomość o ich cnocie; tę obwieścili skromnie, tamtych nie zataili, ale bez upodlenia.

Najzwyklejszą materyą rozmów towarzyskich są opowiadania o tém, co się świeżo albo co się dawniéj stało. Wprawdzie rozmowa nie jest księgą, ściągnąć jednak można na opowiadania tesame przepisy, które pisarzom dziejów służą. Trzeba opowiadającemu słusznéj przestrzegać miary, ażeby zbyteczna zwięzłość nie czyniła opowiadania niesmaczném i suchém, a zbyteczna przewlekłość przykrém i nudném. Ten, który od téj przedmowy zaczyna, iż coś śmiesznego powie, najczęściéj nikogo nie rozśmieszy, wszyscy się bowiem zawsze czegoś śmieszniejszego spodziewać będą, niźli usłyszą. W opisywaniu znowu rzeczy lub miejsc nie trzeba się nader ściśle do rzeczy każdéj przywiązywać; inwentarz tylko temu miły, czyj jest. Najpierwsze w rozmowach miejsce powinno mieć to, co się ściąga do nauk, sztuk pięknych, interesów publicznych lub prywatnych, a im cięższa, zawilsza, trudniejsza jest rzecz, o któréj rozmowa, tém większy jest kunszt wyłuszczyć rzecz jak najłatwiéj.

Nakoniec jednę jeszcze dodać należy uwagę. Rozmowa bez sprzeczki obejść się nie może, bo gdyby wszyscy jednego byli zdania, nie byłoby o czém mówić. Różnica tedy sposobu myślenia ożywia rozmowy. Ale zadaniem tychże powinno być: zdania przeciwne dowodami wspierać, roztrząsać, a uznawszy jedno dzielniejszém nad drugie, tam się zastanowić, gdzie gruntowność przemaga. Takie być powinny uczone sprzeczki. Atoli miłość własna upokorzenia nie cierpi; gdy nie można ważnością

przyczyn, uporem się zasłania: stąd zamiast oświecenia gorycz powstaje, zjadłość, krzykliwość, przymówki. Człowiek roztropny uważa, z kim ma sprzeczkę i o co. Jeśli umiarkowani są ci, z którymi w rzecz się wdajemy, i prawdy tylko szukają, z ochotą zaczynajmy z nimi uczoną sprzeczkę; jeśli uporczywi są i zuchwali, niech raczéj trymfują z naszego milczenia, bo lepiéj ustąpić, niż być przyczyną urażenia i zwady.

Ignacy Krasicki, (Pan Podstoli.)

94. Jak pracować należy.

Praca szczęściem jest dla ludzi,
Próżnowanie tylko nudzi.
Kto się pracy stale trzyma,
Biedy, smutku nigdy nie ma.

Tymi słowy, lat już temu trzysta, poeta nasz, ziemianin czarnoleski, Jan Kochanowski, określił znaczenie pracy, którą sam Bóg wyznaczył człowiekowi jako walne życia zadanie. Toż pominąwszy próżniaków, ten bezużyteczny ciężar ziemi, te pasożytne na jéj powierzchni twory, każdy pracy się ima, bądźto z poczucia obowiązku, bądź dla samego utrzymania życia. Wszelako nie zawsze praca, chociaż może i szczerze podjęta, do pożądanego wiedzie skutku. Jakaż temu przyczyna? Oto, pominąwszy okoliczności zewnętrzne, które nieraz jako przeszkody stają nam w drodze lub pracę naszę zawodzą, w bardzo wielu przypadkach brak znajomości, jak się do pracy brać i w niéj się zachować, brak oczekiwanych z niéj skutków za sobą pociąga. Nie od rzeczy więc będzie rzucić kilka uwag, jakoby najgłówniejszych w tym względzie wskazówek albo przepisów.

Wstawaj rano! „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje“; od dzieciństwa każdy prawie słyszy to przysłowie, a również i to, że „poranek sprzyja pilnym“. A cóżto Pan Bóg daje temu, kto rano wstaje? może ktoś zapyta. Daje mu siły orzeźwione, umysł odświeżony, a z nimi i ochotę żywszą, co czyni pracę raźniejszą, a przeto i łatwiejszą. Zważ, że już czwartą część życia przesypiasz, jeżeli na dobę sześć tylko godzin na spoczynek obracasz. Czyż to nie ogromny procent, a nawet istna lichwa, którą opłacasz od kapitału życia, i tak już kró-

tkiego? A jeżeli drogie ci życie, nie marnuj czasu, bo czas, jak słusznie ktoś powiedział, to materya, z któréj wyrabia się życie.

Nie odkładaj na jutro, co dziś możesz uczynić! „Wszystkie rzeczy mają swój czas, a swym zamierzonym biegiem przemija wszystko pod słońcem“, woła mędrzec Pański. „Trudniejszy czasu, niżeli pieniędzy szafunek i więcéj przezorności potrzebuje“, napisał, dwieście lat temu, mądry nasz senator Andrzéj Maksymilian Fredro; a Anglik praktyczny ciągle powtarza: „Czas to pieniądz!“ Wszystko to prawda. Każdy dzień ma swoje zadanie. Skoro dzisiejsze zepchniesz na jutro, tedy jutrzejsze odłożysz do dnia następnego, a tak pójdzie i daléj. Robota odkładana, to jak suknia sztukowana, bo i odkładającemu pracę przyjdzie sztukować, zamiast rozmierzać z całości. Zwalisz bowiem na dzień jeden pracę, któréj w dwu miałeś dokonać, a już jest obawa, czy czasu ci wystarczy; już pośpiech i gorączka; a co „nagle, to po dyable“; już zbyt natężysz siły i uczynisz je znużonymi na dzień następny, a i pracy należycie nie wykonasz, już dla samego czasu o połowę krótszego, i to siłami, na dzień tylko obliczonymi. Będziesz więc sztukował i dzieło skoszlawisz; z pracownika rzetelnego staniesz się partaczem. A przy tém wszystkiém braknie ci już dnia jednego w obrachunku życia, a niestety nie masz takiego banku na świecie, któryby ci go, chociażby na najwyższy procent, pożyczył! Nareszcie radbym téż i tego poznał, ktoby ci dał pewną porękę, że „jutro“ do ciebie albo do niego należy!

Pracuj dobrze, dokładnie, wytrwale a cierpliwie! Robota na urząd znacznie różni się od téj, którą przeznaczają na tandetę; toteż tamta i znacznie droższa, bo „jaka praca, taka płaca“. Przy pracy dokładnéj nigdy nie braknie zajęcia, zawsze znajdziesz w robocie coś do poprawienia; „nie dufaj, ale często poprawiaj, gdy co umieć doskonale chcesz albo nie zbłądzić“, pisze wspomniany już Fredro. Otóż, gdy coś dobrze chcesz uczynić, nieraz ci je przyjdzie poprawić; ale przez to praca będzie coraz lepszą, coraz doskonalszą, a uznanie, jakie otrzymasz, doda ci odwagi i zachęty, pokrzepi siły, bo wzbudzi w nie zaufanie. Toż nie oddawaj się zwątpieniu, jeżeli praca odrazu nie pójdzie po myśli, nie odpowie twemu własnemu oczekiwaniu; nie zniechęcaj się i nie zrażaj, lecz weź się powtórnie do dzieła. Demostenesowi nie powiodły się pierwsze

próby krasomowcze; wyśmiany, rąk nie opuścił, lecz tém usilniejszéj dołożył pracy i stał się pierwszym świata starożytnego mowcą, a po dziśdzień mowców wzorem. „*Nulla dies sine linea*“ (ani dnia bez kreski), wziął sobie za godło malarz starożytny i wszystkich prześcignął. Co dzień więc kreska, codzień praca, a w skutku coraz większa łatwość w wykonaniu, coraz większa doskonałość samego dzieła. Kropla, która, ciągle na kamień spadając, w końcu i najtwardszy wyżłobi, to symbol wytrwałości; a téj siostrą rodzoną jest cierpliwość. „Lepszy jest cierpliwy, niźli mąż mocny“, mówi pismo święte. Ileżto sił marnieje z braku cierpliwości i wytrwałości! Czémże bowiem jest bez nich siła? Płomień, który nagle wybuchnie, jeszcze rychléj przygaśnie.

Pracuj porządnie! Porządek jest duszą wszech rzeczy. Porządek panuje w wszechświecie i dlatego ciągła w nim równowaga. Nie zaczynaj więc to tego to owego, lecz skończ jedno, nim zaczniesz drugie. Praca, wykonywana podług pewnego, ustalonego porządku, siłom stały nadaje kierunek, przez co je coraz wzmacnia i powiększa, ochrania od roztargnienia myśli i sił rozstrzelenia, a to uczyni cię zdolnym do podjęcia prac większych, których plan wymaga dłuższego namysłu, a wykonanie wytrwałości.

Ale aby ci szła praca, jak należy i jak Bóg przykazał, tedy jednéj jeszcze posłuchaj rady:

Zawczasu zaprawiaj się do pracy. Młodość, to czas zasiewu pod wszelkie plony życia „Czego się Jaś nie nauczył, tego się Jan już nie nauczy“. Pracuj więc od najrańszéj młodości. Jeśliś uczniem, pracuj sam, a nie spuszczaj się na korepetytora, bo to jego, a nie twoja praca. Wszak do obiadu zasiadasz sam, a nie poprzestaniesz na przypatrywaniu się jedzącym, a nawet jużbyś się niecierpliwił, gdyby cię karmić chciano, kiedy sam użyć możesz łyżki, widelca i noża. Kiedyś był dzieckiem i chodzić poczynałeś, wyrywałeś się z rąk prowadzącéj cię piastunki, a chciałeś doświadczyć nóg własnych. Zawczasu więc doświadczaj sił własnych, a wtedy tylko praca stanie ci się potrzebą, wtedy drugą naturą. Wiedzie do tego wprawa, z któréj rodzi się nawyknienie. Wprawa, z ćwiczenia wynikająca, coraz potęguje siły. Zapytaj biegłego na fortepianie mistrza, skąd mu się wzięła ta niezmordowana biegłość palców? Wszak się z nią nie urodził. Oto z ciągłego ćwiczenia, z ruchu palców, ciągle powtarzanego. Pewien Rzy-

mianin, chcąc wychować syna zdrowym, silnym i wytrwałym, nasypał mu do worka kilka garści piasku i kazał go nosić po parę godzin rano i po południu. Do worka tego dosypywał codziennie po łyżce piasku. Chłopak wyrastał i worek narastał. Gdy stał się już dorosłym parobkiem, zarzucał na ramię korzec piasku, jakgdyby korzec sieczki; a trzeba wiedzieć, że korzec piasku waży tyle, co dwa korce pszenicy. Józef Kraszewski powiedział w jednem z pism swoich; „Duch ludzki ma własność magnesu, który z początku zaledwie sztabkę żelaza udźwignie, a potem cetnary w górę unosi“. A mógł to śmiało powiedzieć ten niezmordowany pracownik, który napisał kilkaset tomów pism różnéj treści, składając ustawicznie, aż do śmierci nowe dowody niestrudzonéj pracy. I do pracy więc nawykać potrzeba; z nawykania rozwija się skłonność, a z niéj następnie nałóg powstaje. Nałogowych pijaków, szulerów i graczy różnego rodzaju, a zgoła próżniaków, niestety! dość jest na ziemi, która w rajby się zamieniła, gdyby każdy, do pracy powołany, nałogowym stał się pracownikiem. A to tem więcéj, jeżeli zważymy, że życie szybko przemija; niemoc i choroby skrócić je mogą, a rozrywki i zabawy nieraz rzeczywiście skracają.

Po pracy miły spoczynek. Doświadczenie codzienne potwierdza prawdę słów tych i uczy, że człowiek wtedy tylko czuje się w wieczór zadowolonym, kiedy mu sumienie przyświadcza, że przez dzień rzetelnie pełnił swą powinność. — Życzę ci, czytelniku, takiego zadowolenia, a gdyby nawet w czem ci się praca nie powiodła, tedy pociesz się słowami także sumiennego i w boju i pokoju pracownika, Kazimierza Brodzińskiego;

„Kiedyś robił, jak przystało,
Nie płacz, że się nie udało“.

Zygmunt Sawczyński.

E.

95. List brata do siostry.

W Krzemieńcu dnia...

Pierwszy raz w życiu odbieram list od Ciebie, kochana siostro, i przyznaję, że mi wielką radość sprawił. Piszesz, że tułając się długo po obcych domach, osiadłaś nareszcie na zawsze u naszej ciotki, która już za córkę Cię uważa. Zaczęła swoję opiekę od przedstawienia Ci Twoich obecnych powinności i onato pierwsza Cię nauczyła, że, nie mając rodziców, w starszym bracie powinnaś widzieć opiekuna i ojca. Rozrzewnił mnie Twój list i słodką ku ciotce przejął wdzięcznością. W saméj rzeczy rodzeństwo osierocone więcéj kochać się powinno, a wzajemném przywiązaniem łagodzić wspólną i niepowetowaną stratę rodziców!

Ale dlaczegoż, kochana siostro, te uczucia po francusku wyrażasz? Wszakżeśmy oboje Polacy? Wszak w krajach polskich mieszkamy? Język polski drogą jest po przodkach naszych spuścizną; za jego jedynie pomocą możemy podnieść literaturę krajową. Jakżeby więc gardzić tym skarbem?... Przekonany jestem, że serce Twoje polskie ma uczucie; wiem, że wszystko, co się tyczy wielkości i sławy kraju, unosi Twą duszę, a każda niedola jego przejmuje ją i rani; wiem także, że szczęściem byłoby dla Ciebie przyczynić się do wzrostu chwały imienia polskiego: po polsku więc pisuj do brata! Mowa ojczysta najmilsza i najprzyzwoitsza jest każdemu Polakowi: wyrazy przywiązania, w niéj określone, jeszcze snadniéj do serca jego trafiają, bo sam wdzięk narodowego języka słodko to serce jego porusza... Pamiętam, żeś od dzie-

cińsTwa wielką wróżyła do wszystkiego zdatność; wiem, że gdziekolwiek byłaś, wszędzie Twoję pilność chwalono; z odebranego świeżo listu widzę, że te nadzieje i pochwały mylnymi nie były. W dwunastu leciech trudno tłómaczyć się gładziéj i jaśniéj, a jeszcze w obcéj mowie. Wyglądam zatém z prawdziwą niecierpliwością listu od Ciebie, po polsku napisanego. Wierzaj mi, podwoi się tym sposobem wdzięk listów naszych, bo gdzież szukać milszéj mowy nad mowę naddziadów? I w jakiéjżeby uczucia i myśli łatwiéj wydać można, jak w téj, którą najpierwéj usta nasze przemówiły?

Żegnam Cię, kochana siostro. Z niecierpliwością oczekuję od Ciebie listu po polsku, językiem przodków naszych pisanego. Twój brat.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

---

96. List Adama Mickiewicza do brata Franciszka.

W Paryżu, dnia 15. lutego 1833.

Kochany bracie!

Bardzo mnie przeraziłeś wiadomością o Twojéj chorobie, zwłaszcza, że nie doniosłeś, jakiego to rodzaju słabość i czy jeszcze trwa, czy już minęła. Widzę z listu, żeś zawsze bardzo smutny, i to zapewne jest najpierwsza przyczyna choroby Jeżelibyś był z Wielkiego Księstwa Poznańskiego rugowany, tutaj we Francyi można mieć i towarzystwo z rodakami i zajęcie, chociaż wszystko to nie zastąpi kraju. Ja zdrów jestem, na wiosnę chcę wynieść się z miasta i niektóre pisma, znowu zaczęte, kończyć. Jest podobieństwo, że własność moich poezyj sprzedam za pensyą dożywotnią, małą wprawdzie, ale pewną; wyniesie to około tysiąc złotych, może i więcéj. Jeżelibyś wrócić nie mógł, tę pensyą przeniosę na Twoje dożywocie i Tobie całkiem ustąpię, bo ja sam jakoś znajdę sposób do życia; zresztą jeszcze mogę coś napisać. Osiądziesz tedy sobie gdzieś na wsi i będziesz spokojny, nie potrzebując nic od nikogo.

Szanowny dom przyjaciół naszych i opiekunów Twoich pozdrów odemnie serdecznie. Adam.

---

97. List Juliusza Słowackiego do matki.

W Genewie, dnia 13. lipca 1834.

Najukochańsza Mamo! Znów nowy miesiąc upłynął spokojnie, bez najmniejszych wydarzeń; żyję, jak kwiat, na jednêm miejscu, tąsamą rosą i têmsamêm słońcem, dziś jak wczoraj, jutro jak dzisiaj. Jednostajność tę przerywa czasem tęskna myśl o Tobie, Mamo moja, czasem gorące pragnienie obaczenia Ciebie, czasem mimowolny jakiś niepokój, jakoby przeczucie nieszczęścia. Ile razy jednak zdołam odpędzić od siebie tę marę natrętną, wtenczas spokojny jestem i z zamkniętymi oczyma pozwalam płynąć czasowi. Nie mogę jednak zataić przed sobą samym, że mi jest dosyć znośnie na tym świecie. Uskarżanie się na mój los byłoby ciężkiêm bluźnierstwem, ale têż z drugiéj strony przyznać trzeba, że żadne błyszczące marzenia nie śmią kłócić mojéj spokojności. Inaczéj to było kiedym był jeszcze dzieckiem; pamiętam, że przez długie nieraz godziny, chodząc po pokoju, rozwijałem w myślach moich jakieś świetne szczęścia, bogactw i sławy obrazy; niski sufit mego w Wilnie pokoiku nie wstrzymywał mojéj bujającéj myśli. Żal mi teraz często, że ta władza marzeń zagasła we mnie. Jedyna myśl mnie teraz pociesza w życiu: oto zdaje mi się, że jestem têm, czêm być powinienem; zdaje mi się, żem się nie minął z mojêm powołaniem, że zapełniam sobą jednę małą kartkę na świecie. Tak nienawidzę czczo żyjących ludzi, że gdybym dziś odkrył w sobie szczególną skłonność do robienia butów lub zegarków, jutro przystałbym do szewca lub zegarmistrza na naukę.

Słyszę właśnie zegar, bijący głośno jedenastą w nocy godzinę. Nie uwierzysz, Mamo, jak coś dziwnego jest w głosie tutejszych zegarów; niektóre dzwonią zwolna i ponuro, inne wybijają coś na kształt uciętego kuranta, ulubioną zapewne piosnkę jakiegoś zegarmistrza, który przed stu laty ją śpiewał i potêm śpiew swój wszczepił w starą wieżę kościelną. Więc dziś zegarmistrz w grobie spoczywa, a wieża powtarza co godzinę jego ulubioną piosnkę! Ludzie, którzy się tutaj urodzili, muszą być smutni, ile razy oddalają się tak daleko, że już téj pieśni nie słychać. Takiesamo wrażenie sprawia na was krzemieniecki dzwonek szkolny — rozbity; niestety dzwonek ten ogłuchł, głos i śmiechy żaków, grających w piłkę, nie rozlegają się już po pustéj galeryi waszego

kościoła. Widzę stąd umarłą twarz waszéj mieściny i z większym smutkiem patrzałbym dzisiaj na nią, niż na marmurową i umarłą Wenecyą.

W tych dniach widziałem tu żeńców, zbierających zboże; to mi tak mój kraj przypomniało, że mi się łzy zakręciły w oczach, rzadko tu bowiem widać zbierających zboże; wszędzie winnice pokrywają pagórki — całe jezioro genewskie obsadzone winnicami. Widok żeńców przypomniał mi jakiś tłum obrazów z dni mojéj młodości. Żeńcy, chociaż porządniéj trochę ubrani, podobni byli do naszych, tożsamo mieli ujęcie, takież kapelusze słomiane; ekonoma tylko strzegącego nie było ani beczki z piwem ze dworu ani dworskiego panicza na koniku.

Pisałem Ci już, Mamo kochana, że co dnia popołudniu chodzę się kąpać do zimnéj rzeczki Arwy, płynącéj stąd o ćwierć mili. Kąpiele te znaczny już skutek wywarły na moje zdrowie, a nawet na mój humor; spokojniejszy jestem, a nawet weselszy. Gdybym był zabobonny, powiedziałbym, że Arwa cudowną płynie wodą. Lekarze tutejsi mówią, że woda jéj tensam wpływ ma na zdrowie, co kąpiele morskie. Łazienka, w któréj się kąpię, stoi w małym ogródku, pełnym kwiatów; często po kąpieli odpoczywam sobie w altanie, winną latoroślą osłonionéj, a malwy, moje ulubione kwiaty, zaglądają do altany. To dziwnie, że ja tak lubię malwy, które nie mają zapachu. Mamo moja! kiedyś mały nasz domek, biały jak śnieg, z zielonymi okienicami, z czerwonym dachem, obsadzimy różnobarwnymi malwami; z tyłu będzie rosło kilka jodeł i brzóz drżących i ścieżki wysypane będą żółtym piaskiem i jaskółki będą się gnieździły nad gankiem: o jakieby to szczęście było!

Do mojéj biblioteki przybyła mi biblia w naszym języku, którą często z rozkoszą czytam. Dzieła Kochanowskich są dla mnie także niewyczerpaném źródłem pociechy.

Droga, najukochańsza Mamo moja! Żegnam Ciebie jeszcze zapewne na długo, ale nie na zawsze! Całuję Ciebie z duszy całéj. Ile przywiązania czuję do Ciebie, tego nigdy nie wyrażę, chyba łzami, jak się zobaczymy.

Twój Julek.

98. List Zygmunta hr. Krasińskiego do Adama Sołtana.

W Salzbrunnie 20. maja 1838.

Mój drogi Adamie!

Od kiedym Cię pożegnał, różnych doznałem przypadków i nieprzyjemności. Do Ołomuńca wiodło mi się dobrze, ale od Sternberg, pierwszéj poczty za Ołomuńcem, ciemna gwiazda górę brać zaczęła. Po wielu jednak trudach stanąłem wreszcie o dziesiątéj w nocy na granicy pruskiéj, gdzie niemiłosiernie nas przetrzęśli i, nawet cukierki za kontrabandę uważając, kazali cło zapłacić. Do Nissy przyjechaliśmy o czwartéj zrana; potém cały dzień jechaliśmy drogami najgorszymi, aż dopiero wczoraj o czwartéj zrana stanęliśmy w Salzbrunn.

Zaraz wczoraj wieczorem poszliśmy do Fürstenstein, zamku starego, o milę stąd leżącego. Przystęp doń okolony gęstym, głuchym borem. Nagle stajesz nad głębokim, przepaścistym jarem; w dole strumień huczy, a boki spadziste, nastrzępione jodłami. Pośrodku jaru wznosi się opoka, równie odległa od obu brzegów, a na niéj gniazdo hrabiów Hochbergów, zachowane w całości, zewnątrz i wewnątrz. Wejdziesz bramą na dziedziniec, tam mury, ostrołukami podparte, nakształt werońskich gmachów: z jednéj strony sam zamek mieszkalny z wieżą, z drugiéj wieża więzień, połączona ze skrzydłem pierwszém arkadami; a od czwartéj strony mały mur tylko nad przepaścią i widok na jar, na bory, daléj na wzgórza, daléj na góry Czech.

W zamku wszystko, jak było 1500. roku. Ciasne, ale poważne komory, wszędzie gobeliny, kantorki, wykładane szyldkretem i weneckimi zwierciadły, ogromne krzesła, obite robotą, którą tkały dłonie pań wieków średnich, pań zadumanych, samotnych, bo mąż lub ojciec gdzieś daleko walczył, chyba paź młodziuchny siedział na stołeczku u stóp haftującéj i powiastką ją rozweselał. W pokoju sypialnym łoże za kotarą srebrną — okropnie ponuro! Po korytarzach pełno obrazów zblakłych, blade twarze niewiast i męszczyzn; muszą one o zmierzchu odrywać się od płócien i wlec się po zamku, dopóki kur nie zapieje! Ujrzałem tam także obraz cesarza Leopolda I.: siedzi na tronie i tłoczy stopami głowę Turka, a w głębi — Minerwa i stugębna Fama. W dali schody i schodki, zawroty i podziemne przechody, którymi niespostrzeżenie z zamku do lasu można uchodzić.

Ze szczytu wieży więzień, nad kaplicą, widok ogromny, cudnéj piękności. Jar stamtąd już szczerą otchłanią się wydaje, ciągnie ciebie, radbyś rzucić się w jego głębiny. Co tylko zajrzysz okiem, czy lasy czy wsi, czy góry czy pola — wszystko do pana zamku należy. Okrągłe ramy z gór sinych opasują ten obraz. Niedaleko za gęstwiną widać nowy zamek Fürstenstein, stawiany w XVIII. wieku — podłéj architektury w porównaniu z gotycką budową starego. I stojąc na szczycie téj wieży, wpadłem w głęboką — nieskończoną zadumę. Żal mi było upłynionych wieków, żal tych ludzi, okutych w żelazne zbroje. Oni mieli tak wysokie pojęcie piękności, na wzór orłów obierali sobie szczyty na mieszkania. Wzrok ich zasięgał daleko, a każdy, patrząc na poddane ziemie, mógł pomyśleć, że przed tysiącem lat przodek jego o takiéjsaméj wieczornéj godzinie z równą dumą spoglądał z tegosamego miejsca na tęsamę okolicę. Myśl ich nabożnie zwracała się ku niebu, wzdychając ku lepszemu światu, a na tym dokazywali orężnie i dziarsko, lekcy w ciężkich pancerzach! Zazdroszczę im, zazdroszczę! Wiem, że ludzkość musiała się zmienić, musiała tę ziemię pokrajać na małe zagony, by kiedyś każdy był wolny i pełen godności; ale kiedy cała godność tysiąców skupiała się w jednego wodza, jakżeż ten wódz mógł być wielkim i dumnym! Dziś tego już być nie może!

Ale patrz, mój Adamie, jakto zamarzyć się może dusza, jak śnić na przekór rzeczywistości! Niemało cierpień spłynęło na mnie z powodu wijących się ciągle mar w wyobraźni mojéj, ale téż nieraz wśród tych widziadeł doznałem szczęścia.

Mój drogi Adamie! całą drogę myślałem o Tobie i tęskniłem za Tobą. Kiedyż się zobaczymy? Liczyłem godziny dnia i chwile wieczoru, domyślając się, co robisz i gdzie jesteś o każdéj z nich. Uściskaj odemnie serdecznie generała Wąsowicza i podziękuj mu jeszcze raz odemnie za jego dobroć i przyjaźń.

Twój na zawsze.

CZĘŚĆ DRUGA.

A.

I.

1. Dwa żółwie.

Nie żałując sił własnych i ciężkiéj fatygi,
Dwa żółwie pod zakładem poszły na wyścigi.
Nim połowę do mety drogi ubieżeli,
Widzowie się rozeszli, sędziowie zasnęli.
Więc rzekła im jaskółka: „Lepiéj się pogodzić!
Pierwéj, niżeli biegać, nauczcie się chodzić.“

Ignacy Krasicki.

---

2. Paw i orzeł.

Paw się dął, lśniące pióra gdy wspaniale toczył;
Orzeł, górnie bujając, gdy go w locie zoczył,
Rozśmiał się i przeleciał. Wrzasnął paw: w śmiech ptacy;
„Nie znają się, powtarzał, na rzeczach prostacy!“
„„Znają się — rzekł mu orzeł; — wdzięk cenić umieją,
Ale gardzą przesadą i z dumnych się śmieją““.

I. Krasicki.

---

3. Ptaszek i rybka.

Szczęśliwa rybka! tak ptaszek rzecze;
Któż jéj co zrobi, gdy w głąb uciecze?
Bez troski, strachu, w ciągłéj swobodzie
    Igra po wodzie!
Mnie takiém szczęściem niebo nie obdziela;
    Jastrząb goni, człowiek strzela.
Przykroż to, przykro dla biednéj ptaszyny
    Zawsze w téj ciągłéj żyć wojnie
I jednéj nawet lichéj odrobiny
    Nie móc zjeść spokojnie.

Ależ i rybka w téjsaméj dobie
Gdzieś tam w swéj głębi tak mówi sobie:
Szczęśliwy ptaszek! jakże bezpieczny,
Gdy się wzbije w kraj słoneczny;
Nucąc i ziemi i niebu i wiośnie,
Buja radośnie.
Buja, gdy rybka w ciągłéj drży obawie:
Tu ją straszy sieć zdradliwa,
Tam szczupak goni po stawie;
I to się życiem nazywa!
Boże! coś wszystko tak mądrze ułożył,
Czemuś mnie ptaszkiem nie stworzył?

Takim i człowiek żali się głosem,
W swych skargach nudnych i długich.
Widzi on szczęście, lecz dziwnym losem
Nigdy u siebie, zawsze u drugich.

Franciszek Morawski.

4. Krople wody.

„Cóż stąd, że się oderwę jedna z chmury łona?
Zginę, a tam nie będzie ziemia odwilżona".
Tak mówiła w obłoku każda kropla wody
Wśród spieki słońca, która plon trapiła młody.
Wtém jedna rzekła: „Widząc pola w takiéj męce,
Pomogę, nie pomogę — a ja się poświęcę!"
Spadła. Za nią rzuciły inne nieb błękity,
I to krople po kroplach; i spadł deszcz obfity,
Co zachował rolniczy zasiew od zniszczenia.
Wiele znaczy: dać innym przykład poświęcenia.

Antoni Górecki.

5. Papuga i wróbel.

Nie pamiętam, w któréj stronie,
Czy to w Litwie czy w Koronie —
Dość, że w Polsce, tego czasu
Narobiło to hałasu;
I daj Boże! by dzieci nasze — lub choć wnuki
Skorzystały z téj nauki. —

Za pałacem, śród ogrodu,
Stała ogromna altana,
W siatkę z drutu oplatana;
W niéj ptastwo różnego rodu,
Które wymieniać rzecz byłaby długa; —
Lecz rej wodziła papuga.

Bo w krasne pióra okryta
I z gadulstwa znamienita,
A stąd najbardziéj zuchwała,
Że kilka słów francuskich na pamięć umiała
I ciągle powtarzała.
Dudki, pawie, gawrony
Uwielbiały z wielkim krzykiem,
Że ród papug tak uczony,
Iż obcym gada językiem; —
A ona,
Wielką dumą napuszona,
Z żadnym się już w rozmowę nie wdawała ptakiem;
Z jednym tylko szpakiem
Czasem przywitać się raczy;
Bo wiadomo, że bardzo sprytny naród szpaczy.
I ten, słuchając pilnie przez czas długi,
Nauczył się wymawiać kilka słów papugi.
Stąd łaska i uprzejmości
U owéj hardéj jéjmości,
Co, siadłszy na pierwszéj grzędzie,
Chciała rozkazywać wszędzie.
Wszystkie ptaki,
Jaki taki,
Spuściwszy dzióby nadół, i pisnąć nie śmiały;
Chyba, by głosić papugi pochwały.
Aż wtém wróbel mały,
Choć niepozorny z postaci
Ani z miny
Ni z czupryny,
Ale szczerszy i śmielszy od swych ptaków braci,
Zadarłszy dzióbka do góry,
Rzecze do niéj: „Moja pani,
Skąd te fochy u Wasani?
Wyrzekłaś się danego głosu od natury
I z nas jeszcze chcesz szydzić
I przewodzić nudnym krzykiem,
Paplając cudzym językiem.
Ot powinnabyś się wstydzić;
Bo to brzydkie są narowy
Zapominać własnéj mowy!
Wiem ja dobrze, że słowiki
I skowronki i czyżyki
Bardzo piękne mają głosy;
Jednak im nie zazdroszczę ni sarkam na losy,
Ale sobie świegocę, jak nasi ojcowie,
Szarzy wróblowie –
I nie trzeba mi było obcéj mowy wiedzieć,
Aby ci prawdę powiedzieć".

* * *

Znać obcych narodów mowy,
To rzecz arcyużyteczna
I konieczna;
Ale Polak do Polaka
Używać w listach albo do rozmowy
Francuskiéj mowy —
Wielki to grzech moda taka,
Świętokradzkiemu równy grzechowi,
Bo grzech przeciw narodowi.

Konstanty Gaszyński.

6. Kolaska.

Nie z potrzeby, ale z mody
Leciał pędem panicz młody;
Konie się w biegu pieniły,
On je ćwiczył, co miał siły.
Umykajcie, wołał, z drogi!
Groził kijmi i batogi;
I ten w oczach jego zgrzeszył,
Kto na stronę nie pośpieszył.
Jużto wielką świadczył łaskę,
Kiedy skierował kolaskę.
O włos dziada nie przejechał
I z przekąsem się uśmiechał.
Pędzi daléj. Jam rzekł cicho:
Będzie jemu kiedyś licho,
A wszak nie wyjdzie miesiąca,
On tu wszystkich poroztrąca.
Ale gdy tak zawsze leci
Z strachem starców, bab i dzieci,
Kędyś tam na Nowym Świecie
Zawadził o kamień przecie.
Pękły osie u karocy,
A on wyleciał jak z procy
I od téj modnéj swawoli
Jeszcze go bok dotąd boli.

Kajetan Węgierski.

7. Sknera.

Sknera, sług wypędziwszy swém sknerstwem bez miary,
Został się sam przy skrzyni, przy bramie pies stary,
Wierny — bo na łańcuchu, zażarty, bo głodny;
Był straszny dla hultajów, dla pana dogodny.
Lecz gdy pan zawsze pościł, jak i teraz pości,
A pies już nie dostawał ni chleba ni kości,
Wychudł — nareszcie skonał jednego wieczora,
A z nim razem i sługa i straży podpora.
Wtedyto nasz pan kutwa, tając śmierć brytana,
Właził w wieczór do budy i szczekał do rana.
Lecz choć dobrze udawał brysia nieboszczyka,
Łotr jakiś z lepszym węchem do domu się wmyka;
A gdy sknera aż chrypnie, tak wyje i szczeka,
Złodziéj z jego pieniędzmi szczęśliwie ucieka.

Alexander hr. Fredro.

II.

8. Rut.

I.

W ubogiéj szacie i ze łzą w oku
Na drogę z Moab wyszła Noemi;
Lecz dwie synowe przy świekry boku
Wraz z nią chcą odejść do judzkiéj ziemi.
„Byłaś nam matką — obie mówiły —
Z tobą nam każdy kraj będzie miły.“

„Córki kochane — matka odpowie —
Ten wasz postępek w niebie ma świadki;
Bóg na was ześle szczęście i zdrowie
Za waszę miłość dla biednéj matki.
Uczyńcież, dzieci, zadość jéj woli:
Nich sama znoszę ciężar niedoli.

„Jesteście obie w młodości kwiecie,
Na cóż wam zda się drżąca Noemi?
Czemuż tak bardzo łączyć się chcecie
Z moją starością ze smutki memi?
W kraju zostańcie, kochane dzieci:
Ojczyzny słońce najmiléj świeci.

„W ubóstwie, z mężem i z dwoma syny
Z Betlehem ziemi szłam tu przed laty
Prosić litosnéj u was gościny:
I wszystkich moich płaczę dziś straty!
Męża i synów w grobach odchodzę...
Tylko ubóstwo znów ze mną w drodze.

„Nie roście, dzieci, ścieżki méj łzami;
Żegnam was, Panu w opiekę stawię;
Zawsze ja myślą będę tu z wami:
Żegnam was z serca i błogosławię!
Choć nie na jednéj żyć będziem ziemi,
Wspomnijcie czasem biedną Noemi.“

I w uściśnieniach żegnała obie
I namówiła starszą synowę;
Lecz młodszą widząc jeszcze przy sobie,
Jak w płaczu schyla ku ziemi głowę:
„Ruto! — zawoła z tkliwym wyrazem —
Dlaczegoż z siostrą nie idziesz razem?

„Czemuż wylewasz łez rzewnych zdroje
I smutkiem młode zasępiasz życie?

Czemu nie pomnisz na szczęście swoje,
Ty — serca mego wybrane dziécię?
Orfa odeszła, wzywa cię z sobą:
Nie przejmuj duszy mojéj żałobą!“

Lecz Ruta, brzeg jéj chwytając szaty,
W pocałowaniach do ust swych kładła:
„Zlituj się — woła — nad mymi laty,
Bym u nóg twoich martwa nie padła!
Lub mię nieżywą zamknij tu w grobie
Lub żywą kochaj i miéj przy sobie!

„O matko! jeśli łaskawém okiem
Widziałaś serca mego dowody,
Pozwól niech idę za twoim krokiem,
Niech wszystkie z tobą dzielę przygody.
W Panu ufając, czegoż się boim?
Kraj twój — mym krajem, twój lud jest moim.“

Więc się zgodziły i szły przy sobie
I do Betlehem przybyły obie.

II.

Pada piękny łan jęczmienia
Pod sierpami stu żniwiarzy,
Brzmią wokoło śmiechy, pienia —
Sam tu dziedzic gospodarzy;
Tych zachęci, tych pochwali,
A przymawia, by szli daléj.

Więc się skorsze wzniosły pieśni,
Na wyścigi żeńcy śpieszą;
Im ukończą łan swój wcześniéj,
Tém się dłużéj w noc ucieszą.
Jeszcze w górze twarz jest słońca,
A już pole bliskie końca.

Za wesołém żeńców kołem,
Od Betlehem strony miasta,
Ze spuszczoném w ziemię czołem
Trwożnym krokiem szła niewiasta.
Cudzoziemska na niéj szata,
W oczach młode błyszczą lata.

Uronionych kłosów szuka,
Cała potem już oblana —
Jeszcze każdy ją ofuka,
Że bez wiedzy czyni pana.
Więc się boi nieszczęśliwa,
Czy nie straci tego żniwa.

Pan ją widząc, wraz się pyta,
Czy nie wiedzą, co za jedna?
— „Jakaś obca znać kobieta“ —
Odpowiedzą — „pewnie biedna“.
Smutna siadła koło drogi,
Przy niéj snopek dnia ubogi.

Pan ją woła: „Lube dziecię,
Powiedz, jakie twoje losy?
Czy zarabiasz tak na życie?
Czy przez chciwość zbierasz kłosy?
Wyznaj — moje to jest pole;
Mogę zmniejszyć twą niedolę“.

— „Niech nagrodzi Bóg twe słowa,
Dobry panie! — we łzach powie —
Jam Noemi jest synowa,
Rodem z Moab, Rut się zowię;
Kłos, zebrany z twojéj ziemi,
Ma mnie żywić i Noemi.

„Opuściłam dom rodzinny,
By zachować matki lata;
Dla niéj przyszłam w ten kraj inny
I na koniec szłabym świata;
Dla niéj znoszę pracę, znoje,
Bo jéj szczęście — szczęście moje.

„Wejrzyj na nas litościwie!
Racz darować, dobry panie,
Tych zgubionych na twéj niwie
Kilku kłosów uzbieranie.
Uczyń łaskę tę sierotom,
Bóg nagrodzi twoim cnotom!“

Gdy o głodzie tak od rana
Szuka kłosów, zlana potem,
Czyliż biedna, odpędzana,
Choć pomyśleć mogła o tém,
Że zostanie pól tych panią?
Że ci żeńcy robią na nią?

A tak było. Pan, wzruszony
Jéj młodością, wiarą stałą,
W Rut cnotliwéj szukał żony;
Przez nią dom swój okrył chwałą,
Że z Obejda, jego syna,
Dawidowa szła rodzina.

Stefan Witwicki, (Poezye biblijne).

---

9. Święty Jacek.

Koło Krakowa w rozkosznéj dolinie,
Gdzie Wisła nasza srebrną wstęgą płynie,
Leży Kościelec, wieś piękna, wesoła.
Sady i niwy wieńczą ją dokoła,
Na których Mazur, kmiotek pracowity,
Owoc swój pracy zbiera, snop obfity.
Tam ludek żyje wesoły, zamożny,
Bo pracowity, trzeźwy i pobożny.
Było to właśnie pod wieczór soboty;
Dojrzewał w polu kłos pszeniczki złoty,
A jęczmień, ostrym wąsem najeżony,
Na sierp czekając, pokrywał zagony.
Już gospodarze sprzątają stodoły,
Parobcy jarzma gotują na woły,
Dziewczęta hoże przy głośnéj gawędzie
Pachnącą rutę zbierają po grzędzie;
A w chatce stojąc przy dymnym kominie,
Prostą wieczerzę warzą gospodynie.
I cała wioska krząta się tak żywo,
By w poniedziałek już rozpocząć żniwo.
Lecz o jak płonne są ludzkie nadzieje!
Jutro zapłacze ten, kto dziś się śmieje.
Boskich wyroków nikt zgłębić nie zdoła!
O wiosko! dzisiaj szczęśliwa, wesoła,
Ty doznasz wkrótce, na jakie odmiany
Człowiek w téj życia pielgrzymce skazany.
Wicher się nagle od północy zrywa
I błękit nieba chmurami pokrywa.
Runął grom; niebo i ziemia zadrżała,
A grad rozdarta chmura wysypała.
I leci z szumem, trzaskiem i hałasem

I ścina kłosy, ach ścina przed czasem.
Zabłysnął dzionek i niebo się śmieje,
Ale na ziemi już znikły nadzieje.
Łzom gorzkim radość ustąpić musiała,
Kiedy na pole wyszła wioska cała.
Sąsiad sąsiada żałośnie się pyta:
„Gdzież ma pszeniczka?“ — „Ach! tutaj... wybita,
„Bo ją moc Boska przed czasem złamała
„I sierpów naszych już czekać nie chciała“.
A gdy tak wszyscy już wkoło dumają
I łzami kłosy złamane zlewają,
Pan wójt gromady z posiwiałym włosem
Takim do wszystkich odzywa się głosem:
„Słuchajcie tylko, słuchajcie, gromada,
„Tutaj już żadna nie pomoże rada,
„Lecz Bóg w téj ciężkiéj pocieszy nas biédzie:
„Oto ksiądz Jacek wprost tu do nas idzie!“
— „Ksiądz Jacek!“ wszyscy radośnie krzyknęli,
Z uszanowaniem czapki z głowy zdjęli.

„Czegoż tak smutni, pobożni wieśniacy?“
— „Ach, księże, patrzaj; owoc naszéj pracy!
„Oto tu leży potłuczone zboże.
„Już nikt nam więcéj dopomóc nie może.
„Ach, cóżto teraz dziać się będzie z nami
„I co z biednymi poczniemy dziatkami!“
— „Ach, ludku Boży! kto się Boga boi,
„Takiemu rozpacz nigdy nie przystoi;
„A gdy was ciężka dziś trapi niedola,
„Rzeknijmy razem: Stań się Twoja wola!“
I rzekł i westchnął, na kolana pada,
A z nim przyklęka i cała gromada:

„Wszechmocny Boże, wiekuisty Panie!
„Daj, niech to zboże stłuczone powstanie;
„Jakoś zasmucił, pociesz lud twój wierny:
„Pokaż, o Boże, żeś jest miłosierny!“

Rzekł i ku ziemi korne chyli czoło.
Wtém wójt z przestrachem: „Cud!“ krzyknął wokoło;
„Cudo!“ powtarza gromada zdumiała,
„Jakiego jeszcze ziemia nie widziała!
„Wszakże w radości nie myli nas oko,
„Ach, nie, nie! Kłosy wznoszą się wysoko!
„I każdy kłosek, ze źdźbłem swém spojony,
„Piękniéj, niż pierwéj pozłocił zagony.
„Ach, księże Jacku, wszak to prośby wasze
„Gradem złamane wzniosły kłosy nasze!“

— „Nie mnie, lecz Bogu niechaj będzie chwała;
„To, co widzicie, moc Jego zdziałała!“
I to wyrzekłszy, lud pobłogosławił
I do Krakowa Wisłą się przeprawił.

Karol Antoniewicz.

10. O Zosieńce, sierocie.

W chacie siedzi Zosieńka spłakana,
Ciągle płacze i zimą i latem;
U ciemnego tam płacze tapczana,
Gdzie jéj matka żegnała się z światem —
Oj! na wieki żegnała się z światem.

Siedzi ciągle z zgasłymi oczyma,
Siedzi w zimnie, głodzie i ciemnocie.
„Oj! biadaż mnie, mateńki méj niéma!
Oj! biadaż mnie! oj, biada sierocie
Saméj jednéj, biada mnie sierocie!“

Trzy tak lata płakała Zosieńka,
Trzy miesiące i trzy dni płakała;
Aże przyszła do niéj w śnie mateńka,
Która z grobu na płacz dziecka wstała;
Na płacz dziecka, oj, z trumienki wstała!

Więc Zosieńka podniosła rączęta
I wołała do niéj tak miłosna:
„Czemuś smutna taka, matko święta,
O czemu ty, matko, tak żałosna,
Taka smutna, matko, i żałosna?

„Jakie niesiesz ty dwa wiadra wody,
Że cię ciężar aż do ziemi gniecie?
Małoż miałaś ty tutaj roboty,
Że na tamtym musisz dźwigać świecie —
I na tamtym musisz dźwigać świecie?“

„„Oj córeczko, oj córeczko miła,
Zosiu moja z czarnymi oczkami,
Toś ty płaczem twoim mi zrobiła:
Toć to twoje łzy dźwigam wiadrami,
Wszystkie twoje łzy dźwigam wiadrami.““

I staruszka przeszła pochylona,
Wiadra ciężko gniotą ją ku ziemi,
A Zosieńka próżno, przestraszona,
Chciała pomóc rączęty białemi,
Rączętami swemi miłosnemi.

Lecz już odtąd Zosia nie płakała
Ani w kącie już siedzieć dziewczynie;
Ale w polu pilnie pracowała
I zajaśniał ogień na kominie,
Ogień jasny zabłysł na kominie.

Przez dzień cały u żniwa na czele:
Toć zawitał dobytek do chatki;
A co wieczór i w każdą niedzielę
Modliła się za duszę swéj matki,
Za duszyczkę swéj kochanéj matki.

Trzy miesiące przeszło i trzy roki,
Nocy trzeciéj usnęła Zosieńka:
Gdy u czółka znowu w sen głęboki
Stanęła jéj bieluchna mateńka,
Jako żywa, bieluchna mateńka.

Aleć dziwnie była uśmiechniona
I w chędogą przyodziew ubrana
I podniosła bez wiader ramiona;
Aże Zosia: „Mateńko kochana“
Zawołała „mateńko kochana!“

„„Córuś moja, dziecię moje drogie,
Toć ja teraz u Boga szczęśliwa
I na sobie mam szaty chędogie
I me ciało spokojnie spoczywa,
O! w trumience spokojnie spoczywa!

„„A duszyczka ma nad tobą się śmieje,
Czyli uśniesz na moim tapczanie,
Czyli wstajesz, gdy rano zadnieje,
Czyś na łące zielonéj lub łanie —
Przy robocie na łące lub łanie.

„„A gdy w chacie ozdoby przybywa,
Gdy się mnoży w maleńkiéj chudobie,
To ja cieszę się — taka szczęśliwa,
Jakbym była tutaj, tuż przy tobie
O! przy tobie, córeczko, przy tobie!

„„A gdy idziesz ubrana w kwiatuszki
Do kościoła, o moje ty dziecię,
To ja chlubię się pomiędzy duszki,
Że mam taką córeczkę na świecie —
Taką dobrą córeczkę na świecie!““

Józef Szujski.

III.

II. Maliny.

(z podania ludowego.)

Przez litewski łan
Jedzie, jedzie pan;
Przed nim, za nim jego cugi,
W złocie, w srebrze jego sługi,
Jedzie w gościnę,
Jedzie w gościnę.

Przyjechał na dwór
Do matki dwóch cór:
„Matko, matko, masz dwie róże,
Obie krasne, obie hoże,
Daj mi jednę z nich,
Daj mi jednę z nich.

„Dwa im dzbanki daj,
Niechaj idą w gaj,
Która więcéj malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze,
Ta będzie panią,
Ta będzie panią".

Słońce się z za drzew
Rumieni jak krew,
Krwawą łuną gaj ozłaca,
Z gaju starsza córka wraca,
A młodszéj nie ma,
A młodszéj nie ma.

Na jéj czarnéj brwi
Niby kropla krwi;
Któż wie, z jakiéj to przyczyny:
Od maliny lub kaliny —
Może to nie krew,
Może to nie krew.

„Oto malin dzban;
Gdzie mój mąż i pan?
Siostra już nie wróci z gaju,
Może wpadła do ruczaju,
Może pożarł wilk,
Może pożarł wilk".

Pan rozesłał sług
Do gaju, nad strug;
Całą noc w gaju wołali,
Cały dzień w strugu szukali:
Nie ma i nie ma,
Nie ma i nie ma.

Pan miał złota wór,
Murowany dwór;
Szczęśliwy z żoną szczęśliwą,
Z krasawicą urodziwą,
Długie lata żył,
Długie lata żył.

Raz gdy przyszedł maj,
Pobiegł panicz w gaj;
Kręcił dudki, zrywał kwiatki,
Z klaskiem, wrzaskiem biegł do [matki:
„Ach mamo, mamo!
Ach mamo, mamo!

„Otóż dudkę mam,
Otóż pięknie gram;
Dudka moja osobliwa,
Jak siostrzyczka moja śpiewa,
Słuchaj piosenki,
Słuchaj piosenki."

„„Graj, Michasiu, graj!
Jak dziś kwitnie maj,
Tak nad róże, nad bławatki,
Dwie nas kwitło w domu matki,
O moja wiosno!
O moja wiosno!

„„Ach! lecz siostry nóż
Skosił różę róż;
Pod kurhanem me mieszkanie
Dzika wierzba na kurhanie;
O moja wiosno!
O moja wiosno!""

„Dziko, synu, grasz!
Skąd tę dudkę masz?“
— „„Dudkę tę skręciłem w gaju,
Z dzikiéj wierzby przy ruczaju,
Przy krzaczku malin,
Przy krzaczku malin.“ “

Pani pobladła,
Jak stała, padła:
Ileż straty, ileż szkody,
Wieś tak piękna, mąż tak młody,
Dziatki nieletnie,
Dziatki nieletnie!

Przez litewski łan
Jedzie, jedzie pan;
Lecz w całunach jego cugi,
Lecz w żałobie jego sługi,
Przy trumnie pani,
Przy trumnie pani.

Alexander Chodźko.

---

12. Zapóźno!

Wieczorem w niedzielę
Przy wiejskim kościele
Dziad stoi i bije we dzwony;
Wtém młodzian nieznany,
Dostatnio odziany,
Nadchodzi i słucha zdziwiony.

I pyta nieśmiało:
„„Cóż we wsi się stało?
Komużto dzwonicie, kochanie?“ “
„O, smutne to sprawy!
Jeżeliś ciekawy,
Posłuchaj! opowiem, mój panie.

„Przed kilku latami
Żył we wsi tu z nami
Kmieć z kmiecia, zamożny, po-
Ni soli ni chleba [cziwy
Nie było mu trzeba;
Był człek to dostatni, szczęśliwy.

„A było ich troje:
On z żonką we dwoje,
A synek, jedynak, był trzeci;
Wesoły, rumiany,
W dostatku chowany,
Zwyczajnie zamożnych syn kmieci.

„Raz ojciec z wieczora,
Wróciwszy ze dwora,
Z westchnieniem powiada do żony:

Mój Boże! mój Boże!
Jak téż tam we dworze
Syn pański się chowa uczony!

„A prostak w tym tłumie,
Gdzie każdy coś umie,
Nie znaczy ni pracą ni wiekiem;
I nam Bóg dał dziecię,
Czemużby téż przecie
Nie było uczonym człowiekiem?

„Przedajmy dwa woły,
Niech idzie do szkoły,
A kto wie, co i z nim się stanie?
Może się przy dworze
Umieści — a może...
A może i księdzem zostanie...

„Jak rzekli, zrobili,
Lecz ciężko zbłądzili,
Sądząc, że wdzięcznym się stanie;
Dobrą jest nauka,
Lecz gdy jéj kto szuka
Nie z pychy — nie prawdaż, mój
[panie?

„Co rok więc na szkoły
Z ojcowskiéj stodoły
Szło zboże — z obory dobytek:
Syn rosnął w rozumie,
Lecz pono i w dumie,
Nie ojcom, lecz sobie w pożytek.

„I przeszło lat wiele,
A nikt go tu w siele
Nie widział w zagrodzie rodzica;
A z cicha mówiono,
Że w mieście tam pono
Zły synek udaje szlachcica.

„Że w głowie ma państwo,
Nie święte kapłaństwo,
Że ojca się wstydzi w sukmanie;
A Bóg się tym brzydzi,
Kto ojca się wstydzi.
Nie prawdaż?... Cóż wam to, mój [panie?

„Tymczasem oknami,
Jak mówią, i drzwiami
Do niskiéj się bieda pcha strzechy;
Ucieka dostatek,
Przyrasta zaś latek,
A z nikąd pomocy, pociechy.

„Staremu i niwa,
W młodości życzliwa,
Kąkole wydaje i głogi;
Więc nieraz w potrzebie
Na syna i siebie
Zapłakał ów człowiek ubogi.

„Aż pracą znużony,
Aż bolem strawiony,
Raz upadł przy pługu na łanie;
I zasnął na wieki
I nikt mu powieki
Nie zawarł. — Płaczecie, mój panie?

„O, powieść nie cała;
Wszak matka została,
A matka biedniejsza na świecie:
Bo, biada każdemu
Człekowi samemu,
Lecz stokroć samotnéj kobiecie.

„Więc pisać kazała
Do syna — błagała:
Rzuć miejskie wesołe to życie,
Uczcij mą siwiznę,
Wróć na ojcowiznę,
O, prędzéj, przyjeżdżaj tu, dziecię!

„Ba, panie kochany,
Groch rzucaj o ściany!
Trza było z rodzinnéj wyjść ziemi
I rękę przy drodze
Wyciągnąć niebodze
I zlewać chleb łzami gorżkiemi.

„Aż dzisiaj ją rano
Nieżywą zdybano
Przy dawnéj zagrodzie, przy ścia- [nie;
Przez litość w téj chwili
My jéj to dzwonili;
Cóż wam jest? dla Boga? mój [panie!?“

A młodzian nieznany
Wzrok toczył zbłąkany
I krzyczał z oschłymi powieki:
„„Ach! jam jest zabójca
I matki i ojca
I szczęścia mojego na wieki!

„„Jam trwonił grosz krwawy
Na fraszki, zabawy,
Na stroje, rozrywkę przyjemną:
A ojce tu mili
Dni w nędzy skończyli!
O Boże! zmiłuj się nade mną!““

„„Dziś wracam w te strony,
Zbolały, skruszony,
Osłodzić im życia ostatki;
Nagrodzić ich troski,
Żyć z nimi wśród wioski:
A nie ma ni ojca ni matki!““

I upadł na ziemi
I łzami krwawemi
Oblewał swe winy, zbłąkanie;
Dziad oczy skrył w dłonie,
A idąc na stronie
Rzekł z cicha: — „Zapóźno, mój panie“.

Jan Nepomucen Jaśkowski.

13. Lirnik.

Z powieści gminnéj litewskiéj.

Wśród drogi
Śmiertelne dwa wrogi
W drzemiącym się borze spotkali;
Skoczyli
Z rumaków, zrzucili
I pancerz i szyszak ze stali,
Natarli na siebie jak wściekłe dwa lwy
I sieką mieczami, aż sypią się skry.

I była
Zaciekłość i siła
I zręczność jednaka w ich boju;
Zbroczona
Krwią pierś ich zdyszona
I czoło krwi pełne i znoju;
I pół dnia szczęk mieczów rozlega się w borze,
A jeden drugiego przełamać nie może.

I drogą
Odziany ubogo
Szedł lirnik i w struny uderzy
I dziką
Zawtórzy muzyką
Strasznemu bojowi rycerzy;
Z pod ręki mu tonów wytryska kaskada,
A w takt jéj burzliwy za ciosem cios spada.

Jak w burzy,
Gdy słońce wynurzy
Z chmur kłębów twarz jasną, wspaniałą,
Z niw, z łąki
Wzlatują skowronki,
Hymn niebios rozlega się chwałą:
Mistrz lirnik tak burzę akordów uśmierzył
I z liry wspaniały hymn męski uderzył.

I toczy
Z powagą uroczéj,
Cudownéj harmonii strumienie,
I wpływa
Do duszy, porywa
Za sobą i myśli i tchnienie:
Dwaj wrogi nie czują, jak sama ich ręka
Poważnie w takt hymnu i bije i szczęka.

Wtém jękiem,
Okropnym rozdźwiękiem,
Czarodziéj hymn święty zamąca,
Do głębi
Rozdziera i ziębi
I na dno przepaści aż strąca;
To, zda się, z piekielnych otchłani wykrzyka
Rozpaczą, boleścią zgryzota grzesznika.

I schwiały
Się miecze w struchlałéj
Szermierzy zaciekłych prawicy,
A dźwięki
Z pod starca znów ręki
Tryskają jak z żywéj krynicy;
I płyną i szumią — to, zda się, anieli
Cudowny miłości hymn z nieba zaczęli.

Czar dumy
Owładnął drzew szumy,
Zawtórzył tak las harmonijnie;
Wód zdroje
I dźwięczne pszczół roje
I wiatr, co nad lasem tam płynie,
I cały świat życia, jakgdyby zaklęty,
Do pieśni lirnika przelewa się świętéj.

Jak lody
W słonecznéj pogody
Topnieją gorącym promieniu:
Tak kona,
Topnieje szalona
Zaciekłość i zemsta w tém pieniu;
I wrogie dwa mieeze, iskrami przed chwilą
Sypiące, bezwładnie ku ziemi się chylą.

Przez lica
Łez długich krynica
Śmiertelnym się wrogom stoczyła;
Spojrzeli
Na starca, zdumieli;
Tak pieśni owładła ich siła,
Że miecze skruszyli — i wzajem na piersi
Upadli w uścisku, jak druhy najszczersi.

— „Gęślarzu!
Ty cudów mocarzu,
Przez jakich zesłanyś ty bogów?
Weź konie

I złoto i bronie,
Żeś w braci przemienił nas, wrogów!
O starcze liriniku, za pieśń twą to mało:
O, czego zapragniesz, dziedzinę bierz całą!"

— „Słuchajcie!
Zapłatę schowajcie,
Mnie dosyć uścisku jest ręki:
Pan słońca
I światów bez końca
Darował mi z nieba te dźwięki;
Zapłaty nie biorę, bo stokroć przeklęty
Kto Bogiem frymarczy, sprzedaje dar święty!

„Ot z ziemi,
Rękami waszemi
Miecz jeden podniosę skruszony;
Anioła
Gdy głos mnie powoła,
Przed Boskie bym stawił się trony,
Pan spyta, jak darów użyłem śpiewaka:
Miecz złaman pokażę i szatę żebraka!"

Karol Brzozowski.

IV.

14. Maraton.

W Suzie na dworze król Daryus ucztuje
Stu niewolników jemu usługuje,
Stu niewolników na klęczkach się wije.
On innéj wody przy stole nie pije
Tylko z Choaspu [1]) dalekiéj krynicy,
A chleb je tylko z eolskiéj pszenicy,
A wino jego to aż z Chalibamu [2]),
Sól z puszcz Afryki, ze świętego chramu
Zeusa-Ammona. Bo każda kraina
Pod jego ręką żelazną się zgina;
Co ma najlepsze, z drugimi pospołu
W pokorze znosi do pańskiego stołu.
A gdy tak Daryus rozległ się za stołem,
Przybieżał goniec i padł przed nim czołem
I woła: „Panie! Sardes, Sardes płonie!
Sardes, to klejnot w twéj złotéj koronie,
A oto rokosz podnieśli Jończycy,
Sprzymierzeńcami są im Ateńczycy

---

[1]) Rzeka w Azyi, z któréj źródeł wodę w srebrnych puszkach przywożono dla króla.
[2]) Kraj w Syryi.

I palą miasto!“ — A drugi nadbieży
I woła: „Panie! Sardes w gruzach leży!
Ateńczyk spalił zamek i świątynie,
Winem napełnia święcone naczynie
I tobie, królu, przy uczcie urąga!“
Król wściekły gniewem wielki łuk naciąga
I w błękit nieba wypuszcza zeń strzałę
Z prośbą do bogów, aby tę zakałę
Krwią obmyć dali. I jednego sługę
Odstawił, aby każdą rwiącą strugę
Wrzawnych uczt jego tamował wykrzykiem:
„Pomnij się, Panie, mścić nad Ateńczykiem!“
A potém Magów rozkazał przywołać
I pyta: „Grekom godzien téż podołać?
Naród to wielki, gdy taki zuchwały.'
A oni rzeką: „Królu, kraj ich mały
I w mniejsze jeszcze rozerwany państwa;
Łatwo go w jarzmo zakować poddaństwa.
To szczypta ziemi, tyle, co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma.
A gdybyś kazał ostrymi pazury
Rozerwać stare Babilonu mury,
To mógłbyś, Panie, żwirem i kamieniem
Zasypać kraj ten z całém pokoleniem.“
Magowie prawdę mówili ci, królu.
Naród to mały, lecz jak pszczoła w ulu
Każdy z osobna o swym domu radzi,
A gdzie potrzeba, wszystek się gromadzi.
O kraj to mały — tyle co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma;
O kraj to mały, niby szyba tarczy:
Lecz na grób wrogom przecież go wystarczy!

*
* *

Z czterech stron świata ciągną się zastępy,
Z czterech stron świata zlatują się sępy,
Medy z Egiptem, Pers z Indyanami,
A Artafernes i Datys wodzami.
Aż wichr się zrywa od wiania buńczuków
I gwar powstaje od pochrzęstu łuków,
Od końskich kopyt ziemia poczerniała:
Tak wielka koni i ludzi nawała.
Możnaby nimi podbić cały świat ten,
A tam krzyk tylko: „Do Aten! Do Aten!
I mają rozkaz surowy wodzowie,
Żadnéj ateńskiéj nie przepuszczać głowie
I wiele, wiele przysposobić łyków:
Tyle w Atenach wezmą niewolników.

Ciągną szarańczą. Z pięknego Miletu
Zostały jeno ogryzki szkieletu;
Na szyjach niewiast szczerbiły się miecze,
Chodzono w zakład, kto więcéj wysiecze;
Naxos w płomieniach, nad nią dymy w chmurach,
A starce z dziatwą chronią się po górach.
Morska Eubea w perzynie osiadła;
Harda Eretrya do ziemi przypadła:
I cała Grecya struchlała i zbladła.

*
* *

W Atenach trwoga; lud tłumem się zbiera,
Milczy i smutnie po sobie spoziera.
Czyż wierny naród opuściły bogi
I do wyboru dały mu dwie drogi:
Łańcuch i hańba — lub śmierć i mogiła?
A jedni szepcą: „Nieprzyjaciół siła!
Na cóż się przyda ofiara i męstwo?“
A drudzy krzyczą: „Śmierć albo zwycięstwo!“
Śród nich Milcyades, jak zesłannik bogów,
Jak ona Pitya z delfickich trójnogów,
Słowem podźwiga zwątpiałego ducha:
Lud go otoczył — zwiesił skroń i słucha.
„Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
Niech sobie powróz okręci o szyję,
Niech własną wolę na wieki okiełza;
Pan niedaleko — niech do niego pełza
I tam, głaskany, a potém wzgardzony,
Niechaj na progach wybija pokłony,
Niech jak pies głodny czołga się bez końca
Za pańską nogą, która nim potrąca.
A my zostańmy! My w nieszczęściu razem!
Albo wytępim wrogów tém żelazem
Lub za najświętszą wielkich bogów wolą
W grobie się wolni schronim przed niewolą.
Na naszéj skroni tylko z laurów wieniec
Lub bladość trupia — nie wstydu rumieniec!
„Wy się trwożycie tą liczbą ogromną
I tą potęgą, co się zda niezłomną?—
Cóż jednak znaczy taka ćma motłochu,
Wylęgła z prochu, czołgająca w prochu,
Którą do boju popędzają biczem,
Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem?!
„Jakąż nad nami może mieć przewagę
Zgięty niewolnik, którego odwagę
Nikt nie ocenia, co bez łez umiera,
A gdy zwycięży, całą sławę zbiera
Żelazna ręka, co go w bój wypycha,
A którą włada nie prawo, lecz pycha? —

„A nas, nas wielkich praojców posągi
Do świetnych czynów wzywają, jak ongi;
Długim szeregiem ogrodziły rynek,
Ażeby sądzić każdy nasz uczynek,
Aby nas gromić marmurową twarzą,
Jeżeli wrogi ziemię ich znieważą.
„A nas, nas wszystko do boju porywa,
Każda piędź ziemi, mogiłami żywa,
To jasne niebo, co niesie w obłoku
Cienie poległych, widne duszy oku,
I cała przeszłość, ta przeszłość wiekowa,
Co w swojém łonie tyle sławy chowa!
„Bogowie z nami! Jedno nasze ramię
Tysiąc najemców zgruchoce i złamie!
Bogowie z nami! Oni nas prowadzą,
Oni nam siły Tytanów nadadzą!
Niechże nas wspiera ich błogosławieństwo!“
A lud wykrzyknął: „Śmierć albo zwycięstwo!“
I śród radości weselnych okrzyków
Posłał do Sparty i do Platejczyków
Prosić pomocy.

*
* *

Ponad Maratonem
Wzniosło się niebo zarzewiem czerwoném.
Nad Maratonem przeciągają sępy,
Siadły na skałach i dziób ostrzą tępy,
Bijąc skrzydłami, niecierpliwie kraczą,
Rychło też ścierwo na polu obaczą.
A przeciw Persom stoi garstka ludzi.
Persom się zdaje, że ich oko łudzi;
A gdy poznali istotę zjawiska,
Zagrzmiał w ich szykach śmiech urągowiska.
Med pomrukuje: „Szaleni! szaleni!
Jeden na tysiąc! my niezwyciężeni!“
Greccy wieszczkowie dobrą wróżbę głoszą;
I na znak dany miecze się podnoszą,
Noga w przód sunie, mur się tworzy z tarczy;
Od strony Medów już milion strzał warczy,
Już się zbliżają, już ku sobie biegą,
Szczęk, jęk, kurzawa... Niech ich bogi strzegą!

*
* *

W Atenach pusto. Kto mógł miecz podźwignąć,
Już ojca swego w boju chciał wyścignąć.
W nagłéj potrzebie, dla kraju posługi
Rzucano skarby, warsztaty i pługi;
Nawet swych mędrców uczniowie odbiegli,
I za kraj może w téj chwili polegli.

I każdy ziszczał nie słowem, lecz czynem,
Że niewyrodnym był ojczyzny synem.
W Atenach pusto. Śród obszaru miasta
Pozostał starzec, ślepiec i niewiasta.
A kto mógł, patrzał w trwożnym niepokoju,
Czy nie obaczy co od strony boju.
Nic, nic nie widać; i słońce zagasło
I gwiazdy... Cyt — cyt; coś w pobliżu wrzasło...
Prędkimi kroki ktoś po bruku bije
I woła: „Tchu! Tchu! Głosu! Grecya... żyje!
Cześć! Cześć!... Milcyades!... Tchu!... Zwycięstwo z nami!“
Kobiety z domów wyszły z pochodniami...
Z gałązką lauru Grek ulicą bieżył
I padł, wołając: „Zwycięstwo!“ — Już nie żył.
A lud się ciśnie, podnosi mu głowę,
Rozrywa zbroję: — całe ciało zdrowe!
Ni śladu rany.

*
* *

Na pobojowisku
Po całodziennem morderczem igrzysku,
Po krwawym trudzie, po stoczonej wojnie
Tysiące ludu usnęły spokojnie.
Grecy z Persami na jedném posłaniu
Leżą bez gniewu w wiecznem pobrataniu.
A przy nich kruki skaczą i godują
I schrypłym głosem braci swych zwołują.

Korneli Ujejski.

---

15. Powrót z Jerozolimy.

Świątki praśników minęły pogodnie.
Z Jeruzalemu rodziny przychodnie
Pośpiesznie oto zdążają na drogi.
Na galilejskiéj tłum nielada mnogi,
Jak jakie wojsko, ciągnie się w parowy;
Bo lud pomorski i nadjordanowy,
Od Nazaretu, Naimu i Kany
I z Kafarnaum, jako pobratany,
Jako sąsiedni, przeto i w podróży
Trzyma się razem i pospołu płuży;
Czy zanocować czy cobądź wypadnie,
Zawsze weseléj i lepiéj gromadnie.
I w polu było wiośniano już, pięknie:
Figa liść puszcza i smokwami brzęknie;
Indziéj się w kwieciach rozmajają drzewa,
Migdał, to daktyl; a słodko powiewa,
Rozmarynową kadzi wietrzyk wonią;

Ptaszęta zewsząd w niebogłosy dzwonią.
I człowiek ma się inaczéj ku wiośnie:
W sercu pobożnie jakoś i miłośnie!
Owoż jak wzrokiem zasięgnąć, gromada
W cieple kwietniowém rozkoszuje rada;
W myślach wesoło jak na wodach buja.
Starcy poczęli głośniéj: „Alleluja!
Bądź pochwalony, Abrahamów Boże!“
Opodal matki i dziewice hoże
Sercami słowo podają po słowie,
Mimo, że różnym różne myśli w głowie.
Żonaci, wdowcy — to jest, męże średnie
Uliczne, miejskie, powtarzają brednie
O rzymskim nowym drapieżnym staroście,
A klną te swoje nieproszone goście.
Młódź poklaskuje — lecz i sama krewka:
Więc częściéj żarty na ustach i śpiewka.
Dzieci — o! dzieci chichocą wesoło,
Jako jaskółki wiją się wokoło;
Ku nim samopas tam i sam po niwie
Juczne osiołki skowyczą wrzaskliwie.
Staja za stają — jedna, druga milka!
Owoż i wieczór, owóż i mil kilka!
Lasek oliwny — właśnie do noclegu;
I woda — woda bieżąca u brzegu.
Słońce za obłok czerwony się nurza,
Ozłaca Tabor, a niższe podgórza
Blaskiem rumianym gdzieniegdzie zapala;
Jaśniéj i kraśniéj migoce Magdala.
Z winnic Magdali płomienąca struga
Tam po kolczastych aloesach mruga;
I z winnic — palma wysmukła, daleka
Aż ku nizinie cieniem się rozwleka;
I z winnic — młoda tam Samarytanka,
Lekka, pierzchliwa, odbiega baranka,
A błysnąć wzrokiem ani się ośmiela:
Bowiem wyklęta pośród Izraela;
Waśń babilońska, przedwieczna z niewoli,
Po dziś dzień żyje — i jak ongi boli.
Na stanowisko swe się obóz kładzie,
Zachód około wieczerzy gromadzi:
Resztki ze świątek jagnięcia i chleba
I sucha ryba — owóż, co potrzeba!
Lud niewymyślne chowa obyczaje:
W drodze, jak w domu, na małém przestaje.
Grzędka a wędka, a praca uczciwa,
To i bez miasta wcale się obywa.
Młódź się rozbiega na prawo, na lewo,
Bliżéj, to daléj, po wodę, po drzewo,

Do chatek wiejskich po sól i naczynia;
A ile niewiast, każda gospodynia.
Kraj téż gościnny, trzody niedaleko;
Więc skaczą dzieci, bo będzie i mleko!
Skaczą i gwarzą u ognia miluchnie.
Zmierzcha się. W zmierzchu okolica głuchnie.
Znużone ptaszki padają na gniazdka,
Śnić o swawoli. Tu i ówdzie gwiazdka
Na jasny błękit wysuwa się tonią
I daléj insze, zewsząd insze gonią;
Rybka za rybką — ćma tam złotołuska
Wskróś zwierciadlanéj otchłani się pluska.
W zmierzchu, zamierzchu, po krótkiéj wieczerzy,
Za szumem lasu wieje szept pacierzy
Ku Panu, który oto tam w świątyni
Niewybadane cuda jakieś czyni;
Sam się w swém dziele światu temu chwali,
Aby go ludzie czcili i kochali.
Noc cicha — ciemna, po pełni miesiąca,
I ciepła — luba — do snu niewoląca;
Śpią téż podróżni.
Ziemia oniemiona
Tchu najlżejszego nie wypuści z łona.
O! głucho, ciemno! — A w ciszy i w cieni
Światła niebieskie w bezbrzeżnéj rozstrzeni
Bieg odmierzają, wiekom nakazany:
Sam Pan sprawuje i ład i przemiany.
Światy jak listki zwija wedle woli.
Księżyc już góry wymija powoli,
Jak na poręczy słania się po skale
I w prawo, w lewo spogląda ospale.

Bohdan Zaleski,
(Przenajświętsza rodzina).

---

16. Córa Piastów.

(r. 1282)

(Wyjątek).

W Babińskim zamku, choć ludny i zbrojny,
Ni mur ni rycerz niegotów do wojny:
Zwodzona brama na oścież otwarta,
Wały zarosły, ostrokół wyjęty,
Wodzowie drzemią, a żołdacka warta
W sąsiednich puszczach walczy ze zwierzęty;
Bo książę Konrad, syn Ziemowitowy,
Polubił tylko biesiady i łowy.
Więc książę Trojden już wdarł się na wały,
Powiązał straże łyczanymi sznury;

Trąby litewskie w warowni zagrały:
Wstąpił w swe prawa zwycięzca ponury.
Zamek bezbronny ujrzawszy w swych ręku,
Chce z niego zabrać łupy niezabrane;
Więc broń obejrzał, porozstawiał czaty,
Sam poszedł w dalsze zamkowe komnaty.
Silnie pchnął we drzwi: ciężkie rygle pękły,
Skrzypnęły rdzawe zawiasy na osi.
Litwin się cofnął, jakgdyby przelękły;
Rękę do boku... i już miecz podnosi.
Mniemał, że jakaś ukryta zasadzka;
Miał już syn puszczy zaryknąć z nałogu:
Lecz się opatrzył — to dziewica lacka
Przeciw zwycięzcom stanęła na progu.
Była to Hanna, córka Ziemowita,
Rycerska siostra gnuśnego Konrada.
Jak biała róża, gdy jeno rozkwita,
Tak twarz dziewczęcia nadobna i blada;
Lecz jéj spojrzenie ogniście się żarzy,
A wyraz strachu nie postał na twarzy.
Niegdyś piastunka nad księżniczki głową
Nuciła starą piosenkę bojową;
Gwarzyła różne ciekawe powieści
O Litwie srogiéj i łagodnéj razem:
Cóż więc dziwnego, że umysł niewieści
Zbratał się z wojen straszliwym obrazem?
W czarnéj odzieży i w białém nagłowiu
Stanęła we drzwiach, jak rycerz na straży,
Myśliwski oszczep dzierżąc w pogotowiu,
Groziła przebić, kto wnijść się odważy.
Litwin oszczepu nie lęka się pchnięcia,
Złamałby oręż, co dziewica pieści;
Lecz piękny wyraz godności niewieściéj
Straszliwszém ostrzem przebił pierś książęcia.

„Słabość dla mężnych jedyna zapora!
Nie wnijdziesz daléj, bo tam — matka chora.
Książę rycerzu! bądź wierny twéj cześci:
Nasza niedola niech nas zabezpiecza;
Szanuj dom Piastów w dniu jego boleści,
Nie nadużywaj praw twojego miecza.
Prawa zwycięzcy, zdobyte gwałtownie,
Kończą się tutaj, gdzie jęczy choroba.
Masz skarby nasze, piwnice, zbrojownie;
Zabieraj wszystko, co ci się podoba:
A cześć uszanuj w godzinę złowrogą,
Bo twoje losy przeważyć się mogą.
Nie patrz szyderczo, że słaba i młoda
Grożę oszczepem chrobremu wodzowi;
Gdy o cześć idzie, Bóg losy stanowi,

Bóg mię uzbraja, a rozpacz sił doda.
Potrafię umrzéć; lecz pokąd nie zginę,
Nie wstąpisz, wodzu, w komnaty matczyne!“
Rzekła i k'piersiom litewskiego księcia
Podnosi oszczep, na życie niepomna;
Płonie w jéj twarzy wstydliwość dziecięcia,
A w oczach zapał i wola niezłomna.
Trojden pokraśniał, spuścił wzrok ku ziemi
I pomieszany do dziewicy rzecze:
„Kniahini Lachów! my chrobrzy z chrobremi;
Lecz u nas w piersiach jest serce człowiecze.
Żaden zły zamiar w méj myśli nie postał;
I żal i wstyd mi, żem zwycięzcą został.
Lecz na to wojna. Ta czasem zaślepi,
Czasem się rycerz w bitwie zapomina.
Wziąłem wasz zamek — to nie moja wina;
Dlaczegoż wasi nie strzegli się lepiéj?
Nie wskrzesić z martwych tych, co w boju padli;
Lecz każę przestać wojennéj srogości.
Nie mówcie, proszę, żeśmy zbyt zajadli;
Przyjmijcie, Lachy, Litwinów za gości.
Dziś w waszym zamku zajmiemy załogę,
A jutro w dalszą puścimy się drogę!“
Rzekł i z komnaty wodzów odprowadza.
Wydał rozkazy do drużyny dzikiéj:
I w jednéj chwili Trojdenowa władza
Ucisza w zamku bojowe okrzyki.
Staje jak wryta rozwścieklona tłuszcza,
W pół taktu w bójce żelazo upuszcza;
Tylko z dziedzińca posłyszysz zdaleka —
Jęknie raniony lub trwożny ucieka.
Trojden powrócił, a na jego czele
Już się promieni cnotliwe wesele.
„Kniahini Lachów! wnet bój się uśmierzy;
Wrócę wam łupy, wynagrodzę straty.
Wpuśćcie mnie teraz do dalszéj komnaty,
Niechaj się waszéj pokłonię macierzy,
Niech trudy wojny złożywszy z méj szyje,
Z Piastowym rodem chleb i sól spożyję“.
— „Szlachetny Kniaziu! — odpowie mu Hanna —
Możesz rozkazać, a prosisz z pokorą.
Ale twój pancerz i zbroja blaszana
Może przestraszyć moję matkę chorą;
Na twym toporze i na pochwie miecza,
Patrz, jeszcze płynie świeża krew człowiecza.
Zdejm z głowy kirys, odpasaj oręża,
A chleba z nami spożyjesz pospołu.
U moich przodków szerokiego stołu
Jest gdzie pomieścić rycerskiego męża.

Rycerstwo nasze jest przy moim bracie,
Wkrótce powróci z obławy na zwierza
I wypijecie puhary przymierza
I ręce sobie życzliwie podacie.
U Ziemowitów — u stołu Konrada,
Nie bój się, żadna nie grozi ci zdrada!"
I już na zamku, u jednego stołu
Litwa i Lachy ucztują pospołu.
Synowie Piastów gościnni, bogaci,
Hojnie rycerstwu rozdają miód stary;
A Litwa spełnia najpierwsze puhary
Jako wspominek po umarłéj braci,
Drugie w cześć bogów i ojczystéj ziemi,
Trzecie na zgodę z dziećmi Lechowemi.
Ucztują wespół zgodni i weseli,
Jakgdyby nigdy wzajem krwi nie leli.

Wład. Syrokomla.

---

17. Domejko i Dowejko.

Opowiadanie Wojskiego.

Pamiętam za mych czasów żyło dwóch sąsiadów.
Oba ludzie uczciwi, szlachta z prapradziadów.
Mieszkali po dwóch stronach nad rzeką Wilejką:
Jeden zwał się Domejko, a drugi Dowejko.
Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili.
Kto zabił, trudno dociéc; strasznie się kłócili
I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę:
To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.
Pojedynek ten wiele narobił hałasu;
Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.
Ja byłem sekundantem; jak się wszystko działo,
Opowiem od początku historyą całą.
Domejki i Dowejki wszystkie przeciwieństwa
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa,
Bardzo niewygodnego. Bo, gdy w czas sejmików
Przyjaciele Dowejki skarbili stronników,
Szepnął ktoś do szlachcica: daj kreskę Dowejce;
A ten, nie dosłyszawszy, dał kreskę Domejce.
Gdy na uczcie wzniósł zdrowie marszałek Rupejko:
„Wiwat Dowejko!", drudzy krzyknęli: „Domejko!"
A kto siedział wpośrodku, nie trafił do ładu,
Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas obiadu. —
Gorzéj było. Raz, w Wilnie, jakiś szlachcic pjany
Bił się w szable z Domejką i dostał dwie rany;
Potém ów szlachcic, z Wilna wracając do domu,
Dziwnym trafem z Dowejką zjechał się u promu.
Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,
Pyta sąsiada, kto on? — odpowie: „Dowejko";

Nie czekając, dobywa rapier z pod kierejki,
Czach, czach, i za Domejkę podciął wąs Dowejki.
Wreszcie, jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
Że stali blisko siebie oba imiennicy
I do jednéj strzelali razem niedźwiedzicy.
Prawda, że po ich strzale upadła bez duchu,
Ale już pierwéj niosła z dziesiątek kul w brzuchu;
Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób;
Kto zabił niedźwiedzicę? dójdźże! jaki sposób?
Tu już krzyknęli: „Dosyć! trzeba raz rzecz skończyć.
Bóg nas czy dyabeł złączył, trzeba się rozłączyć!
Dwóch nas, jak dwóch słońc pono zanadto na świecie!“
A więc do szerpentynek i stają na mecie.
Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
To oni na się jeszcze zapalczywiéj godzą.
Zmienili broń: od szabel szło na pistolety;
Stają; krzyczym, że nadto przybliżyli mety;
Oni na złość przysięgli przez niedźwiedzią skórę
Strzelać się: śmierć niechybna! prawie rura w rurę;
Oba tęgo strzelali. — „Sekunduj, Hereczecha!“ —
Zgoda, rzekłem, niech zaraz grób wykopie klecha:
Bo taki spór nie może się skończyć na niczém;
Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym!
Dosyć już mety zbliżać; widzę żeście zuchy;
Chcecie strzelać się, rury oparłszy na brzuchy?
Ja nie pozwolę. Zgoda, że na pistolety;
Lecz strzelać się nie z dalszéj ani z bliższéj mety,
Jak przez skórę niedźwiedzią. Ja rękami memi
Jako sekundant skórę rozciągnę na ziemi
I ja sam was ustawię. Waść po jednéj stronie
Stanie na końcu pyska, a Waść na ogonie. —
„Zgoda!“ wrzaśli. Czas? „Jutro“. Miejsce? — „Karczma Usza“
Rozjechali się. Ja zaś do Wirgiliusza...
Bo mnie niegdyś nauczył mój przyjaciel Maro,
Że skóra zwierza nie jest ladajaką miarą.
Wszak wiecie Waćpanowie, jak królowa Dydo
Przypłynęła do Libów i tam z wielką biédą
Wytargowała sobie taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał:
Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!
Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.
Ledwie dniało, już z jednéj strony taradejką
Jedzie Dowejko, z drugiéj na koniu Domejko.
Patrzą, aż tu przez rzekę leży most kosmaty:
Pas ze skóry niedźwiedziéj, porzniętéj na szmaty.
Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie
Z jednéj strony, Domejkę zaś po drugiéj stronie.
Pukajcie teraz — rzekłem — choć przez całe życie!

Lecz póty was nie puszczę, aż się pogodzicie...
Oni w złość, a tu szlachta kładzie się na ziemi
Od śmiechu, a ja z księdzem słowy poważnemi
Nuż im z ewangelii, z statutów dowodzić;
Nie ma rady: śmiali się i musieli zgodzić.

Spór ich potém w dozgonną przyjaźń się zamienił;
I Dowejko się z siostrą Domejki ożenił;
Domejko pojął siostrę szwagra, Dowejkównę,
Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu, gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek,
Pobudowawszy karczmę, nazwali „Niedźwiadek“.

Adam Mickiewicz, (Pan Tadeusz).

V.

18. Wieczór na wsi.

Po wieczerzy gospodarz i goście ze dworu
Wychodzą na dziedziniec używać wieczoru.
Zasiadają na przyzbach, wysłanych murawą.
Całe grono z posępną i cichą postawą
Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,
Ścieśniać i coraz bardziéj ku ziemi przybliżać;
Aż oboje, skrywszy się pod zasłonę ciemną,
Wszczęli ze sobą cichą rozmowę, tajemną,
Tłómacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,
Szeptach, szmerach i słowach nawpół wymówionych,
Z których składa się dziwna muzyka wieczoru.

Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu;
Szepnęły wiotkiém skrzydłem nietoperze, lecą
Pod dom, gdzie szyby okien, twarze ludzi świecą;
Bliżéj zaś, nietoperzów siostrzyczki, ćmy rojem
Wiją się, przywabione białym kobiet strojem.
Na powietrzu owadów wielki krąg się zbiera,
Kręci się, grając jako harmoniki sfera;
Ucho ludzi rozróżnia wśród tysiąca gwarów
Akord muszek i półton fałszywy komarów.

W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty.
Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypak łąki,
Już mu zdala wtórują z bagien basem bąki,
Już bekasy, do góry porwawszy się, wiją
I bekając raz po raz jak bębenki biją.

Na finał szmerów muszych i ptaszęcéj wrzawy
Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy
Jako zaklęte w górach kaukaskich jeziora,
Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.
Jeden staw, co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,
Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;
Drugi staw, z dnem błotnistém i gardzielem mętnym,
Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętnym:
W obu stawach żab piały niezliczone hordy,
Oba chóry zgodzone w dwa wielkie akordy.
Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nuci z cicha,
Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha:
Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
Jak grające naprzemian dwie harfy Eola.

Mrok gęstniał. Tylko w gaju i około rzeczki
W łozach błyskały wilcze oczy jako świeczki;
A daléj u ścieśnionych widnokręgu brzegów
Tu i ówdzie ogniska pastuszych noclegów.
Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,
Wyszedł z boru i niebo i ziemię oświecił.

Adam Mickiewicz, (Pan Tadeusz).

---

19. Zachód słońca.

Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło.
Mniéj silnie, ale szerzéj, niż we dnie świeciło.
Całe zaczerwienione, jak zdrowe oblicze
Gospodarza, gdy, prace skończywszy rolnicze,
Na spoczynek powraca. Już krąg promienisty
Spuszcza się na wierzch boru i już pomrok mglisty,
Napełniając wierzchołki i gałęzie drzewa,
Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa.
I bór czernił się nakształt ogromnego gmachu,
Słońce nad nim czerwone, jak pożar na dachu;
Wtém zapadło do głębi. Jeszcze przez konary
Błysnęło, jako świeca przez okienic szpary,
I zgasło...

I wnet sierpy, gromadnie dzwoniące
We zbożach, i grabiska, suwane po łące,
Ucichły i stanęły: tak pan włości każe;
U niego ze dniem kończą pracę gospodarze.
„Pan świata wie, jak długo pracować potrzeba;
Słońce, jego robotnik, kiedy zejdzie z nieba,
Czas i ziemianinowi ustępować z pola“.
Tak zwykł mawiać pan włości, a ta jego wola

Była ekonomowi poczciwemu świętą;
Bo nawet wozy, w które już składać zaczęto
Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły:
Cieszą się z niezwyczajnéj ich lekkości woły.

A. Mickiewicz, (Pan Tadeusz).

---

20. Chata górska.

Mała chatka — dranicą pokryta,
Nad nią góra piętrzy się wysoko;
Spodem strumień zarył się głęboko
I wyrywa kamienie z koryta.
Jemu ciasno, więc szumi i pieni,
Srebrną pianę o brzegi w krąg ciska,
A tak huczno, zda się, sto strumieni
Naraz rwie się z twardego łożyska;
Sosna schyla nad chatą ramiona,
A żywiczna woń płynie z jéj łona.

I ja pielgrzym przyszedłem tu zdala
I wstąpiłem do chaty górala;
I powitał mię starzec jak syna,
A jak brata witała rodzina.
Nie pytali, kto rodzi? jak miano?
Tylko dłonie bratersko ściskano.
Góral wołał: „Tu przyszedł gość z drogi,
Oto Bóg z nim wstępuje w me progi".

Gdy się rozległ fujary ton rzewny,
Gdy wieczorem dzwon jęknął cerkiewny
I, ze szumem strumienia zmieszany,
Jękł jak wielkiéj świątyni organy,
Cała klękła do modłów rodzina,
Stary góral w głos pacierz zaczyna;
A po modłach, złożonych tak Bogu,
Dano skromną wieczerzę na progu.

Kędy góry, tak dzikie, olbrzymie,
Wypisały Stworzyciela imię;
Kędy burzą wezbrane potoki
Z hukiem lecą gdzieś w parów głęboki;
W ciągłéj walce ta zda się przygoda,
Fantastyczna, niestała i młoda;
Kędy orły się kąpią w błękicie:
Oh! jak cicho upływa tu życie!
Z wiosną goni lud trzody na pasze,
Zimą wraca wesoły w poddasze.
A gdy komu dzwon śmierci zadzwoni,

To łez kilka się rzewnych uroni
I gdzieś smutek ucieka z potokiem,
A lud patrzy wesołém już okiem.

Mieczysław Romanowski.

21. Gospodarstwo starego Macieja.

....Staruszek chodził po samotnym dworze,
Nucąc piosenkę: Kiedy ranne wstają zorze,
Rad, że się wypogadza. Mgła nie szła do góry,
Jak się dziać zwykło, kiedy zbierają się chmury,
Ale coraz spadała. Wiatr rozwinął dłonie
I mgłę muskał, wygładzał, rozścielał na błonie.
Tymczasem słonko z góry tysiącem promieni
Tło przetyka, posrebrza, wyzłaca, rumieni.
Jak para mistrzów w Słucku lity pas wyrabia;
Dziewica, siedząc w dole, krosny ujedwąbia
I tło ręką wygładza; tymczasem tkacz z góry
Zrzuca jéj nitki srebra, złota i purpury,
Tworząc barwy i kwiaty: tak dziś ziemię całą
Wiatr tumanami osnuł, a słońce dzierzgało.
Maciéj ogrzał się słońcem, zakończył pacierze
I już się do swojego gospodarstwa bierze.

Wyniósł traw, liścia; usiadł przed domem i świsnął.
Na ten świst rój królików z pod ziemi wytrysnął.
Jako narcyzy, nagle wykwitłe nad trawę,
Bielą się długie słuchy, pod nimi jaskrawe
Przeświecają się oczka, jak krwawe rubiny,
Gęsto wszyte w aksamit zielonéj darniny.
Już króliki na łapkach stają; każdy słucha,
Patrzy; nakoniec cała trzódka białopucha
Bieży do starca, liśćmi kapusty znęcona,
Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona.
On, sam biały jak królik, lubi je gromadzić
Wkoło siebie i ręką ciepły ich puch gładzić;
A drugą ręką z czapki proso w trawę miota
Dla wróblów; spada z dachów krzykliwa hołota.

Gdy się staruszek bawił widokiem biesiady,
Nagle króliki znikły w ziemi, a gromady
Wróblów na dach uciekły przed gośćmi obcymi,
Którzy szli do folwarku krokami prędkimi.

A. Mickiewicz, (Pan Tadeusz).

22. Grzybobranie.

Był gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą;
Po jéj kobiercach, nawskróś białych pniów brzozowych,
Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,
Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,
Niby tańce, i dziwny ubiór: istne duchy,
Błądzące po księżycu. — Tamci w czarnych, ciasnych,
Ci w długich, rozpuszczonych szatach, jak śnieg jasnych;
Tamten pod kapeluszem jak obręcz szerokim,
Ten z gołą głową; inni, jakgdyby obłokiem
Obwiani, idąc na wiatr puszczają zasłony,
Ciągnące się za głową, jak komet ogony.
Każdy w innéj postawie: ten przyrósł do ziemi,
Tylko oczyma kręci na dół spuszczonemi;
Ów, patrząc wprost przed siebie, niby senny kroczy,
Jak po linie, ni w prawo ni w lewo nie zboczy.
Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony
Aż do ziemi, jakgdyby wybijać pokłony;
Jeżeli się przybliżą albo się spotkają,
Ani mówią do siebie ani się witają.
Któżby zgadnął, że owi tak mało ruchomi,
Owi milczący ludzie są nasi znajomi,
Sędziowscy towarzysze? — Z hucznego śniadania
Wyszli na uroczysty obrzęd grzybobrania.
Jako ludzie rozsądni umieją miarkować
Mowy i ruchy swoje, aby je stosować
W każdéj okoliczności i miejsca i czasu;
Dlatego, nim ruszyli za Sędzią do lasu,
Wzięli postawy, tudzież ubiory odmienne,
Służące do przechadzki opończe płócienne,
Którymi osłaniają po wierzchu kontusze,
A na głowy słomiane wdziali kapelusze:
Stąd biali wyglądają, jak czyśćcowe dusze.

Grzybów było w bród: — jedni biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice...
Inni znów za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.
Wszyscy dybią na rydza: ten wzrostem skromniejszy
I mniéj sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,
Czy świeży czy solony, czy jesiennéj pory
Czy zimą. Ale Wojski zbierał muchomory.
Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku,
Dla szkodliwości albo niedobrego smaku;
Lecz nie są bez użytku: one zwierza pasą
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
Na zielonym obrusie łąk jako szeregi
Naczyń stołowych sterczą: tu z krągłymi brzegi

Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki, różném winem napełnione!
Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe;
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe;
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie;
I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka. — Zaś innych imiona
Znane tylko w zajęczym lub wilczym języku,
Od ludzi nieochrzczone, a jest ich bez liku.
Ni wilczych ni zajęczych nikt dotknąć nie raczy,
A kto schyli się ku nim, gdy błąd swój obaczy,
Zagniewany, grzyb złamie albo nogą kopnie;
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.

Adam Mickiewicz, (Pan Tadeusz).

23. Koncert nad koncertami.

Było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu.
Wiedzą wszyscy, że mu nikt na tym instrumencie
Nie wyrówna w biegłości, w guście i talencie.
Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały;
Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały,
Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
Kłaniając się umyka. Gdy to Zosia widzi,
Podbiega i na białéj podaje mu dłoni
Drążki, którymi zwykle mistrz we struny dzwoni;
Drugą rączką po siwéj brodzie starca głaska
I dygając: „Jankielu, mówi, jeśli łaska!
Wszak to me zaręczyny: zagrajże, Jankielu!
Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mém weselu!“
Jankiel niezmiernie Zosię lubił: kiwnął brodą
Na znak, że nie odmawia: więc go w środek wiodą,
Podają krzesło, usiadł; cymbały przynoszą,
Kładą mu na kolanach. On patrzy z rozkoszą
I z dumą: jak weteran, w służbę powołany,
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany,
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.
Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
Stroją na nowo struny i próbując brzęczą;
Jankiel z przymrużonymi na poły oczyma
Milczy i nieruchome drążki w palcach trzyma.
Spuścił je. Z razu bijąc taktem tryumfalnym,
Potém gęściéj siekł struny jak deszczem nawalnym:
Dziwią się wszyscy. Lecz to była tylko próba;
Bo wnet przerwał i w górę podniósł drążki oba.

Znowu gra. Już drżą drążki tak lekkimi ruchy,
Jąkgdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,
Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.
Mistrz zawsze patrzył w niebo, czekając natchnienia.
Spojrzał z góry, instrument dumném okiem zmierzył,
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył:
Zdumieli się słuchacze. Razem ze strun wiela
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki:
Brzmi Polonez Trzeciego Maja!... Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją;
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją.
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,
W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły,
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowéj sali,
Zgodzonego z narodem króla fetowali,
Gdy przy tańcu śpiewano: Wiwat król kochany!
Wiwat sejm, wiwat naród, wiwat wszystkie stany!
Mistrz coraz takty nagli i tony natęża;
A wtém puścił fałszywy akord jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza po szkle: przejął wszystkich dreszczem
I wesołość pomieszał przeczuciem złowieszczém.
Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodyą zmąca,
Coraz głośniéj targając akord rozdąsany,
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany:
Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: „Znam! znam głos ten! to jest Targowica!“
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca...
Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmąca,
Porzuca prymy, bieży z drążkami do basów:
Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów,
Takt marszu, wojna, atak, szturm; słychać wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek... Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturmu, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i z powieści.
Rade, że mistrz nakoniec strunami wszystkiemi
Zagrzmiał i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.
Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna; znów zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche; kilka cienkich strunek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczéj.
Lecz strun coraz przybywa. Już rozpierzchłe tony
Łączą się i akordów wiążą legiony
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
Tworząc nutę żałosną téj sławnéj piosenki:

O żołnierzu, tułaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze; wiara się skupiła
Wkoło mistrza. Słuchają, wspominają sobie
Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
Zanucili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swéj wędrówki lata
Po lądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.
Tak rozmyślając smutnie pochylili głowy.
Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Natęża, takty zmienia: coś innego głosi.
I znowu spojrzał z góry, okiem struny zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył:
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły jak trąby mosiężne:
„Marsz Dąbrowski do Polski!...“ I wszyscy klasnęli
I wszyscy „Marsz Dąbrowski“ chórem okrzyknęli!
Muzyk, jakby sam swojéj dziwił się piosence,
Upuścił drążki z palców, podniósł w górę ręce;
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku, ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca.

Adam Mickiewicz, (Pan Tadeusz).

24. Dom polski.

Patrz! tu stara mszysta strzecha,
Dąb odwieczny ją ocienia;
To tu będzie i pociecha,
Bo, co miłe jest z wejrzenia,
To i czyste w sercu bywa.

Gospodarza głowa siwa;
Coś zadumał się głęboko,
I jak Piast na przyzbie siedzi;
Znać, gdzieś w przyszłość puścił oko.
Tutaj, synu, rzeknij w progu:
„Pochwalony! — Sława Bogu!“
Na te słowa, patrz, powstaje
I gościowi cześć oddaje
I do chaty go prowadzi
I za wielkim stołem sadzi.
Bo gdyś w Bogu go pozdrowił,
Toś przymierze ziemi wznowił;
I po Piaście dom stateczny
Wita gościa już bezpieczny.

Chata roić się poczyna.
Ojciec zleca gościom syna,
Matka córy — i nakrycie
Na stół daje, by przybycie
Gościa pocześć, bo „gość w domu,
To Bóg w domu“ — taka wiara,
Gdzie pod dębem chata stara.

Na kominek znieśli łomu;
Wszystko krząta się w popłochu;
Piast się spuszcza sam do lochu.
Zanim wróci, miły bracie,
Rzućmy okiem po téj chacie.

Lampa płonie u siestrzenia[1])
Przed ołtarzem Matki Boskiéj:
I jéj światło rozpromienia
Dzieje domu, dzieje wioski.
Przy obrazie wota wiszą,
Jest i palma i gromnica:
Bo pokoju palma znamię;
A wieczysta łask krynica
Kruszy strzały, gromy łamie.
Przed obrazem jest ołtarzyk —
Karawaka[2]) na nim leży,
Ewangelia, kalendarzyk
I książeczka od pacierzy.
Niżéj nieco kropielnica;
A dokoła wonne wianki;
Z siatki dziane są firanki —
I przybytkiem jest świetlica. —
Stół się okrył darem Bożym:
Piast przeżegnał bochen nożem
I postawił na stół flaszę,
I powiada: „W ręce wasze!
Czém bogata stara chata,
Tém i rada — w ręce wasze:
Niech się smucą wrogi nasze!“

Wtém się ozwał dzwonek z wieży;
Więc najpierwsza matka bieży
I uklęka przed obrazem.
„Anioł Pański zmówmy razem,
Gdy się jednym chlebem dzielim
I w gościnie téj weselim.“
I jak mak siał — nawet trzpiotka
Na kominku mruczy kotka.
Co drobniejsze, to na przedzie
Do bojaźni Bożéj wiedzie
I modlitwy pani matka;
Starsi daléj; a z ostatka
Piast z czeladzią razem klęczy:
A w obrazie niby w tęczy
Wszystkich oczy tkwią z tą wiarą,
Że modlitwa jest ofiarą.

O modlitwo wspólna domu!
Ty, co chronisz dom od gromu
I od sromu — któż to zmierzy
Jaka siła w tobie leży?
Tyś jest cnoty matecznikiem;
Bo modlitwy wraz z językiem
Uczy matka to pacholę
W téj żywota pierwszéj szkole.
O modlitwo wspólna wiernych!
Tyś dla domu twierdzą Bożą,
Tyś krynicą łask niezmiernych,
Tyś ogniskiem, tyś i stróżą!
Dom po tobie idzie karnie;
I ty dajesz sytość chleba,
Gdy dostatek praca garnie,
Co się boi kary nieba.

Wincenty Pol,
(Pieśń o domu naszym).

25. Rachunek z życia obywatela wiejskiego.

Chcesz wiedzieć Waćpan Dobrodziéj,
Jak też nam tu życie schodzi?
Waćpanowie w wielkim świecie
Modnie i różnie żyjecie;
U nas, w cichym kącie wioski,
Mniéj odmiany, mniéj téż troski:
Zwyczajne sobie prostaki!
Nasz rachunek życia taki:

Rano nasamprzód pacierze,
Potém piję co ciepłego,
Potém zaraz człek się bierze
Do pracy, bo nic bez tego.
A więc, co tam bądź na dworze,
W lecie czy w zimowéj porze,
Muszę z obowiązku pana
Dojrzéć sobie co dzień zrana,
Czy wszystko, jak być powinno,
Czy każdy już zaczął swoje:
Raz koleją tą, raz inną,
Tędy przejdę, tam postoję,
Tam się spytam, tam coś każę:
Wszędzie jest mię pełno. Łażę
I do owiec i do koni —
Słowem, wszystko jak na dłoni.
Temu trzeba jak zaradzić,

[1]) belka główna, na któréj się wspierają inne, poprzeczne. — [2]) relikwie św.

To potrzeba przysposobić,
To ogrodzić, to przesadzić;
Dość, że zawsze jest co zrobić.
Czasem także, choć na krótko,
Wybiegniesz z strzelbą raniutko
Po zająca albo ptaka;
Czasem téż fabryka jaka.
Jeszcze się gdzieś powie słowo,
Wyjrzy w okno czy na ganek;
Jedno z drugiém, to i owo —
I ot jakoś przejdzie ranek.

Potém obiad. Po obiedzie
Czy z sąsiedztwa kto przyjedzie,
Czy téż się na wózek siada
I jedzie się do sąsiada.
A nie, to dzieci biegają
Latem w sad, po izbach w zimie;
Lub téż córki co zagrają;
A ja sobie trochę zdrzemię.
Czasem co od sług usłyszę
Albo się list gdzie napisze;
Bywa, że kupiec zawita,
O to, o owo się spyta;
Prawda, czasem dosyć nie da,
Lecz często się coś i przeda.
Pójdziesz na wieś, zajrzysz wszędzie,
Zrobisz co choremu, wdowie;
Czasem kwestarz skąd przybędzie
I nowinkę jaką powie.
Czasem też ku wieczorowi,
Czy w pole czy ku młynowi,
Sam albo ochota czyja...
1 ot, jakoś dzień przemija.

Na wieczór rachunek dzienny:
Przy tém ja najmocniéj stoję.
Więc ekonom i gumienny
I drudzy przynoszą swoje.
Pytam się, o wszystkiém słyszę,
Ślicznie, pięknie zliczę, spiszę,
Jedno po drugiém rozumnie:
Już to jak zegarek u mnie!
Dopiero, gdy się załatwię,
Wtedy sobie z wolną głową
Albo zacznę prawić dziatwie
Jakąś powieść narodową;
Albo skąd przyjedzie siwy
Jaki wojak lub myśliwy,
To słucham, a on mi gwarzy,
Jak zwyczajnie lubią starzy;
Albo jak zimową porą
Na kominie głownie gorą,
Trochę i podumać miło,
Jak to tam gdzie w życiu było.
Żądza szczęścia coraz cichnie,
Tyle, tyle już w pamięci!
Czasem człowiek się uśmiechnie,
Czasem się i łza zakręci...
Ha! cóż robić! szkoda jęku;
Bóg sam to wie, w Boskich ręku!
Ot, widzisz Waćpan Dobrodziéj,
I wieczór jakoś przechodzi.

Taki nasz dzień. A dzień do dnia,
Tygodnie, miesiące, lata,
Byle odbyć czas przechodnia,
Byle skończyć służbę świata.
Już dziedzice podrastają,
Co twych prac używać mają;
Ociężeją głowa, nogi;
Daléj, stary! umknij z drogi!
Więc gdym kresu już dogonił
W cichéj, miłéj méj ustroni,
To dzwon, co na chrzest mój dzwonił
I na pogrzeb mój zadzwoni.
Dobrzy zjadą się sąsiedzi.
W wiosce już pan nowy siedzi,
Ten i ów jeszcze się spyta,
Z czego umarł, jak — i kwita!
Tu dobrze, tam źle cię wspomną;
Ktoś się i ucieszy skrycie;
Pogadają i zapomną....
I ot, jakoś przeszło życie.

Stefan Witwicki.

26. Ukraina.

Gdy wołyńskie łany rzucisz
I na wschód twe konie zwrócisz,
Bez oporu oko zginie
W pogranicznéj Ukrainie.
Tam to konie, tam to charty,
Step rozległy, świat otwarty!
Wóz twój biegnie na rozdroża,
Wiatr zaleci cię od morza

I krew raźniéj ruszy w żyłach
I koń czujniéj strzygnie uchem;
Drogę swoję po mogiłach
Liczyć będziesz stepem głuchym.

W jarach kraj ku rzekom spada,
Ziemia głuchym jękiem gada,
Dumka mówi o przeszłości,
A wiatr bieli stare kości.

Hej, ku morzu, ku Czarnemu,
Ku Limanu szerokiemu,
Na południe Dniepr tam płynie!
A cześć Ławrze! Sława Bogu!
Hulaj, koniu, po rozłogu —
Nam żyć tylko w Ukrainie!

Szumi woda porohami,
Od porohów sokół leci;
Wicher wyje mogiłami,
Wilk oczyma nocą świeci;
Burzanami koza dzika,
Oczeretem [1]) lis pomyka;
Pędzi tabun, gdy wilk wpadnie,
We mgłach dyszą ciche jary
I mkną mary przez czahary [2])
I krynica bije na dnie.
A tu czesze stepem, borem
Z listem kozak, gdzie pan każe,
I czumackie ciągnie maże [3])
Od Limanów w świat taborem;
Po rozdrożach czort je wodzi
I tumany nocne płodzi.

Ponad Dnieprem między jary
Zasiadł dumnie Kijów stary:
Tam złocone monastery,
A w nich czerńce [4]) staro-wiery.
A gościńcem do Kijewa
Płyną maże z miodem, z zbożem,
A po Dnieprze, niby morzem,
Z puszcz poleskich spławy drzewa.

Rzeki ciągną się jarami,
A nad nimi długie sioła;
Na lewadach [5]) za sadami
Bujny lud, jak w ulu pszczoła.
Niby sosna, niby wiosna
Ukraińska krasawica,
A mołojec każdy wojec,
Raźny, harny [6]); a od lica, [wych
W sercu śmiałém, w żyłach zdro-
Bije dotąd krew Koszowych; [7])
A jak krew ich w żyłach bije,
Tak ich pamięć w pieśni żyje.
Jak stepami Dniepru szumy,
Płyną siołem stare dumy...
A po dworach pusta służba
I koń czerkies [8]), Kozak drużba;
I poszyto i obuto,
Nie wymyślnie, ale suto.

W*inc. Pol*, (Pieśń o ziemi naszéj).

---

[1]) Trzcina, miejsca trzciną zarosłe. — [2]) Miejsca na stepie nierówne, krzakami zarosłe. — [3]) Wozy na Ukrainie, przez wieśniaków (Czumaków) używane do przewożenia ciężarów, szczególnie soli. — [4]) Zakonnicy, mnisi na Ukrainie. — [5]) Czyste miejsca, topolami lub wierzbami okolone. — [6]) Dzielny i odważny. — [7]) Należący do „Kosza“ czyli obozu kozackiego. — [8]) Rasy czerkieskiéj.

B.

I.

27. Wisła.

Płynie fala po fali
Coraz dalej a dalej,
Płynie Wisła, rzek polskich królowa;
To ćmią białe jéj łono
Chmury grubą osłoną,
To je zorza ozłoci różowa.

To nad brzegiem żałośnie
Wiotka wierzba wyrośnie,
Jak sierota nad matki mogiłą;
To w ostrowiu dąb stary
Wznosi w górę konary,
Pyszny krasą stuletnią i siłą.

To okrąża do koła
Z pluskiem fala wesoła
Błonia, lśniące w purpurze i złocie;
To się nagle zapieni,
Gdy po długiéj przestrzeni
Szczery piasek potrąca w przelocie.

Płynie fala po fali
Coraz szerzéj, wspanialéj,
Prądem bystrym daleko niesiona;
W moc się dzielną rozmoże,
Nim szerokie ją morze
W potężniejsze ogarnie ramiona.

Płynie życie jak woda;
To poranna swoboda
Złoci niebo jutrzenką różową;
To zwiastunka niedoli,
Chmura, przemknie powoli
I zahuczy piorunem nad głową.

To sieroctwo otoczy
Kirem serce i oczy
I świat Boży zamieni w pustkowie;
To znów w duszy zwątlonéj
Błyśnie listek zielony, [wie.
Jak na dębie w odwiecznym ostro-

Życie płynie a płynie;
To się brzegiem nawinie
Kwiat, ozdobny purpurą i złotem,
To brzeg pusty i blady,
A piaszczyste zawady
Fala życia roztrąca z łoskotem.

I czas bieży a bieży,
A im daléj, tém szerzéj
Prąd z łożyska wybiega na strony;
O! wybiega szeroko,
Jak myśl sięgnie i oko,
Nim go wieczność ogarnie ramiony.

Skąd ty, Wisło, królowo,
Wiecznie wzrastasz w moc nową,
Nieznużona w pielgrzymce dalekiéj?
Znać, że wierne twe łono
Siłą, z nieba czerpioną,
Sycą bratnie strumienie i rzeki.

Skąd ty, duchu sierocy
Pełen woli i mocy, [obszary?
Brniesz zwycięsko przez puste
Bo ci zsyła moc Boża
Z niebieskiego przestworza,
Zdrój nadziei, miłości i wiary.

Seweryna Pruszakowa.

28. Ranek w górach.

Wyzłocone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole — lasy, skryte w cieniu,
Toną jeszcze w mgle perłowéj,
Co w porannem oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza
I ta rwie się w chmurek stada...
Jak pajęcza, wiotka przędza
Na krawędziach skał osiada;

A z pod sinéj téj zasłony
Świat przegląda coraz szerzéj,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny, świeży!

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą;
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiéj oko tonie,
Cudowności świat się piętrzy
W wyzłoconéj swéj koronie.

Góry wyszły jak z kąpieli
I swém łonem świecą czystém,
W granitowéj świecą bieli
W tém powietrzu przeźroczystém;

Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny;
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza;
Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdrój srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy...
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorek sinéj tarczy...

Już pokraśniał rąbek lasu....
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny, a z szałasu
Dolatują śpiewne echa....

Przez zielone łąk kobierce
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma
I powietrze chciwie chwyta;
Dusza wybiéc chce oczyma,
Upojona, a nie syta;

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona jak z zaklęcia...
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

Adam Asnyk.

---

29. Letni wieczór.

Już zaszedł nad doliną
Złocisty słońca krąg,
Ciche odgłosy płyną
Z zielonych pól i łąk.

Dalekie ludzi głosy,
Daleki słychać śpiew
I cichy szelest rosy
Po drżących liściach drzew.

Promieni gra różana
Topnieje w sinéj mgle,
A świeży zapach siana
Skoszona łąka śle.

Wraz z wonią polnych kwiatów,
Z gasnącym blaskiem zórz,
Cicha poezya światów
W głąb ludzkich spływa dusz.

W półcieniu pierś olbrzymią
Podnoszą widma gór,
Nocnymi mgłami dymią,
Wdziewają płaszcze chmur.

I wiążą swoje skrzydła,
Podarty kryjąc stok,
Jak senne malowidła
Powoli toną w mrok.

Wieczoru blask niepewny
Oświetla obraz ten;
Ludzie w zadumie rzewnéj
Gonią piękności sen.

Adam Asnyk.

30. Żórawie i bociany.

Szczęśliwi posłowie! powietrzni żeglarze!
Powiedzcie, kto lecieć w narody wam każe
Z tą wieścią pogody i ciepłéj już rosy?
I czemu dla świata tak miłe te głosy?

Kto was to téj drogi i pieśni tak uczy?
I co to się w duszy i budzi i sieje,
Gdy łańcuch żórawi w niebiesiech zakruczy,
Że serce tak bije i oko młodnieje?

Bo każdy was śledzi i każdy was wita
I każdy poznaje na niebie po wrzawie;
I nieba i serca o wieści się pyta:
„Hej, lecą i kruczą! żórawie! żórawie!“

A całe już lato nie słychać żórawia,
Lecz bocian się pora nad strzechą klekotem
I stare swe gniazdo na wiosnę odnawia
I sioło okrąża stróżliwym swym lotem.

Tak żóraw obudził, a bocian weselił...
I zbiegło wnet lato, jak z bicza wystrzelił
I każdy się cicho ogląda na ściany
I westchnie boleśnie: „Już lecą bociany!...“

W. Pol.

31. Do sosny.

Gdzie winnice, gdzie pomarańcze rosną,
Domowy mój prostaku, witaj, moja sosno!
Od matek i sióstr twoich oderwana rodu
Stoisz sierota pośród obcego ogrodu!
Jakże tu miłym gościem memu jesteś oku:
Oboje doświadczamy jednego wyroku!

I mną także rzuciła pielgrzymka daleka,
I mnie na obcéj ziemi czas życia ucieka.
Czemuż, choć cię starania cudze otoczyły,
Nie rozwinęłaś wzrostu, utraciłaś siły?
Masz tu wcześniéj i słońce i rosy wiośniane,
Przecież gałązki twoje żółkną poschylane.

Więdniesz, usychasz smutna wśród świetnéj płaszczyzny:
Nie ma dla ciebie życia, gdzie nie ma ojczyzny.
Drzewo moje, nie zniesiesz wygnańca tęsknoty!
Jeszcze trochę jesiennéj i zimowéj słoty,
A padniesz martwe, obca cię ziemia pogrzebie!
Drzewo moje, czyż będę szczęśliwszym od ciebie?

Stefan Witwicki.

32. Limba.

Wysoko na skały zrębie
Limba iglastą koronę
Nad ciemne zwiesiła głębie,
Gdzie lecą wody spienione.

Samotna rośnie na skale,
Prawie ostatnia już z rodu...
I nie dba, że wrzące fale
Skałę podmyły u spodu.

Z godności pełną żałobą
Chyli się ponad urwisko
I widzi w dole pod sobą
Tłum świerków rosnących nisko.

Te łatwo wschodzące karły,
W ściśniętym krocząc szeregu,
Z dawnych ją siedzib wyparły
Do krain wiecznego śniegu.

Niech spanoszeni przybysze
Pełzają daléj na nowo!
Ona się w chmurach kołysze, —
Ma wolne niebo nad głową!

Nigdy się do nich nie zniży,
O życie walczyć nie będzie —
Wciąż tylko wznosi się wyżéj
Na skał spadziste krawędzie.

Z pogardą patrzy u szczytu
Na tryumf rzeszy poziomej...
Woli samotnie z błękitu
Upaść, strzaskana przez gromy.

Adam Asnyk.

33. Pogrzeb Kościuszki.

Biją razem wszystkie dzwony, jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad nimi dzwon Zygmunta, żałość górująca,
Wszystko chłonie — a to niby ojczyzna płacząca.

W cudzych stronach na tułactwie wiódł żywot w boleści,
Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści,

Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie! wraca w trumnie hetman ukochany!

Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
Chylą oczy, co żałosną zwilżyły się rosą;
Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen z tyłu chmura chłopstwa — to najgłośniéj szlocha.

Toć to dzieci są hetmańskie — szlochająż jak dzieci!
W tłumie kosa racławicka podniesiona świeci,
To ich sztandar! wkoło niego tłum jęcząc wykrzyka:
„Koso nasza! choć zdaleka patrz na Naczelnika!“ —

O panowie! zróbcie miejsce — niech się zbliżą chłopi,
Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczera skropi;
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiędze.

*

I na Wawel między królów ponieśli hetmana,
I rozwarła się świątynia złotem nabijana;
U jéj progu stanął Kmita i — „Co zacz on?“ pyta —
„Swój! swój! świętszy od waszeci — puszczaj, mości Kmita!“

Zaruszały się posągi — królowie umarli
Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się wsparli
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza
I spojrzeniem wniebowziętém wita towarzysza.

Długobrody król nad innych wyżéj z łoża wstaje
I przemawia: „Ja, król chłopków, rękę ci podaję;
Wzdy obadwaj my uczcili zapomniane sługi
I kochali lud gołębi — ja pierwszy, ty drugi!...“

U ołtarza arcypasterz i śpiewak Sybilli
Wznosi ręce — każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopi o głaz biją czołem,
Oni, co gdy kościół pełny, stają przed kościołem...

Już skończono mszę żałobną; w chłodne ziemi łono,
W miejsce, gdzie król chciał spoczywać, hetmana spuszczono...
A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk boleści: „Och, już go zamknęli!“

*

„Och, już wzięli Naczelnika, och! już ty nie naszy;
Ciemność sklepień, blask pozłoty serca nasze straszy;
Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiéj tobie z nami leżeć na zielonych polach!

„Na zielonėm, czystėm polu, na zielonėj łące,
Co dnia ptakby ciebie witał i słońce wschodzące;
Wśród upałów twėj mogile cień dałyby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.

„Z białėj Wisły mgła powstaje, w górze świeci słonko,
My czapkami tobie kłonim, z kosą idziem łąką;
Tybyś cieszył się z jėj brzęku, choć śpiący i niemy —
Cóż dopiero, kiedy kosy na sztorc nabijemy!

„Jeśli Pan Bóg zagniewany skryje się na niebie,
Łatwiėj znaleść twą mogiłę, w pomoc wezwać ciebie;
Trudne pisma na nagrobkach mało kto z nas czyta,
Dziecko wskaże na mogiłę — A czyja to? — spyta.“

Tak lud żali się i marzy — urywane słowa
Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa —
Zamknął uszy na głos świata, własnėj głębi słucha;
Nagle spłonął, krzyczy, biegnie — dobył iskrę z ducha!

*

I mogiłę wnieborosłą sypie lud serdeczny!
Próżnaż ona? cóż w nią schować na spoczynek wieczny?
Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz-jasnowidz —
Lud zatroskał się i myśli... „Hej, do Maciejowic!

„Starzy ludzie pamiętają to miejsce wśród błonia,
Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia;
Więc tę ziemię, krwią przesiąkłą, bierzcie jak sakrament,
Złóżcie w urnę i mogile dajcie na fundament.“

Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnėj pracy
Biegną pany i kapłany, chłopi i wojacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano a tłumnie,
Jak przykazał duch miłości — pracują rozumnie.

Miłość wiąże i umacnia — praca idzie chyżėj,
A krakowska ziemia cała woła: „Wyżėj! wyżėj!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie...“
I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie...

I urosła; już ją widzi przechodzień daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
Stać jėj w straży będą: Miłość i Wiara — dwie służki;
Wawel runie — a zostanie mogiła Kościuszki!

Korneli Ujejski.

II.

34. Wiosna.

Błyszczą krople rosy,
Mruczy zdrój po błoni;
Ukryta we wrzosy
Gdzieś jałówka dzwoni.

Piękną, miłą błonią
Leci wzrok wesoło;
Wkoło kwiaty wonią,
Kwitną gaje wkoło.

Paś się, błąkaj, trzódko;
Ja pod skałą siędę,
Piosnkę lubą, słodką
Śpiewać sobie będę.

Ustroń miła, cicha!
Jakiś żal w pamięci,
Czegoś serce wzdycha,
W oku łza się kręci.

Łza wybiegła z oka,
Ze mną strumyk śpiéwa,
Do mnie się z wysoka
Skowronek odzywa.

Jakże ładny, chyży!
Ledwo widny oku...
Coraz wyżéj, wyżéj...
Już zginął w obłoku.

Stefan Witwicki, (Piosnki sielskie).

---

35. Kwiaty.

Kiedy słońce wschodzi rano, a dzwon z wieży ze snu woła,
Lubię ja z myślą wiośnianą bujać jak motyl dokoła;
Lubię położyć się w cieniu, schylić się pomiędzy trawy
I w drgającym z drzew promieniu żyć życiem kwiecia, murawy.

Nademną chyli się dzwonek, róża nad głową się chyla,
A pośród liści koronek pada cień skrzydeł motyla.
Z jednéj łodygi, macierzy, tulą się dwa wierne bratki,
Wśród ostróż, w hełmach rycerzy, skromne, jak panny, bławatki;

Żółta dziewanna, marząca o czasach, gdy była boginią,
Kwiecistą w górze i wonną sklepi się dla mnie świątynią.
A muszki, brzęcząc swawolnie i przedrzeźniając słowikom,
W świątyni pogody letniéj nadworną są moją muzyką.

A kiedy mnie serce boli, burzami świata targane,
To kwiaty, litując méj doli, wonnistą wystawią mi ścianę
I szepcą mi słowa miłości, co dzieły włada Bożemi,
Abym na skrzydłach méj duszy uleciał ku niebu od ziemi.

I mówią: jak anioł przyrody co wieczór na skrzydłach swych spływa
I ziemię naszę w czar wiosny i w piękność tęsknoty odziewa;
Hoduje kwiaty na grobach i w czaszy z kryształu świecącéj
Niesie ku niebu krew naszę i łzy boleści gorącéj...

I mówią mnie kwiaty na łące, że Pan Bóg, co rządzi na niebie,
Pamięta o każdym z osobna, o ptaków i muszek potrzebie,
Że bez Chrystusa woli włos z głowy człeka nie zleci,
Że pomni biały Pan Jezus na ptaszka, co gniazdo swe kleci,
A kiedy zsyła burze, to jeno, by w burzy skąpana,
Piękniejsza ziemia w pokorze do stóp rozsłała się Pana!

Wtedy mnie lżéj na duszy, a rzewność boleścią owłada
I oko łzawe z za kwiatów na wieżę kościółka pada.
Co ponad stare lipy, by pielgrzym w starym habicie,
Krzyż trzyma ku niebiosom i mówi: W tym krzyżu jest życie!
Zrywam się z kwiatów pościeli i idę w kościoła podwoje
I już nie skarżę mych cierpień, a nowych się nieszczęść nie boję.

Józef Szujski.

---

36. Podczas burzy w górach.

Dołem wicher ciężkie chmury niesie,
O skaliste roztrąca urwiska;
Burza huczy po zczerniałym lesie
I gromami w głąb wąwozów ciska...
A tam w górze, gdzie najwyższe szczyty,
Lśnią pogodne, jak dawniéj, błękity.

Ach! taksamo na drogach żywota
Nieraz burza szaleje nad głową,
Wicher nami nad przepaścią miota,
A grom ciemność oświetla grobową;
Jednak wyżéj — widać błękit nieba....
Tylko wznieść się nad chmury potrzeba!

Adam Asnyk.

---

37. Łzy.

Gdzie ta chatka, mchem obrosła,
Co mnie wychowała?
Gdzie jabłonka ta wyniosła,
Co w ogrodzie stała?

Gdzie to źródło żywéj wody,
Z pod ziemi bijące?
Gdzie te myśli duszy młodéj,
Jak kwiatki na łące?

Chata w gruzy obalona,
Źródła bić przestały,
Jabłoń w próchno zamieniona:
Jedne łzy zostały.

Teofil Lenartowicz.

---

38. Tęsknota za krajem.

A znasz ty kraj ten, gdzie brzegiem strumieni
Niezapominki i kaliny rosną?
Gdzie zbóż falami niwa się płomieni,
A bór się śmieje jedliną i sosną?
Gdzie chmiel złociste rozwiesza festony
Po szczytach olszyn, usrebrzonych mchami?
Gdzie biała brzoza i jawór zielony
Błyszczą malownie nad łąk kobiercami?

O! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te lasy, te niwy
Jeszcze choć raz zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie wzdłuż bitéj drogi,
Co płynie wstęgą pod topoli cieniem,
Każdy wędrowiec, czy pan czy ubogi,
Wita przechodniów Chrystusa imieniem?
Gdzie szary bocian na dachu przedsienia
Wije swe gniazdo za wiosny powrotem?
Gdzie krzyże z drzewa lub święci z kamienia
Stoją na straży przed wsi kołowrotem?

O! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te sioła, te niwy
Jeszcze choć raz zobaczę!

A znasz ty kraj ten serdeczny, wesoły,
Gdzie się gospodarz, pełen uprzejmości,
Wszystkiém, czém może, dzieli z przyjacioły
I tęskni w domu, kiedy nie ma gości?
Gdzie lud, choć biedny, rad w święto się stroi,
W tańcu czy w pracy, zawsze piosnki śpiewa?
Gdzie czapka chłopca i warkocz dziewoi
Szychem się świeci, wstęgami powiewa?

O! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te stroje, te niwy
Jeszcze choć raz zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie w chwilę wesołą,
Gdy grzmi od ucha zapustna kapela,
Sunie poważnie poloneza koło,
Jak szyk pancernych na nieprzyjaciela?
Gdzie rześka młodzież przy hucznym mazurze
Brzękiem podkówek gromko takt wybija?
Gdzie żywym wieńcem, przy piosenek chórze,
W rączych się pląsach krakowiak przewija?

O! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te tańce, te niwy
Jeszcze choć raz zobaczę!

Konstanty Gaszyński.

39. Dumka.

Zamierzchłeś mi dawno z przed oczu,
Mój kraju kochany, daleki!
Lecz w myśli, w tém dusznėm przeźroczu,
Zwierciedlisz się cudnie — na wieki.

I widzę: step bujny, burzanny
Zielenią w obłoki się ściele,
W barwinki ubrany, w dziewanny,
W młodostki, w lubystki, w sen-ziele.

I patrzę z mogiły dokoła,
Gdziem błogo przedumał wiek jary;
Znajome wzdłuż grody i sioła,
Znajome czahary i jary.

Pas w dali się srebrzy, pas długi:
Dniepr ojciec, samotnik stepowy,
W barwiste okutał się ługi
I ciągnie na progi, ostrowy.

Rzęd mogił; gdzie pomknę oczyma,
Wojenne, kaukaskie pątniki:
Brat orzeł, brat sokół straż trzyma —
Krakają; a tabun rży dziki.

Co blasku! co krasy! co woni!
Co ptastwa i gwaru, rozgwaru!
Hej! w nutę znajomą pieśń dzwoni
Chórami od jaru do jaru!

Zamierzchłeś mi dawno z przed oczu,
Mój kraju kochany, daleki!
Lecz w myśli, w tém dusznem przeźroczu,
Zwierciedlisz się cudnie na wieki!

Bohdan Zaleski.

40. Dziewczyna.

Oj! wesołaż ja dziewczyna,
Wszystko mi się śmieje:
Dla mnie kwieci się dolina,
Dla mnie wietrzyk wieje;

Dla mnie wschodzą ranne zorze
I wieczorne gwiazdki,
Dla mnie dałeś wszystko, Boże,
Na piosnki, powiastki.

Bo i któżby myślał w świecie
Przy tym niepokoju
O powoju, co się plecie,
Po krzakach, po zdroju;

I o lichéj téj ptaszynie,
Co w wieczornym chłodzie
Śpiewa sobie na kalinie
W matuli ogrodzie.

Już ja o tém myśleć muszę,
To mój kłopot cały,
Żeby w letnią skwarną suszę
Kwiatki nie zwiędniały;

Żeby chłopcy nie wybrali
Małych ptasząt z gniazdka;
Zdrój oczyszczam, żeby w fali
Przejrzała się gwiazdka.

Za to od lilii, ruty
Kwiatki mam dla siebie,
A ptaszek mnie uczy nuty
Do pieśni o niebie.

Od zdroju mam orzeźwienie,
Tę świeżość poranka,
A z gwiazd lecą mi promienie
Jakby srebrna tkanka.

I tak dobrze, tak mi lekko
U matki jedynéj,
Że i nie wiem, jak tam cieką
Lata, dni, godziny.

Teofil Lenartowicz.

41. Pociecha sieroty.

O! nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki;
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa na łąkach kwiatki.

Chodzi od wioski do wioski
I z kwiatów wianeczki zwija;
Szczęśliwym uśmiech ojcowski
Do chaty rzuca — i mija.

Lecz gdy sierotę napotka
W chacie, zwalonéj od gromu,
Natenczas zjawia się słodka
Twarz Jego na progach domu.

I Boskie wyciąga dłonie,
Aby przytulić sierotę;
Niesie jéj blaski i wonie,
Kwiatki niebieskie i złote.

A każdy kwiatek niebieski,
Którym Pan Jezus obdarzy,
Osusza sieroce łezki
Wejrzeniem matczynéj twarzy.

I w sercu, nabrzmiałém łzami,
Wciąż pączki wypuszcza świeże...
Jasnymi niebios barwami
Duszę sieroty ubierze.

A każdy kwiatuszek złoty
W przewodnią gwiazdę się zmienia
I lśni nad czołem sieroty
Iskrą czystego natchnienia.

Choć pójdzie drogą boleści,
Choć nie zna rodzinnéj strzechy:
W swych piersiach dziedzictwo mie-
Pełne niebiańskiéj pociechy. [ści

Więc nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki:
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa na łąkach kwiatki.

Adam Asnyk.

---

42. W pamiętniku.

Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jéj gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poemata składać.
Jabym tosamo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości
I daléj mię los nieszczęśliwy goni.
Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,
Przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,
Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba:
Wróć mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

Juliusz Słowacki.

---

43. Do matki.

(W wigilią Bożego Narodzenia).

Matko! Już piąty raz śniegiem się bieli
Dach twego domu i piąty raz zima
W rodzinnéj ziemi wiatr północny wzdyma,
Gdyśmy przy świętéj wieczerzy siedzieli!

Dziś, kiedy wszyscy u stołu weseli,
Ty, patrząc wkoło tęsknymi oczyma,
Myślisz w twéj duszy: „Konstantego nié ma —
I któż z nim dzisiaj opłatkiem się dzieli?“

O! matko moja! gdy w wieczór stroskana
Modlić się będziesz przed Maryi obrazem,
Serc naszych głosy spotkają się razem.

I anioł święty poniesie przed Pana
Jednéj krzewiny dwa woniące kwiatki:
Modlitwę syna i modlitwę matki!

Konstanty Gaszyński.

III.

44. Do Boga.

Błysnął poranek, zniknęły cienie,
Ja wzrok z pokorą toczę po niebie;
Boże! najpierwsze moje westchnienie
I moję duszę wznoszę do Ciebie!
Czuję Twą wielkość, wieczność jéj strażą;
U nóg Twych strumień czasu przecieka,
U nóg Twych losy świata się ważą
I drżący piorun Twéj woli czeka.
Lecz gdy się groźną potęgą trwożę,
Boska mnie litość tarczą okrywa;
Wołam do Ciebie, Ojcze i Boże!
Ty słuchasz głosu, który Cię wzywa.
Spraw, niech mi serce cnotą goreje,
Nieszczęściem zagrodź występku drogę;
A jeśli zbłądzę, daj mi nadzieję,
Że jeszcze Ciebie przebłagać mogę.

F. hr. P.

---

45. Pieśń o narodzeniu Pańskiem.

Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony:
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice — nieskończony.
Wzgardzony — okryty chwałą,
Śmiertelny — król nad wiekami!
A słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Cóż Niebo masz nad ziemiany?
Bóg porzucił szczęście twoje,
Wszedł między lud ukochany,
Dzieląc z nim trudy i znoje;
Niemało cierpiał, niemało,
Żeśmy byli winni sami.
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

W nędznéj szopie urodzony,
Żłób mu za kolebkę dano;
Cóż jest? czém był otoczony?
Bydło, pasterze i siano.
Ubodzy! was to spotkało,
Witać Go przed bogaczami!
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Potém i króle widziani,
Cisną się między prostotą!
Niosąc dary Panu w dani:
Mirę, kadzidło i złoto.
Bóstwo to razem zmieszało
Z wieśniaczymi ofiarami!
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Podnieś rękę, Boże-Dziecię,
Błogosław ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie;
Wspieraj jéj siłę swą siłą,
Dom nasz i majętność całą
I Twoje wioski z miastami.
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Franciszek Karpiński.

46. Modlitwa.

My nieposłuszne, Panie, dzieci Twoje
W szczęśliwe czasy swoje
Rzadko Cię wspominamy,
Tylko rozkoszy zwykłych używamy.

Nie baczym, że to z Twéj łaski nam płynie,
A także prędko minie,
Kiedy po nas wdzięczności
Nie uznasz, Panie, za Twe życzliwości.

Miéj nas na wodzy, niech nas nie rozpycha
Doczesna rozkosz licha;
Niechaj na Cię pomniemy
Przynajmniéj w kaźni, gdy w łasce nie chcemy.

Ale ojcowskim nas karz obyczajem,
Boć przed Twym gniewem stajem
Tak, jako śnieg niszczeje,
Kiedy mu słońce niebieskie dogrzeje.

Zgubisz nas prędko, wiekuisty Panie,
Jeśli nad nami stanie
Twa ciężka Boska ręka;
Sama niełaska jest nam sroga męka.

Ale od wieków Twoja litość słynie;
A pierwéj świat zaginie,
Niż Ty wzgardzisz pokornym,
Chociaż był długo przeciw Tobie spornym.

Wielkie przed Tobą są występki moje,
    Lecz miłosierdzie Twoje
    Przewyższa wszystkie złości:
Użyj dziś, Panie, nade mną litości!

Jan Kochanowski.

---

47. Stabat Mater.

Wiatr w przelocie skonał chyżym,
    Przeniknęła ziemię zgroza:
Krzyż na skale, a pod krzyżem
    Stabat Mater dolorosa.

Żadnych słów i żadnych głosów,
    Krew z korony Bożéj spływa;
Wobec ziemi i niebiosów
    Stała Matka boleściwa.

Na konania patrząc bole,
    Rany, pręgi od powroza,
Na łzy oczu, cierń na czole,
    Stabat Mater dolorosa.

Konająca od współmęki,
    Przyjmująca śmierć za żywa,
Cierń i gwoździe każdéj ręki —
    Stała Matka boleściwa.

Jak raniona szybkim strzałem
    Deszczem łzy wylewa brzoza,
Z takiém sercem przebolałém
    Stabat Mater dolorosa.

Czując męki w piersi wzdętéj,
    Jak się życie w łzę rozpływa,
Łza przepada w uśmiech święty;
    Stała Matka boleściwa.

Jak świat wielki — opuszczona,
    Gdy ją zdjęła życia zgroza,
Przerażona, że Bóg kona,
    Stabat Mater dolorosa.

Z wysokości więc boleści,
    Która ludzkie gładzi grzechy,
Na jęk trwogi, żal niewieści,
    Jeszcze promień spadł pociechy.

Nie zostawię cię sierotą,
    Ukochana do ostatka:
„O niewiasto, syn twój oto!"
    „Janie, oto twoja Matka!"

O pociecho jakżeś sroga!
    O radości z sercem sprzeczne!
Za człowieka oddać Boga,
    Za doczesne oddać wieczne!

O Maryo, łez królowo!
    Spojrzyj na łzę, co nam ścieka,
Że częstokroć mniej kochamy
    Stwórcę Boga, niż człowieka.

Oczyść nas Twej szaty płótnem,
    Jednym wiewem złotej poły,
Niech Cię kocham w życiu smutnem
    I w wieczności Twej wesołej.

A w dzień zgonu bolejąca,
    Nim do wiecznych zejdę mroków,
Niech mi nie żal będzie słońca
    I powietrza i obłoków!

Teofil Lenartowicz.

---

48. Rozmowa wieczorna.

Z Tobą ja mówię, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha;
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie
I czuwa tylko zgryzota i skrucha,
Z Tobą ja mówię! słów nie mam dla Ciebie,
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha;
Najdalej władasz i słuchasz w pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mem, na krzyżu! —

I każda dobra myśl jak promień wraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca;
I nazad płynąc, znowu mię ozłaca:
Ślę blask, blask biorę i blask mam za gońca
I każda dobra chęć Ciebie wzbogaca;
I znowu za nią płacisz mi bez końca:
Jak ty na niebie, Twój sługa, Twe dziecię,
Niech się tak cieszy, tak błyszczy na świecie!

Adam Mickiewicz.

49. Modlitwa wieczorna.

Bądź pochwalony, Boże, Ojcze z Nieba!
Pracowałam, igrałam, teraz spocząć trzeba;
Ale nim do snu zamknę swe powieki,
Dzięki Ci, Boże, i chwała na wieki!

Dzięki za wszystkie twe dary i łaski!
Dzięki za słońce, za ptaszki, za kwiaty,
Za dzionek, w takie rozkosze bogaty!...
Ale już oto zgasły jego blaski,
Oto noc cicha już na ziemię schodzi:
I za nią dzięki złożyć Ci się godzi;
Bo śród jéj mroku Ty nas strzeżesz, Boże,
I małe dziecię spać bezpiecznie może.

Życie w tysiączne Ty mi zdobisz wdzięki:
Tyś mi dał ojca, matkę i rodzinę;
A wszelkie dobro płynie z Twojéj ręki,
Boś ty sam dobro najwyższe, jedyne!
Blask to dobroci Twojéj rozpromienia
Dla mnie tak cudnie rodziców spojrzenia,
Twoja to miłość tak mnie pieści czule,
Gdy się do drogich piersi ich przytulę.

Lecz gdy mi dajesz szczęście i wesele,
Są, słyszę, inni bardzo nieszczęśliwi,
Którym łez gorzkich płynie wiele, wiele,
A radość nigdy duszy nie ożywi!
Są oczy, którym światło dnia nieznane,
Są smutne serca, nigdy nie kochane,
Są chorzy, głodni i nadzy i tacy,
Co i przytułku nie mają — biedacy!

Są i sieroty nawet na téj ziemi!
O jakże szczerze boleję nad niemi!
Biedne! bez matki!.... O Boże dobroci!
Ach, niechaj moja mnie nie osieroci!
Im zaś sam Ojcem bądź, mój Boże miły!
Niech w Twéj opiece rosną na Twą chwałę!
Smutnym pociechę, znękanym daj siły,
Chorym wróć zdrowie, a nasyć zgłodniałe!

Teraz się tylko modlić mogę za nie,
Lecz, gdy wyrosnę, dozwól mi, o Panie,
Abym z miłością w pomoc im śpieszyła,
Bym ich broniła, wspierała, karmiła,
Nie zapomniała w żadnéj życia chwili,
Żeś Ty nas stworzył na to, byśmy Ciebie·

Znali, kochali i, w każdéj potrzebie
Bliźnim swym służąc, Tobie w nich służyli!

A dziś, o Boże, przed którym niczyje
Uczucie ani myśl się nie ukryje,
Jeślim zbłądziła, niech Cię żal mój wzruszy:
Bądź miłościwy grzesznéj mojéj duszy!
Odpuść mi, Ojcze! wzmóż me dobre chęci,
Bym rosła w rozum i w cnotę bogata,
By mię stroiła niewinności szata,
Bym taką była, jak Anieli święci!

Bądź pochwalony, Boże, Ojcze z Nieba!
Pracowałam, igrałam, teraz spać potrzeba;
Ale nim do snu zamknę swe powieki,
Dzięki Ci, Boże, i chwała na wieki.

Adam Pług.

---

50. Hymn za Cesarza.

Boże wspieraj, Boże ochroń
Nam Cesarza i nasz kraj!
Tarczą wiary rządy osłoń,
Państwu Jego siłę daj!
Brońmy Przodków Jego koron,
Zwróćmy wszelki wroga cios,
Bo z Habsburgów Tronem złączon
Jest na wieki Austryi los.

Obowiązkom swoim wierni,
Strzeżmy pilnie świętych praw
W ich obronie niech się spełni
Powołanie do cnych spraw.
Pomni, jak to skroń żołnierza
Świetnie zdobi lauru krzew,
Nieśmy chętnie za Cesarza,
Za ojczyznę mienie, krew!

Ludu pilnéj pracy zbiory
Niech osłania zbrojna moc;
Niechaj kwitną ducha twory,
Niech rozpędza światło noc.
Austryi, Boże, daj wsławienie,
Na szczyt chwały racz ją wznieść
Słońca Twego skłoń promienie
Ku jéj szczęściu, na jéj cześć!

Spólność, jedność powołania
  Niech przenika wszystek lud,
Bo złączonych sił działania
  Zdolne przemóc wszelki trud.
Dążąc społem ku celowi,
  Chciejmy bratnio siły zlać;
Szczęść Monarsze, szczęść krajowi:
  Austrya będzie wiecznie stać!

Przy Cesarzu mile włada
  Cesarzowa, pełna łask;
Wszystek lud Jéj hołdy składa,
  Podziwiając cnót Jéj blask.
Franciszkowi Józefowi
  I Elżbiecie, Boże, szczęść!
Habsburskiemu szczęść domowi!
  Sława Jemu, chwała, cześć!